ROK XXI.
Ogólnego zbioru Tom LXXXI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA.

1896.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.



Zeszyt zawiera arkuszy **14.**

Druk ukończono d. 15 stycznia 1896 r.

W OBRONIE NAUKI.

Rozprawa ks. Dębickiego pod tytułem „Wielkie bankructwo umysłowe” poruszyła ogólną uwagę i wywołała liczne głosy protestu, podniesione w obronie nauki. Ponieważ jednak odzywały się dotychczas głosy samych filozofów, uczonych lub znakomitych krytyków, może więc obecnie mogłoby mieć pewne znaczenie kilka uwag w téj sprawie zwykłego, inteligentnego czytelnika, a będących jednocześnie wyrazem zapatrywań znacznéj części myślącego ogółu.

Posłużą one zarazem za dowód, iż mylném jest mniemanie ks. Dębickiego, wyrażone w artykule dopełniającym wyżéj wymienioną rozprawę, a pomieszczonym w „Tygodniku Illustrowanym” z 5 czerwca b. r., jakoby „dla $^{99}/_{100}$ czytelników i to nawet bliżéj obeznanych z nauką” wszystko, co w swém studyum napisał, było rzeczą nieznaną i nową. Wprawdzie każdy, choćby najgorzéj uprzedzony czytelnik, musi czołem uderzyć przed olbrzymią erudycyą ks. Dębickiego, ale téż jednocześnie „bliżéj obeznany z nauką”, łatwo odkryje, że nieskończona ilość dosłownych cytat wybrana jest tendencyjnie, dla udowodnienia zgóry założonego celu i nie może dać żadnego wyobrażenia o rzeczywistéj dążności i kierunku cytowanych autorów. Czytelnik zaś zupełnie nawet nieobeznany z nauką, ale umiejący myśléć i czytać z uwagą, z saméj treści rozprawy wyniesie przekonanie, że nietylko nie udowadnia ona upadku nowożytnéj nauki, ale wręcz przeciwne nasuwać na myśl musi wnioski.

Jeśli bowiem przed trzema tysiącami lat jeszcze, umysł ludzki opanowany bywał wątpliwościami, do których nie miał naukowych podstaw i tylko siłą intuicyi kierowany, podstawy te przeczuwał, to jakżeż dziwić się można tym samym wątpliwościom, dręczącym dziś umysły uczonych, kiedy się one opiérają na faktach naukowo stwierdzonych, a te nam udowadniają, że większa część wrażeń doznawanych przez zmysły ludzkie, opiéra się na złudzeniu. Dosyć przytoczyć znaną ogólnie, nawet dzieciom, prawdę o obrocie ziemi naokoło słońca, a nie przeciwnie, jak przez tysiące lat wierzono, polegając jedynie na świadectwie wzroku, lub téż o wirowaniu naszém wraz z ziemią w przestrzeni z szybkością mogącą zawrót głowy sprowadzić, choć zmysły nasze żadnéj nie mają o tém świadomości. Tysiące podobnych przykładów otaczających nas wkoło, mogą z łatwością obudzić w myślącym człowieku beznadziejne zwątpienie i niewiarę w świadectwo własnych zmysłów. Analiza zaś tych sprzeczności doprowadzona do ostatecznych granic, popchnęła niejednego w objęcia skrajnego pesymizmu, a nawet doprowadziła w chwilach rozpaczliwych uniesień do zaprzeczenia własnego bytu.

Można jednak zupełnie spokojnie, bez żadnych obaw zapatrywać się na „bankructwo umysłowe”, które po tysiącach lat zwątpień i sceptycznych roztrząsań, do takich naukowych rezultatów prowadzi, jakie wkoło siebie widzimy. Nie lękajmy się więc wcale, chwilowe upadki i zwątpienia uczonych nie oznaczają ani bankructwa umysłowego, ani nawet nie wpływają ujemnie na dalszy rozwój wiedzy. Duch ludzki po takich upadkach zrywa się z podwójną siłą do walki i nowe prawdy zdobywa, aby znów po pewnym czasie uledz rozpaczliwemu zwątpieniu, widząc jak mało go posunęły naprzód nowe odkrycia i jak daleko znajduje się jeszcze od wyjaśnienia zakrytéj przed okiem naszém zagadki bytu, któréj rozwiązanie jest celem i pobudką tylu usiłowań ludzkich. Co więcéj nawet — choć to się może wydać paradoksem — te zwątpienia właśnie i te rozterki ducha, następujące kolejno, budzą w nauce nowe życie, bez nich wpadłaby ona w zastój i martwotę. Prawdę tę udowodniły jasno dzieje całéj ludzkości. Smutnéj pamięci czas scholastyki, może służyć za odstraszający dowód, do czego doprowadza zupełny zastój myśli, jaki po nim następuje upadek ducha i inteligencyi. Przez długie lata umysł ludzki pracuje z wysileniem nad rozwiązaniem takich zagadnień, jak naprzykład „czy gołąbka, pod postacią któréj ukazał się Duch św., była rzeczywistym ptakiem, czy téż nie?” albo téż „czy Pan Bóg posiada takie same członki, jak człowiek na Jego obraz stworzony”, lub wreszcie tworzeniem teoryi, że „powód powodu jest powodem spowodowanéj rzeczy”

i z Duns Scotem, rozróżnianiem trzech pierwiastków: „pierwiastku pierwszo-pierwszego, pierwiastku drugo-pierwszego i pierwiastku trzeciopierwszego..."

„Trzy wieki na dnie tego ponurego dołu grobowego — pisze Taine—nie przysporzyły ani jednéj myśli umysłowi ludzkiemu. Zwróćmy tylko uwagę na zagadnienia, jakie bywają tam poruszane. Zdawałoby się, że idą, a oni tylko depczą na miejscu... Słabe ich ręce drętwieją pod ciężarem narzędzia łogiki, zbudowanego przez Arystotelesa dla teoryi, a nie dla praktycznego użytku. Narzędzie to zaś powinno było pozostać na zawsze w gabinecie osobliwości filozoficznych i nie ukazywać się nigdy na polu szerszéj działalności..."

Pierwszy Bacon ośmiela się rozerwać zaczarowane koło, w którém przygnieciona myśl ludzka kręci się, nie szukając nawet wyjścia. Siłą swego umysłu rozrywa zasłonę zakrywającą przyszłość i ukazuje przed zdumioném okiem współczesnych całą potęgę, którą człowiek zdobędzie i rozszerzać potrafi w nieskończoność, kosztem ujarzmionéj przyrody. Wielki filozof wskazał tylko drogę, na jaką ludzkość wejść powinna, lecz sam nie postąpił na niéj ani kroku, zatrzymując się u wejścia. Nie zmniejsza to jednak w niczém jego zasługi. Impuls został nadany, inni na nią weszli i postępują do dziś dnia coraz daléj. Kresem zaś téj wędrówki, może być tylko nieskończoność. Wprawdzie pionierów nowych myśli zamykano w więzieniach, skazywano na banicyę, mordowano i palono, ale to ich nie powstrzymało w dalszym pochodzie, tak jak nie powstrzyma ich dzisiejsze reakcyjne dążenie do wyznaczenia ścisłych, przepisanych granic nauce.

„Zasada absolutnie wolnego rozbioru i krytyki", choć wedle ks. Dębickiego, „prowadzi do nihilizmu poznania i do ruiny wszelkich zasad etycznych", musi pozostać nienaruszona, gdyż stanowi nietylko główną podstawę wiedzy, ale samą jéj treść i siłę żywotną. Bez niéj czeka ją śmierć, czyli rozwianie się w nicość.

Kierunek reakcyjny, objawiający się obecnie, nie zabije wprawdzie nauki, ani nawet nie zwróci jéj z drogi, po któréj zmuszona jest postępować, a z czasem tak przeminie, jak już wiele razy przemijał, może jednak przynieść niemałą szkodę ludzkości, opóźniając znów na długie lata jéj postęp. Ostateczne jednak zwycięstwo wiedzy nie może żadnéj ulegać wątpliwości. Raz już osiągnięte zdobycze cywilizacyjne, i to zdobycze rozciągnięte na ogół, nie giną i nie zatracają się tak łatwo.

Trudno się téż zgodzić z przekonaniem ks. Dębickiego, wyrażonem w artykule z 5-go czerwca, jakoby „nauka hypotetyczna" nowo-

czesna, miała być „dla życia społecznego i postępu zabójczą” a „nauka indukcyjna” będąca „tylko bardzo skomplikowaném rzemiosłem”, przynosiła ogółowi rzeczywiste korzyści. Tymczasem podział taki nie da się nigdy przeprowadzić, gdyż obadwa te rodzaje nauki stanowią jedną nierozdzielną całość i wiecznie, od czasu jak wiedza istnieje, chodziły z sobą w parze i raz jedna, to znów druga wysuwała się naprzód, zawsze jednak w ścisłéj ze sobą łączności.

Bywały chwile, w których teorye filozoficzne wyprzedzały naukę ścisłą, potęgą intuicyi przeczuwając przyszłe jéj zdobycze i wskazując badaczom drogę, którą obrać powinni. Tym sposobem oddawały nieocenione przysługi ludzkości. Taką była właśnie filozofia Bacona. W innych znów razach filozofia usiłowała na podstawie odkrytych już pewników naukowych, wytworzyć nowe poglądy, wysnuć pewne wnioski i wszystko ugrupować w jedną systematyczną całość. W miarę postępu właściwéj nauki, muszą się więc i owe teorye zmieniać lub modyfikować, stosownie do ogólnego nastroju umysłów. Miewamy więc kolejno to kierunek idealny, to znów pozytywny. Takie obrachunki sumienia bywają także widać niezbędnie potrzebne dla rozwoju wiedzy, kiedy całe dzieje cywilizacyi nas uczą, że gdy myśl oderwana słabła lub bywała przytłumianą, to i w nauce praktycznie zastosowanéj pojawiał się zastój.

Nie lękajmy się więc nauki, bo ona nie przyniesie szkody ludzkości. Wierzmy silnie, że świat dąży bezustannie do udoskonalenia, a chociaż kres jego zakryty jest przed naszym wzrokiem, to jednak stałe i wyraźne zmierżanie ku lepszemu wśród przestrzeni ubiegłych wieków daje się dostrzedz bez wielkiego mozołu.

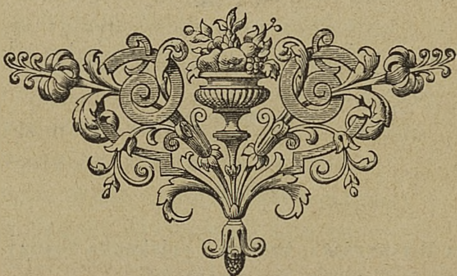
Najwłaściwiéj by więc było pozostawić rozwój cywilizacyjny prawidłowemu jego biegowi i szorstką, nieostrożną ręką nie dotykać się tak subtelnych rzeczy, z obawy, ażeby ta ręka nie stała się hamulcem, chwytającym bezskutecznie na ogół, ale szkodliwie w częściowych przejawach, za sprychy kół wielkiego rydwanu postępu i żeby jéj przyszłe wieki nie wskazywały, z takiém samém szyderstwem, z jakiém my spoglądamy na przeszłe nieudatne próby zahamowania postępu. Dziesięć prawie stuleci straconych dla nauki ścisłéj, dziesięć wieków zastoju, w których ani jednéj ważnéj zdobyczy nie uzyskała cywilizacya, powinno służyć zawsze za odstraszający dowód, do jakich rezultatów prowadzi ucisk wywierany na myśl ludzką i stanowić przestrogę przed podobnemi pokuszeniami na przyszłość.

Na zakończenie należy dodać jeszcze słów kilka odpowiedzi na oskarżenie przez szanownego autora „Bankructwa” nowoczesnéj filo-

zofii o rozliczne choroby i dolegliwości, trapiące dzisiaj ludzkość. Pijaństwo i rozpusta, w wyższym stopniu niż obecnie, grasowały za czasów rzymskich w starożytności, za Ludwików we Francyi, a u nas za Sasów i za Stanisława Augusta, więc nie jest to objaw nowy.

Trochę tolerancyi dla cudzych poglądów nigdy nie zaszkodzi, tém bardziéj, że nikt nie może być zupełnie pewnym, iż jego to właśnie poglądy i działalność są nieomylne.

M. J.



Joanna Neapolitańska.

Tragedya w 5-ciu aktach.

OSOBY:

Cesarzowa Bizantyńska, krewna i opiekunka Joanny.
Ludwik, książe Tarentu, syn cesarzowéj.
Elżbieta, królowa węgierska (córka Władysława Łokietka).
Andrzej, książe Kalabryi, syn jéj.
Joanna, żona jego, królowa Neapolitańska.
Isolda węgierka, mamka Andrzeja.
Lazarro, poufny cesarzowéj.
Istwan, Ferencz, dygnitarze węgierscy przy Andrzeju.
Mistrz ceremonii.
Posłaniec z Awinionu.
Dworzanin Ludwika.
Dworzanin Andrzeja.
Pani dworu, Włoszka.
Przeor klasztoru w Awersie.
Klucznik zakonnik.
Komendant floty.
Zbój 1-szy
„ 2-gi
„ 3-ci.

Panowie węgierscy, panowie włoscy, damy dworu, służba.
Rzecz dzieje się w r. 1344. Cztery pierwsze akty w Neapolu — akt piąty w Awersie, w klasztorze św. Piotra.

Akt I.

Sala w pałacu królewskim w Neapolu; wielkie podwoje szklane przez które widać pomarańczowy ogród a w dali morze.

Scena I.

CESARZOWA i LUDWIK.

Cesarzowa siedzi w fotelu, Ludwik wchodzi.

CESARZOWA. Tydzień cię synu nie było; — a tobie
Trzeba do dworu się przykuć.
LUDWIK. Cóż robię
Od pierwszéj gdy tu przybyłem minuty?
Jestem jak więzień łańcuchem przykuty,
Prawda że... słodkim...
CESARZOWA. Inne tobie cele
Niż słodycz winne stać przed orlém okiem,
Tobie, świetnemu cesarskim urokiem.
Słuchaj mnie synu; — ja zrobiłam wiele.
Gdy zmarł jedyny dziedzic téj korony,
Do niéj najbliższe po krwi, wiész, miał prawo
Król Węgier, Robert. I któż to jaskrawo
Stolicy świętéj dowiódł, że dwa trony
Takie potężne, gdy na nich zasiędzie
Mocarz węgierski, straszne stać się mogą?
Ja! — kto papieża przejętego trwogą
Użył po myśli swojéj za narzędzie,
Że król przed śmiercią poparty stanami
Państwa dziedziczką ogłosił swą wnuczkę
Joannę? — Kto? — ja! Przed memi oczami
Stał tron ten jako twój.
LUDWIK. Stał—lecz zdmuchnięty —
Bo rozdzieliwszy trony, ojciec święty
Tę złotą dla mnie wymarzoną pannę,
Węzłem małżeńskim z kim związał Joannę?
Czy dziś Joanna nie Andrzeja żoną?
Andrzéj, syn młodszy Węgierskiego króla,
Tron Neapola w małżeńskiém ma wianie.
To się już stało — a jak się odstanie?

CESARZOWA. A powiédz synu — ta papieska bulla,
To dzieło moje, nic a nic nie znaczy?
Bo wiész, korony téj papież zwierzchnikiem,
Król Neapolu jego jest lennikiem.
LUDWIK. Wiem — cóż ta bulla? która? tych bul tyle!
CESARZOWA. Co koronacyę Andrzeja odkłada
Do lat aż pełnych, a koronę dała
Jego małżonce i ta państwem włada,
Ją majestatu opromienia chwała,
Gdy się to chłopię madżarskie, ot zowie
(*Z pogardą*) Kalabryi księciem!
LUDWIK. Lat sześć--i na głowie
Księcia Kalabryi ujrzymy koronę.
CESARZOWA. Lat sześć... Ludwiku! o! to czasu wiele;
I wód to wiele rzeki niezgłębione
W przepaści modre mórz stoczą...
LUDWIK. I wody
I lat sześć miną jak sześć dni swobody,
Które na łowach spędziłem — i króla
Ukoronują jak kazała bulla.
CESARZOWA. Ty nim być musisz! chyba że téj głowie
Już posłuszeństwo od razu wypowie
Rozum, cierpliwość, zręczność, doświadczenie
I skrzętność mrówcza, dla któréj ździebełko
Drobne, maluczkie budowy cegiełką.
Czy chcesz być królem? mów krótko! bo z domu
Mego tron oddam innemu ja komu.
LUDWIK. Któż Neapolu pogardzi koroną?
CESARZOWA. Czy ty nie widzisz, kobiétą skończoną
Dziś już Joanna. To w pełnym rozkwicie
Wszystkiemi pory rozlewa się życie.
Krew szturmem bierze głowę rozmarzoną
Upajającym Petrarki nektarem.
Porównaj siebie z młokosem madżiarem,
Z tym lodów synem co dojrzewa zwolna,
Któremu z piłką zabawa swawolna
Więcéj na czasie niż z żoną pieszczota;
I myśl ty o tém, że lat sześć Ludwiku,
Jeśli je stracisz, obudzą w młodziku —
LUDWIK. Mężczyznę.

CESARZOWA. Tak jest, mężczyznę! Bądź żony
Jego kochankiem! To krok do korony;
Ona ci sama na głowę ją włoży.
Bądź jéj kochankiem.
LUDWIK (*z uśmiechem*). I któż ci powiedział,
Jeśli to droga, że matko jest przedział
Między (*dotyka czoła*) tą skronią a państwa koroną?
Między wieczorem a jutra porankiem
Dość czasu, by zwać szczęścia się kochankiem.
CESARZOWA. Na dobréj drodze widzę cię oddawna;
Ale mnie gniewa twa ręka niewprawna,
Co by złotego uchwycić motyla,
Kiedy odleciał, po niego się schyla.
Lecz strzeż się synu — bo jest jedno oko
Co za daleko, co mi za głęboko
Widzi i patrzy.
LUDWIK. Wiem, mamki Andrzeja.
CESARZOWA. Tak jest, Isoldy. To od niemowlęcia
Cień w nocy, we dnie nieodstępny księcia.
Z chytrością węża miłość matki zlana —
Téj ja się lękam. Ma oko spokojne,
W którém ty duszy najlżejszego drgnięcia
Nawet sokolą źrenicą nie schwytasz.
Czuję że duch ten zaprzysiągł ci wojnę.
Nieraz się boję ja téj mamki księcia.

Scena II.

Ciż sami i LAZARRO.

LAZARRO (*wszedłszy*). Królowa Węgier Elżbieta przybywa.
CESARZOWA. Co rok pieszczoszka uścisnąćby rada
I swój mu co rok przyjazd zapowiada,
I tak lat osiem na chęciach upływa.
LAZARRO. Tym razem wieść ta dla mnie niewątpliwa.
CESARZOWA. Pewnyś?
LAZARRO. Jak tego, że ta złota łuska,
Którą zalotnie morze o brzeg pluska,
Promieni słońca jest tylko robotą.
W porcie Wenecyi ośm okrętów flotą
Czeka królowéj stojąc na kotwicy.
CESARZOWA. Co? ośm okrętów?
LAZARRO. Znam je po nazwisku.

CESARZOWA. Wiadomość ważna. Księcia domownicy
Znać ją musieli;—a więc niespodzianie
Chce nam Elżbieta przynieść powitanie.
Może przybywa nam w niéj zapaśnica?
Czy ze mną walczyć chce ta niewolnica
Nieokrzesanych, dzikich obyczajów,
Którą nad Wisłą wierzyć nauczono
Że światem niewiast modły i wrzeciono!
Kto był jéj ojciec? Królika ułomek
Tak mały, że mu Łokietka przydomek
Dali Polacy! — Jéj się mierzyć ze mną!
Czy Dunaj głowę jéj oświecił ciemną?
Czy to na Dunaj spadła wielka chwała,
Że dał jéj rozum, gdy Wisła nie dała?

LAZARRO. Wróci jak przyszła.

LUDWIK. Nie! lżejsza powróci.
Połowę złota min Węgier rozrzuci.
Tylko zgłodniałym rzucając tę strawę
Lud zdobyć może.

CESARZOWA. Próżną masz obawę.
Żeby zdobywać, jak się to zdobywa
Wiedzieć potrzeba. W głupca ręku złoto
Rwąca to w pędzie niewstrzymana rzeka,
Błyszczy i dźwięczy i dźwięcząc ucieka —
I w ręku głupca nędzy po tém błoto.
A jednak... gdyby miała ta kobiéta
Rozum... (*namyśla się*) Lazarro! droga ci daleka.

LAZARRO (*kłania się*). Zawsze jam gotów. Gdzie?

CESARZOWA. Do Awinionu.
Jeżeli walkę niesie mi Elżbieta,
A niesie pewno — będzie to gonitwa,
O losy synów dwojga matek bitwa.
Bój się rozstrzygnie nie tu w Neapolu,
Tam, — w Awinionie. Orłom, uraganom
Usiądź na skrzydła, chociażby szatanom,
Pędź! i gdy staniesz, bądź mi w Awinionie
Cały źrenicą; bądź mi cały uchem,
Najgłębsze tajnie czytającym duchem.
(*Lazarro się kłania.*)

LUDWIK. Na czas mi trzeba usunąć się może?

LAZARRO. Źle to nie będzie. Niektórzy na dworze,
Z cicha się dziwią, dla czego królowa...
CESARZOWA. I co królowa?
LAZARRO. Nagle się rumieni
Gdy książe wchodzi; potem zamyślona
Gdy odszedł, pyta: czemu marmurowa
Posadzka stopy jego nie przykuwa,
Nawet jéj śladu na sobie nie chowa.
CESARZOWA. Czy tak?
LAZARRO. A ludzkie te szepty w ogrodzie
Gałęzi gałąź zdaje cytrynowa.
CESARZOWA. I tyle ważą te szmery gałęzi
Ile chwiejący gałęzią wiatr słowa.
Zostaniesz synu! Podejrzenie ludzi
Uśpi najlepiéj ten sam co je budzi.
(*Do Lazarra*)
Wieczorem znikniesz. Gdzie droga ci padła,
Tak zrobisz, żeby noc nawet nie zgadła.
Dajmy że rozum ma nasza Elżbieta:
Ujrzy że trzeba koronować syna,—
A więc usunąć tę bullę papieską,
Co koronacyą odkłada królewską,
Do lat dalekich, lat pełnoletności.
Twojéj Lazarro to zdaję czujności,
Bulli téj święta nie zniesie stolica,
Ona rozstrzyga tu jako zwierzchnica.
Słuchaj — na kościół i dla bożéj chwały
Choćby Prowancyi dwa miasta pójść miały...
Pójdą — lecz papież téj bulli nie zmieni!
Rozumiesz?
(*Lazarro kłania się, Cesarzowa dobywa ze stoliczka szkatułkę i oddając mu*)
Z pysznych zrób co chcesz kamieni,
Zastaw lub sprzedaj. Min Węgier nie mamy,
Walczmyż czujnością i wężowym duchem
I lat cesarskich świetności okruchem.

Scena III.

Ciż sami i ISTWAN i FERENCZ i trzech panów węgierskich, którzy wchodzą z pokłonami.

CESARZOWA. Co? sami? Miałam dziś nadzieję przecie

Kalabryi księcia widziéć w gości gronie;
Nad wiek to bystre, to pojętne dziecię...

ISTWAN (*przerywa*). Dziecię?

CESARZOWA (*z uśmiechem*). Darujcie! toż pod okiem mojem
Wyrasta książe powolnym rozwojem;
Patrzącéj co dnia na niego źrenicy
Trudniéj niż obcym pochwycić granicy,
Która wyrostka od męża rozdziela.

FERENCZ (*szorstko*). Z wyrostków książe już wychodzi rzędu.

CESARZOWA (*z uśmiechem*)! Jak radam, że mnie wywodzicie z błędu!
Żal mi że książę co umysł bogaci
Wszystkiém skwapliwie, dziś sposobność traci
Posłuchać czego nie zawsze się słucha,
Odrodzonego wielkiéj Grecyi ducha.
Petrarka—geniusz Italii wieńczony
Przysłał królowéj, swojéj uczennicy,
Kwiat świeży z kwiatów przepysznych korony.

ISTWAN (*n. s. z pogardą*). Te zniewiaściałe podwik madrygały!

FERENCZ (*z ironią*). Jakże szczęśliwi mistrza lubownicy
Co to posłyszą! Takich kwiatów wonność
Komuż nie miła?

CESARZOWA. Tym, których tu nie ma;
A naprzód księciu Kalabryi.

FERENCZ (*z dumą*). Powietrze
Madżiarskie w płuca jego weszło pani!
I gra po żyłach, krew jego bałwani,
Porywa, pcha go do szabli, do konia,
Na krwią madżiarską oroszone błonia.
Może zasłyszał że nasi królowie
Pacholętami, kiedy ledwo mieli
Z drewna szabelkę, w niewieścich komnatach
Słuchali czasem pieśni u kądzieli.

CESARZOWA (*n. s. gniewnie*). Nieokrzesana, dumna dzicz Atylli!

ISTWAN. A gdy wyrośli, na ucztach słuchali
Pieśni — lecz pieśń tę sami ułożyli;
A tak ją duchem i potęgą stali
Rytą rzucili na dziejową kartę,
Że dotąd głoski pieśni téj niestarte!

LUDWIK (*ironicznie*). Do godnych pieśni sposobi się cudów
Książe Kalabryi: z uhełmioném czołem

Na koniu, dumnie madziarskim sokołem
Gromi przepiórki! Czy nie szkoda trudów?
ISTWAN (*z przyciskiem*). Łowiec przepiórek i pogromca ludów
Kiedy dosiędą rumaka, — na siodle
Jednako siedzą, jeśli dobrze siedzą.
LUDWIK (*gniewnie*). Prawda o któréj w Italii nie wiedzą!
FERENCZ (*na stronie*). Może.
(*gł.*) Mistrze Italii posieli
Już kwiatów tyle i w sercu i głowie
Księcia, że nam się zachody o zdrowie
Ciała już tylko zostały.
CESARZOWA. Panowie
Dział wasz jest wielki!

Scena IV.

Ciż sami i JOANNA z kilku paniami dworu i panami włoskimi i ISOLDA.

(*Wchodzi Joanna na głowie ma lekką koronę, w ręku zwitek papiéru, za nią postępuje dwór*).

JOANNA (*w połowie sali*). Dziś święto swobody!
Bez etykiety! to duchowe gody.
Siadajcie proszę!
(*Siada na wyższém miejscu*).
CESARZOWA. Isoldo! tu do mnie.
(*Isolda siada po lewéj stronie cesarzowéj, Ludwik jest po prawéj*).
Czy to jest prawdą co mówią po mieście
Że siostra z Węgier przybywa nareszcie?
ISOLDA. Co rok z jaskółką wieść ta nam przylata,
I za latami tak mijają lata!
Wieści uwierzę jak do nóg upadnę
Mojéj królowéj.
CESARZOWA (*na str.*) Nic z niéj nie odgadnę.
JOANNA (*ironicznie do Madziarów*).
Woń naszych kwiatów, dźwięk naszego ducha
Pewno za miękkie dla rycerzów ucha;
Swoboda wszelka! panowie — gra w kości!
ISTWAN (*z uśmiechem cicho do Ferencza*). Grajmy!
FERENCZ (*cicho idąc do stolika gry*).
Niegrzeczność płacą niegrzecznością.
JOANNA (*zwracając się do cesarzowéj cicho*). Co i grać będą?

CESARZOWA (*na str.*) Ta buta wyniosła
Świadczy, że z nimi Elżbieta się zniosła.
ISTWAN (*wstrząsając kubkiem z kośćmi*).
A jednak i my, my dzieci Atylli,
Których kolebką jest kraina lodu,
Na koniach stepu my wykołysani
I my się pieśni jednéj nauczyli
Granéj pod słońcem gorącém zachodu.
(*Kłaniając się Joannie*).
Pieśni w języku twoich dzierżaw pani!
Książę Kalabryi kiedyś taką złoży.
JOANNA. Ciekawam.
ISTWAN (*rzucając kości*). Pieśń to Ryszarda Lwie Serce.
ISOLDA (*cicho, spoglądając na Cesarzową*). Ubódł lwiém sercem.
CESARZOWA (*na str.*) Gadzina!
LUDWIK (*ze źle ukrytą złością*). Słuchamy!
ISTWAN (*do Ferencza*). Ty Ferencz! głos mój za silny za twardy.
LUDWIK (*do żywego dotknięty*).
Nie mur Jerycha przecież nasze uszy!
JOANNA (*na str.*) Pokryć to było milczeniem pogardy.
(*gł.*) Słuchamy!
FERENCZ (*wstaje i deklamuje z zapałem*).
Zgiełk w około boju dziki
Walczę zgubą otoczony;
Jak grad z nieba włócznie, piki,
Wrogów szyki
Prą i walą z każdéj strony;
Czarna noc — miecz w dłoni chwieje się stępiony;
Kochanko! wołam, z tobą Bóg
I zbity z pola pierzchnął wróg!
Taką co szatę zwycięstwa przechyla,
Wielką kochankę czciłby i Atylla,
Leczby nie gęślą jéj uścisk zdobywał.
LUDWIK (*oburzony cicho do matki*).
Krew mnie zaleje — ha matko! przez nieba!
CESARZOWA (*cicho*). By zdusić—głaskać niedźwiedzie potrzeba.
FERENCZ. Jest druga zwrotka.
JOANNA. Tę ja wam powtórzę.
CESARZOWA (*cicho do Ludwika*).
Ucz się ty od niéj jak hamować burze.

JOANNA (*wstaje i z zapałem*).

Niech grzmią trąby i szczęk stali,
Niechaj morska głąb' szaleje,
Wichry ryczą, piorun pali,
Wszystko wali,
Pod stopami świat się chwieje;
Męskie serce moje nigdy nie struchleje,
Los żaden mnie nie zwali z nóg
Miłości póki we mnie Bóg!

ISTWAN (*uniesiony zapałem królowéj, powstawszy*) Eljen!!

FERENCZ (*na str.*) To z głowy ogień—komedyantka!

CESARZOWA (*z uśmiechem*).

Po ryku wichrów i po szczęku stali,
Kolej na wonne kwiateczki Italii.
(*Madżiarowie przestają grać w kości*).

ISTWAN (*cicho*). Dosyć — dumę przestańmy ich chłostać.

JOANNA (*rozwija papiér i czyta*):

O jasne, słodkie, o przeczyste wody!
W których zwierciadlanéj fali,
Laura kąpała swą anielską postać;
Drzewko wysmukłéj urody!
I ty będziesz święte u mnie.
(*Zatrzymuje się*).

LUDWIK (*zachwycony*). Nie—to nie słowa! to miody, to miody!!

JEDEN Z DWORZAN WŁOCHÓW. Słowa te przeszły przez perły, korale,
I z nich i słodycz i wdzięki wyssały.

JEDNA Z PAŃ. A jaki obraz téj wody wspaniały!
Kto Petrarkowéj sprostać może chwale?
Widzę przejrzyste, zwierciadlane fale...

FERENCZ (*na str.*) Dziwi się głupstwo patrząc w wody jasne,
Że w waszych rysach widzi rysy własne.

CESARZOWA (*do Joanny*). Jak daléj! daléj!

JOANNA (*czyta*). Drzewko wysmukłéj urody
I ty będziesz święte u mnie!...

ANDRZÉJ (*w stroju myśliwskim wpada i mówi pośpiesznie*).
O cieśniny wody
Jako łabędzie wielkie, wielkie statki
Białemi skrzydły uderzają dumnie.
Mówcie czy prawda, że to flota matki?
(*Wszyscy biegną ku oknom*).

Istwan. Eljen!
Madżiarowie (*razem*) Eljen!!
(*Zasłona spada*)

Akt II.

Salon jak w pierwszym akcie.

Scena I.

ELŹBIETA, ANDRZÉJ, ISOLDA.

Elżbieta (*trzyma za obie ręce obok niéj siedzącego Andrzeja i wpatruje się w twarz jego*).
Jaką się dumą me oko napawa
Patrząc w twe lica! O tyś moja sława!
Tyś szczęście moje! — Dni i nocy ile
Ze łzami oko w tę Italii stronę
Wbite z rozpaczą targało zasłonę,
Co urągając miłości méj sile
Mil tysiącami dziecko mi zakryła!
Bóg czasem we śnie zasłonę tę z łaski
Odkrył i złote widziałam motyle
W koło twych włosów jasnych trzepocące.
I zazdrościłam ja szczęścia motylom,
Bo macierzyńskiéj téj ogrom miłości,
Gdy los ją w dzieci katuje rozłące,
Wszystkiemu co ich otacza zazdrości!
(*Do Isoldy siedzącéj naprzeciw*).
Moja Isoldo! jak on wyrósł pięknie!
Jakże nagradza cię niebo sowicie
W młodziana wznosząc od piersi twéj dziécię!
Jakże ty kochać ją musisz, Andrzeju!
Andrzéj (*wstając.*) Istwan i ona! Jak oni bronili
Mnie od tych szyderstw, co serce me żarły!
Nieraz, pamiętam, czoło me się schyli,
Gdy rozpacz woła: „czemuś ty nie zmarły!”
Ona...
Isolda (*przerywa*). Co mówić o tém!...
Andrzéj. Marmurowa,
Milcząca,—ustom jéj matko! uśmiechy
Obcemi były, nieznanemi słowa;

Ona zbierała dla mojéj pociechy
Uśmiechów skarby — i co tylko mowa
Ludzka, słodkiego w dźwiękach swoich mieści
Na balsam moich chowała boleści.
Toż gdy sypała w mą duszę te skarby,
Gdym patrzył matko w łzą jéj wzrok wilgotny,
Czułem skrzepiony, żem nie był samotny!
Teraz już matko to jak sen minęło,
Dziś świat mi piękny -- zniknęli szyderce,
Joanny do mnie uśmiecha się serce,
Wszystko mi piękne! Matko, to twe dzieło!
W miesiąc sprawiłaś (czym śnił o tym cudzie?)
Że myślę, czuję, iż dobrzy są ludzie.
Lecz żem twojego doczekał się cudu,
Matko, zasługą to tylko jéj trudu.

ISOLDA. Królu! me dziecko! (*do królowéj*). Ten wykrzyknik pani,
Daruj! Wydarła z piersi go zapłata
Hojna, królewska, — jakżem ja bogata!

ELŻBIETA. Chociaż królowa, tobie dla podzięki
W skarbcu nic nie mam — chyba uścisk ręki.
(*Ściska jéj rękę*).

ISOLDA (*całując jéj kolana*). Pani, twa łaska zgniecie służebnicę!

ELŻBIETA. Dość dzisiaj, synu! nie dla saméj matki
Twoje pieszczoty. Idź, przeproś królowę,
Że jéj ukradłam jako błyskawice
Szybkie godziny (*daje mu skrzyneczkę*).
Te sznury perłowe,
O, drugich takich nie ma Persów morze;
Te sznury pereł wydarte Bassorze
Bryłami złota, rzuć na białą szyję,
Gdy pocałunków tysiąc ją okryje.
Idź, — idź już!
(*Andrzéj odchodzi*)

Scena II.

Też same, późniéj FERENCZ.

ISOLDA. Oczom własnym mym nie wierzę —
Odkąd ty, pani, w te zaszłaś tu progi,
Taki serdeczny dwór przed tém nam wrogi,
I pytam siebie: czy to wszystko szczerze?

ELŻBIETA. Moja Isoldo — ja wiem, że się toczy
Walka na zabój, lecz się jéj nie boję.
Tak koronacyą wszystkich ich rozbroję.
Złota mam dosyć, — wiész, co złoto może...

(*Wchodzi Ferencz i po pokłonie*)

FERENCZ (*do Isoldy*). Zgadłaś — Lazarro na papieskim dworze.
ISOLDA. Wąż to a zręczny.
FERENCZ. Koronacyi sprawa
W nim przeciwnika skrytego znachodzi;
Od trybunału na trybunał wodzi
Twoje żądanie najjaśniejsza pani
I wniosek stanów Neapolitańskich,
Co spiesznéj króla koronacyi pragną.
Czy się do tego trybunały nagną?
Gdy ten odrzuci, rzecz rozważa drugi —
I tak na niczem czas upływa długi.
ELŻBIETA. Istwan tam przecie waży co Lazarro.
FERENCZ. Nie przeczę, pani, — Istwan tęga głowa;
Lecz w Awinionie, tam gdzie cesarzowa
Tyle ma krytych do papieża dróżek,
Petrarki wpływy, tylu zręcznych służek
A niewidomych — któż za to odpowie,
Że się Istwana tu powiedzie głowie?
ELŻBIETA. Ja!
FERENCZ (*kłaniając się*). Przeczyć nie śmiem...
ELŻBIETA. Istwan ma argument
Jeden w zapasie, gdy wszystkie omylą.
FERENCZ. Argument?
ELŻBIETA (*wstaje, podchodzi do Ferencza*).
Słuchaj — ma w ręku dokument,
Przed nim się czoła kardynałów schylą —
W dzień koronacyi król stolicy świętéj
Jako dar lenny da grzywien czterdzieści
Cztery tysiące!... Czy argument silny?
FERENCZ. Ten, najjaśniejsza pani — nieomylny.
ELŻBIETA. Tam Istwan, ja tu do walki niewieściéj...
Bój na uśmiechy. — Czekam cesarzowéj.

(*Isolda, Ferencz odchodzą*).

Scena III.

ELŻBIETA później CESARZOWA.

ELŻBIETA. Wiem, przyjdzie do mnie z niezachwianą wiarą,
Że pracę moją rozbił już Lazarro,
Że ma nadzieja jest zwodniczą marą.
Niechże w to wierzy... A! otóż i ona.
(Wchodzi Cesarzowa i po powitaniu siada).
CESARZOWA. Daruj spóźnienie — nie śmiałam od łona
Matki odrywać szczęśliwego syna.
Ach, przechodziłam przez rozdziału bole
Jak twoje siostro — i przez długie lata!
Wiem czém dla matki przelotna godzina
Co ma jéj spłacić dług wieku tęsknoty.
ELŻBIETA. I dorzuć, siostro, dać jéj pokrzepienie
I w piersi matki wlać wiary zapasy
Na rozłączenia może dłuższe czasy!
CESARZOWA. Dziwna — ból taki Bóg zsyła na matki
Tylko szczęśliwe.
ELŻBIETA. Szczęśliwe?
CESARZOWA. Tak, — dziatki
Dając im jako syn twój.
ELŻBIETA. Jakże miłe
To mi pochlebstwo, — bo pochlebiasz siostro.
CESARZOWA. O nie! i wyznam, sądziłam zbyt ostro
Nieraz to dziecię. Drzémiącą w nim siłę
Ducha i piękność tak długo przed okiem
Ludzkiém Bóg chował, że gdy błysnął młodzian
Nagle przed nami tak hojnie przyodzian,
Jak motyl larwy zrywający więzy,
Wpół ukorzona stałam tym widokiem.
Jakżeś szczęśliwa!
ELŻBIETA. Ach ta matek wada!
Wiem, że pochlebiasz, a słucham cię rada.
CESARZOWA. I gdyby, siostro, święte trybunały
Twojego syna raz jeden widziały
Księcia, co mógłby dziś królów być wzorem,
Z takimby pewno nie były oporem
Przeciw włożeniu mu na skroń korony.
Lecz co mnie dziwi? to, że ojciec święty

Na przedstawienie Istwana i stanów
Nieco nie natchnie duchem pobłażania
Zasiadających w trybunałach panów.
ELŻBIETA. Mówią: cierpliwość powoli nakłania;
Miejmyż cierpliwość!
CESARZOWA. Tu można coś zrobić
Bez przyzwolenia nawet Awinionu.
ELŻBIETA. Co? droga siostro!
CESARZOWA. Stany przysposobić,
Żeby do jakich przywilejów tronu
Księcia przypuścić.
ELZBIETA (*na str.*). Tak, bym ręką własną
Tu rozwalała co tam w Awinionie
Chcę pobudować. (*głośno*) O! to rzeczą jasną,
Że książe Andrzéj przy małżonki tronie,
Pod okiem, siostro, jako ty radczyni,
Zwolnaby zdobył najtrudniejszą sztukę,
Którą czas daje — rządzenia naukę.
Ha! jako matka ja może i grzeszę
Z koronowaniem syna że się spieszę.
Ale mam prośbę...
CESARZOWA. Na usługim cała!
ELŻBIETA (*bierze cesarzową pod rękę i chodząc*):
Pomóż synowi zdobyć serce ludu.
Dałabym jemu złota wiele, wiele...
Ale siać złoto i to umiejętność;
Rozrzutnik płochy chybia zawsze cele.
Dla syna mego znam siostro twą chętność,
Bądźże ty jego ręką rozdającą.
CESARZOWA. Złota cudzego, siostro, być szafarzem...
Zaprawdę... to... rzecz...
ELŻBIETA. Oh! rozumiem powód!
Ale ja błagam — daj mi łaski dowód.
Wszak Andrzéj siejby twéj będzie żniwiarzem;
Tyś dlań tak dobra!... Czy jeszcze wahanie?...
CESARZOWA. Ha! zwyciężyłaś! jak chcesz niech się stanie!
(*na str.*) Nie miałam czém już walczyć w Awinionie;
A mówią mądra...
(*głośno wskazując w ogród*) Cherubinów dwoje
Czy widzisz siostro?
(*wychyla się nieco w ogród i woła*): Pójdźcie dzieci moje!

Scena IV.

TEŻ SAME i JOANNA, ANDRZÉJ.

(Joanna i Andrzéj wbiegają wesoło. Joanna ma już perły na szyi).

JOANNA *(do Elżbiety)*: A jakież perły to cudowne matko!
Lecz po co czarów taką łowisz siatką
Serce, co bez niéj jest zdobyczą twoją.
(do Cesarzowéj wskazując swą szyję):
Cóż to za woda! — a jakiéj wielkości!
CESARZOWA. Takich tron Indyi nawet pozazdrości!
ANDRZÉJ. Tylko te perły uśmiechu się boją;
Wzrok ich zazdrości, — lecz uśmiech zabija.
CESARZOWA. Co?
ELŻBIETA. Jakto?
JOANNA. Uśmiech?...
ANDRZÉJ. Twa, Joanno, szyja
To dla nich miejsce najwięcéj bezpieczne;
Tam cios śmiertelny perłom nie zagraża,
Bo tam nad niemi postawion na straży,
Ten mój kochanek, owal twojéj twarzy;
Lecz jeśli perły rzucisz na ramiona,
Nie śmiéj się nigdy!
ELŻBIETA. Ma się nie śmiać żona
Twoja Andrzeju?
ANDRZÉJ. Bo perły zobaczą
Jéj ząbki — pomrą rażone rozpaczą.
ELŻBIETA. Gdzie, w jakiéj księdze on myśl taką schwytał?
ANDRZÉJ *(całując szyję Joanny)*:
W téj księdze, matko, jam tylko ją czytał!
ELŻBIETA *(biorąc cesarzowę pod rękę)*:
Najpiękniéj miłość zwykła kwitnąć w cieniu;
Zostawmy dzieci, — widzę w ich spojrzeniu,
Że chcą być sami.
(odchodzą).

Scena V.

ANDRZÉJ, JOANNA.

(Joanna siada tuż przy oknie, bokiem; urywa i skubie kwiat pomarańczowy; — krótka chwila milczenia).

JOANNA *(na str.)* Te sam na sam nudne

ANDRZEJ (*siada u stóp Joanny na ławeczce*)
Odbierać kwiatom grzéch te ręce cudne.
JOANNA (*z zimnym uśmiechem*):
Czy biedny kwiatek budzi zazdrość w tobie?
(rzuca kwiat)
ANDRZÉJ. Wszystko! kwiat, ziemia, niebo, gwiazdy, słońce,
Wszystko, Joanno, w twe lica patrzące!
JOANNA. Kwiat odepchnęłam — masz me ręce obie.
(opuszcza ręce na kolana Andrzeja, który je chwyta).
Słońca, gwiazd, nieba, niestety! nie mogę
Zgnieść i rozedrzéć, że ci wchodzą w drogę.
(wyrywa ręce z rąk męża i opryskliwie):
Zgnieciesz mi ręce! palce twe jak kleszcze.
ANDRZÉJ. Obwiniaj duszę — palce me niewinne,
Że przeszła do nich.
JOANNA. Słowa twe dziecinne
Jak dusza w palcach!
ANDRZÉJ (*urażony*). Czy tak?
(wstaje i ma się ku ogrodowi)
JOANNA *(rzuca okiem w ogród)*
(na str.) Nieobaczny!
Da się pochwycić.
(*przebiega Andrzejowi drogę i rzuca mu się na szyję*)
E! złośniku wstydź się!
Przed wzrokiem twoim muszę cała skryć się
W twoje ramiona...
(*sadza go na swoje miejsce ale plecami do ogrodu i daje ręką w ogród znak oddalający*)
Teraz ja u kolan (*siada na ławeczce*)
Twoich Andrzeju — ja wietrznica płocha,
Co okaleczy nieraz, chociaż kocha.
Rozśmij się przecie! niż na chmurném czole,
Składać na jasném pocałunki wolę.
(*Andrzéj się uśmiecha*).
O tak, na takiém! (*całuje go w czoło*)
ANDRZÉJ. Jakaż twoja władza —
Słówko zabija, całunek odradza!
Stokroć śmiertelną zadaj słowem ranę,
Lecz od całunku niechaj zmartwychwstanę!
Więc ty mnie kochasz?
JOANNA. I niewdzięcznik pyta!

ANDRZÉJ (*podnosi ją i przyciąga do piersi*)
Pozwól, niech skłonię usta na twą szyję;
Białość jéj niechaj i piję i piję,
Aż się dopiję rumieńca szkarłatów!
Rumieniec, mówią, najpiękniejszy z kwiatów
Ręką miłości posianych na świecie,
(*całuje ją namiętnie i patrzy na nią*)
Ha! błogosławion bądź rumieńca kwiecie!
JOANNA (*lekko odpychając go*)
Dosyć, szaleńcze! twe usta mnie parzą;
Czuję, że płonę — mą płomienną twarzą
Czy ci nie mówię: kocham...
(*Andrzéj zwraca głowę w ogród i patrzy, ona zaniepokojona*)
Twoje oko
Czego tam szuka?
ANDRZÉJ. Jak słońce wysoko!
Czemuż go z nieba oderwać nie mogę!
Kiedyż leniwiec ukończy swą drogę,
I noc milcząca cieniem swym pokryje
Twe usta, piersi i łabędzią szyję!
JOANNA (*całując go*). Cień nocy przyjdzie. A że nie przychodzi,
To dobrze, bo to ktoś z nas zapomina,
Że miał wioślarzem być matce na łodzi,
A ja wam śpiewać miałam barkarolę.
Andrzeju, powiédz, czy to moja wina?
ANDRZÉJ (*śmiejąc się*). Joanno, twoja, twoja! Czas wielki
Łódkę ustroić, opatrzyć żagielki.
(*wybiega wesoły*).

Scena VI.

JOANNA sama.

JOANNA. Jak w nim płomienna wybucha namiętność!
Jak rwie za sobą, czuję to, drżę cała;
Głowa, serce, krew, wszystko we mnie pała!
Czułam dla niego zimną obojętność —
I oto sprawił, że go nienawidzę!
To nie on! Ludwik, jego kształty wdziewał,
Płomień w mą duszę całunkiem przelewał.
Nie, nie! Nie ciało tego ja chłopięcia,
Ludwika w moje chwyciłam objęcia!

Ha! i ja teraz jak ty żądzą spycham
Leniwe słońce w noc, w przepaść roskoszy,
Którą pełnemi piersiami oddycham!
Tyś sam mnie popchnął!
(siada, daje chustką znak w ogród).

Scena VII.

JOANNA, LUDWIK.

LUDWIK (*wchodzi, staje przed Joanną ze skrzyżowanemi na piersiach rękami — chwila milczenia*). I po co mnie wołasz?
Jakiemi słowy wyrwać piekło zdołasz
Z duszy téj biednéj? Ja was tu widziałem!
Czemu wprzód piorun nie wypadł z obłoku
I błyskawicą nie wyżarł mi wzroku!
O! tyś mi jeszcze przysięgać gotowa
Żem ja ci światem!

JOANNA. Tyś mém życiem całem!

LUDWIK. Z jakąż pewnością wymawiasz te słowa!
Już mnie nie porwą, nie zapalą szałem.
Ust jego pieczęć na twém ciele białem
Tu, na twéj szyi, płonie purpurowa.
Gdy ją na śniegach tych składał, myślałem:
Cóż ma uczynić małżonka zmuszona?
Ale z tych śniegów strzeliła czerwona,
Namiętna łuna i w głąb' swego łona
Rwała i ogniem oddawała ogień!
To nie małżonka co ślub ten przeklina,
Który ofiarą w objęcia ją zgina!
I pocóż było igrać z mą miłością?
I jaka ciebie w to gnała przyczyna,
Że chciałaś, abym twą dolę litością
Moją opłakał?

JOANNA (*wstaje i dobitnie*): Ja go nienawidzę!

LUDWIK. Co? ty, Joanno? Ty go nienawidzisz?
Com ci zawinił, że tak ze mnie szydzisz?
A czém twa miłość, gdy nienawiść taka!
Co duszę w krużę przemienia nektaru,
Całą przelewa do całunków żaru?
Ty nienawidzisz? choćby zgasły oczy,
Tego com widział wieczna noc nie zmroczy!

JOANNA (*silniéj jeszcze niż przedtém*):
Wierz! nienawidzę!!
LUDWIK. Dowód!
JOANNA (*mówi prędko*): Wiesz, o świcie
Wstawać nawykłam — co dnia na błękicie
Wschodu gdy słońca zwiastun się pokaże,
Czekaj mnie w małéj od parku komnacie.
Ach! od dzieciucha wykradłszy się łona
Płomienna, jakże w twe padnę ramiona!
LUDWIK. Joanno moja!
JOANNA. Nie patrz! bo rumieniec
Wstydu mnie spali! (*rzuca mu się na szyję*)
Zakryj go całunkiem.
Tyś mój jedyny! tyś mój oblubieniec!

Akt III.

ODSŁONA I.

Mała salka.

Scena I.

CESARZOWA--LUDWIK.

LUDWIK (*siedzi*). Wyjazd Elżbiety więc nieodwołalny?
CESARZOWA. Nareszcie! Chwili pozostać nie może,
Bo tam o polską chodzi jéj koronę.
LUDWIK. Szkoda! przez kilka miesięcy na dworze
Jak wszystko było świetne, ożywione!
Co dnia przejażdżki, sokoły, gonitwy,
Śpiewy i tańce, turniejowe bitwy;
A ile złota rozsianego wszędzie!
CESARZOWA. Jeżeli myśli, że ten siew da żniwo
Bujne synowi, to jest w wielkim błędzie!
Wściekać się musi — wszystko idzie krzywo;
Tam w Awinionie zawody i klęska.
Tu się pociesza przepychem zwycięska,
Że nas przygniotła. Cha! cha! cha! zwycięża!
Nie widzi mądra ta, bez oczu głowa,
Cha! cha! cha! że jéj młodziutka synowa
Zanadto słodka dla swojego męża.

LUDWIK. Dziś na turnieju ja barwę królowéj
Miéć będę.
CESARZOWA. Po co? Zaślepionéj głowy
Zdzierać ślepotę nie zawsze rozumnie.
LUDWIK. Ten mały pawik tak spogląda dumnie;
Chcę go...
CESARZOWA. Przegląda przez te pawie pióra
Pyszna i butna madżiarska natura
Głaszcz ją nie drażnij. Słuchaj méj przestrogi.
Mężom nie mili zawsze zalotnicy.
Zwycięstwo twoje trzymaj w tajemnicy.
Wierną swą żoną niech się jak najdłużéj
Cieszy; przed czasem nie wywołuj burzy.
LUDWIK. Jestem rycerzem; serca mego pani
Choćby na tronie, — to rycerza prawo.
(*odchodzi*).
CESARZOWA. I to jest prawda.

Scena II.

CESARZOWA, ELŻBIETA, JOANNA.

(*Elżbieta z Joanną wchodzą*).

JOANNA (*do Cesarzowéj*): Próżne prośby moje!
Łez mnie już nie stać.
ELŻBIETA (*siada*). A komuż ten rozdział
Boleścią cięższy? Czy przed wami dzieci
Kwiat czarodziejski młodości nie świeci?
Z pod lekkiéj stopy wam na każdym kroku
Tryska krynica młodości uroku!
Ile Bóg kwiatów posiał na to pole,
A w kwiatach ile balsamu na bole!
Ten świat już dla mnie przeminął me dziatki;
Wszystko wziął z sobą, a to co zostawił
Do was przyrosło młode moje kwiatki!
Tak trudno od nich oderwać się — wierzcie!
CESARZOWA. Ależ się siostro tak znowu nie spieszcie.
Najkrótsza chwila to skarby dla matki.
I ja się z dzieci wydzierałam łona,
Znam ja te bóle! chociażby dni kilka!
Co one znaczą? przeminą jak chwilka;
Ale w tę chwilkę Bóg jedną przelewa

Całą potęgę świętego wspomnienia,
Balsam na matki dalekiéj cierpienia!

ELŻBIETA. Nie kuś mnie siostro! Ty mnie kusząc grzeszysz.
Wiesz, miłość stacza z powinnością boje,
A polem walki biedne serce moje.
Nie kuś przez Boga!

CESARZOWA. Wiem, dla czego spieszysz,
A więc zamilknę.

ELŻBIETA. Pierwszy wiatr powieje,
Oderwie biedną, jak od drzewa listek,
I ach! od drzewa, w którém świat mój wszystek!
Wiatru czekają już tylko okręty;
A wiatr ten żeglarz po królewsku chwyta,
A władca żaglów niczém nie ugięty,
Królów nie słucha. Czy łzami kobiéta
Skruszyć go może, gdy zawoła: „w drogę!”

JOANNA. Łzami i modłą wiatry ukołyszę,
Długą na morze Bóg posieje ciszę.
Zostać nam musisz.

Scena III.

TEŻ SAME, MISTRZ CEREMONII, POSŁANIEC.

MISTRZ CEREMONII (*wchodzi, za nim posłaniec*).
Listy z Awinionu. (*odchodzi*)

ELŻBIETA. Więc do widzenia!

CESARZOWA. Nie ma tajemnicy,
Pozostań proszę.

POSŁANIEC. Śmiertelnéj śnieżycy
Alpy są pełne. Przedarłem się cało,
Bóg wielki pomógł, lecz się dni z dziesiątek
Późniéj przybyło niż się przybyć miało.
(*oddaje listy i odchodzi*).

CESARZOWA. To do królowéj Joanny.
(*daje jéj list — obie czytają*)
(*na str.*) Sprawił się Lazarro!
(*udaje zasmucenie*).

ELŻBIETA. Cień się rozlewa na twéj siostro twarzy.

CESARZOWA. Złemi wieściami Lazarro nas darzy.

ELŻBIETA. Z lic to twych zgadłam.

CESARZOWA. Ostatni trybunał

Do roku całą nam sprawę odkłada;
Przez czas ten święta tu stolica zbada
Potrzeby kraju przez swych delegatów,
Trybunał potém przez nich oświecony,
Osądzi, co się dotyczé korony.

JOANNA. Petrarka, mistrz mój, żali się przede mną,
Że do papieża wstawiał się daremno;
Mistrza odmowa ta boli — i w liście
Skarży się gorzko, dotknion oczywiście,
On, co się silnym u papieża sądził,
Gdy ujrzał nagle, jak w sądzie swym błądził.

ELŻBIETA. Smutne to wieści! Pociecha jedyna
Wielka została, — bo dziś wiem serc ile
Pięknych a pełnych miłości dla syna
Jest koło niego.

CESARZOWA. Jakżem szczęśliwa
Że ty to widzisz!

ELŻBIETA. A jednak...

CESARZOWA. Co jednak?

ELŻBIETA. Daruj mi siostro! Ból mi pierś rozrywa.
Ty wiedziéć musisz co matki niepokój;
Na wieki siostro w łańcuchy mnie okuj,
W łańcuchy siostro bez granic wdzięczności!
Bo widzisz dla mnie, od was tak dalekiéj,
Każdy przyczynek do matki ufności,
Każda poręka, — to ma krew, to życie!
Ty mego dziecka nie puszczaj z opieki!
Tronów cesarskich chlubo i ozdobo!
Za to co zrobisz, Pan Bóg będzie z tobą.
Siostro! przysięgnij, że gdy wyjdzie bulla,
Nie dasz odwlekać koronacyi króla.

CESARZOWA (*na str.*). Bulla nie wyjdzie.
(*gł.*) O pełna ochoty
Przysięgam, siostro, na ten krzyż twój złoty
I na relikwie męczenników święte,
W ramionach krzyża twojego zamknięte... —
Daj ucałować krzyż...
(*całuje przybliżony krzyż i bierze go w rękę*)
W rękę go imam —
Niechaj mnie sądzi, jeśli nie dotrzymam!

Elżbieta (*ściska rękę Cesarzowéj*)
Uspokojonam i jestem przykuta
Do serca twego wdzięcznością na wieki!

Scena IV.

TEŻ SAME i LUDWIK, ANDRZÉJ.

(*Ludwik i Andrzéj wchodzą w lekkim stroju rycerskim*).

Ludwik. (*na str.*) Wieść już po całym rozeszła się dworze.
(*głośno do Cesarzowéj*):
Pokryty pyłem musi być z dalekiéj
Ziemi ten poseł. Piersi konia piana
Zbieliła, — ostróg na bokach robota
Krwawo się znaczy.
Cesarzowa. Goniec z Awinionu.
Ludwik (*do Elżbiety*). Nie od naszego to wieści Istwana?
Elżbieta (*na str.*) Szydzi. (*gł.*) Książe! list od Lazarra,
Ludwik (*zwracając się do Andrzeja*):
Czy się zbliżamy powoli do tronu?
Cesarzowa (*surowo*). Książe Tarentu! stanu tajemnice
(*wskazując na Elżbietę i siebie*)
Naszą własnością. (*na str.*) Niezręczny! (*gł.*) Lecz stara
Przyjaźń Petrarki swą wychowanicę
Obdarza pismem.
Ludwik (*idzie do Joanny*). I czy to pieśń mistrza
Pragnie zadzwonić dźwięczniejsza i czystsza
Srebrny głos żeniąc ze złotemi słowy?
Andrzéj. (*na str.*) Tego zanadto! skarcę tę zuchwałość.
(*głośno*) Książe Tarentu! majestat królowéj
Tylko przez łaskę — tak, tylko przez łaskę
Milczeniem zbywa zbytnią poufałość.
Elżbieta (*surowo*). Nie znasz co dwór? i budzisz niesnaskę.
W gronie rodzinném, tu przecie wśród nas
Tylko cesarska, tylko krew królewska.
Andrzéj (*z gniewem*). To mnie uraża i przyjdzie ten czas...
Ludwik (*przerywa*). Jaki mój książe?
Cesarzowa. Nie na miejscu spory, —
Miarkuj się, synu!
Elżbieta (*wstając*). Może na turnieje
Zbliża się pora...
Andrzéj (*do Ludwika*). Nie chcę, by kolory
Kto miał królowéj!

LUDWIK. Mnie uczyły dzieje,
Takie rycerza zawsze było prawo;
Za godło nawet tronów różę bierze,
Z tém godłem bojów odziewa się sławą.
Jestem rycerzem.
ELŻBIETA (*do syna*) Świat cały ci powié,
Że takie prawo zdobyli rycerze.
ANDRZEJ. Matko! ja nie chcę!
ELŻBIETA (*cicho do Joanny*) Jak on ciebie kocha!
CESARZOWA. Idźmy się przyjrzéć, siostro, turniejowi.
(*bierze pod rękę Elżbietę i wszyscy wychodzą*).
LUDWIK (*idący na ostatku*):
To lwie pazury rosną niedźwiadkowi.
Przytnę je tobie!...
(Zasłona spada).

ODSŁONA II.

Na dalszym planie zewnętrzny widok trybun turniejowych, na bliższym drzewa pomarańczowe.

Scena I.

LUDWIK, ANDRZÉJ, późniéj ISOLDA.

(*Ludwik w lekkim rycerskim stroju, na ramieniu ma przepaskę koloru królowéj, wchodzi pierwszy, za nim szybko idzie Andrzéj i przestępując mu drogę*).

ANDRZÉJ. Więc to na przekór?
LUDWIK. Co?
ANDRZÉJ. Mówiłem, nie chcę!
Ta barwa? (*wskazując przepaskę*)
LUDWIK. Czyja? to barwa królowéj!
ANDRZÉJ. A więc, na przekór!
LUDWIK. Co? komu? dziecku!
ANDRZÉJ. Zuchwalcze, broń się! (*dobywa oręża*)
Broń się!
LUDWIK. Czekaj chwilę,
Pręt wytnę.
ANDRZÉJ. Nędzny! (*rzuca mu w twarz rękawicę*)
LUDWIK. (*dobywa oręża*) Grom, dzieciuchu,
Sam ty wyzwałeś! Wbiję ci żelazem
W pierś rękawicę!!
(*biją się chwilę*).

ISOLDA (*wbiega*) O Panno Najświętsza!

(*rzuca się między walczących i odbiera od Ludwika lekkie pchnięcie w ramię*)

Noc w oczach moich! (*pada na pierś Andrzeja*)

ANDRZÉJ. Krew? ach to krew twoja!

LUDWIK. Tarcza matuli zbawia cię, pacholę.

ANDRZÉJ (*odpycha Isoldę*)

Słyszysz idź, idź, idź! Andrzéj cię zaklina!

(*do Ludwika*):

Broń się, ostatnia bije twa godzina!

ISOLDA (*biegnąc ku trybunom*):

Boże!

(*walka się znów zaczyna*).

LUDWIK. (*do siebie*) Ta siła, to oko sokole...

Ha! niebezpieczny!

Scena II.

CIŻ SAMI i MISTRZ CEREMONII, ISOLDA — zaraz potém CESARZOWA, ELŹBIETA, JOANNA i DWÓR.

ISOLDA (*wbiegając z mistrzem ceremonii*)

Rozbroić na Boga!

MISTRZ CEREMONII. Książęta stójcie!

ANDRZÉJ. Precz!

(*wchodzą Cesarzowa, Elżbieta, Joanna*).

CESARZOWA. Chryste!

ELŹBIETA (*krok naprzód groźnie*) Cóż to jest?

(*bój ustaje — do Joanny*)

Córko! powagę pokaż majestatu!

JOANNA (*do mistrza ceremonii*):

Czyń twą powinność!

MISTRZ CEREMONII (*schylając głowę*):

Władza ma nie sięga

Kędy cesarska, kędy krew królewska.

JOANNA. Więc kto winien, przez sąd wyrzeczemy.

Scena III.

CIŻ SAMI i KOMENDANT okrętów Elżbiety.

KOMENDANT (*po ukłonach do Elżbiety*).

Wiatr się obudził i znaki mi wróżą,

Że jako orły żagle nas poniosą;

Tylko natychmiast—jeżeli przed burzą
Za morzem brzegów dosięgnąć pragniemy.

Cesarzowa (*do Joanny*). Łaska jest pięknèm majestatu prawem.

Joanna (*do Ludwika i Andrzeja*). Więc przebaczenie!

Elżbieta. Ze słowem twém łaskawem
Ziarno wdzięczności spada w moją duszę.
Podajcie sobie rękę wy rycerze.
Z męzkich serc waszych urazy wyrwijcie.

Andrzéj (*podając rękę Ludwikowi*).
Jak wiatr, ode mnie niech odleci życie,
Jeśli w pamięci méj gorycz przechowam.

Ludwik (*ściskając rękę Andrzeja*).
Pozwól pamiętać że to dłoń rycerza.
(*na str.*) Co rękawicą mnie, mnię w twarz uderza.

Elżbieta (*do Cesarzowéj*). Lekko mi, siostro, zostawiając zgodę.

Komendant. Wiatr rośnie!

Elżbieta. Chwilę!

Komendant. Żeglarz niezbłagany,
Jak czas co pędzi modłą niewstrzymany.
Wiatr rośnie!

(*Joanna z płaczem opiéra się o ramie Elżbiety, Andrzéj z drugiéj strony klęka*).

Andrzéj. Matko, we łzach się rozpłynę.

Elżbieta. Nie kuście łzami! (*z rezygnacyą*)
Cierniową godzinę
Boleści skróćmy! (*całuje dzieci*)
Bądź mi mężny synu!
(*prowadzi Andrzeja przed Cesarzowę*).
Matkę zdobyłam—w téj cię zdaje ręce.

Cesarzowa. Przysięga moja na Chrystusa męce
Złożona,—niechaj to siostra pamięta
Zdala ziem naszych. Słyszy Panna święta:
Koronacyjna skoro wyjdzie bulla,
Natychmiast państwu uwieńczymy króla.

Komendant. Ja kat serc wielkich, rzucam ból. Czas nagli!
Nim z morza kotwic wyrwiemy pazury,
Nim się okręty do lotu użagli,
Ostatni uścisk jeszcze na pokładzie
Proszę na pokład!

Elżbieta (*idzie krok i staje*). Jeszcze słowo!
O jaka straszna w sercu mojém bitwa!

(*Do Cesarzowéj*)
Jeszcz raz prośba, zaklęcie, modlitwa!
Wybacz ty, wybacz siostro bólom matki,
Co gdy się z dzieci objęcia wydziéra,
Z duszą rozdartą na poły umiéra; —
Miéj je w opiece, miéj ty je oboje!
(*Do Węgrów*).
I wy szlachetni państwa dygnitarze!
Co od kolébki trzymaliście straże
Nad małém króla waszego dzieciątkiem,
Co na obczyznę poszliście z nim razem
Nad wzrastającém tu czuwać paniątkiem,
Nie opuszczajcie przy tronu go progu.
Wam go polecam, poleciwszy Bogu!

FERENCZ. Do śmierci czujność, wierność przysięgamy!

ELŹBIETA (*do dzieci*).
Jeszcze ten uścisk! pójdźcie w me ramiona!
Niech błogosławi was wiecznie sławiona
Chórem aniołów Przeczysta Panienka.
Pamiętaj syna Boga Rodzicielko!
Tę boleść Twoją jak Twa dusza wielką,
Gdyś w Jeruzalem zagubiła syna,
I radość z jego pomnij znalezienia —
I wejrzyj na mnie, na moje cierpienia!
(*Do dzieci*).
Puśćcie! ja was odsunąć nie mogę,
Puśćcie! (*dzieci odstępują—ona do komendanta*).
Więc idźmy na żałości drogę!
(*Ogląda się*)
Gdzie jest Isolda?

KOMENDANT. Jest już przy okręcie.

(*Elźbieta idzie, z jednéj strony Andrzéj i Joanna i z drugiéj, Cesarzowa i Ludwik, za nimi dwór*).

ELŹBIETA (*przystaje i zdejmuje pierścień*).
Święte relikwie! jak mnie od trucizny
I od żelaza broniłyście cudem,

FERENCZ. A to świadczymy my z węgierskim ludem!

ELŹBIETA. Brońcie me dziecko! (*wciska pierścień na palec Andrzeja i idzie*).

FERENCZ (*do Włochów*). Talizman to straszny!

Zbójców żelazo na zbójców odwraca,
Własnym ich jadem bije truciciele.

Scena IV.

Ciż sami i ISTWAN który wbiega pokryty pyłem.

ISTWAN. Jeszcze zdążyłem!

ELŻBIETA. Istwan!

ISTWAN (*podając Elżbiecie wielki list*). Z Awinionu!

(*Elżbieta odbiera list i czyta*).

CESARZOWA (*na str. z niepokojem*). Co to być może?

ELŻBIETA (*z radością*). Co? papieska bulla?

(*Do syna oddając mu list*).

Książe Kalabryi! witam w tobie króla!

ISTWAN, FERENCZ i WŁOSI. Niech nam król Andrzéj żyje w długie lata!

KOMENDANT. Teraz na pokład!

(*Odchodzą wszyscy*).

CESARZOWA (*na str.*) Więc papieska bulla!...
Jestem pobita!... lecz nie zwyciężona;
Przy głowie—to nie na głowie korona!

(*Zasłona spada*).

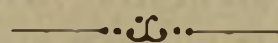
(*dok. n.*) *Karol Brzozowski.*



INCOMPARABILE DONNA.

Z dziejów serca Zygmunta Krasińskiego.

(1839—1859).



ROZDZIAŁ I (1839—1843).

Wycieczka do Sycylii. — I. Pani Delfina Potocka. — Początek znajomości. — Usposobienie Krasińskiego. — Jego listy do przyjaciół. — „Dramat układasz.“ — Przewidywanie „strasznych tarapatów.“ — Pobyt w Dreznie. — Naprężone stosunki z ojcem. — Zły stan finansów. — Konieczność pożyczki. — Spotkanie we Fryburgu. — Podobieństwo do Anachorety. — W Rzymie przez zimę. — Wyjazd do Karlsbadu. — II. Panna Elżbieta Branicka. — Trzy tygodnie w Karlsbadzie. — „Nad jeziora włoskim brzegiem.“ — Karnawał w Rzymie. — Wiersze do ukochanéj. — Pierwszy wiersz do przyszłéj żony. — Poezya rezygnacyi i poświęcenia. — Pobyt w Neapolu. — Trzy dni w Dreznie. — Karlsbad, Töplitz, Monachium, Frankfurt, Kassel, Monachium. — *Przedświt.* — Śmierć Danielewicza. — Podróż do Szwajcaryi. — Pierwsze „fałszywe położenie.“ — Pobyt w Nicei. — Willa Geoffroy. — Przyszłość — mieczem Damoklesa. — Wyjazd do Rzymu. — *Czasem* u Branickich bywam. — Powtórna podróż do Nicei. — Dni szczęścia. — Powrót do Rzymu. — Ciężka „służba.“ — Wiersze dla... siostry narzeczonéj. — Ostatnie dwa miesiące wolności. — Przyjazd do Drezna. — Ślub. — List do Sołtana.

Jedną z najromantyczniejszych epok — a może najszczęśliwszą — w życiu Zygmunta Krasińskiego, była niezawodnie pierwsza połowa roku 1839, spędzona we Włoszech: częścią u podnóża Kapitolu, w Rzymie; częścią wśród lazurów Partenopy, w Neapolu; częścią „w raju zabudowanym przez Maurów arkadami i filarami”, w Sycylii,

od któréj, jak sam powiada, nic piękniejszego nie widział, ani marzył [1]). Krótkiém, ale przepyszném streszczeniem wrażeń, doznanych przezeń w ciągu téj niezapomnianéj wiosny, i uczuć, któremi serce jego „jak grób Rafaelowski Maryi" porastało w kwiaty, jest początek jednego z listów do Edwarda Jaroszyńskiego, pisany pod wpływem niedawnego upojenia błękitami południa, a będący niezaprzeczenie jednym z najwspanialszych fragmentów poetycznéj prozy autora *Irydiona.* „Gwiazdy tam, jakich nigdzie indziéj nie zobaczysz; księżyc, jak dziewica niebios; słońce, jak Archanioł potęgi; Rzym, jak Archanioł zwalony, leżący na ziemi; Śródziemne wody Neapolu, jak toń wieczności szczęśliwéj, ale wielkiéj; Sycylia, jak królestwo marzeń, wcielone w kształt, równy pomysłowi tych marzeń; a *pod* tém wszystkiém — Dantejskie piekło, buchające czasami kraterem Wezuwiusza, Etny, Stromboli; a *nad* tém wszystkiém — przesłona dzika i pełna żałoby, czyściec Dantejski, unoszący się w powietrzu: między grobami, na których kwiaty rosną i migają *lucciole*, a niebem, gdzie drugie *lucciole* świecą, *lucciole* Pana nad Pany, muszki wszechświata, świętojańskie robaczki przestrzeni! A tam, gdzie one na mlecznych drogach oparte, Raj się poczyna, Raj niedojrzany, w którym Beatrix niewidzialna mieszka. A cień, odbłysk jéj, mara jéj, czasem przesunie się na dole, czasem odbije się w magiczném zwierciedle niebios, w tém zwierciedle, zwaném włoską ziemią." Ziemia ta, dla Krasińskiego, przyszłego autora *Przedświtu*, była prawdziwą ziemią obiecaną, najrzeczywistszą krainą szczęścia, jakimś nieziemskim Edenem: zwłaszcza, odkąd się jéj przypatrywał przez pryzmat swojéj miłości dla pani Delfiny Potockiéj; ona bowiem, od paru miesięcy, była ową błogosławioną Beatrix, która go oprowadzała po tym czarownym raju Italii, a któréj miłością upojony i rozmarzony, zapominał, że niedawno temu, „jak Dant, za życia przechodził przez piekło."

I.

Pani Delfina Potocka, w chwili, kiedy ją poznał Krasiński (w grudniu 1838), była uroczą 31-letnią rozwódką [2]), doskonałym typem Balzakowskiej *une femme de trente ans*, we właściwém znaczeniu tych słów, kobietą, o któréj wiedzieli wszyscy — samego Krasińskiego nie wyłączając—że była istotą, która „stała już *za* przepaścią",

---

[1]) List do Sołtana, Neapol 7 maja 1839.

[2]) Urodzona w r. 1807.

a któréj duszę, żywą i silną, i wszystkiemi dary, któremi Bóg Polki obdarzył, do najwyższego stopnia obrzuconą, *przepsuł* — jak się o niéj wyraził Krasiński — Paryż i Londyn, książę d'Orleans i słynny, choć w owym czasie niemłody już, zdobywca serc niewieścich, pan Flahaut. Obok nich wymieniali niektórzy jeszcze Chopina, oraz wielu innych, mniéj lub więcéj głośnych przedstawicieli świata arystokratycznego i artystycznego, z których najsławniejszym — po Krasińskim — był Paweł Delaroche.

Blondynka, o przepysznych, niezmiernie bujnych włosach, o cerze białéj, alabastrowéj, z oczami szafirowemi, cudownie oprawnemi w ciemne brwi i rzęsy, o rysach twarzy, które, choć niezupełnie regularne, klasyczne, były mimo to piękne i szlachetne, bardzo wysoka, prześlicznie zbudowana, z wielką gracyą ruchów, okazała i majestatyczna, nad wszelki wyraz powabna, nie dziw, jeżeli od pierwszéj chwili, kiedy zaczęła bywać w wielkim świecie Paryża i Londynu, odrazu zajaśniała na horyzoncie tamtejszych salonów, jako pierwszorzędna gwiazda, jako czarująca Syrena, która, jak prawdziwa Syrena, nietylko urodą czarowała, ale i śpiewem. Bo śpiewała przecudownie, jak skończona artystka. „Kiedy szczerze śpiewa, po artystowsku, nie dla mdłych popisywań się, jest co słuchać", pisał o niéj Krasiński; a tego samego zdania, co twórca *Nieboskiéj*, był i twórca nieśmiertelnych mazurków i nokturnów, Chopin. Ten, w dowód swojego uwielbienia dla niéj, zadedykował jéj w r. 1836 — a więc na trzy lata przed Krasińskim — swój nieporównany Koncert F-mol, jedną z najbardziéj natchnionych kompozycyi fortepianowych, jaką się pochlubić może wiek XIX, koncert, którego część środkowa, *Larghetto*, „o charakterze romansowym", spokojnym, melancholicznym, w myśli autora było rodzajem sentymentalnego *chant d'amour*, „jakiémś dumaniem podczas pięknéj nocy wiosennéj, oświetlonéj księżycem" [1]). Już sam fakt, że Chopin tę właśnie, a nie inną ze swych kompozycyi, przypisał *à M-me la Comtesse Delfine Potocka*, nie jest do pewnego stopnia bez znaczenia, świadczy bowiem, że w stosunku Chopina do pięknéj hrabiny, mogła być mowa o pierwiastku „romansowym." Jakoż grał ten pierwiastek i tutaj niemałą rolę — już w tych czasach nawet — raz dlatego, że każde poufniejsze zbliżenie się do pani Delfiny, jeżeli tym, co się zbliżał, był sławny artysta, odrazu a przynajmniéj zawsze w końcu przybierało ton romansowy *à la Balzac*, a powtóre, że Chopin w téj epoce, jeszcze nie będąc zakochanym w pani Sand, wielką po ostatecznem

---

[1]) Karasowski, „Fryderyk Chopin, Życie, Listy, Dzieła", tom I, str. 161, 162. Wyrażenia ujęte w cudzysłowy, są wyjęte z listów Chopina.

rozłączeniu z Maryą Wodzińską zdradzał ochotę, ażeby się po jéj stracie pocieszyć. O tém zaś, że pani Delfina nieporównaną umiała być w takich wypadkach pocieszycielką, wiedzieli już w r. 1836 wszyscy... Nie mógł téż nie wiedziéć o tém Chopin.

Swoją drogą, przyznać trzeba, że jakąkolwiek pani Delfina była, nie była to kobieta pospolita. Z wyobraźnią bujną, rozmarzoną, chorobliwie rozwiniętą przez wszystkie wpływy czasu, przez romantyczną poezyę, przez romansową prozę, przez sam obyczaj towarzyski wreszcie [1]), była to, w każdym razie, natura artystyczna usposobieniem i wrażliwością, jeżeli nie *in actu*, to przynajmniéj *in potentia*. Co ważniejsza, to, że ta potrzeba wrażeń artystycznych, tak modna wówczas, nie była u niéj, jak u tylu innych kobiet owéj epoki, udana i przyswojona sztucznie, ale wrodzona i szczera: pani Delfina miała niezaprzeczenie duszę artystyczną; opery Rossiniego i Belliniego, śpiewane przez Rubiniego i panią Malibran, romantyzm w muzyce fortepianowéj, reprezentowany przez Chopina i Liszta, sztuka, włoska renesansowa i romantyczna francuska, a wreszcie poezya, francuska i angielska, wraz z romansami pani Sand i Balzaka (nie mówiąc już o romansach pani de Staël, któréj pani Delfina nawet zawdzięczała imię, jakie nosiła): wszystko to rozumiała i odczuwała doskonale, wszystko to stanowiło żywioł, wśród którego czuła się na swoim gruncie, jakby u siebie w domu. Na fortepianie grała bardzo pięknie, wcale nie po dyletancku, a śpiewem swym — zwłaszcza niektórych aryi Belliniego — rozmarzała samego nawet Chopina. Wogóle, jak się o niéj pięknie wyraził Krasiński, „zostały w téj duszy iskry, podobne wybuchom wulkanu: została żądza długa, namiętna, długa, jak nuta własna, przeciągniona przez znakomitą śpiewaczkę (przez samą panią Delfinę naprzykład), żądza wyższego stanu rzeczy, piękniejszéj sfery dla ducha, jakiegoś promiennego spokoju..." Albowiem zaprzeczyć się nie da, że w kobiecie téj, bądź co bądź wyższéj nad otaczający tłum, o inteligencyi wszechstronnéj, istotnie niezwykłéj, wiele było poglądów szlachetnych, wznioślejszych, wiele skłonności w kierunku rzetelnego idealizmu. Przedewszystkiém był czas, kiedy naprawdę była nieszczęśliwa; a nieszczęście uszlachetnia. Wydana za mąż za Mieczysława Potockiego, który się okazał człowiekiem niedobrym, nieszlachetnym, i zmuszona powrócić pod dach rodzicielski, gdzie ją także nie wszyscy rozumieli, dopiéro z chwilą, kiedy się znalazła w Paryżu, a potém w Londynie, otworzyły się jéj oczy: zrozumiała, co była warta. Ale i atmosfera wielkoświatowa, którą się zrazu czuła tak upojona, nie

[1]) Por. St. Tarnowski. „Zygmunt Krasiński", str. 285.

zawsze była skuteczném lekarstwem na moralną pustkę, z którą życie wielkoświatowe tak często idzie w parze. I tu uważała, że najczęściéj była niezrozumiana. Czy rzecz się tak miała istotnie? Czy pani Delfina, całą duszą i — ciałem oddana używaniu świata, rzeczywiście mogła uskarżać się na to, że jéj ludzie nie rozumieli? Zdaniem prof. St. Tarnowskiego była to poprostu moda, nakazująca młodéj i pięknéj damie być poetyczną i romantyczną, a literatura — zwłaszcza powieściowa — uczyła ją, jaką ma być, ażeby uchodzić za taką. W ówczesnych romansach i dramatach, zarówno w efektownych—i tylko efektownych— dramatach Dumasa, jak w mądrych romansach Balzaka i w istocie poetycznych powieściach pani Sand, kobieta niezrozumiana królowała prawie bez podziału, marząc zawsze o jakimś tajemniczym, nieznanym bohaterze, który, jak ów królewicz w bajce o „Śpiącéj królewnie", miał zjawić się skądciś i zrozumiéć ją. Mówiła zaś ta literatura, że miłość jest najwyższém i najświętszém prawem, rozwiązującém wszystkie inne; że wielka namiętność nie potrzebuje wymówki, bo sama jest wymówką; że kobieta ma prawo do niezależności, etc., etc. [1]) Wszystko to, ponieważ było teoryą bardzo wygodną, nie pozostawało bez wpływu na mnóstwo kobiet, między innemi i na panią Delfinę, która niezrozumiana, uciemiężana i krzywdzona przez męża, mnóstwo posiadała warunków po temu, ażeby ten legion kobiet niezrozumianych powiększyć o jednę. Natura najprostsza, najzdrowsza, najspokojniejsza wyobraźnią i nerwami, w takich stosunkach mogła być wystawioną na niebezpieczeństwo stracenia równowagi; tém bardziéj natura pani Delfiny, która prostotą nie odznaczała się nigdy.

Ten brak prostoty w życiu, w sposobie myślenia, we wszystkiém, był u niéj, obok mnóstwa innych, mniejszych lub większych wad, jedną z najprozaiczniejszych, a prozaiczną przez to głównie, że z góry obliczoną na poetyczny efekt. O szczerości bowiem, w rzeczach uczucia, téj największéj ozdobie kobiety, u niéj mowy być nie mogło: zawsze pozowała: zarówno wtedy, gdy opowiadała o swoich nieszczęściach i smutkach, w rzeczywistości nigdy nie odczutych głębiéj, jak i wtedy, kiedy przybierała postać „nieznośnéj kapryśnicy, potrzebującéj śmiać się i żartować, by uniknąć strasznéj nudy, która ją toczyła," i kiedy „podobna znarowionemu dziecku, źle wychowanéj dziewczynce lub *Don Juanowi w spódnicy, który wszystkiego doznał*, wołała: „Dajcie mi księżyc, chcę skosztować, czy z księżyca dobry marcypan, bo na ziemi już nic nie ma" [2]). Wychowana po francusku, na pokaz, w za-

---

[1]) Por. St. Tarnowski, „Zygmunt Krasiński", str. 285.

[2]) Listy do Sołtana, z Neapolu 31 grudnia 1838.

sadach kosmopolitycznych, a tak po zagranicznemu wykwintnie i elegancko, że wychowanie to — jak się złośliwie wyraża prof. St. Tarnowski — aż było czuć zaściankiem [1]). Kiedy wyjechała za granicę, do Paryża, który dla niéj stał się odrazu szkołą lafiryndyzmu i próżności, szkołą, w któréj się uczyła doskonale, zadziwiające z dniem każdym czyniąc postępy pod względem tego, co w niéj Krasiński nazywał z początku „próżnością *fashion*'u, najnędzniejszą z próżności", oddana zabawom i używaniu — co jéj przy stu tysiącach franków rocznéj renty przychodziło łatwo — zepsuta powodzeniem w świecie, tak się przejęła tą komedyą światową, którą grała nieustannie i którą wciąż grano koło niéj, że stało się to dla niéj drugą naturą; że zaś, obok licznych skłonności dobrych, które ją cechowały, niemniéj posiadała złych i przewrotnych, że główną cechą jéj charakteru były bezwarunkowo próżność i samolubstwo, obok lekkomyślnéj płochości i kokieteryi, nie przebierającéj w środkach, co przy obyczajach wolnych bardzo — bardzo — ogromnie ułatwiało jéj niektóre tryumfy: więc doszło do tego w końcu, że pani Delfina w oczach wielu osób, sądzących ją surowiéj, uchodziła nietylko za piękność, która czarowała wielkoświatowych rozpustników, a od niejakiego czasu bałamuciła wielkiego poetę [2]), ale i za „grzeszną, rozswawoloną wietrznicę", o któréj dało się dużo powiedziéć złego, a mało dobrego.

Że dla kobiety takiéj stosunek z wielkim poetą, jakim już był w r. 1838 autor *Irydiona* i *Nieboskiéj*, musiał być bardzo ponętnym i miłym; że musiał nadewszystko schlebiać niezmiernie jéj miłości własnéj; że zbyt wiele musiał miéć dla niéj rzeczywistego uroku, aby nie była dumną z podobnego tryumfu nad tym „człowiekiem wielkim na ziemi", którego widziała teraz zaprzężonym do swego rydwanu; i że za tém zadowoleniem miłości własnéj poszło także i uczucie, które miało wiele cech miłości prawdziwéj, w początkach przynajmniéj: wszystko to, o ile się da zrozumiéć bardzo łatwo, o tyle mnóstwa wymaga zastrzeżeń. Bo z drugiéj strony nie ulega wątpliwości najmniejszéj, że pani Delfina, jeżeli kochała nawet Krasińskiego, to więcéj, aniżeli sercem, kochała go głową, a więcéj jeszcze, aniżeli głową, próżnością [3]). Uważała, że jest to bardzo poetycznie kochać „człowieka wielkiego na ziemi" i być odeń kochaną nawzajem, być jego Beatriczą, jego Muzą, i już dlatego samego zupełnie mu obojętną nie była: przeciwnie, sta-

---

1) Z życia poety, „Słowo" z d. 21 listopada 1890 r.

2) Dr. Antoni J. „Opowiadania historyczne", serya siódma. Lwów, 1891. „Beatrice", str. 131.

3) Por. X. Jan Gnatowski. „Moja Beatrice." „Niwa" z r. 1879, str. 856.

rała się nawet kochać go naprawdę, rzetelnie; a że, przy jéj usposobieniu egzaltowaném, miłość nie była trudną, więc pewnego rodzaju wyegzaltowanie się w miłości dla niego, wmówienie w siebie, iż się go kocha bardzo i jedynie, również musiało jéj przyjść bardzo łatwo. Tylko, że uczucie to nie było w gruncie rzeczy ani tak wielkie, jak to się czasem pani Delfinie zdawało, ani tak bezinteresowne i wzniosłe, jak to sobie z czasem wyobrażał Krasiński.

Choć w początkach znajomości ze swoją przyszłą Beatrice, sądził ją bardzo surowo i z wielką dozą krytycyzmu: pomimo współczucia, jakie w nim chwilami rozbudzić potrafiła, kokietując go swoim tragicznym losem, swojemi nieszczęściami. Zanim się przekonała jednak, że to był ton właściwy, w który należało uderzać, ażeby trafić do jego wyobraźni, a przez tę do serca, próbowała innych sposobów, które ją zawodziły najfatalniéj: czy to, kiedy się siliła na ton paryski, na różne przeskoki od sarkazmu do rozmarzenia; czy to, kiedy się nastrajała na ton *buffo;* czy to, kiedy wszelkich dokładała starań, ażeby się zgiął przed jéj zewnętrznym *fashionem.* Nic nie skutkowało: Krasiński pozostawał zimny, niewzruszony i — dziwnie otwarty, tak, iż nietylko się z nią kłócił całemi godzinami, ale jéj nawet „dziwnie przykre" mówił czasami rzeczy; w listach zaś do Sołtana, zdając sprawę z wrażenia, jakie na nim uczyniła pani Delfina, wyrażał się o niéj w sposób tak ostry i nieparlamentarny, iż przy ogłaszaniu wyjątków z téj korespondencyi musiano odnośne ustępy opuścić [1]). Dopiéro, kiedy zmieniła ton i — jak się Krasińskiemu zdawało — zaczęła mówić szczerze, wtedy i on wziął z innego tonu i, jak powiada w jednym z listów do Sołtana, „teraz co wieczór ona smutno, żałobnie, opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę."

Zrozumieli się nareszcie. Co prawda, wiele się na to składało warunków, które to ostateczne porozumienie się ułatwiały i poniekąd czyniły koniecznem, nieuniknioném: i Krasiński, i pani Delfina, byli dziećmi swojego czasu, a jako tacy, choć pod niezliczonemi względami różnili się pomiędzy sobą, pod wieloma innemi, a zwłaszcza pod jednym, dziwnie byli jedno do drugiego podobni. Tym, że się tak wyrażę, węzłem moralnym, który ich łączył, był ten popęd i nałóg, który sam Krasiński w *Nieboskiéj* nazwał „dramatyzowaniem swego życia", a który, bardzo rozpowszechniony podówczas, nie samego tylko cechował hrabiego Henryka. Pani Delfina Potocka była nim dotknięta również, i to w stopniu bardzo wysokim. Gorączkowe, nerwowe pragnienie coraz nowych wrażeń, zwyczaj i biegłość wywoływania ich

---

[1]) X. Jan Gnatowski, op. cit.

i podnoszenia wyobraźnią do wyższéj potęgi, potrzeba i szukanie poezyi w swojém życiu, podziwianie jéj w swojéj osobie, a zapatrywanie się na nią przesadne i romansowe, wszystko to, wyrósłszy bujnie i nad miarę pod wpływem ducha epoki, grało w usposobieniu pani Delfiny rolę pierwszorzędną. Nieszczęśliwa prawdziwie — z początku — podziwiała się romansowo w swojém nieszczęściu, a kiedy się pocieszyła — bardzo prędko — nie przestała szukać wrażeń i wzruszeń, rozmiłowana zaś w tego rodzaju sporcie, przywykła powoli i do sztucznego ich doznawania, podnosząc je sama przed sobą, a po części udając, zarówno przed sobą samą, jak i przed drugimi. Nie było to — zdaniem prof. St. Tarnowskiego — zupełną nieprawdą, zupełném udawaniem; ale nie było też prawdziwą rzetelnością uczuć i wrażeń [1]). Ta chęć dramatyzowania i poetyzowania swojego życia cechowała i Krasińskiego również: i on lubił wyolbrzymiać wszystko, przez co przechodził, czy to było szczęście czy nieszczęście; i on był dotknięty tą romantyczną pozą; i on, jak jego hrabia Henryk z *Nieboskiéj*, bardzo często — najczęściéj — dramat układał i z punktu widzenia poetycznego wyłącznie zapatrywał się na swoje postępowanie i czyny. Prostoty było w jego życiu równie mało, jak w jego listach, które, zawierając w sobie nieprzebrane skarby najcudowniejszéj poezyi i stylu, były zdaje się pisane także nie bez pewnéj *arrière pensée* o tém, że będzie je czytało liczne grono znajomych [2]).

W tym celu pisał w nich o wszystkich najdrobniejszych swoich, prawdziwych czy urojonych, radościach lub troskach, zachwytach czy rozczarowaniach; o wszystkiém, co myślał, widział i czuł, co się stało lub co się dopiéro stać miało, a wszystko usiłował zawsze oświetlać poetycznie, każdą sytuacyę dramatyzować, każde zdarzenie spodziewane lub zaszłe, ukazywać temu, do kogo pisał, nietylko przez tęczowy pryzmat poezyi, ale i przez szkło powiększające. Czytając jego listy, takiego częstokroć doznaje się wrażenia, jakby mu możność znalezienia się w jakiéjkolwiek niezwykłéj lub dramatycznéj sytuacyi niewysłowioną sprawiała przyjemność: tak się nią będzie lubował, taki w niéj zawsze będzie kładł nacisk na wszystko, co mu się wydaje dramatyczném, z takiém namaszczeniem i zadowoleniem będzie ją analizował i... poetyzował. Coprawda, życie jego — choć pozbawione kłopotów—było obfite w takie sytuacye dramatyczne; niewiadomo tylko, czy wszystkie Krasiński tak odczuwał, jak je późniéj opisywał i dramatyzował w swoich listach do przyjaciół. Cokolwiekbądź, nie za-

[1]) Por. St. Tarnowski. *Op. cit.* 285, 286.

[2]) Zob. *Nowa Dejanira* (Niepoprawni) Juliusza Słowackiego, akt I, scena II.

szkodzi nigdy, jeśli się te ostatnie bierze trochę *cum grano salis*; jeżeli się w nich obok *Wahrheit* będzie dopatrywało i sporéj dozy *Dichtung*; jeżeli się nie zawsze będzie wierzyło w ich szczerość; jeżeli się niejedną sytuacyę, podniesioną w nich do stopnia dramatu lub tragedyi — bo i tak bywa—uprości cokolwiek i z hymnu sprowadzi do prostéj powieści; i jeżeli się w nich niejedno złoży na karb wyobraźni poety, wszystko wyolbrzymiającéj, poetyzującéj i dramatyzującéj. Nie znaczy to, ażeby w życiu Krasińskiego sytuacyi i kolizyi rzeczywiście i bardzo dramatycznych nie było wcale; znaczy to tylko, że ich było mniéj, aniżeli w jego listach, i że niejednokrotnie, kiedy w tych ostatnich szalały huragany, biły pioruny, kłębiły się chmury, rozpruwane oślepiającemi zygzakami błyskawic, w rzeczywistości często świeciło słońce lub co najwyżéj pruszył drobny deszczyk.

Zdarzało się jednak, że i w rzeczywistości bywały prawdziwe burze, z prawdziwemi piorunami. W maju 1839 roku, bezpośrednio po powrocie Krasińskiego z wycieczki do Sycylii, którą zwiedził w towarzystwie swéj Beatrice i małém kółku znajomych, zanosiło się właśnie na taką prawdziwą burzę; a pierwszym zwiastunem jéj, owym głuchym oddalonym grzmotem, wydobywającym się jakby z pod ziemi, był list poety do Sołtana, pisany z Neapolu dnia 2 czerwca, w którym między innemi taki znajduje się ustęp: „Bez chyby dwudziestego trzeciego czerwca ztąd wypływam; w Livournie łączę się z Konstantym (Danielewiczem), który jutro wyjeżdża, i jadę na złamanie karku do Pragi albo do Töplitz, gdzie 5 lipca ojciec mój czeka na mnie. Tam rozstrzygną się zapewnie stosunki nasze na resztę życia. On jeszcze marzy o mojém ożenieniu: nie ożeniony, nie mam żadnéj wartości w jego oczach; zatém znienawidzi mię prawdopodobnie lub zobojętnieje dla mnie. Ja zaś żenić się nie ożenię, a to z wielu przyczyn: 1) że nie czuję powołania do tego świętego stanu; a 2) że żyć jeszcze myślę, bo żyć mi potrzeba i żyć pragnę. Każ tam koło 5 lipca mszę na moją intencyę odmówić, bo będę w dyabelnych tarapatach." Myśl o tych *tarapatach* zatruwała mu ostatnie dni pobytu w Neapolu przy boku pani Delfiny. W liście z tego czasu do Jaroszyńskiego wspomina o nich również: „Kiedy list twój tam — w Kissingen — będę odbierał, wiem już dziś zawczasu, że w strasznych będę kłopotach i tarapatach; a jakim sposobem się z nich wydobędę? nie wiem. Na wolę Bożą się spuszczam: co przeznaczyła mi, nie minie mnie." Tymczasem „nie wiadomo mi (pisał do Sołtana już na samém wyjezdném z Neapolu), gdzie ojciec mnie *pociągnie* za sobą: czy do Drezna, czy do Töplitz, czy do Karlsbadu? a co się tam będzie działo, to samemu Bogu tylko wiadomo."

Istotnie sytuacya była dramatyczna i nie do pozazdroszczenia albowiem nie dało się zaprzeczyć, że życie, jakie Krasiński pędził od paru miesięcy, dawało mu przedsmak raju, raju, który témbardziéj wydawał mu się rajem, o ile małżeństwo mogło być dla niego, zwłaszcza w obecnéj dobie, tylko piekłem, gorszém od Dantejskiego. Sama myśl o tém przejmowała go rozpaczą i wstrętem. Jakto? on miałby się teraz ożenić, przysięgać przed ołtarzem dozgonną miłość i wierność jakiéjś kobiécie narzuconéj mu przemocą i żyć przy niéj, jak fabrykant-Niemiec przy żonie Niemce, teraz właśnie, kiedy dusza jego i serce należały do innéj kobiéty; kiedy „o ile podobna na ziemi, o tyle był szczęśliwy"; kiedy mu się zdawało, że „nie na ziemi żył, ale w niebie"; kiedy spotkał nareszcie tę, o któréj oddawna marzył w snach młodzieńczych; kiedy się przekonał ostatecznie, że to jest ta kobiéta wybrana, którą sądzono jemu pokochać najgorętszą ze wszystkich miłości; kiedy zrozumiał, że oprócz niéj inne kobiéty mogą dlań przestać istnieć; i kiedy zdradzić ją, sprzeniewierzyć się jéj lub opuścić ją uważałby sobie za najwyższą nieszlachetność, za czyn niehonorowy i nie męzki. Tymczasem życie czyniło nagle zamach na to jego nieziemskie szczęście; człowiekiem zaś, który go chciał z tego raju wypędzić, był nie kto inny, tylko jego własny ojciec. On chciał go wydrzeć ze śnieżnych ramion Delfiny i rzucić w ramiona innéj, niekochanéj, znienawidzonéj i wstrętnéj, teraz już, nim ją jeszcze poznać zdołał; on pragnął swego jedynaka zakuć w niewolnicze kajdany małżeństwa; on, swoim despotyzmem, zawsze cechującym ojców w stosunku do synów, pragnął go wtrącić w bezdenną otchłań zwątpienia, z któréj uwolnić można się było jedynie za pomocą samobójstwa. Co najgorsza, to, że nie było sposobu oprzéć się téj przemocy, że należało się jéj poddać albo zerwać z ojcem, a może go wtrącić do grobu... Co robić więc? co począć?.jak sobie poradzić w tém położeniu bez wyjścia? jak pogodzić własną wolę z wolą ojca? jaki znaleźć *modus vivendi*, pozwalający nie zrywać ani z ojcem ani z Delfiną, a umożliwiający nie zatruwać życia ojcu i sobie? Niestety, sytuacya w jakiéj się znalazł niespodziewanie zupełnie—bo jeszcze pół roku temu ani przypuszczał coś podobnego —była błędném kołem, fatalnym labiryntem, w którym Minotaur znajdował się, ale nie widziałeś Aryadny z nitką.

W takiém usposobieniu przybył Krasiński 15-go lipca 1839 roku do Drezna i zastał tu ojca, który go, jak to było do przewidzenia, odrazu zaczął namawiać, żeby się żenił, i w tym celu—domyślać się wolno — wprowadził go, już zdaje się teraz, do domu Branickich, gdzie

miał dlań upatrzoną pannę, pannę Elżbietę Branicką [1]. Ale Krasiński zaciął się i ani chciał o tém słuchać; przedstawiony pannie, umyślnie „spisał się, jak niedźwiedź", nie siląc się wcale (wnosząc z jego listów) w rozmowie z nią, ażeby się jéj podobać, ażeby dobre na niéj uczynić wrażenie; przeciwnie, wszelkich dokładał starań, ażeby ona zarówno, jak i państwo Braniccy, jak najgorsze o ile możności powzięli o nim wyobrażenie. To téż nie co innego zapewne, tylko to, było powodem, że jenerał, uniesiony gniewem na syna, wkrótce opuścił Drezno i, zirytowany, udał się z powrotem do Warszawy. W pierwszéj chwili chciał nawet zabrać Zygmunta z sobą, wiedział bowiem, że niczém go srożéj ukarać nie może, jak przymusem wracania do kraju; ale Zygmunt zaklinał na wszystko, ażeby mu pozwolono jeszcze czas jakiś zostać za granicą, tak, iż jenerał, zmiękczony snać, ustąpił ostatecznie. Swoją drogą, uczynił to zdaje się nie bardzo chętnie, skoro wyjechał, zostawiając syna—bez pieniędzy. Widocznie, że Krasiński, nie chcąc zbytnio przeciągać struny, i tak już nad miarę wytężonéj, nie śmiał go prosić o zasiłek; jenerał zaś, nie proszony, nie domyślił się (ojcowie zwykle bywają w takich razach niedomyślni), że Zygmunt może ostatkami gonić. Dość, że wyjechał, a Zygmunt został w Dreznie, prawie bez grosza. Nie pozostawało nic innego, tylko zaciągnąć pożyczkę. Od kogo? Wprawdzie nie dobrze jest pożyczać pieniędzy od przyjaciół, ale są wypadki, w których ostateczność zmusza postąpić wbrew téj zasadzie. Krasiński znajdował się właściwie w takim wypadku. Dlate-

---

[1]) Dowieść tego, iż Krasiński teraz właśnie, w lipcu 1839 r., poznał pannę Elizę Branicką, nie można inaczéj, tylko pośrednio. W rok późniéj, 27 sierpnia 1840, z Karlsbadu, pisał Krasiński do Sołtana, co następuje: „Są tu Braniccy. *Tą razą nie spisałem się jak niedźwiedź*; owszem rozmawiałem długo z panną Elizą. Zdaje się słodka i dobra bardzo osoba. Życzę jéj z serca, by była szczęśliwą na ziemi". Ustęp ten dowodzi, że to spotkanie się Krasińskiego w Karlsbadzie z Branickimi było powtórném, że się już raz byli gdzieś spotkali przedtém. Gdzie? Mogło to nastąpić tylko w Dreznie, w r. 1839, gdzie rodzina Branickich przemieszkiwała stale w tych czasach i gdzie jenerał Wincenty Krasiński oczekiwał syna nie z innych powodów niezawodnie, tylko dlatego, iż go chciał przedstawić Branickim, z którymi już pertraktował może w téj sprawie... Dlatego nie spotkał się z nim w Pradze, gdzie się według pierwotnego projektu spotkać mieli, tylko mu odrazu kazał przyjeżdżać do Drezna. Zygmunt przyjechawszy do Pragi, zamiast ojca, którego się tam zastać spodziewał i który go miał ztamtąd „pociągnąć" za sobą „czy do Drezna (dla spotkania się tam z Branickimi) czy do Töplitz, czy do Karlsbadu"—zastał prawdopodobnie list tylko z Drezna od jenerała, który go wzywał natychmiast nad Elbę. Tém się tłomaczy fakt, że Krasiński zamiast w Pradze, spotkał się z ojcem w Dreznie, gdzie mieszkali Braniccy i gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa poznał Krasiński po raz pierwszy swą przyszłą towarzyszkę życia, pannę Elizę Branicką.

go, nie namyślając się długo, tegoż samego dnia, 16 lipca, napisał list do Edwarda Jaroszyńskiego, list, w którym się między innemi z taką do niego zwracał prośbą: „Jeśli możesz mi jeszcze wyświadczyć ważną przysługę, to ci z głębi serca wdzięcznym będę. Jestem w położeniu dość przykrém: mniéj więcéj wypadłem z łask ojca. Nie przeczę, żem mógł mu zakrwawić serce niektóremi czynnościami memi; nie odpowiedziałem w niczém jego myślom. To pozostanie między mną a Bogiem. Wiész zapewne, że są pewne uczucia, których sprawiedliwości wykazać nie można rozsądkiem, a które jednak są sprawiedliwemi, nie na tym świecie, ale w wieczności; my zaś na tym świecie żyjemy: kto się doń nie stosuje, musi karę znosić. Otóż, jak ci mówię, teraz on mniéj więcéj zobojętniał dla mnie. Wiem, że gdybym go poprosił, natychmiast by mi przysłał pieniędzy, ale wolę ciebie o to prosić, bo między twojém sercem a mojém nie czuję żadnej zapory. Jeśli możesz zatém, Edwardzie, przyszlij mi z listem na ręce Simmy [1]) 300 lub 400 dukatów" [2]). W tymże liście, który jest bardzo długi, znajdują się także echa tych przykrych dyssonansów, na których się ograniczyło to krótkie widzenie się poety z ojcem. „Co chwila zmienia się stosunek okrucieństwa: raz dzieci rodzicom, znów rodzice dzieciom rozżarzone węgle kładą na głowę. Ci, coby kochać się powinni, i czują, że powinni, i czują, że Bóg ich na to stworzył, nie cierpią się lub nudzą się jedni przy drugich, nie rozumiejąc się nawzajem. Wszyscy młodzi są poetami prawie, wszyscy starzy przeczą poezyi."

Tymczasem wszystko się skończyło na razie; ojciec pojechał do Warszawy, on był w Dreznie sam, z Konstantym Danielewiczem, i mógł robić, co mu się podobało. Niestety, gonił resztkami, a bez pieniędzy człowiek jest niewolnikiem, nawet, jeżeli się urodził poetą, choćby takim, jak Krasiński. Najlepszym dowodem list tegoż do Sołtana datowany tegoż dnia szesnastego lipca, co i list do Jaroszyńskiego, a w którym ustęp „o materyalnych interesach" także niemało zajmo-

---

[1]) Bankiera w Wiedniu.

[2]) Ciekawym jest dalszy ciąg tego samego listu, którym jednak tekstu samego zbyt obciążać nie chcę: „Dług mój dawny, który ci odesłałem z Rzymu, znów zaciągam u ciebie, a oddam ci, jak tylko będę mógł, zapewnie w przeciągu roku; *jeszcze procent ci zapłacę*. Zresztą wiem i pewny jestem, że to uczynisz mi, jeśli możesz, tak, jakbym ja dla ciebie uczynił w każdym razie wszystko, cobym mógł. Im prędzéj mi przyślesz, tém lepiéj będzie, bo gonię ostatkiem, a do kraju wrócić nie chcę (ze względu na przykry stosunek z ojcem). Zatém proszę cię, przez Stocknera do Simmy, z przyłączeniem notatki, że te pieniądze są dla mnie i że powinien mi je przesłać tam, gdzie jestem; *ja zaś ci zaraz po ich odebraniu rewers przyślę*."

wał miejsca. „Proszę cię, mój Adamie, pójdź do bankiera Simmy w Wiedniu i spytaj go się mojém imieniem, czy nie przyszły na jego ręce piéniądze dla mnie z Gdańska; a jeśli przyszły, albo w tych czasach przyjdą (o czém, proszę cię, dowiaduj się lub każ sobie donieść do domu) to mi zaraz napisz do Bad-Baden, Gross-Herzogthum von Baden. W tych albowiem pieniądzach ostatnia moja nadzieja: z wygrania sprawy w Prusiech spaść powinny na niżej podpisanego, a jeśli nie spadną, to niżéj podpisany sam *beknie* na ziemię w całéj goliźnie świętych tureckich. Proszę cię więc o to, byś się dowiadywał czasem u Simmy; a kiedy *flota* owa napłynie, doniósł mi zaraz..." Czytającego te słowa, tak odskakujące od zwykłego stylu listów autora *Irydiona*, musi zadziwić dobry humor, który z nich wieje, dobry humor bynajmniéj—jak w danym wypadku — nie licujący z sytuacyą, która przecież, niech kto mówi, co chce, zabawna nie była. Bo nie należy zapominać, że w chwili, kiedy poeta list ten pisał, upłynęło od wyjazdu jenerała kilka, najwyżéj kilkanaście godzin. Sceny zaś, które się niedawno rozegrały pomiędzy nim a ojcem, nie należały do przyjemnych. Pomimo tego „nie mam *żadnych do smutku przyczyn*, pisał Krasiński w tym liście do Sołtana; owszem, powinienbym być *dość szczęśliwy i różanych myśli...*" Dowód to w każdym razie, że się Krasiński po wyjeździe ojca bardzo prędko uspokoił, że mu wystarczało kilka godzin, ażeby bezpośrednio po bardzo gwałtownéj burzy wrócić zupełnie do równowagi. Dowód to zarazem, że sobie wszystko, przez co był przeszedł niedawno, nie bardzo brał do serca.

Wystarczało mu wiedzieć, że znowu jest wolny, że może jechać na spotkanie z Delfiną. Jakoż spotkał się z nią wkrótce, we Fryburgu i spędzili tu razem dwa miesiące blisko, w nieziemskiém upojeniu, w atmosferze średniowiecznéj poezyi, jaką tu roztacza dokoła siebie nieporównana katedra, w swoim rodzaju jedyne arcydzieło gotyku. „Nie wyobrazisz sobie jaka tu pyszna jest katedra. Chodzę do niéj codzień po kilka razy i za jéj progiem zapadam w przeszłość średnich wieków. I zdaje mi się często w tym pustym kościele, żem otoczony duchami tych, którzy za wiarę polegli; mistyczne farby tych szyb przecudownych leją się w duszę moją, jak promienie jakiejś smętnéj tęczy, świecącéj nad grobem męczenników; i nieraz, podnosząc głowę ku krzyżom, pytam się: „A zaż zmartwychwstaną, Panie?" Lecz zawsze pusto, lecz wiecznie milcząco: nie zejdą z pośród ram obrazów Matki Boskiéj, nie ruszą się święci z podstaw posągów; postać Chrystusa niewzruszenie przybita do krucyfiksu. I głos mój, obiwszy się o sklepienia gotyckie, kona!" Oprócz tych chwil podniosłych, spędzanych w katedrze, bądź samotnie, bądź we dwoje tylko, z Delfiną, bądź we

troje, jeżeli i Danielewicz im towarzyszył [1]), resztę czasu spędzali w sposób godny pozazdroszczenia, na spacerach, na rozmowach, na muzyce, na śpiewie, na czytaniu.

Dzień schodził w górach, po winnic zieleni,
Gdzie bory szumią i potok się pieni,
A w wieczór razem, w cichym razem domu,
Razem we troje,

albo we dwoje [2]); i tak przeżyli i przekochali czas od drugiéj połowy sierpnia aż do późnéj jesieni, a że okolice Fryburga są prześliczne — „góry, nieprzejrzane łąki, lasy, Szwajcarya *całą gębą*, tylko, że mniéj dzika i przepaścista" — więc i do Włoch nie było po co się spieszyć.

Z początku, aż do pierwszych dni września, byłoby to dla Krasińskiego trudném, a może i niemożebném nawet, o ile bowiem z jednéj strony przez cały czas pobytu swego we Fryburgu oddychał najczarowniejszą poezyą, o tyle z drugiéj, pod względem finansowym mianowicie, sytuacya jego była w najwyższym stopniu prozaiczna. Dość powiedziéć, że streszczała się w następujących słowach listu do Sołtana, do którego pisał „i jak Anachoreta i jak Endymion, bo jestem goły." W innym znów liście donosił przyjacielowi, że jest „coraz golszy, coraz golszy; mam już tylko ośm napoleonów, a do nadejścia mojéj pensyi—od ojca—jeszcze daleko." Ztąd niemały powód do spleenu; bo i cóż z tego, że mógł kosztować nieziemskiego szczęścia przy boku swojéj kochanki; kiedy pod ziemskim względem był podobny do Endymiona, posrebrzonego o tyle, o ile go srebrzyły promienie księżyca. Szczęściem nie trwało to długo; 12 września mógł już donieść Sołtanowi, że znowu zaczyna być przy żywotnych siłach, czyli Endymionem, posrebrzonym—nietylko promieniami księżyca. Miał list od ojca, który mu obiecywał przysłać pensyę na pierwszego do Frankfurtu; z listu od Jaroszyńskiego dowiedział się, że 1,000 rubli wysłane są dla niego do Odessy: słowem, miało się już pod koniec kłopotom pieniężnym, które zwłaszcza w podobnéj sytuacyi, kiedy służą za akompaniament czułemu duetowi miłosnemu, mogą bardzo łatwo kochankowi życie zatruć, choćby nawet kochanka tak była piękna, jak pani Delfina Potocka. Nie dziw więc, że i Krasiński, dopóki pieniądze nie nadchodziły, był smutny i „choć *goły*, nie mógł do rymu dobrać *wesoły*." Z chwilą jednak, kiedy otrzymał pierwszy zasiłek, odrazu odzyskał dobry humor. Dowodem tego pełen humoru list do Sołtana z d. 20

[1]) Zob. wiersz Krasińskiego *Fryburg*, zaczynający się od słów: „Troje nas było w tym gockim kościele..."

[2]) Tamże.

września. „Już w przeszłym liście ci donosiłem, mój drogi, że jedna eskadra mi tu przypłynęła, że flota cała z Warszawy do Frankfurtu płynie, a trzecia eskadra do Wiednia zdąża i już teraz wżaglowała zapewnie do przystani Simmy. Widzisz zatém, że panuję nad niezwyciężoną Armadą. Odprawiam ci więc nazad ten piękny i poważny okręt o dwustu działach holenderskich, któryś mi przysłał [1]); odprawiam go nazad, błogosławiąc jemu na drogę; niech wróci do ciebie. Nazwa jego *Przyjaźń*. Niech spocznie w porcie biurka twego i niech tam, kołysząc się na uśpionych wodach, powtarza ci codzień rano, gdy wstaniesz, i w wieczór, gdy się kłaść będziesz: *Zygmunt ci dziękuje...*"

W trzy miesiące późniéj był Krasiński znowu z powrotem w Rzymie, gdzie — wnosząc z jego listów — musiała być także i pani Delfina, o któréj myślał z pewnością, kiedy pisał do Sołtana, że „ogółem mało wdaje się ze światem, bo przekonał się, że massy zawsze dyabła warte i że dobre chwile można spędzać tylko *z kochanymi*." Był przekonany nawet, że chwile te, w towarzystwie ukochanych—a zwłaszcza z ukochaną — spędzane, stokroć większy może przedstawiały by dla niego urok, bo czuł się „młodym i nieraz dyablo silnym", gdyby nie fatalna okoliczność, że już w połowie marca gonił ostatkiem swoich dwudziestówek, że znowu czekało go niebawem, jak we Fryburgu, podobieństwo z Endymionem, posrebrzonym promieniami księżyca jedynie. Nadto zatruwały mu życie — plotki, które o nim krążyły wśród Polaków, a głównie Polek, w Rzymie zamieszkałych; oraz listy od ojca, który go wciąż dręczył projektami małżeństwa. „W dość jestem dziwném położeniu, pisał z tego powodu do Sołtana: znów mój ojciec (to samo, co zawsze, od lat pięciu) wzywa mię do Karlsbadu, znów prowadzi na mnie hufiec panien, jak mówi Horacyusz! Mnie już tak to znudziło, że mnie oburzyło, że mi nerwy skaczą, jak pchły, w ciele, gdy tylko wspomni o tém. Nie wiem, jak sobie poradzę; to wiem tylko, że jeszcze mam dwa lata młodości i że myślę ich użyć nie na ślub przed ołtarzem. Ze wszystkich instytucyi ludzkich najmniéj pojmuję formę małżeństwa." Zresztą nie miał powodu uskarżać się na swoją dolę: życie płynęło mu bez większych trosk, tak dalece, że jeśli się zdarzyły czasem—a choćby nawet i często—jakie smutki, to i z niemi pogodzić mu się było nie trudno, zważywszy, że miał możność rozrywać je raz po raz „błyskawicami *błogości*." Domyśléć się łatwo, komu te chwile błogości mógł miéć do zawdzięczenia. O tém, że wkrótce

---

[1]) Sołtan, zaniepokojony finansowemi kłopotami Krasińskiego, przysłał mu z Wiednia 200 dukatów holenderskich.

miał jechać do Karsbadu, na spotkanie ojca i... Branickich, starał się o ile możności nie myśléć.

Ale miesiące, rozświecane błyskawicami błogości, upływały, w końcu minęły maj i czerwiec, i nie pozostawało nic innego, tylko jechać do Karlsbadu, na spotkanie z ojcem... i z Branickimi. Jakoż stanął tam 18 lipca, i stosownie do życzenia ojca, życzenia równego rozkazowi, zaczął przestawać z Branickimi, z panną Elizą. „Są tu Braniccy, pisał 27 lipca do Sołtana; tą razą nie spisałem się, jak niedźwiedź; owszem, rozmawiałem długo z panną Elizą. Zdaje się, że słodka i dobra bardzo osoba. Życzę jéj z serca, by była szczęśliwą na ziemi.” Byle z kim innym, nie z nim!

II.

W tych kilku słowach Krasińskiego o pannie Elizie Branickiéj, że zdaje mu się być „słodką i bardzo dobrą osobą”, jest cała jéj charakterystyka; słodycz bowiem, w połączeniu z anielską dobrocią, były głównemi pierwiastkami psychicznemi, jakie się złożyły na ten charakter, prawdziwie wyjątkowy pod wieloma względami, a niepospolity pod każdym. Jedna to z najpiękniejszych postaci niewieścich polskich, jakiemi się w ostatnich czasach nie tylko nasza arystokracya pochlubić może. Urodzona w Tomaszpolu na Wołyniu, w r. 1820, jako córka senatora Władysława hr. Branickiego i Róży z hr. Potockich *primo voto* Antoniowéj hr. Potockiéj, miała obecnie lat dwadzieścia, a obok wielu przymiotów duszy, jakiemi się odznaczała, posiadała jeden — zewnętrzny — który ją cechował przedewszystkiem: była piękną, jak rzadko, poprostu zdumiewająca, nieprawdopodobna [1]); stała

[1]) W bardzo trudném położeniu znajduje się ten, kto się kusi o nakreślenie moralnéj i fizycznéj sylwetki panny Elizy Branickiéj (pani Krasińskiéj) po prof. St. Tarnowskim, którego wizerunek pani Krasińskiéj, skreślony w książce o Zygmuncie Krasińskim (Kraków 1892, str. 445—451), jest ostatniem słowem literackiego pastelu. Wobec tego nie weźmie mi nikt chyba za złe, jeżeli nie czując się na siłach do skréślenia lepszego wizerunku przyszłéj pani Krasińskiéj, trzymać się będę wiernie prof. St. Tarnowskiego, i jeżeli z przepysznego, prawdziwie Van-Dyckowskiego portretu, jaki on nakreślił w swéj książce, pozwolę sobie tutaj... sporządzić kopię, która têm będzie lepsza, im będzie wierniejsza, z tą różnicą jedynie, że prof. St. Tarnowski skreślił portret *pani Krasińskiej*, kiedy ja—w têm miejscu—nie chcąc uprzedzać wypadków, na razie, uważam za stosowniejsze dać wizerunek tylko *panny Branickiej*, takiéj, jaką mogła być w chwili, kiedy ją teraz, w roku 1840, widywał w Karlsbadzie Z. Krasiński. Uważam, że tak będzie właściwiéj, ze względów psychologicznych. Jaką była pani Krasińska późniéj, jako *pani Krasińska*, o têm powiem w stosownêm miejscu. Teraz t. j. aż do r. 1843 obchodzi nas tylko *panna Branicka*.

między ludźmi, niby jakieś nadludzkie, nieziemskie zjawisko, najpiękniejsza wśród najpiękniejszych, pomimo, że epoka, o któréj mowa, dziwnie była obfita w piękności pierwszego rzędu. Brunetka, o włosach czarnych, jak heban, a lśniących jak atłas, które tém były piękniejsze jeszcze, że stanowiły przepyszny kontrast ze śnieżno-białą, idealnie świeżą, matową, iście brzoskwiniową cerą; o rysach regularności doskonałéj, klasycznéj, bez zarzutu; o prześlicznym, bardzo rasowym, a dosyć wydatnym nosie; o kształtnych nadzwyczaj, delikatnych ustach, których największą ozdobą był przedziwny uśmiéch, łagodny, trochę smutny, a niewypowiedzianie słodki i wdzięczny, uśmiech, który był jednym z najcharakterystyczniejszych rysów téj piękności; o pięknych, czarnych, przecudownie oprawnych, pełnych wyrazu, bardzo żywych i inteligentych oczach, którym jeżeli można było coś zarzucić, to chyba to jedynie, że w stosunku do innych rysów mogły by być cokolwieczek większe; postawy okazałéj, wysokiéj i kształtnéj, jakby wyszła z pod dłuta rzeźbiarza; o ruchach powolnych, wykwintnych, pełnych harmonii, gracyi i jakiéjś wrodzonéj estetyczności; o głosie dźwięcznym bardzo, raczéj cichym, a mowie łagodnéj, nieprzyspieszonéj, a jeśli rozweselonéj śmiechem, to nietrwałym, przelotnym, ale pogodnym i jasnym, a pełnym srebrzystego dźwięku: była to istota fenomenalna poprostu, jako uroda niewieścia, która bezwiednie i mimowoli czarowała — i czarować musiała — każdego, ktokolwiek zbliżył się do niéj, ktokolwiek ją ujrzał. Zwłaszcza, że pod tą uroczą powłoką niemniéj piękna przemieszkiwała dusza, *eine schöne Seele* w całém tego słowa znaczeniu. Niepospolicie inteligentna i bardzo wrażliwa z natury; o wyobraźni bujnéj i poetycznéj, nie twórczéj wprawdzie, ale, jak każda wyobraźnia niewieścia, więcéj biernéj, aniżeli czynnéj, głównie skłonnéj do idealizowania ludzi i rzeczy; z niesłychaną łatwością do nauki; z umysłem subtelnym, bystrym, bogato wyposażonym w zdolność spostrzegawczą; ze zmysłem artystycznym wrodzonym, bardzo trafnie oceniającym wszystko, co miało związek z literaturą i sztuką; z niemałym talentem literackim, który z jéj listów, zawsze bez namysłu, pobieżnie pisanych — po francusku lub po polsku — czynił w swoim rodzaju małe klejnoty lekkiego stylu, humoru, dowcipu i bystrych, bardzo mądrych nieraz spostrzeżeń i uwag [1]; bardzo

---

[1]) W roku 1861 — opowiada prof. St. Tarnowski — wyszedł bezimiennie w jednym z dzienników francuskich jéj list o ówczesnych wypadkach warszawskich (bardzo obszerny, prawie mała broszura), napisany tak doskonale, z takiém życiem i z takim wytrawnym sądem politycznym, że zrobił wrażenie nawet na francuskich czytelnikach. Szukano autora między głośnymi publicystami, domyślano się zamaskowanego Prévost-Paradola, albo Klaczki; tymczasem, autorem była pani Krasińska (już wówczas, od półtora roku, *Ludwikowa Krasińska*).

oczytana, zwłaszcza w poezyi ówczesnéj, któréj miała znajomość najgłębszą; a przytém, z usposobienia, uczuciowa i egzaltowana — egzaltowana trochę pod wpływem ówczesnéj romantycznéj mody — szczera, choć umiejąca zawsze panować nad sobą i nie zdradzać się z uczuciami, jakich doznawała, jeżeli tego nie uważała za stosowne: posiadała wszelkie warunki po temu, ażeby być interesującą i miłą w rozmowie i obejściu, ażeby się podobać mężczyźnie, choćby tym mężczyzną był nawet wielki poeta, jak Krasiński.

Niestety, Krasiński, mając sobie nakazane przez ojca być z nią uprzejmym, nie chciał w niéj uznać tych wszystkich zalet, ani zewnętrznych, ani wewnętrznych: tak dalece, że nawet nie zdawał się zwracać uwagi na jéj piękność, jakby jéj nie dostrzegał, jakby był na nią ślepy. Jakoż był na nią ślepy rzeczywiście, albowiem nie chciał jéj widziéć; nie chciał przyznać, że to była panna pod każdym względem idealna i jakby stworzona na żonę dla niego. Nie chciał tego przyznać żadną miarą, choćby dla téj prostéj przyczyny, że za dużo się o niéj pochwał nasłuchał od swego ojca, który się zachwycał jéj przymiotami, jéj powierzchownością, który w niéj gwałtem chciał widzieć swoją synowę. Zygmunta to drażniło i dlatego był odrazu uprzedzony na niekorzyść panny. I nie można mu się dziwić do pewnego stopnia: był zakochany w Delfinie, nic naturalniejszego więc, jak to, że ona jedna tylko robiła na nim wrażenie, że ona jedna tylko działała mu na wyobraźnię i na zmysły (które w tym stosunku wcale nie poślednią grały rolę), że na porównaniu z nią musiała w jego oczach tracić każda kobiéta, nie wyłączając panny Elizy Branickiéj, która témbardziéj mogła nie robić na nim wrażenia, że mu ją narzucano, a przynajmniéj mu ją narzucał jego ojciec.

Bo o jéj rodzicach powiedziéć tego nie można. Im zdaje się na Krasińskim nie zależało tak bardzo, co da się także zastosować i do panny, która bynajmniéj nie była w Krasińskim zakochana od pierwszéj chwili. Przeciwnie... Ceniła w nim wprawdzie i podziwiała autora *Irydiona* i *Nieboskiéj*, mogła nawet w rozmowach z młodym poetą niemałą znajdować przyjemność, ale na tém koniec: człowiek mógł się jéj mniéj podobać: raz dlatego, że przystojnym nie był wcale, że pomimo młodego wieku — bo liczył sobie dopiéro lat 28 — wyglądał na znacznie starszego i bardzo przeżytego; a powtóre, że chcąc się podobać kobiecie, trzeba się o to starać cokolwiek; on tymczasem — jeżeli wierzyć temu, co pisał w listach do przyjaciół — czynił zdaje się ze swojéj strony wszystko, przynajmniéj teraz, w Karlsbadzie, ażeby na pannie żadnego nie robić wrażenia: poprostu najmniejszéj do tego nie przywiązywał wagi, jaką ona sobie o nim wyrobi opinię. Ona zaś, ze

swéj strony, także nie myślała mu się narzucać. Stosunek z nim uważała za zwyczajną znajomość, nic więcéj. Wiedziała, co jest warta, i sama się o czyjeś względy dobijać nie uważała za potrzebne: zwłaszcza w tym razie. Wiedziała, że był zakochany w innéj, wiedziała nawet o jego przykrym stosunku z ojcem, wiedziała—prawdopodobnie od niego samego—co myślał o małżeństwie, a wobec tego dziwić by się jéj raczéj należało, gdyby się przy spotkaniu z nim nie zachowywała obojętnie, grzecznie i z szacunkiem, jaki się należał autorowi *Irydiona*, ale chłodno i zdaleka.

Tak upłynęły Krasińskiemu w Karlsbadzie trzy tygodnie, od 12 lipca do 10 sierpnia, którego to dnia zwracając drogę na Marienbad i Monachium, puścił się z powrotem do Włoch, „do słońca mego (jak powiada) do gwiazd moich, do kwiatów moich, do mórz moich z *lapis-lazuli.*" W tydzień niespełna, 15 sierpnia [1]), był już w maleńkiem miasteczku włoskiém Varenna, położoném nad jeziorem Como, w willi Melzo, przy boku Delfiny, w uniesieniach namiętnéj miłości, „koło śnieżnych granitów Alp, otoczonych ciemnym szafirem nieba — nieba włoskiego—i opromienionych srebrnym blaskiem księżyca." Chwile te, spędzone w towarzystwie ukochanéj — zdaje się we dwoje tylko — znalazły swe nieśmiertelne echo w *Przedświcie*, zaraz w pierwszych wierszach poematu:

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem,
Czy pamiętasz Alp granity? i t. d.

W takich warunkach, nie dziw, jeżeli zapomniał o niedawnych kłopotach karlsbadzkich, o ojcu i pannie Branickiej, i jeżeli w pani Delfinie widział swoją Beatrice, któréj zawdzięczał wszystko szczęście, jakiego doznał w życiu, a która go wybawiła z otchłani zwątpienia i rozpaczy.

Zimę spędził poeta w Rzymie, znowu razem z panią Delfiną, która dopiéro po karnawale opuściła wieczne miasto, pojechawszy do Neapolu [2]). Karnawał ten, jeden z najpyszniejszych, jakie pamiętano,

---

[1]) Tego dnia napisał już Krasiński wspaniały wiersz do „serca w samotnéj żałobie" (o pani Bobrowéj), poprzedzający *Noc letnią*, a pod którym sam poeta napisał: „Varenna, 1840, 15 sierpnia." Rzecz godna uwagi, że w chwili téj, kiedy miłość jego dla pani Delfiny dobiegała swego kulminacyjnego punktu, poeta pisze *przy jéj boku* wiersz, w którym opiewa... panią Bobrową.

[2]) Zob. listy do St. Małachowskiego, list z Rzymu, z d. 22 lutego 1841 r.

dostarczył Krasińskiemu nowego szeregu najpoetyczniejszych wrażeń. Ciepło było, jak w maju; z okien, wychodzących na *Corso*, sypał się na przejeżdżające ulicą, a kwiatami udekorowane powozy, „deszcz fijołków, grad cukierków.” Choć febry co trzydniowéj dostałem — pisał Krasiński do Małachowskiego—jeździłem po tém morzu masek, by oczy mechanicznie przymusić do patrzenia na coś *zewnętrznego*, niepodobnego do myśli *wewnątrz* się snujących. Musiały to być myśli o przyszłości, o naleganiach ojca. Bo że na teraźniejszość, na chwilę bieżącą, nie miał się powodu uskarżać, dowodem listy z tego czasu do przyjaciół: do Sołtana i Małachowskiego. „Zawczoraj skończył się karnawał, pisał np. do pierwszego z nich dnia 25 lutego; przypomniał mi dawne czasy, owe dni 1835-go, kiedy ty z przyłbicą drucianą i procą płócienną, pełną pocisków tynkowych, prosty jak sosna wysmukła, szedłeś na przebój przez *Corso* z wiośnianém tchnieniem w sercu, rzucając w prawo i w lewo fijołki i *confetti*. Otóż — tego roku—dziwnie piękna pogoda przyświecała ostatkom. *Moccolett'a* pyszne, a zajadlejsze, niż kiedykolwiek, były. Posprawiał sobie *populus romanus* ogromne tyki do gaszenia stoczków w powozach i na gankach; las takich dzid unosił się nad *Corsem*; pisku, wrzasku do ogłuchnięcia. Ponure myśli starałem się na chwilę zdusić pod gradem cukierków, pod deszczem kwiatów. Lecz znikł karnawał, jak sen, i t. d. i t. d.” Niemniéj plastyczny opis tego karnawału znajduje się w liście do Małachowskiego z dnia 22 lutego: „Szkoda, żeś z nami nie pozostał (w Rzymie); byłby ci tegoroczny karnawał przypadł do smaku, byłbyś kwiatami obrzucon. Ankwiczów dom nie posiada się od żalu. Maskują się, a że maski czarne, wydaje się im, że to żałoba. Pani D(elfina) każe ci się serdecznie kłaniać.” Wśród podobnych rozrywek, rzuconych na takie romantyczne tło, schodził Krasińskiemu czas z panią Delfiną w Rzymie.

To też, kiedy z nastaniem postu wyjechała do Neapolu [1]), do siostry, i poeta został sam, za towarzysza mając jedynie — pomysł *Przedświtu*, z którym się już nosił, humor jego pogorszył się znacznie, albowiem samo korespondowanie z panią Delfiną, choćby najczęstsze, nie wystarczało mu, nie zadawalniało go: tylko, kiedy był przy niéj, z nią, czuł się szczęśliwym i względnie zadowolonym z życia; ona bowiem, swoim śpiewem, swoją miłością, potrafiła rozpędzać owe czarne jego „myśli wewnątrz się snujące”; ona jedna umiała sprawić, że zapominał o wszystkiém, co go czekało prędzéj czy później.

---

[1]) List do Małachowskiego z Rzymu, z d. 2 kwietnia 1841 r.

Tymczasem przekonany był, że cokolwiek stać się z nim może, stanie się na jego nieszczęście i zgubę [1]); wiedział, że mu się życie łamało, że mu się droga z pod stóp wycofywała, że przyszłość, jaka go czeka, może dlań być jedynie goryczy pełną [2]). Przeczuwał to, przeczuwał, że spotkawszy się wkrótce z ojcem, wzywającym go znowu do Karlsbadu, (pewno dlatego, że się tam znowu spodziewał Branickich) będzie musiał raz jeszcze słuchać zaklinań, próśb i złorzeczeń, nakłaniających go w kierunku małżeństwa, wymuszających na nim, żeby się żenił, żeby zerwał stosunki z Delfiną, żeby zaniechał ostatecznie tego trybu życia, jaki prowadził dotychczas, t. j. żeby się raz na zawsze wyparł swojego *ja*, żeby przestał być sobą samym, ale „rozdwojonym i przy poczuciu się do tego rozdwojenia dążącym, by jaknajrychléj to tragiczne *fatum* zakończyć.” Będąc pewny, że tylko taka, nie inna, czekać go może przyszłość, z góry jéj nienawidził, — bo „Bóg mię do niéj nie stworzył — skarżył się przed Sołtanem, — a ludzie mnie w nią wpychają.” A na nieszczęście brak mu było zupełnie téj cnoty, która jest największą wśród chrześciańskich cnót: rezygnacyi. Pod tym względem, mówił, był poganinem zupełnym; poganinem o tyle przewidującym, że wobec zbliżającéj się próby, przez brak właśnie pokory i submisyi, nic innego czekać go nie mogło, tylko rozbicie, zguba. Dlatego od dwóch miesięcy już — spowiadał się przed Sołtanem — codzień Boga gorąco o śmierć błagam, bo chciałbym umrzéć przed dotknięciem się świata; rzeczywistość albowiem jego taka brudna i skalana, że ten tylko białe ma ręce, kto zdołał się na niéj nigdy nie opiérać. Unieść bym chciał siebie samego niepokalanym stąd do wieczności.

A gdyby umarł istotnie, jedyném pragnieniem, jakieby miał przed śmiercią, byłoby: umrzéć na ręku ukochanéj.

Chciałbym być z tobą w ostatniéj godzinie,
I cicho konać na twym ręku droga.

A skoro umrę,

Wszystkie, co kochasz i com ci przynosił
Za życia kwiaty, oddaj umarłemu!
Pomnij, żem o nie, zasypiając, prosił,
I rzuć je wieńcem na głowę śpiącemu! [3])

---

1) List do Sołtana z Rzymu, z d. 21 czerwca 1841 r.

2) List do Sołtana z Monachium z d. 24 września 1841 r.

3) Wiersz ten nosi datę: „Roma 26 maja 1841 r.“ Zob. „Pisma Zygmunta Krasińskiego.“ Lwów 1890, t. III, str. 58—60. Dodać winienem, że wiersza tego w wydaniu lwowskiém pism poety nie przedrukowano w całości, tak, jak był pierwotnie wydrukowany w „Tygodniku Illustrowanym“ z dnia 1 sierpnia 1868 r.

To poetyczne wyznanie, napisane w Rzymie d. 26 maja 1841 r., przesłał Krasiński w liście do Neapolu pani Delfinie, z którą korespondował nieustannie, a któréj w miesiąc późniéj, już na wyjezdném z Rzymu, przesłał inny wiersz, w tych czasach napisany (24 czerwca 1841), wiersz, brzmiący zdaniem prof. St. Tarnowskiego, jakby finał szczęścia—nie miłości—a w którym się kochanek pani Delfiny spowiadał niejako przed Bogiem ze swoich uczuć, prosząc Go, żeby mógł zostać dla swéj narzeczonéj, a z czasem żony, tém, czém być — powinien.

Niech rząd dusz ludzkich innym się dostanie,
Ja jedną tylko chcę zbawić na ziemi,
Tę jednę tylko, co, gdy skonam, skona [1]),
A gdy żyć będę, ze mną zmartwychwstanie;
Bo mi na wieki dana, powierzona,
Boś Ty mą siostrą uczynił ją Panie!
Więc mnie wysłuchaj, miłosierny Boże!
Idę w świat straszny, gdzie miłości nié ma...
Daj mi spokojność i siłę olbrzyma
A duch mój wtedy téj duszy pomoże!

Czemu? Prawdopodobnie dlatego, że w opuszczonych strofach znajdują się takie wiersze np.

Rwij mnie, bierz, rwij mnie, przyczepiaj do skroni,
Co ciało zdoła, to ciało da tobie;
Nic się już z niego nie zostało w grobie,
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni.

I duch mój czeka, aż ta woń powróci,
Przez smugi niebios niesiona wichrami
I znów go ciałem dokoła obrzuci,
Lecz innèm, światłem spólném z aniołami.

Przenoś więc daléj na téj dziwnéj drodze
Z głębin grobowych do jasnego nieba
Wszystkie te kwiaty, które w grobie rodzę:
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba

Na piersi twojéj... i t. d., i t. d.
(Zob. „Tygodnik Illustr.“ z dnia 1 sierpnia 1868 r.).

Gdyby to wydanie lwowskie Pism Krasińskiego przygotowywał do druku Molierowski Tartuffe, nie dziwiłbym się, że te wiersze opuścił; o ile wiem jednak, z przedmowy wydawców do III tomu, zajmował się tém kto inny...

[1]) Jeżeli Krasiński przez tę „siostrę“, co skona, gdy i on skona, rozumiał panią Delfinę, to mylił się bardzo: pani Delfina bowiem, po śmierci Krasińskiego, ani myślała pójść za nim, „skonać, gdy on skonał.“ Rzecz się miała inaczéj zupełnie. Oto, co o jéj życiu po śmierci Z. Krasińskiego pisze X. Jan Gnatowski: Beatrice? Beatrice nie umarła i nie odczuła wcale ciosu tego silniéj, niż wymagała jéj

Niech wśród męczarni stanę się aniołem,
By cień mych skrzydeł pływał nad jéj czołem
I wiecznie, wszędzie ochładzał jéj skronie!...
I niósł ją lekko po nad życia tonie!
Choć sam z nadziei i z szczęścia wyzuty,
Choć sam rozdarty, przebity, przekłuty,
Niech będę dla niéj, jak żywa opieka,
Czémciś na ziemi — zblizka czy zdaleka —
Jak duch świętego i serce człowieka:
Wszelkiego bólu pociechą, osłodą!

Czy pani Delfina Potocka — jeżeli przeczytała te słowa — mogła być z nich zadowoloną? Cokolwiekbądź, był to pierwszy wiersz, napisany przez Krasińskiego z myślą o Elizie, wiersz, pełen szlachetnych porywów i intencyi, a tak piękny, taki rzewny, taki podniosły uczuciem rezygnacyi — choć była to rezygnacya zrodzona w wyobraźni jedynie — że nie byłoby dziwném, gdyby się pani Delfina okazała zazdrosną o tę myśl Zygmunta, myśl, w któréj on z góry już godził się ze swém położeniem, myśl, która i w tém nowém położeniu — o ile do niego przyjść miało — pozwalała mu się w bardzo poetyczném widzieć świetle, która była jakby odkryciem, że nawet w tak prozaicznéj roli, jak rola męża, można być poetycznym, wzniosłym, romantycznym. Bo zaprzeczyć się nie dało, że poeta, w chwili, kiedy ten wiersz pisał, mimowoli musiał się podziwiać trochę w téj roli męża Elizy, męża który, choć nie kocha swojéj żony, bo kocha inną, jest dla niéj mimo

---

rola, przyzwoitość i względy światowe. Imię Zygmunta zostało wprawdzie na jéj ustach, ale nie wiem, czy nie dlatego, że z tém imieniem wiązała się promienna aureola nieśmiertelnéj sławy, któréj złociste odbłyski padały i na nią także. Zresztą życie jéj odtąd upłynęło aż do niedawnego zgonu (1877) zupełnie spokojnie, pogodnie i podobno — aż nadto wesoło. Śmierć Krasińskiego nie zrobiła w niém żadnéj zmiany. (Moja Beatrice, „Niwa“ 1879). Jeżeli zrobiła jaką zmianę, to tę chyba, o któréj pisze prof. St. Tarnowski w swojéj gorzkiéj krytyce życiorysu pani Delfiny, skreślonego p. t. „Beatrice“ przez D-ra Antoniego J. Czytamy tam między innemi, co następuje: „Stosunek (pani Delfiny) z Krasińskim i jego żoną przedstawiony jest w szkicu mylnie, bo jednostronnie; oparty (domyślamy się) głównie na własnych zeznaniach pani Delfiny. W jéj życiorysie zaś, jeżeli miał być dokładnym, brak jest stosunku z Pawłem Delaroche. Czyżby autor nie był nigdy słyszał o téj miłości, w swoim czasie tak głośnéj?“ („Słowo“ z d. 21 listopada 1890 r. „Z życia poety“). Z najświeższéj pracy prof. St. Tarnowskiego o „Księżnéj Marcelinie Czartoryskiéj“ dowiadujemy się, iż stosunek pani Delfiny Potockiéj z Pawłem Delaroche zaczął się w Nicei już w r. 1851, w czasach więc, kiedy stosunki z Krasińskim jeszcze były dalekiemi od zupełnego zerwania. Że się to jednak w niemałym stopniu do ochłodzenia stosunku z Krasińskim przyczynić mogło o tém nie wątpię.

to idealnie dobrym, czułym, wyrozumiałym, poświęcającym się. Taka szlachetność nie była pozbawiona poetyczności; kto wié nawet, czy taki mąż nie był poetyczniejszym, mniéj banalnym, a bardziéj interesującym, aniżeli taki mąż, jak hrabia Henryk z *Nieboskiéj komedyi*, który dlatego, że nie kocha żony, unieszczęśliwia ją; to miało cechy pospolitości, egoizmu, który nigdy poetycznym nie jest; kiedy, przeciwnie, taki mąż zrezygnowany, który choć nie kocha żony, czyni wszystko, ażeby jéj tego nie dać poznać po sobie; który „choć sam z nadziei i z szczęścia wyzuty", stara się być dla niéj „wszelkiego bólu pociechą, osłodą"; taki mąż nie jest prozaicznym, przeciwnie, on jest bardzo, bardzo poetyczny, poetyczniejszy nawet, aniżeli nim może być kochanek pięknéj rozwódki, choćby takiéj nawet, jak pani Delfina.

I kto wié, czy się Krasińskiemu nie zaczęła uśmiechać chwilami ta rola szlachetnego męża Elizy, rola, poetyczna swą dramatycznością i niezwykłością, rola, mogąca być źródłem nowych całkiem, a nieszablonowych wrażeń i wzruszeń. Kto wié, czyby nie było dobrze — i poetycznie — uledz woli ojca i zastosować się do niéj. Mnóstwo względów przemawiało za tém, a między innemi i ten, że takie poświęcenie, taka uległość, takie staropolskie posłuszeństwo synowskie, także nie było pozbawione poetyczności. Inne względy były prozaiczniejsze. Do tych należał ogromny, kilkumilionowy posag panny, mogący dać najzupełniejszą niezależność od ojca, który obecnie synowi swemu nie zawsze dawał tyle, ile ten potrzebował. Bo że panna Branicka była „osławioną z p o s a g u panną", o tém trudno było nie pamiętać [1]), zwłaszcza, kiedy się tak, jak on w ostatnich czasach, wciąż było „i jak anachoreta, i jak Endymion, to jest gołym."

Ledwo miał tyle, że przed wyjazdem do Niemiec, dla spotkania się z ojcem, mógł pojechać na kilka dni do Neapolu, do pani Delfiny, ażeby w jéj objęciach zapomnieć o tych czarnych, r o b a c z y w y c h myślach, które, zatruwając mu życie, o ciągłe od paru miesięcy już przyprawiały go *spleeny*.

W Neapolu, gdzie zabawił do 8 lipca, upłynęło mu tych kilkanaście dni, jak zawsze, kiedy miał Delfinę przy sobie, w taki sposób, że go urocze wspomnienia téj bytności u stóp Wezuwiusza prześladowały jeszcze w Monachium, skąd pisząc dnia 18 lipca do Sołtana, całą pierwszą połowę listu zabarwił błękitami zatoki Neapolitańskiéj, ogrzał

---

[1]) Zob. list do Sołtana z Genui 5 grudnia 1845 r. Pisze tam Krasiński o swojéj żonie *à propos* jakiejś rozmowy o niéj z jakimś Niemcem: „Dość komiczne było spotkanie, osobliwie zdziwienie Niemca, iż człowiek w tak niesutéj burce i furażce pomiętéj, może miéć tak blizką styczność z ową o s ł a w i o n ą z p o s a g u p a n n ą!"

ciepłem promieni tamtejszego słońca. „Przed dziesięciu dniami wypłynąłem z Neapolu; woń kwiatów goniła mnie aż na statek parowy, aż na środek morza; a pamięć światła i błękitów tamtejszych goni mnie aż tu, pod tém czarném niebem, skąd nieprzerwany deszcz się leje i w błoto ziemię zamienia. Na szczycie Alp pożegnałem słońce!... Łzy mi się cisną do duszy, gdy wspomnę o téj zatoce z lapis-lazuli, z któréj niedawno wypłynąłem. By zastąpić słońce Włoch, trzeba słońca duchowego; ale kto nie dostał takiéj gwiazdy promiennéj w dziale, ten rad nie rad, otoczony nieba ołowianego widnokręgiem, tęskni za owém porzuconém, gdzie tyle gwiazd mu świeciło." Tych gwiazd oczywiście, z chwilą, kiedy się rozstał z Delfiną, nie widział na swojém niebie; nie widział ich zwłaszcza, kiedy się razem z ojcem i Danielewiczem znalazł w miejscowości kąpielowéj Wildungen, gdzie spędził parę tygodni na rozmowach „poważnych, rozumnych a smutnych", i gdzie jedyną oazą wśród téj pustyni, smaganéj wichrem i deszczem — bo ciągle mieli tu dészcz i słotę — były wspomnienia ostatniéj bytności w Neapolu. Niestety, kontrast, jaki z temi wspomnieniami stanowiła rzeczywistość, był bardzo rażący i dość przykry pod wielu względami, nawet pod względem zewnętrznym. „Żeby nie rezeda, zapomniałbym, że są wonie na świecie..." Tu mimowoli myślał o owéj woni, która go ostatniego dnia w Neapolu odprowadzała aż na statek parowy. „Żeby nie zapałki fosforyczne, zapomniałbym, że światło świeci w naturze. Księżyc tutejszy ma się do Neapolitańskiego, jak Jaxa do Danta; a w gwizdach wiatru coś złowrogiego się odzywa: rzekłbyś, że twój pogrzeb własny niewidzialnie przeciąga przez powietrze" [1]). Ale były względy inne, gorsze nierównie, które motywowały te myśli o pogrzebie własnym: to owe rozmowy z ojcem, który się tym razem postanowił rozmówić z synem ostatecznie i który w końcu wymógł na nim to, że dnia 1 września znaleźli się obadwaj w Dreznie. Czy zastali tutaj Branickich? W listach poety niema o tém wzmianki, ale są dowody, że się poeta czuł teraz w tém mieście bardzo nieszczęśliwy; że pomiędzy nim a ojcem doszło do scen, które o ile przechyliły zwycięstwo na stronę jenerała, o tyle nie obeszły się bez łez z jego strony; że poeta, poruszony temi łzami ojca, ustąpił koniec końców; że zdecydował się po długich walkach być posłusznym jego woli, t. j. że mu przyrzekał ożenić się. Z kim? Oczywiście z panną Branicką. Bo że o nią tu chodziło, za tém — obok logiki faktów — przemawia już to samo chociażby, że się te sceny rozgrywały w Dreznie. Tém się tłómaczy list Zygmunta do Gaszyńskiego, pisany z Dre-

[1]) List do Gaszyńskiego z Wildungen d. 7 sierpnia 1841 r.

zna w dniu 1 września 1841 r., a pełen aluzyi do smutnych okoliczności, jakie się na tę bytność poety nad Elbą w tym czasie złożyły. „Ile łez (czytamy tam), goryczy, kolców w tém życiu, nikt nie wié, jedno ten, który w danéj chwili płacze, w danéj truciznę pije, w danéj cierniami się krwawi. Nikt o drugim sądzić, ni wyrokować nie może, bo nikt nie jest drugim, a ten tylko może czuć, co mu dolega, kto to czuje i komu dolega. Najsmutniejszą dobą, najnieszczęśliwszym charakterem, jest: miéć potężne władze umysłowe, a nigdy spokoju ducha, nigdy pogodzenia z samym sobą, w samym sobie. Rozerwanie między rozumem a sercem jest to właśnie, co wniósł wąż na ziemię, kiedy Ewie poradził zjedzenie jabłka. Odtąd na to wielkie rozerwanie choruje ludzkość, a indywidua, które, wykształciwszy wysoko obie te strony walczące, żyją na ciągłym placu boju, im żartszy posiadają rozum i tkliwsze serce, tém pewniéj niszczeją, tém w zgubę pewniéj porwanemi są! Młodość zwykle bywa przeważką serca, starość — rozumu, a wiek średni — równowagą ich. Tego ostatniego już dotykam, a serce nie chce się uśpić, może nie tak już namiętne, ale za to czulsze, rzewniejsze. Nie znam okrutniejszéj potęgi nad człowiekiem, jak widok łez czyich (cóż dopiéro, jeśli, jak w danym razie, będą to łzy ojca, płaczącego z powodu syna!). Czegobyś nie uczynił pod kata toporem, to za łzę jedną uczynisz" [1]). Pisząc to, miał Krasiński na myśli siebie i swoje ostatnie zajście z ojcem, który go ostatecznie — rozbroił łzami. Stało się! Jakkolwiek nie potrafił sobie wyobrazić życia, w którém miejsce Delfiny miała zająć inna kobiéta, niekochana, narzucona; jakkolwiek nie wiedział jeszcze, czy zdobędzie się na tyle siły, ażeby dotrzymać danego słowa, przyrzekł ojcu, że się ożeni z panną Branicką, jeżeli taka jego wola, że zacznie się o nią starać, pod warunkiem jednak, że nie będzie zmuszony czynić tego zaraz, że mu ojciec do 30 roku da najzupełniejszą wolność, że dopóki nie skończy lat 30, będzie mógł żyć, jak chce, gdzie chce, z kim chce. Za to, jak skończy lat 30, natychmiast zacznie się starać o pannę Branicką i — zerwie z Delfiną. Jenerał, uradowany, że w końcu otrzymał od syna przyrzeczenie, iż się ożeni z panną Elizą, zgodził się na ten warunek i sprawa, choć „pełna wstrętu" dla Krasińskiego, została w ten sposób załatwioną. Nie było innego z niej wyjścia. „Rozpacz ojca (pisał o tém Krasiński do Sołtana), zwątlone jego zdrowie, zmusiły mnie! Nie miałem czém sił i życia mu poddać: jedyne to lekarstwo było dla niego. A więc? co było robić? Czyż ojca zabijać? I tak już tyle rąk go zabijało! Czyż i z mojéj dłoni ostatnie, najgłębsze cięcie

---

[1]) List do Gaszyńskiego, Drezno 1 września 1841.

miało paść mu na serce? Nie, nie! Gdym ujrzał, że doprawdy tém tylko ratować i krzepić go mogę, westchnąłem ciężko, alem postanowił siebie zabić, jeśli mnie co zabić zdoła, a jego wskrzesić, jemu radością życia naddłużyć!" [1]).

W Dreznie zabawił Krasiński parę dni tylko [2]), co upoważnia do przypuszczenia, że Branickich nie było nad Elbą, że bawili o téj porze w Karlsbadzie, dokąd się téż jenerał udał z synem, częścią dla nich, częścią dla tego może, aby się spotkać z Branickimi. Wszak spotkali się tam z nimi w roku zeszłym, o tym samym czasie mniéj więcéj. Bo gdyby ich zastali w Dreznie, może by się tu zatrzymali dłużéj, aniżeli trzy dni.

Cokolwiekbądź, zabawił Krasiński w Karlsbadzie około dwóch tygodni; stamtąd udał się z ojcem „safandulnie" do Töplitz, i tutaj, jak się zdaje, nastąpiło rozłączenie: jenerał został, żeby po odbytéj kuracyi wrócić do Warszawy; Zygmunt zaś, umęczony towarzystwem ojca, które dlań wogóle, a teraz w szczególności, wcale nie posiadało uroku, puścił się na południe do Monachium (uczynił to dla Danielewicza, który tu miał narzeczoną, panią Delfinę Heel Handly). Ale i nad Izarą nie zabawił długo, lecz, opuściwszy Danielewicza, pojechał do Frankfurtu i Cassel. Po co? W jakim interesie? Tajemnica. Kto wié jednak, czy ta podróż nad Ren nie pozostaje w związku z panią Delfiną Potocką?... W każdym razie, dnia 14 października znów był z powrotem w Monachium, przy Danielewiczu. Ale i tym razem nie przyjechał tu na długo. Po upływie kilku dni był już w Szwajcaryi, sam jeden, ażeby wytchnąć po wszystkiém, przez co był przeszedł ostatniemi czasy. „Potrzebowałem wytchnąć, potrzebowałem być sam, zupełnie sam, i odświeżyć się wśród skał i borów, i kaskad, które o zabiegach świata tego nic nie wiedzą, jedno żyją w przyrodzonéj piękności, tak, jak Bóg je stworzył. Nie możesz pojąć, co to jest, przebywszy dwa miesiące w ciągłych kłopotach, wreszcie odzyskać nieco wolności: zda się, że człowiek narodził się na nowo! zda się, że niebo *niebieściejsze*, a jesień zieleńsza od wiosny!" W takiém usposobieniu wałęsał się, jak powiada, po górach, po tych samych, po których niegdyś, mając 18 lat, podróżował z Mickiewiczem (i z Odyńcem, którego nazwiska nie wymienia jednak w liście do Sołtana): był w Zürichu, w Szafhuzie, na Gotardzie. Na Gotardzie szalona burza o mało co nie stopiła go w wielkiéj błyskawicy [3]). Dnia 7 listopada powrócił do Monachium,

---

[1]) List do Sołtana, Monachium, 24 października 1841.

[2]) Zob. list do Gaszyńskiego, Drezno 1 września 1841.

[3]) List do Sołtana, Monachium 10 listopada 1841.

a po upływie tygodnia pisząc do Gaszyńskiego, w taki sposób opisywał mu swoją ostatnią podróż: „Ja przebyłem półtora miesiąca na szczytach gór, nad zwierciadłami jezior, kąpiąc się w słońcu i księżycu, rosnąc w otuchę, że świat stworzony, świat skał i wód, pięknym jest." I pocieszał się, powiada, widokiem tego świata, starając się o ile możności nie myśléć: ani o przeszłości, za którą tęsknił, bo tą przeszłością była pani Delfina; ani o przyszłości, któréj się lękał, bo tą przyszłością była panna Eliza. Natomiast dokładał wszelkich starań, ażeby myśléć o teraźniejszości jedynie, o chwili obecnéj. Ją, jak posąg greckiego Boga, doskonale piękny, choć ściśle skończony, stawiał sobie przed duszą, do niéj się modlił, ją starał się uwiecznić, choć czuł całą jéj znikomość, choć wiedział, co go czeka. Mimo to czuł się rzeźki i pełen nadziei, nie wątpił o sobie i miewał takie chwile, w których był przekonany, że jeszcze może być szczęśliwym, natchnionym, że jeszcze nie umarł wieczną śmiercią ducha. W głowie jego dojrzewał *Przedświt* [1]).

(*d. c. n.*) *Ferdynand Hösick.*

---

[1]) Por. list do Gaszyńskiego. Monachium 18 listopada 1841.



O przyszłéj wojnie.

(*J. G. Bloch:* „Przyszła wojna, jéj ekonomiczne przyczyny i skutki“).

O wojnie dużo się teraz mówi i pisze. Istnieje przekonanie, że przy obecném ukształtowaniu się stosunków międzypaństwowych jest ona nieunikniona, że prędzéj lub późniéj musi nastąpić, a przekonanie to coraz bardziéj zakorzenia się i rozpowszechnia.

Wobec ogromu przewidywanéj katastrofy, wiecznie czynna ciekawość ludzka jeszcze bardziéj wzrasta. Więc ten i ów próbuje uchylić chociażby rąbek zasłony, zakrywającéj przyszłość, ażeby zadowolić własną i innych ciekawość i dać sobie i innym możność przygotowania się w sposób odpowiedni na przybycie Bellony.

Takiéj właśnie roli podjął się u nas p. Jan Bloch, którego pracę, pomieszczoną w „Bibliotece Warszawskiéj” w r. 1893 i 1894 pod wyżéj wskazanym tytułem, ocenić na tém miejscu zamierzyliśmy.

Zaczniemy od wskazania pobudek, któremi się autor kierował, zabierając się do pracy, i celu, który sobie założył: stworzymy w ten sposób ramy, w których wymagania nasze zamknąć będziemy musieli.

Autor „przyszłéj wojny”, jak powszechnie wiadomo, jest z zawodu finansistą i dlatego w wyznaniu wstępném wyjaśnia, jakie powody skłoniły go do napisania dzieła, poświęconego w trzech czwartych wojskowości.

Do napisania studyum wojskowego skłoniło p. Blocha przedewszystkiém założenie pracy: pierwotnym jego zamiarem było wyświetlić, jakie warunki znalazłaby w kraju naszym wojna, ciągnąca z Zachodu, i jakieby zjawiska wywołała, i dopiéro późniéj, przekonawszy się, że jeżeli nie wié się ściśle, co jest wojna, jaką ona będzie, jakie ma środki i jaką metodę, to niepodobna dokładnie wymiarkować jéj skutków, zabrał się on do badań „nad techniką wojny, nad strategiką dzisiejszą i taktyką."

Jako drugi powód, wskazuje autor okoliczność, że współczesny aparat wojny jest bardzo charakterystycznym owocem całéj kultury cywilizowanego świata i dlatego zasługuje na poznanie przez cały ogół, interesujący się biegiem spraw ogólnych.

Celem autora było stworzyć pracę bezstronną, w któréj czytelnik znalazłby ściste i prawdziwe pojęcie o charakterze przyszłéj wojny, o jéj obecnych warunkach, a daléj—zarys główniejszych stosunków politycznych i społecznych, które wpłynąć mogą na przebieg kampanii, wreszcie—wskazówki co do prawdopodobnych jéj skutków. Pracę swą nazywa p. Bloch popularną i przeznacza ją nie dla specyalistów, lecz dla szerszego ogółu naszego społeczeństwa.

Możemy się teraz rozejrzyć w samém dziele: wiemy, co autor chciał stworzyć, zobaczmy, o ile cel zamierzony osięgnął.

Pomijając tymczasowo czysto wojskową część pracy, zobaczmy najprzód, jak się przedstawia przyszła wojna w umyśle autora pod względem swych skutków ekonomicznych.

Badając środki finansowe różnych państw europejskich w stosunku do potrzeb, jakie wytworzy wojna, p. Bloch wypowiada przekonanie, że nawet mocarstwa z najbardziéj bogatym obiegiem monety metalowéj, wobec ogromnych kosztów, które wojna wywoła, będą musiały uciec się do wypuszczenia pieniędzy papiérowych i zaciągania pożyczek wewnętrznych, zaciąganie bowiem pożyczek zewnętrznych podczas wojny okaże się niemożliwem. Ta ostatnia okoliczność, zdaniem autora, na przebieg wojny będzie miała wpływ zaledwie podrzędny, ponieważ kredyt wewnętrzny w różnych swych postaciach, zawsze jest w możności uczynić zadość największym nawet potrzebom i wymaganiom państwa, zwłaszcza, że te ostatnie po wybuchu wojny ograniczą się do wypłaty pensyi i do zaspokajania dostawców żywności i t. p.

Na początku wojny, wskutek panicznego strachu jaki ogarnie mieszkańców całéj prawie Europy, moneta złota wszędzie zostanie wycofana z obiegu, i bilety bankowe będą jedynym środkiem wymiany. Wartość ich, szczególniéj na początku kampanii, wobec niepewne-

go rezultatu walki, we wszystkich krajach, z wyjątkiem może Anglii, zbyt wiele zaufania wzbudzać nie będzie. Lecz chociaż natychmiast po wypowiedzeniu wojny da się uczuć brak pieniędzy, to jednak w dalszym ciągu kampanii, wskutek nadzwyczajnych wydatków na cele wojskowe, cyrkulacya pieniężna w państwie wzrośnie i przystosuje się do nowych warunków, równowaga pomiędzy podażą a popytem na pieniądze wróci, i kurs papiérów publicznych, zwłaszcza tych, których wartość opiéra się na nieruchomościach i dochodach, z powodu wojny zbytnio nie narażonych, może się podnieść.

Siły, w ruch puszczone, powiada daléj p. Bloch, dosięgną w przyszłéj wojnie przerażających rozmiarów. Dziś pod broń powołane zostaną „narody całe", walczyć będzie główny zastęp sił zdolnych do pracy wytwórczéj, i dlatego skomplikowana maszyna życia społecznego odczuje wojnę daleko dotkliwiéj aniżeli w przeszłości. Chcąc złagodzić wstrząśnienie, t. j. chcąc utrzymać wedle możności normalne działanie sił ekonomicznych podczas wojny, należy zawczasu przewidzieć najdotkliwsze ciosy i przygotować się odpowiednio, co autor uważa za zupełnie możliwe, gdyż „wobec dziś już istniejących danych o ruchu towarów, o handlu i przemyśle i produkcyi rolniczéj, można byłoby odtworzyć bardzo blizki prawdy obraz tego, co wybuch wojny w życiu wewnętrzném kraju naszego wywoła." Tytułem przykładu stawia autor kilka „luźnych postulatów": należy, naprzykład, ułatwić właścicielom walorów zachowanie takowych; zaopatrzyć instytucye rządowe, mogące wpłynąć na rozszerzenie kredytu, w odpowiednie instrukcye; ułatwić wymianę korespondencyi handlowéj drogą telegraficzną; otworzyć w banku państwa dla prywatnych instytucyi bankowych i znaczniejszych firm specyalny kredyt, z któregoby one mogły korzystać dopiéro po wybuchu wojny; uorganizować z ludzi zaufania komitety dla ułatwienia armii zaopatrywanie się w żywność i t. d.

Wysnuwając w dalszym ciągu wnioski o skutkach przyszłéj wojny na polu ekonomiczném, p. Bloch przechodzi od kwestyi środków finansowych państw do szczegółowego rozpatrzenia trudności, z jakiemi połączone będzie zaspokajanie głodu i pierwszych potrzeb ludności podczas wojny.

Autor przypuszcza, że w niektórych państwach może się okazać niepodobieństwo ekonomiczne prowadzenia wojny nie z powodu trudności wytworzenia lub wynalezienia środków finansowych na cele wojenne, lecz z powodu pojawienia się w nich głodu i całego szeregu klęsk ekonomicznych, niesłychanie dotkliwych. W szczególniéj przykrém położeniu znajdą się państwa, które, przy normalnym biegu rze-

czy, potrzebują sprowadzać zboże i inne produkta pierwszéj potrzeby dla ludności.

Dostarczycielki powszechne zboża, Rosya i Węgry, chociażby nie potrzebowały same całéj produkcyi własnéj, to wobec zajętych przez wojnę granic, jednym nie będą mogły, drugim nie będą chciały nic użyczyć, transporta zaś morzem z Ameryki i Indyi uniemożliwi „piraterya, która się rozwinie na wielką skalę i wszelką komunikacyę ze spichrzami zaoceanowemi jeżeli nie przerwie całkowicie, to w każdym razie utrudni niesłychanie."

Zdaniem p. Blocha, który jednak nie powołuje danych, na których opiéra swe obliczenia, produkcya własna zboża wystarczy w Niemczech na 311 dni, we Francyi na 333, w Anglii na 187, we Włoszech na 283, produkcya zaś owsa — w Niemczech na 346 dni, we Francyi na 344 dni, w Anglii na 299, we Włoszech na 329. W Niemczech produkcya znacznie przewyższa miejscowe potrzeby tylko w prowincyi saskiéj, w Poznańskiem, w Prusach wschodnich i zachodnich.

Już wskutek saméj obawy, że wojna przeciągnie się, ceny zboża podskoczą; produkcya zbyt mała w stosunku do konsumpcyi, ustanie dowozu z zewnątrz państwa, zwiększone zapotrzebowanie zboża dla armii—wszystko to jeszcze bardziéj podbije ceny.

Lecz jednocześnie ze zjawieniem się drożyzny, zmniejszą się sposoby wyżywienia ludności: produkcya fabryk, kopalń, praca rzemieślników i całego niemal przemysłu, z wyjątkiem zakładów, które wyrabiać będą przedmioty na potrzeby armii, zupełnie ustanie. Przypuszczać wprawdzie należy, że państwo zaopiekuje się rodzinami tych, co poszli na wojnę; w każdym jednak razie wątpliwości ulegać nie może, iż wytworzy się położenie trudne, które propaganda socyalistyczna i przedłużenie wojny z pewnością pogorszą. Tak, kampania ruska, powiada p. Bloch, według najwybitniejszych autorów, trwać będzie nie rok, lecz prawdopodobnie lat kilka; dla Niemiec wypływają stąd groźne konsekwencye. W skład sił lądowych niemieckich wchodzi ludność męzka od 17 do 45 roku życia włącznie. Przypuściwszy, że do robót w polu mogą być użyci robotnicy od 15 do 65 roku życia, otrzymamy, że 56% sił roboczych znajdować się będzie na polu walki. Ponieważ zaś praca robotnika w Niemczech zużytkowana jest tak intensywnie, iż o możności zastąpienia pracy powołanych przez spotęgowanie pracy pozostałych mowy być nie może, to nawet w przypadku, jeżeli część robotników fabrycznych użyta zostanie do robót w polu, urodzaj zmniejszy się w Niemczech o 15%. Przeciwnie, w Rosyi, o ileby najświętszy synod zezwolił pracować w niedziele i święta, bra-

kujący zastęp sił roboczych może być w zupełności pokryty jedynie pracą w niedziele, nie licząc wcale nawet świąt.

Od zboża i owsa przechodzi p. Bloch do innych artykułów pierwszéj potrzeby, mianowicie do mięsa, masła, soli, nafty i węgla kamiennego.

Mięso: Austrya, Rosya i Włochy wytwarzają więcéj, niż spożywają. Tak więc też same kraje, które mają u siebie dosyć zboża, mogą nie lękać się również i braku mięsa. Przeciwnie, Niemcom i Francyi zabraknie prawdopodobnie w razie uporczywéj wojny obu głównych produktów żywności.

Masło: tylko Niemcy produkują mniéj, niż spożywają.

Sól: brak może się okazać tylko w Rosyi, może ona jednak zwiększyć swą wytwórczość.

Nafta: zabraknąć jéj może wszystkim państwom, z wyjątkiem Rosyi.

Węgiel kamienny: w najkorzystniejszém położeniu znajdują się Niemcy, potém Austro-Węgry.

Ostateczne wnioski, do których przychodzi autor, są następujące:

1) przewagę w przyszłéj wojnie mieć będą te państwa, które ją dłużéj wytrzymać zdołają;

2) kwestya wyżywienia ludności w anormalnych warunkach wojny wystąpi na plan pierwszy, więc państwa, które produkują mniéj, niż spożywają, przed zupełnem ukończeniem żniw zdecydują się na wojnę chyba w ostateczności;

3) w roku urodzajnym wojna jest prawdopodobniejszą, niż w nieurodzajnym;

4) przed wybuchem wojny, jako najpoważniejszy znak zwiastuńczy, wystąpi gorączkowe zaopatrywanie się w artykuły żywności tych państw, które bez importu rzeczonych artykułów obejść się nie mogą;

5) w czasie wojny, a zwłaszcza po jéj ukończeniu, wskutek przewrotu w zarobkowaniu i wyżywieniu ludności, mogą wybuchnąć bardzo silne ruchy ludowe.

Pewność swoich przypuszczeń postawił p. Bloch w ścisłéj zależności od tego, o ile racyonalném jest przypuszczenie, że żegluga morska dla okrętów kupieckich w czasie wojny nie będzie możebna. Na poparcie tego przypuszczenia przytacza szereg argumentów, które jednak nas osobiście nie przekonywują. Stąd, że rozbójnictwo morskie było dawniéj praktykowane; że Hiszpania, Meksyk i Stany Zjednoczone nie zaakceptowały uchwały międzynarodowego kongresu paryskiego w 1856, znoszącéj patentowane korsarstwo; że nawet i wtedy, gdy

istnieją wyraźne zobowiązania, strony wojujące nie robią sobie zbyt wielkich skrupułów; że instrukcya dla krzyżowców ruskich przewiduje spotkanie się z urzędowymi korsarzami; że w r. 1870, gdy okręt francuski zniszczył trzy handlowce niemieckie, statki niemieckie na całym świecie ukryły się jakoby w portach neutralnych i oczekiwały tam końca wojny; że admirał Aube, minister marynarki francuskiéj, w 1886 radził, w razie wojny z bogatym narodem handlowym, unikać wojny morskiéj, lecz tylko z całą siłą rzucić się na jego handel: z tego wszystkiego nie wypływa jeszcze wniosek, że w przyszłéj wojnie stosunki handlowe pomiędzy Anglią i jéj sprzymierzeńcami z jednéj, a państwami neutralnemi z drugiéj strony, ustaną. Na praktykowanie rozbójnictwa morskiego mogłaby sobie pozwolić tylko Rosya, bo przecież i Francyi, jak świadczą cyfry autora, nie starczy na cały rok ani zboża, ani owsa, ani mięsa, ani nafty, ani węgla kamiennego. Gdyby nawet Francya krok taki uczyniła, znajdując się bądź co bądź w lepszém położeniu, niż Anglia i Włochy, to i wówczas nie należałoby się obawiać sprawdzenia się złowrogich przepowiedni autora: popierwsze, o panowaniu floty wojennéj francusko-ruskiéj na jakiémkolwiek z mórz, oddzielających Europę od Indyi i Ameryki, mowy być nie może; powtóre, sama Anglia, dzięki wydajności swego skarbu i objętości swojéj floty handlowéj, będzie mogła wyekwipować conajmniéj czterykroć większą liczbę statków korsarskich, aniżeli Francya i Rosya, razem wzięte [1]), i przy ich pomocy nietylko płacić tym państwom pięknémi za nadobne, ale i sprowadzać sobie zboże i inne artykuły pierwszéj potrzeby całkiem bezpiecznie; potrzecie, nietykalność fladze państw neutralnych zapewniać będzie obawa powszechnego wystąpienia tychże państw przeciwko winnym.

Co się tycze Niemiec w szczególności, położenie tego państwa również nie jest tak groźném, jak to mniema p. Bloch. Wszak wojna z Rosyą może się przeciągnąć dłużéj tylko w tym razie, gdy toczyć się będzie w granicach Rosyi, a wówczas kwestya głodu istnieć nie będzie, bo Niemcy, jak to zresztą sam autor zaznacza, będą mieli kawał ziemi ruskiéj poza sobą. Następnie, na polu walki 56% sił roboczych niemieckich nie będzie się znajdować, bo owe 56%, według obliczeń własnych p. Blocha, wynoszą blizko 7,2 miliona ludzi, Niemcy zaś mo-

---

[1]) Anglia posiada 4 razy więcéj statków handlowych, aniżeli Francya i Rosya razem wzięte (w téj liczbie 9 razy więcéj parowców i 3 razy więcéj żaglowców); stosunek objętości floty handlowéj angielskiéj do połączonéj floty handlowéj Francyi i Rosyi jest 8:1 (patrz wyciąg z „Echo de l'armée", pomieszczony w Nr 178 tygodnika „Razwiedczik" z r. 1894).

gą wyprawić w pole najwyżéj 3 miliony [1]); tę ostatnią cyfrę powinien był uwzględnić autor tém bardziéj, że chcąc dowieść, iż w Rosyi ubytek sił roboczych może być pokryty pracą niedzielną, przyjął dla Rosyi cyfrę 3½ miliona.

Przechodzimy do części wojskowéj rozbiéranej przez nas pracy.

Biorąc do ręki jakąś książkę, przeglądamy przedewszystkiém spis rozdziałów, chcąc się przekonać, o czém ona traktuje i jaki jest plan wykładu.

Naszém zdaniem, chcąc dać czytelnikom jasne i wszechstronne pojęcie o przyszłéj wojnie, należałoby zbadać w oświetleniu współczesnego militaryzmu i wskazówek ostatnich wojen wszystkie typowe zjawiska, które wojna wogóle wywołuje, a następnie wyłożyć rezultat swych badań w naturalnéj kolei rzeczonych zjawisk, t. j. w porządku chronologicznym. Porządek ten wymaga kolejnego rozpatrzenia następujących przedmiotów: siła zbrojna, mobilizacya, koncentracya, poruszenia siły zbrojnéj na teatrze wojny, bitwa, oblężenie i obrona twierdz, zaopatrywanie armii operacyjnéj w żywność i amunicyę, pokrywanie strat w ludziach i koniach, ogólne wnioski o przyszléj wojnie.

P. Bloch nie trzymał się porządku chronologicznego w swym wykładzie: wybrał formę luźnych artykułów, których treść nie zawsze zgadza się z nagłówkiem i nie zawsze go wyczerpuje. Nie przypisując temu zarzutowi zbyt wielkiéj wagi, jedynie nie chcąc stawiać zarzutów gołosłownych, przytaczamy kilka przykładów. Rozdział I jest przeznaczony „porównaniu sil armii lądowych”, a tymczasem o liczbie dział, którą wystawić może każde państwo, jest mowa w rozdziale XIV, o stosunku liczebnym kawaleryi do piechoty w XV, o liczebności piechoty w XVI, o ogólnéj liczbie oficerów w XVII, o liczbie koni wojskowych w II. W rozdziale XVII, zatytułowanym: „Kierownictwo armią”, znajdujemy spory ustęp o zależności siły ognia karabinowego od kierunku strzałów, tudzież charakterystykę armii współczesnych pod względem wykształcenia ogólnego. W poddziale, zatytułowanym: „Formacye i obliczenia marszowe”, o formacyach marszowych nie ma ani słowa. W poddziale, zatytułowanym: „Zaopatrywanie wojsk w amunicyę na polu walki”, autor nic nie mówi o tém, w jaki sposób odbywa się to zaopatrywanie. Charakterystyczne cechy kanonady przy posiłkowaniu się prochem bezdymnym (snopy ognia) pomieszczone są

[1]) Przypominamy słowa, wyrzeczone przez ks. Bismarcka w parlamencie w czasie rozpraw nad nowelą wojskową z 11 lutego 1888: „wystawimy po jednym milionie na obu frontach, i jeszcze jeden milion zostanie w domu“.

nie w poddziale: „Proch bezdymny w artyleryi”, lecz w następnym, zatytułowanym: „Niespodzianki przyszłéj wojny”.

Daléj, można zarzucić pracy p. Blocha, że pomimo swéj objętości nie jest wyczerpującą. Lecz i ten zarzut nie jest bardzo ważnym. W saméj rzeczy, oceniać, o ile wyczerpująco jest napisana pewna praca, można tylko w granicach, jakie sam autor dla badań swych zakréślił. P. Bloch, o ile nas wstęp objaśnia, zamierzył wyłożyć w swéj pracy to, co społeczeństwo „wiedziéć powinno i co mu wiedziéć potrzeba”, a słowa te, oczywiście, różnie można pojmować.

Oceniając pracę p. Blocha z punktu widzenia wszechstronności wykładu, doszliśmy do następujących wniosków, którymi pozwalamy sobie podzielić się z czytelnikiem.

Siłę zbrojną można badać pod względem ilościowym i jakościowym.

Charakteryzując armię pod względem ilościowym, p. Bloch podaje tylko absolutną liczbę oficerów, żołnierzy, armat i koni i ogólną liczbę wyćwiczonych ludzi. Dane te nie wystarczają do zrozumienia potęgi wojennéj wielkich armii współczesnych. Olbrzymią rolę gra tu organizacya, a następnie dyzlokacya armii stałéj. Przedmiotu tego autor nie dotyka.

Daleko obszerniéj rozpatrzył p. Bloch główne armie europejskie pod względem jakościowym, lecz i pod tym względem wykładu jego nie można nazwać wyczerpującym. Tak, zamiast traktatu o karabinach i działach *przyszłości*, wolelibyśmy widziéć w pracy autora porównawcze zestawienie uzbrojenia armii *współczesnych*. P. Bloch za długo zatrzymuje się na „środkach pomocniczych” małéj wartości, za krótko zaś na takich, które są prawdziwemi czynnikami zwycięstwa.

Do najciekawszych kwestyi z zakresu wojskowości współczesnéj należą bezwątpienia mobilizacya i strategiczneześrodkowanie armii na zagrożonym froncie. Przedmiotu tego autor również nie dotknął, tłumacząc się, że „trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia różnorodnemi są zdania specyalistów co do szybkości mobilizacyi i rozmiarów koncentracyi wojsk na jednym teatrze wojny (maj, 1893, str. 437)”.

Wojna właściwa objawia się w dwóch głównych czynnościach: w maszerowaniu i walczeniu. Zobrazowanie tych czynności jest, oczywiście, obowiązkiem piszącego o przyszłéj wojnie. Ruchy armii na teatrze wojny traktuje p. Bloch obszernie; przeciwnie, opisując działalność głównych rodzajów broni na polu bitwy, znów pozostawia w swym wykładzie luki. Tak, naprzykład, nie wyjaśnia bliżéj, na

czém polega zmiana taktyki piechoty, spowodowana zaprowadzeniem nowéj broni i nowego prochu. Zmiana ta dotknęła prawie wyłącznie sposobu atakowania, i autor nawet obiecuje rozpatrzyć „typowy atak", a tymczasem, charakteryzując rolę piechoty w przyszłéj wojnie, powiada w tym przedmiocie tylko to, że obecnie „punkt ciężkości walki przeniesiony został na linię tyralierów, mających tym sposobem dwie role do spełnienia, dawniéj odrębne: przygotowania ataku i wykonania go": ogólnik taki, chociaż zgodny z prawdą, nie jest przecież opisem ataku. W rozdziale, poświęconym kawaleryi, autor bada szczegółowo warunki służby wywiadowczéj w przyszłéj wojnie, nic zaś nie mówi o tém, w jaki sposób atak jazdy na piechotę i artyleryę, wprawdzie rzadko miejsce miéć mogący, będzie prowadzony. Reformę kawaleryi ruskiéj z 1882 autor omawia bardzo szeroko, bo na dziesięciu stronach, a jednak nie daje czytelnikowi pojęcia o boju pieszym kawaleryi, który przecież téj reformy istotę stanowi.

Z przytoczonych przykładów widać, że praca p. Blocha nie daje wyczerpującego obrazu przyszłéj wojny pod względem wojskowym; nie jest to jednak, powtarzamy, zarzut istotny, ponieważ autor obiecał wyłożyć w swéj pracy tylko to, co społeczeństwo nasze, jego zdaniem, wiedziéć powinno.

Oceńmy teraz, o ile rozbierana przez nas praca jest napisana ze znajomością rzeczy. Jeżeli mamy powiedziéć szczerze, dzieło p. Blocha niezupełnie zadowoliło nas pod tym względem.

Ażeby posiąść gruntownie jakiś przedmiot, trzeba go studyować, studyowanie zaś wymaga dużo czasu. Gruntowne obeznanie się z wojskowością, niezbędne do napisania tak trudnego dzieła, jak studyum o przyszłéj wojnie, wymagałoby zapewne więcéj czasu, niż zużył go w tym celu autor rozbieranéj tutaj pracy. Z tém wszystkiém nie da się zaprzeczyć, że p. Bloch przestudyował znaczny materyał. Świadczy o tém długa lista cytat oraz wstęp, w którym autor objaśnia, że „starał się poznać przedmiot jak najwszechstronniéj, ze źródeł najodmienniejszych, od autorów różnych narodowości, różnych przekonań politycznych i różnych stronnictw wojskowych"; że „w razie jakichś wątpliwości czy przypuszczeń, udawał się po radę do wojskowych, znanych ze swego teoretycznego wykształcenia lub praktycznéj znajomości przedmiotu"; że w tych konsultacyach „nie pominął i prostych szeregowców, którzy kampanie odbywali, aby się dowiedziéć, jak na pewne fakta i okoliczności patrzy wprawdzie najniższy, ale najniezbędniejszy czynnik na wojnie."

W pracy p. Blocha znajdujemy wiadomości z rozmaitych nauk wojskowych, jako to z nauki o wytwarzaniu, organizacyi i utrzy-

maniu siły zbrojnéj, którą my tu nazywać będziemy administracyą wojskową, ze statystyki wojskowéj i z artyleryi, czyli nauki o broni wogóle.

Co się tyczy administracyi wojskowéj, jesteśmy zmuszeni oświadczyć, że praca p. Blocha niedokładnie informuje czytelnika o najważniejszych kwestyach z zakresu téj nauki, jako to: o ogólnym podziale siły zbrojnéj, o wysokości kontyngensu rocznego nowozaciężnych w różnych armiach i o podziale ogólnego terminu służby wojskowéj. Oto jest uzasadnienie zarzutu odnośnie do każdéj z tych trzech kwestyi.

Podług autora, we wszystkich prawie państwach ogół sił zbrojnych składa się z trzech części: pierwszą stanowią wojska, znajdujące się stale pod bronią, drugą „rezerwy", jużto „czynne", jużto „terytoryalne", trzecią „milicya, czyli pospolite ruszenie". Do téj trzeciéj kategoryi p. Bloch zalicza, tytułem przykładu, ruskich „jednorocznych" i ruskie „opołczenje", francuską „armię terytoryalną", niemiecki „landszturm" i węgierskich „honwedów" (marzec, 1893, str. 582).

Na to odpowiadamy: 1) nie można utożsamiać milicyi z pospolitém ruszeniem; 2) ruscy jednoroczni należą do wojska, nie zaś do pospolitego ruszenia; 3) honwedy węgierskie i francuska armia terytoryalna odpowiadają niemieckiéj landwerze i, jako takie, stanowią nie trzecią, lecz drugą linię siły zbrojnéj.

Daléj, porównywając kontyngensy roczne rekrutów w głównych państwach europejskich, autor przyjmuje dla Francyi cyfrę 238 tysięcy, dla Niemiec 180, dla Austryi 101, dla Rosyi 230, komentując tę ostatnią cyfrę w odnośniku w następujący sposób: „nadto corocznie uwalnianych jest 30 tysięcy ludzi po wysłużeniu tylko jednego roku; formują oni osobną kategoryę t. zw. jednorocznych (tamże str. 587).

Wszystkie te cyfry, lubo zaczerpnięte z dzieła prof. Redigera p. t. K o m p l e k t o w a n i e i u s t r o j s t w o w o o r u ż o n n o j s i ł y, nie są zgodne z powołaném źródłem.

W istocie, podając dla Rosyi kontyngens 260,000, autor nie bierze pod uwagę ani kontyngensu kozackiego, ani kontyngensu fińskiego, ani krajowego kaukaskiego, ani, wreszcie, ochotników; następnie zestawiając (i to dwukrotnie) francuski kontyngens 238,000 z ruskim 230,000, autor zdaje się zapominać, że w skład pierwszego wchodzi 61,000 j e d n o r o c z n y c h (co u Redigera jest wydrukowane obok sumy 238 tysięcy). Podobnież pominięte zostały (sądząc z cyfr, podanych wyżéj dla kontyngensów: francuskiego, niemieckiego i austryacko-węgierskiego) następujące, wyszczególnione przez Redigera, dodat-

ki: we Francyi—8 tysięczny kontyngens afrykański (str. 81), w Niemczech—25 tysięczny kontyngens ochotników (str. 43), w Austro-Węgrzech—blizko 26 tysięczny kontyngens obu landwer i marynarki (str. 56 i 57).

Wreszcie, czas trwania służby wojskowéj w różnych państwach wskazuje p. Bloch w tablicy, złożonéj z następujących rubryk: 1) „służba w armii czynnéj", 2) w „rezerwie", 3) w „landwerze I powołania", 4) w „landwerze II powołania", 5) „razem lat służby" (tamże str. 587).

Kategorye powyższe odpowiadają podziałowi roczników w o j s k a w Niemczech, a tymczasem autor dla Włoch i Rossyi bierze w rachubę i p o s p o l i t e r u s z e n i e: stąd w ostatniéj rubryce, która ma wskazywać ilość roczników w wojsku, cyfry są fantastyczne. W rzeczy saméj, we Włoszech, po 12 latach służby, przechodzi się do pospolitego ruszenia, tymczasem w tablicy, o któréj mowa, figuruje cyfra 19; w Rosyi należy się do wojska przez lat 18, podług autora zaś przez lat 22. Pierwszemu powołaniu niemieckiéj landwery nie odpowiada pierwsze powołanie ruskiego pospolitego ruszenia (wysłużone roczniki wojska), drugiemu zaś powołaniu tejże nie odpowiada ruska ludność męska w wieku „od r. 21 do 43."

Znajomość administracyi wojskowéj jest nieodzownym warunkiem umiejętnego posługiwania się statystyką wojskową, nie dziw więc, że i pod tym względem praca p. Blocha posiada pewne usterki.

Przedewszystkiém cyfry, podawane przez autora, nie zawsze są dokładne.

Dla określenia liczby żołnierzy, którą rozporządza każde z głównych państw europejskich, autor posiłkuje się, jak sam objaśnia, pracą prof. Redigera, lecz obliczeń tegoż nie odtwarza należycie. W istocie p. Bloch stopę pokojową armii ruskiéj określa liczbą 830 tysięcy; Rediger podaje cyfrę 800 tysięcy, a nadto wymienia: straż pograniczną w sile 26,000, wojska kozackie w sile 58,900 i wojska fińskie w sile 5,600, co daje razem 890 tysięcy (str. 109, 110, 116 i 119). Jako składniki „milicyi wyćwiczonéj" figurują u Redigera nie „ratniki opołczenja I powołania" i „ludzie, którzy przesłużyli niespełna rok", lecz 4 najmłodsze i 4 najstarsze klasy I powołania pospolitego ruszenia. Odnośnie do Francyi, pomimo że Rediger tylko o wyćwiczonych żołnierzach mówi (str. 72), p. Bloch zalicza do „milicyi wyćwiczonéj" armię terytoryalną, a do „milicyi niewyćwiczonéj" rezerwę armii terytoryalnéj. W Niemczech zaliczył autor do „rezerwy" 200 tysięcy słabo wyćwiczonych, którzy, w myśl przyjętéj przez niego zasady, mieli figurować w rubryce „milicyi wyćwiczonéj." W Austro-

Węgrzech w rubryce „milicyi niewyćwiczonéj” znajdujemy niewyćwiczoną część I powołania landszturmu, które w myśl tejże zasady miało figurować w rubryce „milicyi wyćwiczonéj.” Cyfry dla Włoch są nieuważnie przepisane z książki Redigera. Podana przez autora tablica informuje błędnie, że w Turcyi nie ma pospolitego ruszenia.

Tak się przedstawia wartość najgłówniejszéj tablicy w „Przyszłéj wojnie”, najgłówniejszéj, bo odnoszącéj się do teraźniejszości. Pozostałe tablice nie są również dokładne. Tak, naprzykład, autor podaje „ogół sił zbrojnych” Rosyi na stopie wojennéj w 1874 r. na 1,652 tysiące (marzec 1893, str. 581), gdy podług danych urzędowych, które autor miał pod ręką [1]), ogół ten w d. 1 stycznia st. st. 1877 r. dosięgał tylko cyfry 1,300 tysięcy. Gdzieindziéj znowu (tenże zeszyt, str. 579) p. Bloch oblicza, że w r. 1859 Związek Niemiecki utrzymywał pod bronią ni mniéj ni więcéj tylko milion pięćdziesiąt trzy tysiące żołnierzy, w 1874 zaś miało się znajdować pod chorągwią we Francyi 635 tysięcy, w Niemczech 847 tysięcy i t. d., chociaż dziś nawet ani we Francyi, ani w Niemczech niema 600 tysięcy ludzi pod chorągwią.

Lecz ponieważ autor „Przyszłéj wojny” opiera się na niedokładnych cyfrach, nic więc dziwnego, że wnioski, z tych cyfr wyprowadzone, nie są zupełnie dokładne.

Opierając się na danych statystyki, p. Bloch dochodzi do wniosku, że obecnie we wszystkich armiach kontynentalnych rozrastają się przedewszystkiém zastępy ludzkie, gdy przeciwnie dawniéj powiększanie liczby armat odbywało się w szybszém tempie, i zjawisko to przypisuje „nowym zasadom sztuki wojskowéj i taktyki (sierpień 1893, str. 239).”

Nie możemy się w tym punkcie zgodzić z autorem.

Najprzód, dzieląc cyfrę, wyrażającą ilość piechoty na stopie wojny w pewnej epoce, przez cyfrę, wyrażającą zasób armat, posiadany przez państwo w tejże epoce, autor uchybia kardynalnemu warunkowi wszelkiego porównania, jakim jest jednorodność porównywanych elementów, porównywa bowiem artyleryę polową nie z piechotą polową, dla któréj artylerya ta jest przeznaczona, lecz z całą piechotą. Fakt szybszego rozrastania się piechoty względnie do artyleryi w armiach europejskich w nowszych czasach jest rezultatem zaprowadzenia w państwach europejskich powszechnego obowiązku służby wojskowéj, które nastąpiło we Francyi, w Rosyi i we Włoszech dopiéro po 1870 r.

---

[1]) Patrz powołaną przez autora pracę gen. Puzyrewskiego p. t. *Russkaja armia piered wojnoju 1877—78 godow*, anneks 1 i 3.

Inne znów przyczyny wpływały na stopniowe powiększanie się liczby armat w państwach europejskich. Artylerya w sensie materyału martwego, istnieje przeważnie jako składnik armii stałéj, przyrost jéj przeto zależał przedewszystkiém od powiększania armii stałych. Chcąc określić stosunek artyleryi do piechoty na placu boju, trzeba uwzględniać tę tylko piechotę, dla któréj rzeczona artylerya jest przeznaczona. W ten sposób rzecz traktując, autor przekonałby się, że sztuka wojenna nie sprzeniewierzyła się „całemu kierunkowi postępu” naszego stulecia, że znaczenie armat, tych „maszyn” zniszczenia wzrosło [1]. Rezultat cyfrowy, w ten sposób otrzymany, byłby zupełnie zgodny nietylko z rzeczywistością, ale i z doniosłością roli, którą powołana będzie odegrać artylerya w przyszłéj wojnie, a z któréj autor doskonale zdaje sobie sprawę, gdyż powiada (sierpień 1893, str. 237): „Dopiéro wówczas, gdy jeden z przeciwników osiągnie w kanonadzie stanowczą przewagę, będzie się mógł zwrócić z całą siłą przeciwko piechocie. Stąd też na losy pojedyńczych batalii, a tém samém na czas trwania i skutki całéj kampanii, w wysokim stopniu wpłynie ilość i jakość wyprowadzonych w pole armat.”

Nie mamy zamiaru obniżać wartości pracy p. Blocha przez wyliczanie usterek, jakie w niéj znaleźliśmy, i dlatego moglibyśmy już teraz rozstać się ze statystyką wojskową i przejść do artyleryi; chcemy wszakże wskazać, jak potrzebną jest dla piszącego o wojskowości znajomość administracyi wojskowéj i jak ostrożnie należy posługiwać się statystyką, i w tym celu prostujemy jeszcze jedną pomyłkę p. Blocha.

Żołnierz armii stałéj i rezerwista, zwłaszcza w bardziéj posuniętym wieku, nie posiadają, rzecz prosta, jednakowéj wartości ekonomicznéj dla społeczeństwa. Z tego wychodząc założenia, autor oblicza, ilu rezerwistów „czynnych” oraz „ludzi należących do armii terytoryalnych” przypada na 100 żołnierzy, pozostających pod bronią: „to nam da pojęcie — powiada autor — o stopniu niebezpieczeństwa społecznego, na jakie z tego względu będą narażone różne państwa.” Potém następuje tablica, w któréj „najgorsze liczby” wypadają dla Niemiec: „starsza generacya jest w niemieckiéj armii zaczepnéj przeszło

---

[1]) Stosunek liczebny artyleryi do piechoty określa się za pomocą liczby dział, przypadających na każde 1,000 karabinów piechoty. Według Müllera (*Die Entwickelung der Feldartillerie von 1815 bis 1892.* Berlin, 1893) na 1,000 ludzi piechoty przypadało w początkach sierpnia 1870 w francuskiéj armii reńskiéj $2._8$, w trzech armiach niemieckich $3._5$, podczas gdy w przyszłéj wojnie tak w francuskiéj, jak i niemieckiéj armii w obrębie jednego korpusu na 1,000 karabinów przypadać będzie $4._8$ dział (*Militär-Wochenblatt* Nr. 12 z 1893 r.).

5 razy liczniejsza, niż młodzi żołnierze z szeregu" (marzec 1893, str. 591).

Otóż o „stopniu niebezpieczeństwa społecznego", na jakie narażone jest pewne państwo z powodu, o którym mowa, nie można wnioskować jedynie na téj podstawie, że armia tego państwa, w porównaniu z armiami innych państw, składa się z młodszych lub starszych żywiołów. W tym celu należy koniecznie brać jednocześnie pod uwagę stosunek liczebny kontyngensu rocznego rekrutów, do kontyngensu młodzieńców, dosięgających co rok wieku popisowego, czego jednak w pracy omawianéj nie znajdujemy.

Lecz autor nie rozstrzyga zadawalniająco nawet kwestyi, o ile jedna armia jest młodszą od drugiéj, bo nie bierze dla wszystkich armii jednakowéj liczby roczników i nie bada następnie stosunku procentowego każdego rocznika do wszystkich, a natomiast dzieli cyfrę, wyrażającą ilość rezerwistów w każdém państwie, przez cyfrę, określającą liczebność armii stałéj w témże państwie. Autor widocznie nie zwrócił uwagi na to, że czas trwania służby czynnéj w armiach europejskich nie jest jednakowy, że nie jest on jednakowy nawet dla wszystkich popisowych w jednéj i téj saméj armii [1]) i że przeto rachunek jego musiałby być błędnym nawet gdyby liczby, któremi się autor posiłkuje, były dokładne, co jednak nie ma miejsca, tablica bowiem, w mowie będąca, opiéra się na cyfrach, których niedokładność wykazaliśmy wyżéj, mówiąc o liczebności armii współczesnych.

Wiadomościom z dziedziny artyleryi poświęcił p. Bloch bardzo dużo miejsca, lecz i tu, jak wspomnieliśmy, wkradły się pewne błędy. Kartacze nie są „skrzynkami drewnianemi", zawierającemi „naboje" (wrzesień 1893, str. 567). „Właściwą miarą dla pocisków armatnich" nie jest „rozciągłość toru zagrażającego" (czerwiec 1893, str. 621), lecz jakość pocisku, jego szybkość początkowa i donośność strzału. W jedném miejscu czytamy: „Obecnie każda baterya niemiecka posiada 8, francuska 9, rosyjska 12 jaszczyków. Zatém polowa baterya niemiecka może dać 808 wystrzałów w czasie bitwy, francuska 852, rosyjska 900" (czerwiec 1893, str. 628). Cały ten ustęp jest niedokładny. Najprzód, nie można porównywać bateryi ruskich z francuskiemi i niemieckiemi w taki sposób, w jaki czyni to autor, gdyż pierwsze są ośmiodziałowe, pozostałe zaś — sześciodziałowe. Następnie, niemiecka baterya posiadała wówczas, gdy autor rzecz swą drukował,

[1]) Podług teoryi autora wypada, że dragon ruski w piątym roku służby jest młodym żołnierzem, bo znajduje się pod chorągwią, francuski zaś piechur, posiadający prawo do służby jednorocznéj, już w drugim roku służby jest starym, bo nie służy pod chorągwią, bo należy do rezerwy.

9 jaszczyków z 885 pociskami [1]), ruska ciężka 16 jaszczyków z 864 pociskami, ruska lekka 12 jaszczyków z 1,200 pociskami [2]) i t. d. Nie możemy również powstrzymać się od przytoczenia następującego ustępu, dwa razy dosłownie (r. 1893, kwiecień str. 104 i sierpień str. 242). i dwa razy z pewnemi zmianami redakcyjnemi powtórzonego (1893, kwiecień 108, czerwiec 621): „Liczba kul z ruskich dział bateryjnych — czytamy — wynosi 340, tymczasem prof. Wieliczko podaje, iż liczba kul w szrapnelach, używanych w niemieckiéj artyleryi, dochodzi do 1,500 w armacie 21-centymetrowéj, oraz 1,700 w moździerzu. Tym sposobem artylerya niemiecka mogłaby razić przeciwnika pociskami, zawierającymi 5 razy więcéj kul, niż w artyleryach państw innych.” Istotnie, artylerya niemiecka mogłaby razić przeciwnika takimi pociskami, gdyby... gdyby nie składała się z armat 8 i 9 centymetrowych. Autor jednak nie spostrzega swéj pomyłki, nie spostrzega, że porównywa ruskie działa polowe o kalibrze 8½ i 9½ ctm. z 21 centymetrowemi armatami niemieckiéj artyleryi forteczněj i oblężniczéj, a ucieka się natomiast do takiego tłómaczenia: „Jest zresztą rzeczą naturalną, iż prof. W. nie komunikuje danych bardziéj szczegółowych co do pocisków ruskich, i że dane te dopiéro po pewnym przeciągu czasu staną się wiadome narówni z niemieckiemi i francuskiemi.” Być może, autor nie posiadał żadnych danych o artyleryi fortecznéj i oblężniczéj ruskiéj, chociaż to żadnéj tajemnicy nie stanowi [3]), wié on jednak napewno o istnieniu moździerzy polowych w armii ruskiéj (1893, sierpień 257), te zaś strzelają szrapnelami, które już mieszczą w sobie około 700 kul (*Lewickij*, pag. 36).

Wreszcie autor popełnił kilka błędów z zakresu balistyki (nauki o strzale). „Najwyższa wysokość nad linią celu” nie przypada zawsze w połowie drogi, jak twierdzi pan Bloch (1893, maj, 448), lecz, im daléj jest położony cel, tém bliżéj tegoż; cyfry zaś, podane przez autora w tém miejscu, nie wyrażają ani „najwyższéj wysokości”, ani wysokości w połowie drogi. Również niedokładna jest przytoczona trochę daléj tablica pasów zagrożonych przy strzelaniu z dawnego i nowego karabinu ruskiego, nie uwzględniająca postawy strzelca. Stąd wniosek, który wyprowadza p. Bloch z tablicy, mianowicie, że „na odległościach blizkich do 600 kroków przy strzale z nowéj broni, przestrzeń zagrożona jest 4 razy większa, niż przy strzałach z berdanek”— jest mylny. Przy strzelaniu w postawie stojącéj, dla odległości do 400

---

[1]) *von Löbell's Jahresberichte* etc. *Jahrgang 1892*, pag. 347.

[2]) Lewickij: „*Sprawocznaja knižka po taktikie*“ wyd. 11, Petersburg 1890, pag. 37 i 41.

[3]) Patrz jakikolwiek ruski podręcznik artyleryi.

kroków, tak jeden, jak i drugi karabin daje pas zagrożony, którego szerokość przenosi odległość, dzielącą strzelca od celu; począwszy od tej odległości, pas zagrożony jest wprawdzie węższy, niż odległość strzelca od celu, lecz nie w stosunku, wskazanym przez autora [1]).

Administracya wojskowa, statystyka wojskowa i artylerya, charakteryzują siłę zbrojną, że tak powiemy, w stanie spokoju. Z ogłoszeniem wojny zostaje ona wprowadzona w ruch. Ażeby poznać ją w tym stanie, trzeba zajrzéć między innemi do taktyki i strategii. Wykładając wiadomości z dziedziny tych nauk, p. Bloch stara się o ile możności mówić słowami cudzemi, cytując całe ustępy z różnych dzieł. Pod względem treści ta *par excellence* kompilacyjna część pracy p. Blocha, przedstawia niezwykłą rozmaitość. Autor charakteryzuje rolę i działanie wszystkich rodzajów broni na polu bitwy, ruchy armii na teatrze wojny, obowiązki personelu dowodzącego i t. d., starając się być nietylko interesującym, ale i dokładnym. Lecz i tu również nie we wszystkiém zgodzić się możemy z autorem.

Tak, naprzykład, musimy zrobić zarzut p. Blochowi, że zamierzywszy naszkicować obraz przyszłéj wojny, udał się po informacye nie do „regulaminów i kursów", lecz wyłącznie do „pisarzy wojskowych." Subiektywne ich poglądy na różne kwestye nikogo nie obowiązują; przeciwnie, akcya na polu bitwy rozwijać się będzie — przynajmniéj na początku wojny — tak, jak żądają tego regulaminy: na to właśnie wojsko uczy się takowych. Jakkolwiek p. Bloch twierdzi, że „posługiwanie się regulaminami i kursami jest niemożliwém" wobec tego, że przedstawiają „las sprzeczności, nie dających się pogodzić", to jednak poglądu tego podzielić nie możemy i sądzimy, że wypadało pokazać, w jaki sposób zamierzają walczyć w przyszłości różne armie. Te różnice, nad któremi autor przeszedł tak szybko do porządku dziennego, stanowią właśnie przedmiot, który powinien był zbadać. Takie przynajmniéj jest nasze zdanie.

Następnie, mniemamy, że jak w ekonomicznéj części swéj pracy, tak i tu również autor nazbyt czarno maluje dyabła. Przyszłe bitwy, naszém zdaniem, nie będą tak okropne, jak je autor sobie wyobraża, niepotrzebnie powiększając grozę przyszłéj wojny urojonemi widziadłami. Nie poprzestając na wykazaniu, że broń teraźniejsza jest bardziéj morderczą, niż ta, którą posługiwały się strony w ostatnich wojnach, p. Bloch przy każdéj sposobności rozwodzi się nad zniszczeniem,

---

[1]) Patrz urzędowe instrukcye strzelnicze dla starego i nowego karabinu.

jakie sprawiać będą karabiny i armaty przyszłości, jak gdyby one rzeczywiście „lada dzień" miały być wprowadzone. Chociaż dotychczas, według własnych słów autora, „nie wynaleziono sposobów całkiem pewnego kierowania balonami" (1893, lipiec, 115), chociaż kwestya, „jak budować torpedy i jak je rzucać z balonów nie przeszła dotychczas poza granicę projektów" (tamże), to jednak widzi on już teraz straszne skutki rzucania ładunków dynamitowych z góry na fortece: „w takim Paryżu, naprzykład, w gruzy pójść mogą wszystkie zabytki architektury, zniszczone być mogą niepowrotnie nieobliczone skarby sztuki i nauki, galerye Luwru, zbiory Akademii i t. d." W przyszłéj wojnie „powietrze przerzynać będą syreny, czyli granaty wyjące", kawalerya „przedewszystkiém robić będzie na ziemię nieprzyjacielską najazdy, podobne do dawnych zagonów tatarskich", a gdy baterye przesadzać będą w galopie przeszkody, „pociski, napełnione melinitem sprowadzać będą eksplozye", które wywołają „wielki niepokój w armii i niedające się przewidziéć wrażenie na rodzinach znajdujących się na wojnie" [1]).

Pozostało nam jeszcze ocenić „Przyszłą wojnę" pod względem literackim i językowym.

Jako utwór literacki praca p. Blocha nie jest również wolna od pewnych usterek. P. Bloch objaśnia we wstępie, że zaczął drukować swą pracę wprzód, nim całość była gotowa. Téj okoliczności zapewne przypisać należy fakt, że w „Przyszłéj wojnie" znajdujemy rozmaite sprzeczności. Tak, naprzykład, w rozdziale I siły głównych armii europejskich określone są za pomocą liczb, które różnią się znacznie od podanych w rozdziale XVII: od 200 tysięcy do miliona 200 tysięcy. Pewnéj części siły zbrojnéj w każdém państwie daje autor miano „sił zaczepnych", skład ich jednak określa w jedném miejscu inaczéj, w drugiém—inaczéj, w trzeciém—jeszcze inaczéj (1893, marzec, 580, 582, 586). Czytelnik nie może się również dowiedziéć z pracy p. Blocha, o ile działanie artyleryi spotężniało od czasu ostatniéj wojny francusko-niemieckiéj, w jedném bowiem miejscu autor powiada: „Działanie

---

[1]) Jakto, i miarodajne sfery wojskowe francuskie odważyły się zaopatrzyć artyleryę w takie pociski? Co do owych „wstrząśnień" w społeczeństwie, których się autor tak obawia, nie od rzeczy będzie przypomniéć, że pod Woerth niektóre oddziały wojsk francuskich prawie do szczętu wyginęły: 78-my pułk liniowy stracił 80%, 13-ty batalion strzelców 87.15%, 2-gi pułk turkosów 93% (patrz belgijską *La défense nationale* Nr. 52 z 1892 r.), i że sam autor o stratach gwardyi pruskiéj pod St. Privat powiada: „w ciągu dziesięciu minut kule francuskie położyły 6,500 szeregowców i 240 oficerów, t. j. 1/3 część ogółu ludzi" 1893, wrzesień, 558).

armat jest dzisiaj 4 do 5 razy straszniejsze, niż było w 1870" (1893, marzec, 573), w drugiém: „Działanie artyleryi od r. 1870 spotężniało co najmniéj 12 do 15 razy" (1893, czerwiec, 628), na trzeciém: „Morderczość pocisków działowych, sięgających obecnie co najmniéj dwa razy daléj i rażących 8 razy potężniéj, będzie zupełnie inna, niż w 1870" (1893, sierpień, 263), na czwartém: „Obecnie, jak to wykazaliśmy, przewaga jednéj bateryi na jednym punkcie znaczyć będzie tyle, co w 1870 przewaga sześciu bateryi" (1893, wrzesień, 9). Daléj, cytowanie źródeł jest tu i owdzie wadliwe: nieraz wymieniony jest tylko tytuł książki lub autor (oczywiście, po raz pierwszy), a co do wydawnictw peryodycznych — tytuł wydawnictwa bez daty [1]). Jest to niewątpliwie drobny szczegół, a jeżeli go tu zaznaczamy, to tylko dlatego, że cytowanie źródeł miało odegrać dość ważną rolę w pracy p. Blocha. Mianowicie, w wyznaniu wstępném autor powiada, że mu nie chodziło nigdzie o „wyrokowanie w sprawach wojennych", lecz że przytaczał nieustannie własne słowa specyalistów, o ile tylko rozmiar pracy na to zezwalał, i prosi, ażeby mu tego nie poczytywano za chęć popisywania się erudycyą, albowiem chciał on tylko, aby „z jednéj strony czytelnik wiedział, z czyjém zdaniem ma do czynienia, i aby z drugiéj strony sam to, co mu się wydawać będzie nieprawdopodobném, niejasném lub niedostatecznie dowiedzioném mógł znaléźć, sprawdzić, dokompletować." Wreszcie w kilku miejscach autor nie jest zgodny z powołaném źródłem. Tak, naprzykład, Rediger na 222 stronie pracy swéj powiada: „Przygotowawcze szkoły wojskowe [2]) w chwili obecnéj tak są rozrośnięte, że w zupełności czynią zadość zapotrzebowaniu szkół podporuczników [3]), które zatém dostarczają oficerów nietylko posiadających należyte wykształcenie ogólne i specyalne wojskowe, lecz i wychowanych wojskowo w przygotowawczych szkołach wojskowych i szkołach podporuczników." P. Bloch ustęp ten odtwarza w sposób następujący: „korpusy kadetów w obecnéj chwili do tego stopnia zostały rozwinięte, iż doskonale d o p e ł n i a j ą naukę, r o z p o c z ę t ą w s z k o ł a c h w o j e n n y c h. Tam nietylko się kształcą, ale się wychowują oficerowie" (1894, luty, 25). Rediger na stronicy 66 powiada, że prawo Niel'a z 1868 r. osiągnęłoby całkowity swój skutek „dopiéro po 9 latach jego stosowania, czyli w 1877", p. Bloch zaś pisze (1893, marzec, 577), że „zamierzone dzieło miało

---

[1]) Naprzykład: „*Artillerie moderne*", „*Feldartillerie der Zukunft*"; Fircks, Wieliczko, Budiłowskij; „*United Service*", „*Revue de l'armée belge*" i wiele innych.

[2]) tak zwane „korpusy kadetów."

[3]) tak zwanych „szkół wojennych", *Kriegs-Schule* pruskich, z których wychodzą podporucznicy.

być ukończone zaledwie w 1879 (1879!)." Rediger na stronicy 39 powiada, że pruskie prawo rekrutacyjne rozciągnięte zostało na całe cesarstwo niemieckie w 1874 r., w „Przyszłej wojnie" zaś czytamy: „Bismark w 1875 r. szykował się do nowego najazdu na Francyę. Do wojny nie doszło, militaryzm jednak w Prusach zrobił wtedy dość znaczny krok naprzód. Prawo wojskowe z r. 1874 o kompletowaniu armii, obowiązujące w Prusach, zostało rozciągnięte do wszystkich państw związku niemieckiego." Wszystko to nadaje pracy p. Blocha charakter roboty pośpiesznéj.

„Przyszła wojna" jest napisana językiem poprawnym. Nie możemy, niestety, powiedzieć nawet tego samego o terminologii wojskowéj autora [1]). Oto są uchybienia językowe, jakie zdołaliśmy zanotować w jego obszernéj pracy. Armii stałéj nie można nazywać ani „kontyngensem pokojowym", ani „armią czynną." Armia składa się z gwardyi i linii, nie można więc nazywać linii „armią." Nie „liniowe pułki" liczyły we Francyi w 1870 r. „zaledwie 330 do 340 tysięcy", lecz armia operacyjna. „Granat wybuchający i bomba eksplodująca" są pleonazmem. Istnieją działa artyleryi konnéj lub działa konne, lecz niema „konno-artyleryjskich dział", podobnież jak niema „dalekomiarów strzelniczych" i „stacyi pocztowo-gołębich", a są tylko telemetry, albo odległościomierze, i stacye poczty gołębiéj. Bez „pisarzy wojennych", „kalendarzy wojennych" oraz „stopni kadrowych" terminologia polska może się chyba również obejść.

Na podstawie tego, cośmy dotychczas powiedzieli, możemy sformułować sąd nasz o studyum p. Blocha w sposób następujący:

„Przyszła wojna" jest owocem długiéj pracy. Posiada dużo stron dodatnich, ale ma również i strony ujemne. Ta ostatnia okoliczność jest powodem, że nie każdy może przeczytać pracę p. Blocha z korzyścią. Prawdziwie pożyteczną może być ona tylko dla czytelnika obeznanego z wojskowością. Tylko taki czytelnik może w niéj odróżnić informacye dobre od błędnych i znaleźć dla siebie wiadomości nowe, ciekawe i pożyteczne. Lecz takich odpowiednio przygotowanych ludzi u nas prawie nie ma: owszem, nawet osoby, przypisujące sobie kompentencyę w zakresie wojskowości, wykazują częstokroć rażącą nie-

---

[1]) Wadliwa terminologia wojskowa jest ujemną cechą wszystkich niemal artykułów i depesz treści wojskowéj w naszych dziennikach. Warto, doprawdy, już raz zaprzestać posługiwać się takimi pseudo-terminami, jak: okręgi wojenne, armia zamiast linia, sztab i ober-oficerowie, tren, niższy stopień zapasu, naczelnicy oddzielnych części, przodkara, komput i t. p.

znajomość przedmiotu [1]). Przeciętny czytelnik z trudnością oryentuje się w masie szczegółów wyłożonych bez planu, jaką praca p. Blocha przedstawia, i na wiele poszczególnych kwestyi z dziedziny wojskowéj może fałszywy wytworzyć sobie pogląd.

Z tém wszystkiém za zasługę poczytywać sobie może autor, że „bez względu na zarzuty, jakie go spotkać mogą”, napisał rzecz, która jest nowością w naszéj literaturze i chociaż dokładnego i wyczerpującego obrazu przyszłéj wojny nie daje, to wszakże jest ciekawą i pouczającą. Nie pomylimy się chyba, jeżeli powiémy, że gdyby nie p. Bloch, społeczeństwo nasze nie tak prędko doczekałoby się tak obszernéj pracy o wojskowości współczesnéj, jednemu bowiem zabrakłoby stosunków, drugiemu środków materyalnych, trzeciemu dobrych chęci i wytrwałości.

Piotr Malinowski.

[1]) Mamy tu na myśli autora artykułów p. t. „Kronika wojskowa“, które umieściła „Gazeta Polska“ w końcu 1893 i na początku 1894 (patrz np. Nr 279 z 6 grudnia 1893), a zarazem współpracownika wychodzącéj obecnie „Wielkiéj encyklopedyi powszechnéj ilustrowanéj“ w dziale wojskowości współczesnéj (patrz np. artykuł „Artyleryi organizacya“ w zeszycie 34).



PO ZDROWIE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Raz, dwa, hop! doskonale! siedzisz pani jak huzar!

Marynia uśmiechnęła się z zadowoleniem, zebrała cugle, poklepała gniadą klaczkę po karku, potém cmoknęła i zrównała się z Zosią. Panny prezentowały się na koniach dobrze. Zosia była może trochę za drobna, za szczupła, ale zato kierowała koniem z wprawą wytrawnego jeźdźca.

— Kto panią uczył konno jeździć? — wychyliłem się do niéj z powozu, gdy się z nami zrównała.

— Julek najpierw—potém douczałam się w Warszawie.

W srebrzysto-szaréj amazonce, w takimże kaszkieciku nachylonym z fantazyą ku lewemu uchu, z twarzyczką podobną do delikatnego listka narcyza, dziewczyna wyglądała dzisiaj tak ładnie, że zawahałem się któréj oddać pierwszeństwo: jéj, czy mojéj złoto-włoséj faworytce. A Marynia nie wyglądała przecie gorzéj niż zwykle, miała od tamtéj pełniejszą i wysmuklejszą figurkę, buzię w rumieńcach i w czarnym kolorze było jéj wyjątkowo dobrze. Julek przyglądał jéj się jak artysta.

— Wié pani co, panno Maryo? Gdybyś była żyła w czasach Palmy il Giovine, byłabyś dziś...

Urwał i śmiejąc się dodał:

— Nie pojechała z nami do Schlucht'u.

— No tak, żyjąc w szesnastém stuleciu, nie mogłabym w dziewiętnastém znajdować się w Meranie. Zdaje się, że nie odkryłeś pan Ameryki.

— Nie potrzebowałem, inni się już za mnie pofatygowali.

Zosia była rozpromieniona.

— Myślałam—rzuciła wesoło—że co najmniéj ofiarujesz jéj kącik na sądzie ostatecznym w Palazzo Ducale, tylko—może w amazonce i ze spicrutą nie pasowałaby do tamtych pierwotnych strojów—twój Palma nie zgodziłby się na taką kombinacyę kostiumów.

Wydostaliśmy się na drogę równą i prostą jak strzała. Zosia ujęła silniéj cugle, uniosła się na strzemieniu, nachyliła lekko i pomknęła naprzód jak wicher. Marynia, Dolski i Ruszczyc podążyli za nią, a ja ścigałem ich wzrokiem, póki nie zniknęli mi z oczu.

— Panna Dolska doskonale siedzi na koniu—zauważyłem—takie to wątłe ma rączki, ale cugle umié trzymać tęgo.

— I ślicznie dziś wygląda—dodał Leon.

A Julka skinęła głową.

— I Marynia dobrze wygląda, a wszystko dla tego, że nie ma Adelci, przy niéj każda zgaśnie.

— Co téż pani mówi! — obruszył się Władtowicz. — Pani Adela jest przystojna, ale jak w czyim guście.

Uśmiechnąłem się.

— A pan nie uznajesz brunetek—prawda?

— Tak, to jest nie, blondynki mają w sobie więcéj kobiecości...

— Także coś nowego!—przerwała mu Julka—nie znam kobiéty, która miałaby jéj więcéj od Adelki—nie prawdaż panie Leonie?

— Nie zastanawiałem się nad tą kwestyą—nie wiem.

A Władtowicz na to:

— Pan Leon woli teraz wpatrywać się w hodowle prątków gruźliczych, aniżeli w ładne oczy, ale pomimo to, nie wierzę by nie marzył nigdy o stworzeniu sobie szczęścia i w wyobraźni nie przyoblekał w ciało przyszłéj królowéj, swego przyszłego królestwa szczęśliwości.—Cóż nie zgadłem?

— Nie, nie zgadłeś pan, byłem zupełnie szczerym. Ludzie jak ja, nie marzą o szczęściu rodzinném, bo poświęcili się idei, a idea nie znosi rywalek. Trzeba jéj się oddać całym, albo nie oddawać wcale.

— Eh! panie — to frazes — mówił daléj litwin — idea ideą, a własne gniazdko gniazdkiem, o którego ulepieniu myśli każdy mężczyzna. Samemu i ciężko i smutno.

— Tak, może, — przyznał Leon zamyślony — ale na gniazdko trzeba mieć środki, gdy tymczasem tacy jak ja, nie dochodzą nigdy do podobnéj doskonałości. Walka o byt to ich normalny stan i może

właśnie dobrze, że jest tak, jak jest: siły nie rozpraszają się na uczucia i na rodzinne kłopoty.

Wzruszyłem ramionami.

— A w walce o byt to niby się nie rozpraszają.

— A nie! — to podwaja energię, byle naturalnie walka nie była zbyt ciężką.

— Więc pan nigdy się nie ożeni, nigdy? — pytała ciekawie Julka.

— Nie pani — nigdy.

Litwin kiwał głową.

— Nie wierz mu pani: i na niego przyjdzie pora, zatęskni do serca, które byłoby tylko jego — to nieodwołalna fatalność, ścigająca wszystkich mężczyzn i wszystkie kobiéty.

— No, niekoniecznie—zauważyła Julka zamyślając się i patrząc na Leona. I panu nigdy nie przyjdzie na myśl, że może byłoby dobrze wpleść troszkę uczucia w to ciężkie życie, które pan wieść zamierza.

Zdawało mi się, że po czole Leona przemknął różowy obłok, ale widocznie zdawało mi się. Patrzył na Julkę spokojnie i odparł stanowczo.

— Nigdy, ja zresztą nie uznaję żadnych „troszkę". Matka i mój zawód zabrały mi całą duszę, a gdybym pokochał kobiétę, to byłoby bardzo smutne i dla matki i dla mojéj przyszłości.

— To zależałoby od kobiéty—wtrąciłem.

— W takim razie—zaczęła znowu Julka — byłabym bardzo ciekawa poznać zdanie o kobiétach człowieka, patrzącego na nie tylko oczami zimnego obserwatora. Myślę, że taki sąd mógłby być bezstronny. Co pan sądzisz, panie Leonie, o urodzie i o charakterach dwóch tak sprzecznych istot naprzykład, jak Adelka i Zosia?

— A! to przecież nie trzeba wyłączać i panny Maryni — dodał Włastowicz. — Cóż, któréj oddasz pan jabłko?

— Niby jako Parys?

Leon roześmiał się, ale po chwili spoważniał.

— Co do urody, pan Włastowicz ma chyba racyą mówiąc, że to rzecz gustu, co zaś do charakterów... tylko proszę wybaczyć, że będę szczerym...

— Ależ naturalnie, dla tego tylko pytam, że wierzę w pańską szczerość!

— Otóż ja myślę, że panna Marya mogłaby być prawdziwym promykiem słońca w domu człowieka zamożnego, szczęśliwego i oddanego jéj całkiem. Nieszczęście prawdopodobnie złamałoby ją, albo

też zbudziło w niéj bunt, którego następstw niepodobna było by obliczyć. Pannę Zofią pan mecenas nazwał kiedyś uosobieniem natchnienia; otóż zdaje mi się, że ona rzeczywiście byłaby odpowiednią żoną i prawdziwém natchnieniem dla artysty, lub poety naprzykład...

— Albo dla człowieka idei—wtrąciłem półgłosem.

Włastowicz i Julka uśmiechnęli się, a Leon nie zwracając uwagi ani na przerwę, ani na uśmiechy, mówił daléj:

— Gdyby pokochała, umiałaby być silną w każdéj okoliczności. Ona jest delikatna, ale wytrzymała jak stal, albo jak koń rasowy — zresztą, może się mylę.

— Zdaje mi się—potwierdziła Julka.

— Nie, nie mylisz się—rzekłem stanowczo, bardzo zadowolony.

— A Adelka?

— Pani Adela... byłaby szczęściem dla każdego i zawsze.

Julka kiwnęła główką potakująco, ja zaś zamyśliłem się, i myślałem póty, póki nie stanęliśmy na miejscu.

Schluchtem nazywa się wielki wąwóz, o dobrą milę oddalony od Meranu. U wejścia do jego tajemniczego wnętrza, znajduje się jak zwykle budynek, noszący szumny tytuł restauracyi i kawiarni zarazem i otoczony wokoło drewnianym krużgankiem.

Gdy nasze ciężkie lando zatrzymało się na małém podwórku, ujrzeliśmy na krużganku pierwszego piętra stół już nakryty, a wokoło niego uwijające się panny, Ruszczyca i Dolskiego. Śniadanie było już gotowe. Na stole stały karafki z krajowém winem czerwoném i talerze z bułkami, a za naszém ukazaniem się, pojawił się wielki półmisek sznyclów po wiedeńsku i drugi nie mniejszy—knedli ze śliwkami. Była zaledwie jedenasta godzina, ale że przejażdżka zrobiła swoje, więc na zgłodniałe żołądki ten widok podziałał na kształt gazu rozweselającego. Humory były złote, Jania jak szalona biegała po krużganku, Włastowicz i Dolski przekomarzali się z Marynią, a ona odcinała im się jak mogła.

— Panna Marya to jak zjadliwy bakcylus — zauważył śmiejąc się Leon.

— Czy bakteryologowie nigdy nie zdobywają się na lepsze komplementy.

— Alboż to zły? Bakcylusy to zupełnie nieszkodliwe istotki, organizm ludzki niszczeje tylko pod wpływem ich wytworów, czyli toksyn, a pani humor nikomu nie szkodzi — przeciwnie bez niego byłoby nam jak bez słońca.

Marynia kiwnęła głową, na znak uznania.

— Dziękuję, zaczynasz się pan cywilizować, a choć nie wiele zrozumiałam o owych toksynach, domyślam się wszakże, że to miał być komplement.

A Włastowicz patrzył na niego z uśmiechem.

— Ostrożnie panie Leonie! — mówił — pamiętaj pan zawsze, że miłość wchodzi mężczyźnie przez oczy, a kobiecie przez uszy.

— A pan drżysz o spokój mego serca? mój Boże! powinnam czuć wdzięczność za tyle troskliwości, a ja tymczasem przyznaję tylko, że pan jesteś chronicznie nieznośny.

Litwin pokiwał głową.

— Tak, teraz Włastowicz nieznośny, naturalnie, nowe sitko na kołek, przytém panowie Krzycki i Dolski młodsi, ładniejsi — rozumiem.

— Pan zawsze dobrze rozumiész — a pan Dolski jest rzeczywiście takie nowe sitko...

— Nowe nie nowe, ale okrągłe, ruchliwe, *Figaro ci*, *Figaro là*.

Dziewczyna parsknęła śmiéchem.

— O! toś pan przynajmniéj raz prawdę powiedział.—Medyolanka—*Figaro ci*, Wenecyanka—*Figaro là*.

— Trudno — artysta nie może być nieczułym na piękno — westchnął Dolski.

— A miłość nie może się obejść bez zazdrości nawet o piękno— dodał Włastowicz.

Ale Marynia się odcięła:

— Czy pan po sobie sądzisz?

— Nie pani, to ogólna zasada: miłość bez zazdrości to jak Polak bez wąsa. Ta reguła nie posiadała dotąd wyjątków.

— No to jeszcze posiędzie, a tymczasem chodźmy do Schlucht'u. Wstała, za nią wszyscy.

— Ale pan Leon chyba nie pójdzie — zauważyła Julka odwiązując Jani serwetę.—Tam jest strasznie zimno, ja także nie pójdę, a Zosia niech weźmie z sobą co ciepłego.

— To i ja będę towarzyszył panu Leonowi — odezwał się Włastowicz. Dojdziemy do polanki i usiądziemy sobie w słońcu.

Wyszliśmy wszyscy i po pięciu minutach wolnego marszu, znaleźliśmy się na niewielkiéj łączce, przerzniętéj wartkim i kamienistym strumieniem. Łączka, z jednéj strony otwarta, z dwóch przeciwległych sobie obwarowana dwoma olbrzymiemi szczytami, z czwartéj zwężała się i wzdłuż strumienia, w obmurowaniu skalistem, dwoma coraz węższemi pasmami biegła w górę. Nie brakło tu ławeczek, więc część towarzystwa usiadła, rozglądając się i grzejąc na słońcu, część

powędrowała naprzód i wkrótce znikła, wchłonięta przez cienie wąwozu.

Czując się trochę zmęczonym, pozostałem z Julką i jéj towarzyszami, ale wkrótce tajemnicze wnętrze otchłani tak mię poczęło wabić i nęcić i ciągnąć, że podniosłem się i puściłem w górę strumienia. Wązki pasek łąki wkrótce się urwał, zastąpiła go skalista i niezbyt wygodna ścieżka, aż i ta zanikła, a przed oczami pozostał mi tylko strumień rozbijający się z łoskotem o głazy i dwie prostopadłe ściany skał, porośniętych bluszczem, różnobarwnemi ostami, a gdzieniegdzie świecących nagim i wilgotnym kamieniem. Droga urywała się zupełnie i ciekawemu turyście pozostawały dwie alternatywy, albo wejść w strumień, albo pożyczyć pazurów kocich i drapać się na śliskie ściany wąwozu. Ale cywilizacya zachodu umié wszystko przewidziéć i wszystkiemu zapobiedz. Ciekawy badacz flory, lub wapieni i molassowych utworów alpejskich — i odważna angielska turystka, nie potrzebują się narażać ani na katar, ani na połamanie kości, albowiem prawą stronę wąwozu przystrojono w drewniany pomost, a po nim można już w sposób nader wygodny, odbywać dalszą wędrówkę. Wprawdzie ów pomost nie dodawał wdzięku ponuremu wąwozowi, i rzeczywiście wyglądał jak kwiatek u kożucha, albo raczéj jak kożuch przy kwiatach, ale celowi odpowiadał w zupełności.

Wydostałem się nań z niejaką trudnością, bo schody po których trzeba było wchodzić, były zupełnie pierwotne i składały się tylko z dwóch głazów o rozmiarach dość znacznych, ale trudy te zostały wynagrodzone pięknością dna wąwozu, widzianego teraz z góry. Szedłem tak już z kwadrans, gdy naraz, gdzieś ze szczytów, czy może z nieba, doleciał mię śpiéw. Zdziwiony przystanąłem i począłem nadsłuchiwać. Wiatr powiał i wyraźnie doleciały mię słowa:

Tylko lud nasz niewesoły nad Wiślaną falą
Bo nam starzy posmutnieli a młodzi się żalą...

Więc wyprzedzające mię towarzystwo, wynalazło gdzieś jednak drogę i wydostało się w góry—ale którędy? Począłem się rozglądać,— podemną woda, nademną wązki pasek nieba, obok prostopadły mur.

— Może gdzie daléj—mruknąłem i począłem iść znowu. Ale pomost się skończył u stóp wodospadu, z hukiem obmywającego wielki głaz—byłem zmuszony zawrócić. Szedłem teraz wolno i starannie badałem ścianę wąwozu. Znów mię doleciały śpiewające głosy, ale śladu wejścia na szczyty nie było. Przystanąłem, przyłożyłem dłonie do ust i huknąłem ile mi głosu stało. Odpowiedziało mi wspaniałe echo, więcéj nic. Dochodziłem już do początku pomostu, gdy zwróciło moją

uwagę dość znaczne rozszczepienie skały. Czyżby tu? — ano sprobujemy. Wcisnąłem się w wązki przesmyk, ciemny i wilgotny i macając oślizgłe ściany, szedłem odważnie naprzód. Przesmyk począł się powoli rozszerzać, nad głową zabłysło mi słońce, szedłem to w górę to nadół, wreszcie ujrzałem się na pochyłości jakiéjś nagiéj góry. Z pod nóg usunął mi się głaz, potoczył się, chwilę panowała cisza, potém doleciał mię przytłumiony huk. Cofnąłem się z mimowolném drżeniem, uchwyciłem za wystający kamień i począłem iść tuż przy ścianie skalistéj, starannie omijając głazy. Pod stopami miałem nowy wąwóz, nad głową niebo, przed sobą i za sobą pochyłą ścianę góry i mnóstwo ścieżyn wydeptanych snać przez kozy. Chwilkę zawahałem się—iść, czy wrócić? Ale czy potrafię wrócić? a przytém — jeżeli oni poszli, czemużbym ja nie miał popróbować rozkoszy drapania się po Alpach? Smutna rozkosz! Zgrzany, zmęczony, zakurzony i podrapany, wydostałem się wreszcie na jakąś polankę, porosłą krzakami jałowcu. Bez tchu rzuciłem się na ziemię i począłem rozmyślać nad własném szaleństwem, gdy naraz — o radości znów doleciał mię śpiéw, tym razem gdzieś bardzo blizko. Odrazu odzyskałem siły i począłem iść tak śpiesznie, jak gdybym nie pod górę się drapał, lecz szedł po najwygodniejszéj w świecie drodze.

Bo przyśpieszone serc dwojga bicie
To raj młodości, uroków świat...

śpiewała Marynia i Dolski. Zosia siedziała na kamieniu, patrzyła w niebo i słuchała, Ruszczyc wpół leżał na ziemi i patrzył na nią. Nie słyszeli moich kroków, więc obszedłem krzak dzikiego bukszpanu, pod którym siedzieli, i nie chcąc im przeszkadzać, a właściwie pragnąc wygodniéj odpocząć, położyłem się z jego drugiéj strony jak długi i zrzuciwszy kapelusz, oddałem się badaniom astronomicznym, bez lunety i bez gwiazd. Czasami takie badania są bardzo przyjemne, zwłaszcza téż gdy brak obcasów jest miarą poniesionych trudów, gdy słońce nie dopieka a grzeje, gdy oczy zaczynają się kléić, a do snu kołyszą głosy tak czyste i dobrane, jak były głosy Dolskiego i Maryni.

Kochać to żyć, to szczęścia kwiat...

Słowa te powtarzały się kilkakrotnie i widać bardzo długo, bo nic innego już nie dosłyszałem.

— Czy pani to mówi zupełnie seryo?

— Najzupełniéj.

Leżałem na wznak, oczy miałem otwarte i starałem się przypomniéć sobie gdzie jestem i zkąd mię dochodzą takie znajome głosy.

Aha! Schlucht—obcasy—śpiéw, czemu oni już nie śpiewają? Przewróciłem się leniwie na bok i rozsunąłem gałązki bukszpanu. Zosia siedziała jeszcze na kamieniu i jak przedtém trzymała na kolanach kaszkiecik, rękawiczki i pęk ostów, opodal Ruszczyc profilem do mnie zwrócony mówił.

— A jednak w takich razach nigdy nie można być pewnym siebie.

— Dlaczego?

— Dlaczego — powtórzył niecierpliwie — pani zaraz dlaczego, — albo ja wiem? Tak najczęściéj bywa. Sprzykrzy się pani bezcelowe życie, na które już teraz chorujesz i poprobujesz pani zmiany.

— Kiedy moje życie nie będzie teraz bezcelowe — ułożę je sobie tak, jak pan układasz swoje gdy bawisz w Zdruczu. To mi nawet zajmie więcéj czasu niż panu, bo ja wszystkiém będę się zajmowała sama. Pan Leon obiecał mi dostarczać książek.

— Pan Leon... Spotkasz pani w życiu innego pana Leona, albo może ten okaże się odpowiednim i... projekt się zmieni.

Popatrzyła na niego uważnie.

— Dlaczego pan mi to mówisz?

Ruszczyc milczał chwilę, wreszcie zaczął, a głos mu drżał lekko.

— Dla tego, że pani jesteś warta Leona, a Leon jest wart ciebie. Takich ludzi nie spotyka się często, panno Zofio.

— Być może, ale—opowiédz mi pan tymczasem jak Zdrucz wygląda.

— I cóż pani z tego przyjdzie?

— Nic, ale myśląc o kimś, mimowoli wyobrażamy sobie zaraz całe jego otoczenie. Pan opowiadasz tak obrazowo, że myśląc o tobie i o Zdruczu, nie będę już potrzebowała przyzywać na pomoc imaginacyi.

Uśmiechnął się, ale nie wesoło i zaczął opowiadać wolno a śpiewnie.

— Zdrucz jest mój własny, rodzinny, ale choćby nie był moim, musiałbym mu przyznać, że jest ładny. Dom stoi na górze, szczyt ma zwrócony do rzeki, a gdy się stanie na balkonie pierwszego piętra, ma się pod nogami przepaść. Na dnie téj przepaści szumi Dniestr.

Zosia wypuściła z rąk kaszkiet i osty, oparła łokcie na kolanach, na dłoniach twarz i słuchała z szeroko otwartemi oczami.

— To musi być ślicznie.

— Tak, szczególnie w nocy gdy świéci księżyc. Wąwóz wydaje się wtedy pełen tajemnic, strachów i upiorów, na dnie nie wody Dnie-

strowe się toczą, lecz srebro. W tę głębię coś ciągnie i mnie parę razy o mało już nie wciągnęło.

Wzdrygnęła się.

— Nie mów pan tak nigdy, proszę... i cóż daléj?

— Od strony południowéj, wzdłuż całego domu jest wielka werenda, a potém tarasy, tarasy, aż nadół do parku i do Dniestru, który otacza ogród z dwóch stron.

— A gdzie jest szkoła?

— Jak się zejdzie na dół, pójdzie na prawo i przejdzie cały park, to na samym jego końcu jest wielki staw, a przy stawie z jednéj strony stoi szpitalik, a z drugiéj szkoła. Przy szkole jest plac do zabawy, gimnastyka i różne inne rzeczy.

Ruszczyc dopomagał opowiadaniu giestami, gałązką bukszpanu odznaczając na murawie sytuacyjny plan Zdrucza. Zosia śledziła pilnie ruch jego ręki.

— Dzieciom i chorym musi być przyjemnie, że mają drzewa i wodę?

— Zapewne. — Uśmiechnął się gorzko. — Moja żona chciała to wszystko wyrzucić, bo według niéj, dzieci bez rękawiczek i paryskich bucików i budynki, psują całą piękność ogrodu. Nie ustąpiłem, więc nigdy nie bywa w Zdruczu, ale mój Jurek przyjeżdża z radością i rej wodzi na placu zabawy.

Zosia zamyśliła się, lecz po chwili znowu rzuciła pytanie.

— A doktór gdzie mieszka?

— U mnie. Cóż ja bym robił z takim dużym i pustym domem? Doktór rano odwiedza moich chorych, a potem jeździ po okolicy i ma dużą praktykę. Nie jeden lekarz z małego miasteczka chętnie zamieniłby się na jego los, pomimo, że ja mu nic nie płacę. Niech pani nie myśli, że to jakieś dobrodziejstwo z mojéj strony, mnie to nic nie kosztuje prócz utrzymania lekarza i pary koni.

Zosia patrzyła na niego długo.

— Jaki pan jesteś inny od wszystkich! Pan naprzykład robisz dobrze i nawet o tém nie wiész i jeszcze starasz się wmawiać w drugich, że to wcale nie dobrodziejstwo, tylko interes. Ręczę, że płacisz temu doktorowi i wstydzisz się przyznać, tak. Milczała chwilę, w oczach i na czole miała zadumę, poczém mówiła znowu.

— Co ja się już nauczyłam od pana!—gdybym spotkała takiego drugiego — może wyszłabym za mąż — pomagałabym i w szkole i w szpitalu—dzieci kochałyby mię—tylko—nie ma na świecie dwóch liści jednakich, więc zkądżeżby było dwóch jednakich ludzi...

Umilkła, a ja ciekawie spojrzałem na Ruszczyca. Blady był jak płótno. Zosia zerwała się i krzyknęła:

— Co panu?

Odsunął ją delikatnie.

— Nic, nic, ja miéwam czasem kurcz w sercu. Proszę, niech się pani uspokoi, to zaraz minie.

Wstał i począł się przechadzać, a Zosia patrzyła za nim. Z oczu płynęły jéj łzy.

Byłem w przykrém położeniu. Pokazać im się teraz nie mogłem, pozostać nie chciałem, ale nim zdecydowałem się na jedno lub drugie, Ruszczyc wrócił. Wyglądał jak zwykle, ale ujrzawszy płaczącą Zosię znowu pobladł—chwilkę zawahał się — wreszcie przykląkł przy niéj i za ręce ujął.

— Czemu dziecinka płacze—czemu?

Starał się mówić spokojnie, ale głos mu drżał, a ona szepnęła:

— Wylękłam się, myślałam że pan zemdleje.

Nachylił się i do jéj rąk usta przycisnął.—Maleństwo moje—szeptał—biedne, bezradne, a zaraz łzy.

Zosia zbladła, zaczerwieniła się i znów zbladła.

— O proszę! nie rób pan tego—proszę!

Próbowała odebrać mu dłonie, ale on nie chciał ich uwolnić.

— Coby pani zrobiła, gdybym był na prawdę zemdlał?

— Nie wiem, na razie byłabym pewno nic nie zrobiła, a potém—może byłabym wołała Julka, a może sama szukałabym wody — nie wiem...

Znów próbowała oswobodzić uwięzione dłonie.

— A gdybym był umarł?

Zadrżała i wybuchnęła płaczem.

— Niedobry pan jesteś! niedobry!

A on patrzył na nią z jakąś dziką radością w oczach — wreszcie puścił jéj rączki, wstał i dłoń po oczach przesunął.

— Masz pani racyą — nie jestem dobry.

Zosia podniosła się także i nerwowo zaczęła nakładać rękawiczki, pozostawiając rozrzucone osty.

— Pójdźmy za nimi, o, czemu oni poszli bez nas!

Ruszczyc zaczerwienił się.

— Czy pani boisz się mnie? — proszę powiedziéć, to ja zostanę, a pani pójdziesz sama. Droga tu bezpieczna, a na szczyt już niedaleko.

Stała przed nim ze spuszczonemi oczami, jak zmartwione i skłopotane dziecko, a on patrzył na nią długo, chciał coś mówić i po-

wstrzymał się, poruszył się niespokojnie i znów się opanował, wreszcie zaczął łagodnie.

— Panno Zofio! czyż nasza przyjaźń zerwie się naprawdę? Czyż pogniewamy się nazawsze dla dzieciństwa? To było dzieciństwo z méj strony, wierz mi pani, proszę, — ja się nie zmieniłem nic a nic, a dawniéj pani nie bałaś mnie się przecie...

Głos jego zawsze dźwięczny i śpiewny nabrał zadziwiającéj słodyczy, a dziewczyna jakby pociągnięta czarem postąpiła kilka kroków i znów stanęła, on zaś mówił daléj coraz pieściwiéj, coraz śpiewniéj.

— Przecież my już nie długo będziemy razem,—pani wyjedziesz, wrócisz do swoich—zapomnisz... — głos mu się złamał, ale on go opanował natychmiast — więc teraz popróbuj zapomniéć, że zrobiłem ci przykrość... daruj i powróć mi dawną ufność! Wyciągnął do niéj rękę — ona postąpiła kilka kroków i nagle, jakby pociągnięta jakąś niewidzialną siłą, łkając upadła mu na piersi.

Zdawało się, że z twarzy Ruszczyca zbiegła ostatnia kropla krwi. Nie przygarnął jéj, tylko stał jak posąg z kamienia i patrząc w niebo powtarzał bezwiednie:

— O Boże! o Boże!

Po chwili uspokoił się, objął wzrokiem przytuloną do niego dziewczynę, z niewypowiedzianą tkliwością otoczył ją ramieniem, poczém delikatnie odjął jéj ręce od twarzy i spojrzał w zapłakane oczy.

— Niegodziwy jestem, zdenerwowałem dziecinkę—prawda?

Poprowadził ją do wielkiego kamienia, posadził i ukląkł obok.

— A teraz—szeptał — uspokoimy się, otrzemy oczki i w dawnéj zgodzie pójdziemy gonić pannę Marynię i pana Juliana—dobrze? Proszę spojrzéć mi w oczy, proszę! — Już wiem, że się pani nie gniewasz, ale chciałbym zobaczyć co tam teraz jest na miejsce gniewu. O tak, bardzo dobrze, takim starym jak ja trzeba czasem wybaczyć. Przecież i Antoni pocałował tę rączkę i wybaczyłaś mu, a ja także jestem stary, bardzo stary. Niech pani o tém zawsze pamięta — ja przecież mógłbym być ojcem takiego aniołka jak pani.

— No, pójdźmy już!

Pomógł jéj podnieść się, podał kaszkiecik, spicrutę i począł zbierać osty.

— Czy pani chcesz je tu zostawić? — mówił — chyba nie; razem je zbiéraliśmy, więc teraz trzeba zebrać, rozdzielić na dwie części i podzielić się sprawiedliwie na znak zgody, czy tak?

Zosia się uśmiechnęła i kiwnęła główką, poczém oboje przyklękli i poczęli odkładać puszyste łodygi na dwie gromadki.

— To co pani odkłada to będzie dla mnie, a to co ja, to dla pani, dobrze?

Znów kiwnęła główką i znów się uśmiechnęła, ale już swobodniéj. Związali swoje osty, zamienili się wiązankami, poszli, a ja siedziałem zdziwiony i tak nieruchomy, jak ten kamień, który Zosia opuściła przed chwilą. Miałem wrażenie, że coś się zawaliło i wielkim ciężarem przygniotło mnie, moje pragnienia, moje marzenia, ale jakie pragnienia? jakie marzenia? — nie wiedziałem. Biedne dziecko! Tu, w moich oczach zrodziło się w niéj to uczucie i teraz będzie ją żarło, paliło wyrzutami, da jéj tylko ból, a ja osioł patrzyłem na to, nie powstrzymałem jéj, nie zasłoniłem przed nieszczęściem. Jak bezradna baba siedziałem pod krzakiem, jak baba podsłuchiwałem i stało się... w moich oczach się stało!

Ile tak czasu przepędziłem, nie wiedziałem i nie wiem dziś—może kwadrans? może parę godzin? Z przykrego zamyślenia wyrwały mię zbliżające się głosy. Zerwałem się i począłem iść w górę.

— A! znalazłeś nas pan? — zawołała Marynia ukazując się nagle i zbiegając całym pędem.

Przysiadłem i wyciągnąłem ręce by ją pochwycić, ale dziewczyna minęła mnie, a gdy się odwróciłem, stała na wielkim głazie i śmiała się do rozpuku.

— Gdzież to tak państwo bujali? — zapytałem zwracając się do niéj i nie patrząc na zbliżających się, Ruszczyca i Zosię.

Dziewczyna napuszyła się jak paw!

— Phi! tam, dokąd pan nie zaszedłbyś nigdy. Nogi mię bolą, to prawda, ale co za widok! Widzieliśmy cały las szczytów i nawet gleczery—błyszczały w słońcu, że aż oczy bolały patrzéć.

— No, tak dalece nie, — zaśmiał się Dolski, postępujący obok Zosi—były trochę za daleko.

— To pana może nie, mnie bolały.

Dolski się skłonił.

— Widocznie przyzwyczajam się do zimnego blasku oczu pani i gleczery mię już nie rażą.

Poczęliśmy schodzić nadół i stosunkowo szybko i wygodnie wydostaliśmy się w wąwóz zupełnie inną drogą niż ta, którą ja przebywałem w tak strasznym pocie czoła. Bardzo stroma i kamienista, ale w każdym razie możliwa drożyna, wywiodła nas odrazu nad brzeg strumienia, poniżéj pomostu. Byłem zdziwiony.

— A wiécie państwo, że ja doszedłem do was zupełnie inną drogą?

— Kiedy tu nie ma innéj—odezwał się Ruszczyc.

— Jakżeż nie ma — jest.

— I począłem opisywać moją wyprawę. Ruszczyc kiwał głową, Zosia patrzyła na mnie z przestrachem, a Marynia z pewnego rodzaju poszanowaniem przyglądała się mojéj marynarce i moim butom.

— Ja téż myślę—zaczęła obchodząc mię wokoło—zkąd pan mecenas ma takie pięknie wydarte trójkąty, jeden na rękawie, drugi z tyłu, i takie zabawne papiloty na butach? Patrz no Zosiu! zupełnie tulipany.

Poszedłem za jéj wzrokiem i zobaczyłem ze zdziwieniem że skóra moich butów potrzaskała przy podeszwie, że musiała w czasie nieszczęśliwéj pielgrzymki zamięknąć, następnie w czasie drzemki na słońcu wyschnąć, a w rezultacie poodwijała się do góry, skręciła w trąbki i utworzyła coś w rodzaju podłużnych tulipanów. Mimowoli roześmiałem się.

— Nie śmiał byś ty się, gdyby nie śpiew panny Maryi — odezwał się Ruszczyc.

— Byłbyś pan zbłądził i zginął na amen — dodał Dolski, palcami robiąc ruch, mający ilustrować zagładę mojéj osoby, a Marynia przybrała majestatyczną pozę, wyciągnęła do mnie rękę i rzekła grobowym głosem:

— Podziękuj pan! naszym śpiewem uratowaliśmy ci życie!

— Ja pana wyręczę! — zawołał Dolski chwytając jéj rękę i wyciskając na niéj ognisty pocałunek.

Marynia się nadąsała.

— Idźżeż pan sobie! nie jestem biskupem, żeby mię wszyscy święci całowali.

Wykręciła się i poszła naprzód, Dolski za nią, po chwili śmieli się już oboje, a ja obserwowałem z pod oka Zosię, która stała przez czas téj sceny z boku, zmieszana i zarumieniona pod spojrzeniem Ruszczyca.

Gdy weszliśmy na podwórze restauracyi, zastaliśmy już powóz zaprzężony i konie osiodłane. Włastowicz i Leon chodzili niespokojnie po krużganku i co chwila zwracali głowy w stronę Schlucht'u.

— No, przecie! Myślałem żeście się tam pozabijali — zawołała Julka szczerze ucieszona, zobaczywszy nas w pełnym komplecie, ale w niezbyt kompletnych strojach.

— Bój się Boga Maryniu, jak ty wyglądasz?

A Marynia stała przed nią ze szpicrutą pod pachą, z kaszkietem w jednéj ręce, z amazonką w drugiéj, bez rękawiczek, z rozrzuconemi włosami, zapylona i zgrzana.

— Ba! żebyś była tam, gdzie my, wyglądałabyś jeszcze lepiéj. Nie marudź, tylko uczesz mię, a potém obejrzyj sobie trąbki na butach pana mecenasa i dziw się.

Rzuciła na stół szpicrutę i czapeczkę, wyjęła z włosów resztę szpilek i potrząsnęła głową. Istna kaskada złota spłynęła jéj na szyję, ramiona i plecy.

Dolski stanął i ręce złożył jak do modlitwy.

— Jak Boga kocham, nic podobnego nie widziałem na żadnym obrazie Tycyana! A toż to złoto, szczere złoto!

Począł ją obchodzić zwolna, jak wielki ołtarz.

Marynia się nachmurzyła.

— No no, idź pan sobie, albo przynajmniéj odwróć się. To złoto nie ma kursu i w karty nie da się przegrać.

Włastowicz i Leon przygryźli usta, a Dolski odwróciwszy się posłusznie, stał wyprostowany i sztywny, jak słup przydrożny.

— Czy długo jeszcze?—pytał co chwila. —Miły rozkaz! prawda panie Włastowicz?

Litwin parsknął śmiechem.

— O, miły! jak kozie wilczy głos.

— No, już!

Marynia zerwała się, oczyściła suknię z pyłu i bodiaków, Dolski dopomagał jéj skwapliwie, poczęliśmy się zbierać do odwrotu. Młodzi znowu pojechali przodem, ale Zosia trzymała się teraz przy powozie i milczała uparcie, pomimo że Julka, Włastowicz i Leon byli bardzo ożywieni i rozmawiali bez przerwy. Jania wkwaterowała mi się na kolana i zasnęła ukołysana jednostajnym ruchem powozu i rozmową. Pogrążyłem się w myślach, od czasu do czasu rzucając spojrzenia na Ruszczyca i Zosię. Ruszczyc pozostawał czasem w tyle, czasem wyrywał się naprzód i znów wracał, równie milczący, jak jego towarzyszka. Byłbym dał wiele, gdybym mógł odgadnąć, jakie téż myśli snuły się teraz pod szarym kaszkiecikiem? Widziałem, że nie wesołe, ale mnie zajmowało tylko jedno:— czy dziewczyna zdaje sobie sprawę z tego co się z nią dzieje, czy nie zdaje, — czy wié jaka zmiana zaszła w niéj od chwili gdy z całą naiwnością nieświadomości rzuciła: gdybym spotkała drugiego takiego, może wyszłabym za mąż, — do téj drugiéj, w któréj jak zahypnotyzowana, dobrowolnie padła mu w ramiona. Przyglądałem jéj się z boku i widziałem, że była blada i że prócz zwykłéj powagi, miała w oczach smutek. Więc chyba wié — wié, że choćby znalazła teraz na świecie „drugiego takiego samego”, nie oddałaby mu duszy, bo jéj nie trzeba już takiego samego, tylko

tego jednego, jedynego. Zrobiło mi się smutno. I co ten dzieciak pocznie z tą swoją miłością? — miłością wzbronioną?

Świat jest piękny, ale ludzie na nim smutni.

Ona powiedziała to do mnie przed paru dniami. Czyżby już wtedy przeczuwała swoją niedaleką przyszłość? A ten Ruszczyc, ten Ruszczyc! Tyle widział, tyle słyszał, tyle przeżył wreszcie i naraz takie głębokie uczucie dla młodego, chorego dziecka! Jak on ją musiał kochać i jak umiał panować nad sobą! Czterdziestoletni człowiek i dwudziestoletnia dziewczyna. Dziwne rzeczy... dziwne rzeczy... Naraz przypomniały mi się przypadkiem dosłyszane i niezrozumiałe wtedy dla mnie wyrazy Adeli: — to nie jest uczciwie. Tak, wtedy może to jeszcze nie było, ale teraz stawało się nieuczciwém, a stawało z chwilą, gdy z oczu Zosi spadła zasłona nieświadomości. Ruszczyc postąpił dziś jak człowiek z honorem i z sercem, ale czy późniéj zdobędzie się na tyle siły woli? Dotąd ukrywał swoją miłość i udawało mu się to, ale co będzie teraz, gdy codzień w szczerych oczach Zosi zacznie odczytywać, że jego uczucie zostało podzielone? Nie, on wyjedzie, jest uczciwym, uczciwym z gruntu, toż znam go tyle prawie, co samego siebie! Wyjedzie — to biedne dziecko odchoruje może, ale przeboleje, młode jest, a czas to lekarz niezawodny. A potém...

Marzenia poczęły mię unosić bardzo daleko, lecz powóz zatrzymał się przed willą Parvą i rozwiał wszystkie.

* * *

Martynoff wracał do zdrowia szybko, ale zmienił się, wychudł i posiwiał. Odwiedzaliśmy go z Ruszczycem codziennie i widzieliśmy, że choć milczący i smutny, bywał rad z naszych odwiedzin.

W kilka dni po pamiętnéj wycieczce do Schlucht'u, zastaliśmy go w łóżku siedzącym już i piszącym na tece jakiś list. Zobaczywszy nas złożył tekę i uścisnął nam ręce z wdzięcznością.

— Cóż, kiedyż doktór pozwoli panu wstać? — zapytał Ruszczyc.

— Jutro, czy panowie wracacie ze spaceru?

— Tak, wczoraj cała Parva i my naturalnie byliśmy na koncercie, a dziś na Zenoburgu.

Od czasu choroby Martynoff'a, wyraz Parva, po raz piérwszy dopiéro został przy nim wymówiony. Ruszczyc uczynił to przez nieuwagę i widziałem, że téj nieuwagi żałuje. Milczeliśmy zakłopotani, wreszcie chory odezwał się pierwszy:

— Czy... czy w willi Parvie wszyscy zdrowi?

Powiedział to z wysiłkiem, poczém oparł się o poduszki, przymknął oczy i wyglądał jakby czekał na wyrok.

— I owszem, zdrowi. Leon Krzycki doskonale wygląda, ale po całych dniach przesiaduje teraz w laboratoryum doktora Fell'a. Ogromnie go zajmuje sprawa z tuberkuliną Kocha.

— A — a panna Zofia?

— Téż zdrowa, tylko trochę mizerna. Pani Adela wyjechała — ale o tém pan już pewno wiész? — nie? — wyjechała zaraz na drugi dzień po spacerze na Winkelweg, w którym i pan brałeś jeszcze udział.

Martynoff milczał, ale widać było, że mu z serca spadł kamień. O szczegóły nie pytał, Ruszczyc téż nie śpieszył z objaśnieniami i na tém się skończyła wizyta. A gdy nazajutrz, wracając z obiadu wstąpiliśmy do niego znowu, zastaliśmy — pokój próżny. Drzwi i okna były pootwierane, meble w nieładzie, służąca wynosiła pościel.

— Wyjechał dziś o dziewiątéj rano, — objaśniła nas, widząc że stoimy zdumieni — zapłacił wszystko, pokój za cały miesiąc naprzód i pojechał.

— Czy nie wiadomo dokąd?

— Szwajcar go odwoził, kupował bilet i mówił, że do Pesztu.

— Więc do domu, — mruknął Ruszczyc — dobrze zrobił.

— Pomimo całego jego szaleństwa i uznania dla Adeli, — zacząłem zamyślony — żal mi chłopaka.

Ruszczyc machnął ręką.

— Zapomni! w rok nie będzie nawet wiedział, jak pani Adela wyglądała.

— Tak się to mówi — przysiądzbyś na to nie mógł.

— Prawie. Uczucie, które budzi się raz w życiu i trwa przez całe życie, nie znajduje się na drodze co krok, jest cichsze, nie zabija, umié się poświęcać.

— Hm—dobrze mówisz,— pomyślałem — ciekawość tylko, jakie też to będzie twoje poświęcenie — dotąd jak siedziałeś, tak siedzisz.

Skierowaliśmy kroki do Parvy, dokąd zapraszano nas przed chwilą listownie na herbatę, obiecując jakąś niespodziankę. W saloniku zastaliśmy wszystkich: Dolskich, Julkę, Marynię, Włastowicza i — panią Adelę. Tylko Leona nie było. Widok pani Adeli, zrobił mi wielką przyjemność.

— Wróciła! — pomyślałem z zadowoleniem — ten właśnie wyjechał, atmosfera zaczyna się oczyszczać. — Zauważyłem, że i Ruszczyc jest zadowolony.

— O! to prawdziwa niespodzianka! — zawołał witając ją serdecznie.

A ona była troszkę jakby mizerna, jakby zmęczona i wiało od

niéj, nie świętością—nie dziewiczością—ale dobrocią. Patrząc na nią, myślałem, że teraz wszystko będzie dobrze, bo wraz z tą słodką twarzą i łagodnym uśmiechem, pod dach Parvy musi wejść błogosławieństwo i spokój. Z uczuciem wielkiéj ulgi podałem jéj rękę i byłem zupełnie szczerym gdy mówiłem:

— Brakowało nam tu pani okrutnie, ale teraz, chwała Bogu!

— A my także przychodzimy z nowiną — zabrał głos Ruszczyc.

A gdy wszyscy spojrzeli na niego ciekawie, zaczął wolno, jakby rozkoszując się czynionem wrażeniem:

— Dziś wy-je-chał Mar-ty-noff!

Kobiety odetchnęły, jakby z nich zdjęto ciężar — po twarzy pani Adeli przemknął płomień i znikł — Dolski się zerwał.

— Co! bez pożegnania? A, niech mi daruje, chyba tylko w Rumunii są takie zwyczaje!

Ale Marynia mu przerwała:

— Dajżeż pan pokój, bardzo dobrze zrobił, że sobie pojechał!

Uśmiechnąłem się. Moja faworytka, stanowczo nie umiała ukrywać swoich myśli, a w saloniku zrobiło się teraz bardzo głośno. Biedny Rumun stał się przedmiotem ogólnéj rozmowy i ogólnych sporów. Milczały tylko dwie osoby: Zosia i pani Adela. Pani Adela wydawała mi się dziś inną niż zwykle, więc począłem się jéj przyglądać z uwagą i zauważyłem wiele zmian, z których nie wszystkie dawały się usprawiedliwić wstrząsającym wypadkiem z Martynoff'em. Była bledsza niż zazwyczaj, oczy miała podkrążone, jakby z niewywczasu, w ruchach, prócz dawnéj miękkości przebijała się jakaś ociężałość, czy téż wielkie zmęczenie, na pytania odpowiadała machinalnie, niekiedy nawet z wyraźnym wysiłkiem i wyglądała, jak gdyby jéj ciało było tu, a myśli gdzieindziéj. Oczy zazwyczaj przymglone, nabrały wyrazu słodkiego rozmarzenia i wydawały się chwilami senne. Było jéj z tém do twarzy, ale pomimo anielskiego wyrazu w ustach, musiałem przyznać, że urok, jaki wiał od niéj, był czysto zmysłowy. Dolski nie spuszczał z niéj oczu.

— Pomizerniała nam pani, lepiéj było zostać z nami — zaczął zbliżając się i zatrzymując na niéj zachwycone oczy.

A ona lekko drgnęła, jakby z nieba ściągnięto ją na ziemię.

— Czyż pomizerniałam? To chyba zmęczenie z podróży, bo jestem zupełnie zdrowa — jazda koleją zawsze mię męczy.

— Może być — ale jak Boga kocham, z tém zmęczeniem tak pani do twarzy, że gotów jestem zakochać się po raz drugi!

Uśmiechnęła się.

— Albożeś się pan już kochał we mnie? — no, no, dowiaduję się nowych rzeczy.

— Bodaj tak prawda była! W tém nieszczęśliwém Aussee nie jadłem, nie spałem, wpatrywałem się jak w obraz, modliłem jak najżarliwsza dewotka, wzdychałem, wszystko napróżno i teraz pani mi mówisz, że dowiadujesz się nowych rzeczy? Ot wdzięczność kobieca!

— Zacznij pan *da capo!* — zaproponowała Marynia.

— A tak, zacznij! kiedyś mię pani omotała temi swemi złocistemi ślicznościami i teraz przez nie świata nie widzę! — Zwrócił się do pani Adeli. — Co ta panna Marya ma za włosy! co za włosy! A widziałaś pani w katedrze Wniebowzięcie Matki Boskiéj Tycyana?

— Czy to w Weronie? Nie zwiedzałam wcale Werony, nie miałam kiedy.

— Co! i areny pani nie widziałaś?

— Nie, nic nie widziałam — nic — odpowiedziała jakby z wysiłkiem.

— Dajżeż jéj pan pokój, — wtrąciła się Julka, biorąc jéj ręce w swoje i patrząc na nią serdecznie — kobiecisko się zmęczyło, pewno nie wyspało. — Przyznaj się, że nie sypiałaś po nocach, co? ty już zawsze taka, jak masz chorego.

— Nie — i owszem, sypiałam — przecież Helena nie była obłożnie chora.

— Czy już wyjechała z Werony?

— Wyjechała.

— I na Rivierę?

— Tak, to jest — ona jest zawsze niezdecydowana — może zmieniła projekt... Kiedyż pan Julian wrócił?

— Tego samego dnia co pani wyjechałaś, musieliśmy się nawet zminąć w drodze.

— To się bardzo dobrze złożyło, bo mi było żal zostawiać Zosię samą. Naturalnie wrażeń przywiozłeś pan mnóstwo? A ze znajomych nie spotkałeś pan kogo?

Mówiła szybko i patrzyła mu w oczy, jakby z obawą.

Dolski siadł.

— A spotkałem — i wiesz pani kogo? Doktora Męckiego.

Nie odwróciła głowy i powtórzyła bardzo zdziwiona:

— Doktora Męckiego? — gdzie?

— W Mori — i on mię widział, ale pociąg zaraz ruszył i nie rozmawialiśmy wcale.

— To się chyba panu zdawało... cóżby on tu robił?

— To samo powiedziałam — zawołała Marynia z tryumfem. — Toż gdyby był tak blizko Meranu, odwiedziłby nas.

Dolski się oburzył.

— No! wiecie państwo, że panna Marya jest wyborna. — Toż przecie byłem trzeźwy, a nawet zupełnie jeszcze na czczo.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

— A kto tam pana wié! — Pan twierdzisz przecież sam, że upijasz się nietylko alkoholem — wystarcza do tego muzyka, śpiéw, Tycyan, czarne i szafirowe oczy i tym podobne rzeczy!

— Bój się pani Boga! gdzież w wagonie muzyka, Tycyan etc.... jechałem w sypialnym przedziale, sam jeden jak palec, a Męckiego z jego wielkim nosem i czerwonym karkiem poznałbym w piekle!

— A on może wcale nie przeznaczony do piekła?

— No! że cherubinem w niebie nie będzie, ręczę — a że to był on nie kto inny, daję na to państwu moje sło...

— Julku, Julku — przerwała mu Zosia — tylko słowa nie dawaj, mógł być przecież ktoś podobny do doktora.

— Dobrze, dobrze, niechże będzie podobny, a ja ci mówię, że on.

Marynia była zachwycona jego gniewem i poczęła przesuwać wskazującym palcem prawéj ręki, po dłoni lewéj.

— Golone! golone! — Pan byś utopił własną żonę, tak jak ten z bajki Mickiewiczowskiéj, byle tylko na swojém postawić.

— Ale ostatecznie — wtrąciła się Adela, milcząca dotąd — chyba nikomu z nas nie zależy na tém, czy to był doktór Męcki, czy tylko ktoś podobny?

— Mnie zależy, bo jak jestem czegoś pewny, nie mogę znieść, gdy mi zaprzeczają. Ja zresztą sprawdzę to i pannę Maryę przekonam.

Pani Adela upuściła chusteczkę trzymaną w ręku i szybko się po nią schyliła, a ten ruch umalował jéj twarz rumieńcem, rzadkim u niéj. Dolski siadł przy fortepianie i z siłą uderzył w klawisze.

Mieliśmy usłyszéć ponury utwór Liszta — Erlkönig.

Ów chłopak, zawsze wesoły, rozrzucony i żyjący tylko chwilą obecną, przy fortepianie zmieniał się do niepoznania. Poważniał, ruchliwa twarz stawała się skupioną, w oczach osiadał czasem zapał, czasem rozmarzenie i, Dolski zawsze pragnący uchodzić za artystę, wtedy stawał się nim rzeczywiście. W saloniku naprawdę szumiał las, wył wicher, brzmiały podkowy pędzącego konia, a ich odgłos powtarzało echo. Gdy tętent konia cichł, słyszeliśmy rozpaczne skargi dziecka i poważne tony głosu ojca.

Gra Dolskiego porywała, nie brakło jéj liryzmu, *pianissima* były nieporównane i była w niéj także dusza, ale — może inna niż dusza Zosi? Zosia umiała wyciskać łzy, a jéj brat tylko zachwycał. Tętent konia słabł, cichł i przemienił się wreszcie w przytłumiony, jakby echowy akompaniament do kuszącéj pieśni króla olch i pieściwéj kołysanki jego córek.

Zosia siedziała w kąciku, wtulona w fotel, obok niéj Ruszczyc. Oboje byli zasłuchani, może w kołysankę, może we własne myśli, ale zauważyłem, że ile razy jego wzrok zatrzymał się na jéj twarzy, biedne dziecko odczuwało go natychmiast, zwracało ku niemu oczy i chyliło się w jego stronę, jakby pociągane nieprzepartą siłą. Przyszło mi wtedy na myśl, że gdyby tak wyciągnął do niéj ręce i swoim śpiewnym głosem powiedział — pójdź, ona poszłaby, bez względu na ludzi, na cały świat. Urok na nią rzucał.

— Co pan myślisz o téj parze?

Pani Adèla przeszła cicho z kanapki i usiadła w fotelu, tuż obok mnie. Jéj słowa dotknęły mię nieprzyjemnie. Przypadkiem posiadłem tajemnicę tych dwojga i stałem się o nią zazdrosnym. Zdawało mi się, że tylko ja jeden mam prawo analizować ich uczucia, zapuszczać skalpel w biedne serca, współczuć im, lub się oburzać. Patrzyłem na panią Adelę w milczeniu, a ona ciągnęła daléj:

— Pochwyciłam pańskie spojrzenia i podsłuchałam myśli, teraz zaś pytam: — co pan myślisz o téj parze?

— Co myślę? — Przedewszystkiém nie wiem, czy dobrze panią zrozumiałem.

— Alboż moje pytanie można dwojako rozumiéć?

Uśmiechała się, a ja ciągle odczuwałem jakieś niemiłe wrażenie.

— Więc pani przypuszczasz chyba, — zacząłem zwolna — że między temi dwojgiem jest coś takiego, co upoważniałoby ludzi do łączenia imienia panny Dolskiéj z imieniem mego przyjaciela?

Zmieszała się, ale tylko na chwilę, poczém popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

— Czyżbyś pan naprawdę nie zauważył nic do téj pory? — To zastanawiające, jak mężczyźni są mało spostrzegawczymi!

Skłoniłem się.

— Widocznie, przytém panna Dolska wydawała mi się zawsze dzieckiem, bardzo jeszcze młodém i chorém, Ruszczyca znam oddawna i tylko z dobréj strony — nie miałem prawa posądzać ich o nic więcéj, prócz o zwykłą sympatyę.

Pani Adela poruszyła się niespokojnie.

— Chyba nie przypuszczasz pan, że ja chcę stawiać panu Ruszczycowi jakieś poważniejsze zarzuty — ja im tylko współczuję i przytém żałuję, że przez wzgląd na Zosię, nie dało się zapobiedz temu wcześniéj. Pan Ruszczyc się nudził, a teraz najwięcéj rozpowszechniony sposób na nudy, to niewinny flirt, któremu zresztą ja jestem przeciwna z zasady. Może... gdybym miała co do tego inne przekonania... kolega pana nie byłby zwrócił uwagi na Zosię, a ona byłaby dziś zdrowsza i nie chyliłaby ku niemu główki, jak słonecznik w stronę słońca...

Uśmiechnęła się zagadkowo, spuściła oczy i umilkła, a ja patrzyłem na nią i zapytywałem sam siebie, czy to pani Adela, czy nie pani Adela?

Pomimo całéj sympatyi, jaką miałem dla niéj, usłyszane słowa zrobiły na mnie wrażenie fałszywego zgrzytu, a ona sama wydała mi się zwykłą, litościwą, małomiasteczkową kumoszką.

Milczałem. Pani Adela podniosła oczy, popatrzyła na mnie badawczo, i może odgadła moje myśli, bo zaczęła znowu, jakby tłómacząc się.

— Pragnęłam bardzo uchronić Zosię od tego nieszczęścia, dosyć wyraźnie zwracałam uwagę pana Ruszczyca na niestosowność jego postępowania, a gdy to nie robiło na nim wrażenia, miałam zamiar pomówić z Zosią...

Podskoczyłem na krześle, jakby mię ugryzła osa.

— Ale pani nie uczyniłaś tego?... — zapytałem nieprzyjemnie dotknięty.

— Nie, Julcia mi nie dała.

— Naturalnie, to byłoby świętokradztwo! Biedno dziecko, może sama przed sobą tai swoje uczucia, a może nie wié o nich?

— Julcia twierdzi, że nie wié, ja zaś patrząc na nią dzisiaj, sądzę przeciwnie, i dlatego żal mi jéj bardzo. O ile oburzam się na wszelkiego rodzaju flirty, o tyle schylam głowę przed prawdziwém uczuciem, nawet fałszywie umieszczoném. Oboje oni są biedni, widzę to teraz i jeżeli moje współczucie przyda im się na cośkolwiek, będą je mieli całe.

Drzwi się otworzyły i wszedł Leon. Na widok pani Adeli, oczy zajaśniały mu wielką radością.

— Mój Boże! nic nie wiedziałem! — wołał ręce jéj całując. — O któréj godzinie pani przyjechała?

— O czwartéj i zdążyłam zaraz sprawdzić, że mój pacyent nietęgo się sprawuje, na obiady nie przychodzi, wraca o dziesiątéj wie-

czorem i dopuszcza się rozmaitych innych przestępstw, które mam właściwie zamiar ukrócić.

Uśmiechała się, a on patrzył w nią jak w tęczę i milczał.

— No i cóż, nie bronisz się pan nawet?

— Ale bo tak jestem ucieszony, że zapomniałem o wszystkiém. Ja mam masę roboty, sprowadzamy tuberkulinę, już wysłaliśmy po nią, Fell wprowadził mię na radę tutejszych lekarzy, urządzamy sanatorya i tam daléj i tam daléj.

Był rozpromieniony, z oczu tryskało mu życie, z twarzy taka energia, jaką tylko młodość daje.

Pani Adela przyglądała mu się z zadowoleniem.

— Doskonale pan wyglądasz! doskonale — nie mam prawa marudzić. Gdzieżeś pan jadł obiad?

— U Fell'a, mieliśmy pilną robotę, więc mię nie puścił.

— Ale wina pan nie pijasz?

— I owszem, rozpijam się. Zostawiłaś mi pani olbrzymi zapas, a obecnie są już tylko trzy, czy dwie butelki.

— To bardzo dobrze, umyślnie kazałam przysłać więcéj, byś pan nie potrzebował sam chodzić w Lauby — to dla pana niezdrowo.

— Domyśliłem się tego, ale ponieważ jestem już zdrowszy, nie pozwolę by mię pani psuła w dalszym ciągu, nie!

— O! to się okaże. Wcale jeszcze nie zrezygnowałam z mojéj władzy nad panem.

Roześmieli się oboje i poczęli rozmawiać z ożywieniem, ja wstałem i przysiadłem się do Zosi.

— Cóż państwo tak milczycie zawzięcie?

Nie odpowiedziała mi, tylko ręką wskazała fortepian. Dolski kończył właśnie wspaniały finał Faschingsnacht'u Schumana. Duchy karnawałowe ulatywały jedne po drugich, wydzwoniła szósta godzina, zaległa cisza a potém jakieś szmery, szepty, nieuchwytne westchnienia, uleciał jeszcze jeden spóźniony, leciuchny duch i cisza zupełna.

Teraz Zosia zwróciła do mnie głowę i odpowiedziała na zadane poprzednio pytanie.

— Słuchaliśmy. Julek gra bardzo dobrze Schumana — wolę słuchać jego niż siebie.

— Ja zaś wolę słuchać panią, tylko — nasza artystka pomizerniała nam teraz, niedobrze wygląda, czegoś smutna, — czy to ładnie tak?

Ruszczyc się przysunął.

— A co? — i ja mówię to samo, a panna Zofia wypiéra się, jak Luter papieża.

— Bo naprawdę nic mi nie jest — co najwyżéj nie wyspałam się. Nie mogę sypiać, ale nie wiem dlaczego.

— A smutek skąd?

— Nie wiem.

Popatrzyła na mnie, a w tym wzroku była jakby niema prośba — dajcie mi pokój, nie zajmujcie się mną, zostawcie i nie męczcie.

Biedne dziecko!

Była dwunasta gdy opuściliśmy Parvę. Miałem ochotę zadać Ruszczycowi kilka pytań, ale on nie wydawał się usposobionym do gawędy, ja znów nie śmiałem przerywać mu zadumy, która prawdopodobnie nie była wesołą. Postępowaliśmy obok siebie w głębokiém milczeniu i już prawie dochodziliśmy do Helwecyi, gdy wreszcie zebrałem się na odwagę.

— Mój drogi, widzę, że jesteś nie w humorze i że nie masz ochoty do gawędki, ale jednakże powiédz mi, w jakich warunkach poznałeś się z panią Adelą?

Stanął i patrzył na mnie bardzo ździwiony.

— Z panią Adelą? — Na cóż ci ta wiadomość?

— Tylko dla zaspokojenia ciekawości.

— Czyż tylko? — Widziałem, że rozmawiałeś z nią dzisiaj bardzo długo, ale jeżeli o naszém poznaniu w Aussee, to co prawda, wolałbym wpierw wiedziéć, co ona o niém mówiła.

— Wcale o tém nie mówiła, tylko — może mi się zresztą zdaje — z jéj mowy dzisiejszéj, a twojéj dawniejszéj, wyciągnąłem wniosek, że wy coś do siebie macie.

Ździwił się.

— Ja do niéj nie mam nic i mogę ci dać na to moje słowo, ona zaś, bardzo być może do dziś chowa urazę za moje spóźnione przedstawienie się jéj.

— Jakto spóźnione? — zapytałem ciekawie.

— At, jak wiész, ja jestem ciężki do robienia znajomości, co mi zjednało nawet tytuł arystokratycznego demokraty, czy téż demokratycznego arystokraty, bo dobrze nie wiem. Z Dolskimi poznałem się w wagonie przypadkiem. Oni jechali do Aussee na kuracyę, ja na wypoczynek, jako rodak i znający miejscowość, czułem się w obowiązku pomagać im w wyszukaniu mieszkania, stąd znajomość się zacieśniła. Przez nich poznałem panią Keszmarową i pannę Maryę. A potém przyjechała pani Adela. Miała przy sobie chorą siostrzenicę, stała w téj saméj willi co pani Keszmarowa i najpiérw zrobiła znajomość z panną Maryą, a potém powoli ze wszystkimi, prócz mnie. Ja — nie wiem właściwie czemu, ale prawdopodobnie dlatego, że od

urodzenia mam wstręt do wszelkich nowych twarzy, długi czas unikałem sposobności przedstawienia się jéj; potém wszakże, gdy te panie zaprzyjaźniły się więcéj, trzeba było uroczystego aktu dopełnić. Otóż gdy poznaliśmy się bliżéj, pani Adela pół żartem wymówiła mi ten brak skwapliwości, a z jéj mowy wywnioskowałem, że przypisywała go, pewnéj z mojéj strony obawie, uczuwanéj względem jéj osoby. Przypuszczam, że może ta myśl nie była jéj własną, tylko poddaną przez Dolskiego, który wtedy tracił dla niéj głowę i nie mógł pojąć, dlaczego ja, nietylko nie chcę tracić swojéj, ale nawet unikam poznania królowéj Aussee. Wtedy jednakże nie zastanawiałem się, kto był autorem tak zabawnego podejrzenia. Także na pół żartem, rozwiałem złudzenia pani Adeli i dałem jéj do zrozumienia, że wogóle cały rodzaj kobiecy, jéj nie wyjmując, nigdy nie był dla mnie niebezpiecznym i żadnych obaw we mnie nie wzbudzał. Była wtedy niezadowolona, że tak ją odgadłem, a może też rzeczywiście źle zrozumiałem, no i jeżeli jeszcze dziś uczuwa dla mnie jakąś niechęć, to chyba tylko z tego powodu, bo do żadnéj innéj winy, nie poczuwam się względem niéj.

— No, dla ładnéj kobiety — odezwałem się — przewinienie to dość wielkie.

— Zapewne, rydwan mógłby był się powiększyć jeszcze o jednego członka, a raczéj niewolnika, a choć ten niewolnik nie na wiele przydałby się, bo żonaty, zawsze byłaby pewna rozmaitość.

Wzruszył ramionami i umilkł, a ja myślałem o pani Adeli, tak nic niepodobnéj do kobiet próżnych, tak poważnéj i pozbawionéj wszelkiéj zalotności, tak obojętnéj zdaje się na hołdy mężczyzn, a jednak... Ot, kobieta zawsze kobietą będzie! Przypomniały mi się jéj zagadkowe słowa i spuszczone oczy, któremi chciała mi dać do zrozumienia, że gdyby była zwolenniczką flirtu, byłaby mogła odegrać rolę konduktora, chroniącego Zosię od gromów miłości Ruszczyca i mimowoli uśmiechnąłem się.

— Wiész co Ruszczyc, gdyby się tak była uparła, kto wié czy nie zakochałbyś się i czy tak jak Martynoff, nie strzelałbyś późniéj do niéj. To dyabelnie ładna kobiéta i, jak zaczynam się przekonywać, wié o tém, choć niby nie wié.

— Niech sobie będzie i ładna i dobra,—rzucił obojętnie—niech wié i niech nie wié o tém, wszystko mi jedno, bo nie mam do niéj inklinacyi. Na urodę nie jestem wrażliwy, a przytém nie dowierzam ludziom, którzy lgną do wszystkich bez wyjątku, dla wszystkich poświęcaliby się, wszystkich kochają i każdemu są na usługi. Każdy normalny człowiek ma swoje sympatye i antypatye i to jest nieuni-

knione; ludzi, odstępujących od téj ogólnéj reguły, posądzam zawsze o nieszczerość.

— Chyba przeholowałeś — wtrąciłem. — Pani Adela jest rzeczywiście wylana dla wszystkich bez wyjątku; ale — ja przyglądałem jéj się dobrze, właśnie to jéj wylanie jest w danéj chwili zupełnie szczere.

— Może być, przecież dawno już powiedziałem ci, że ta kobiéta jest dla mnie zagadką, bo są w niéj sprzeczności. Gdy na nią patrzę, nie mogę jéj odmówić uznania, czasami nawet czuję się wzruszonym, ale późniéj przypomina się to i owo i znów nie wiem co o niéj myśléć. No, ale chodź już, bo chłodno.

— Czekaj, nie śpiesz się tak. Powiédz mi jeszcze, po co ona właściwie przyjechała do Meranu, boć przecie jest zdrowa.

— Nie wiem. W Aussee opiekowała się swoją siostrzenicą, która mówiąc nawiasem, była najnieznośniejszym podlotkiem, jakiego znałem w życiu. Pani Adela okazała w postępowaniu z nią cierpliwość zadziwiającą, co podziwialiśmy wszyscy. Po ową siostrzenicę przyjechał ojciec i powiózł do domu zdrową, ale nieznośniejszą niż kiedykolwiek, a pani Adela pojechała do Meranu na usilne prośby pani Keszmarowéj, panny Maryi i Dolskich. Co prawda, posądzałem ją, że jéj szło o Dolskiego lub Martynoff'a, ale okazało się, że posądzałem niesłusznie. Dolski to lekkoduch, na którego mogłaby liczyć chyba tylko pensyonarka, a z Martynoff'em wiadomo jak się skończyło. Bardzo być może, że chciała tylko zwiedzić kawałek świata, a może rzeczywiście zrobiła to dla pani Keszmarowéj, która wtedy była chora, zdenerwowana i puścić jéj od siebie nie chciała. Kobieta bezdzietna, wolna zupełnie, zdaje się dość zamożna, czemuż nie miałaby sobie pozwolić na taką fantazyę serca, zwłaszcza téż, że jak sama powiada, takie fantazye, to jéj jedyna namiętność. Ot, nie dziwne to? Jedni trawią noce przy zielonym stoliku, ona przy łóżku chorego.

Weszliśmy w korytarz i zatrzymaliśmy się przy drzwiach pokoju Ruszczyca. Podałem mu rękę.

— Dobra noc. Zaczynam zgadzać się z tobą, że pani Adela to zagadka, któréj rozwiązanie warte trudu.

Ale on mnie zatrzymał.

— Tylko nie zniechęcaj się aby do niéj, bo bądź co bądź jest to kobiéta, która umié zapominać o sobie i myśléć o drugich, a do tego zawsze trzeba trochę serca. Czy ona mówiła co z tobą o pannie Dolskiéj?

— Tak — trochę — niewiele...

— Nie jesteś szczery, ale — może to i lepiéj... mam pewne

dane obawiać się, czy ona nie zechce i tu umoczyć swego paluszka i *par amour de métier* nie przedsięweźmie jakiéj nowéj kuracyi...

— Nie ma co do tego żadnych zamiarów.

— Tak? — dziękuję ci.

— Uścisnął mi rękę tak silnie, że omal nie syknąłem, poczém wszedł do pokoju i drzwi za sobą zatrzasnął.

* * *

Listopad się skończył. Platany pogubiły resztki złota, winnice resztki purpury, na stokach gór wiatr poruszał nagie łodygi i przechadzał się swobodnie po lesie nizkich, odkrytych teraz rusztowań winnic. Szczyty Alp przystroiły się w olśniewające bielą czepce śniegowe. Meran, zawsze jeszcze strojny w wieczystą zieleń laurów, bluszczów i cyprysów, począł się potrochu wyludniać. Mniéj odważni goście, przerażeni zimnemi nocami i rankami, uciekali po gorętsze pocałunki słońca na Rivierę, do Florencyi, do Włoch południowych, inni olśnieni wieściami o cudach rozbrzmiewających echem po całym cywilizowanym świecie, dążyli na północ, do nowéj Mekki, któréj Mahometem był wielki Koch. Wprawdzie genialny człowiek nie mieszał się podobno do niczego, jak tajemniczy alchemik nie wychylał się z laboratoryum, z którego na ludzkość spływało błogosławieństwo, i inni głosili jego sławę, dokonywali cudów i... zbierali miliony; wprawdzie i w dolinie Passery pozakładano sanatorya i szczepiono rozgłośną tuberkulinę, ale ludzie wolą być zawsze bliżéj wielkiego ołtarza. Jak po zwycięstwach kampanii siedmdziesiątego pierwszego roku, na wszystkich ustach brzmiał okrzyk: Berlin! Berlin! i tłumy dążyły do cudownego miejsca po zdrowie i życie, a téj rzeki wezbranéj nie była w stanie powstrzymać żadna siła ludzka.

Leon pracował zajadle. Zapomniał o chorobie, zapomniał po co przyjechał, nie słuchał ani perswazyi, ani rad, ani napomnień i po całych dniach siedział w sanatoryach, albo w swoim pokoju nad książkami i manuskryptami. Co sądził teraz o całéj téj burzy, trudno się było dowiedzieć. Obserwował, badał, pisał, ale mówił niechętnie. — Nie wiem! nic jeszcze nie wiem! — powtarzał niezmiennie, w odpowiedzi na natarczywe pytania, jakiemi zarzucali go wszyscy. Z początku martwiłem się nim i obawiałem czy nie zanadto pracuje, ale w końcu, widząc że mu to nie szkodzi, że jest zdrów i dobrze wygląda, pozostawiłem go w spokoju. Po paru tygodniach ochłódł. Mniéj teraz przesiadywałał w sanatoryach, więcéj w swoim pokoju, a od pani Adeli dowiedziałem się, że zwątpił o cudowności odkrycia, ale że zwątpienie nie pognębiło go i nie odebrało mu energii. Stwierdził podobno, że

tuberkulina rzeczywiście wywołuje reakcyę tylko u osobników dotkniętych gruźlicą, że na organizmy zdrowe wpływu nie wywiera i pracował teraz nad wykazaniem leczniczéj wartości płynu Kocha, jedynie jako środka rozpoznawczego. Adela zajmowała się bardzo tą kwestyą, gorąco przejmowała się stanem każdego nowego chorego poddanego szczepieniu, i umiała wyciągać Leona na słówka. Od niéj najpierw dowiedzieliśmy się, że zdarzają się wypadki, w których substancya Kocha działa zabójczo, że ofiar już nie brak, że w Berlinie muszą się dziać jakieś podłości i że uczeni powinni dołożyć wszelkich sił, by ochłodzić zapał nieszczęśliwych, jak stada owiec, lecących na zgubę w ogień. Czy i Leon nad tém pracował, nie wiem, bo milczał, a Adela milczała także, może nie wiedziała, może nie chciała mówić. Przesiadywał teraz całe wieczory w Parvie. Parę godzin poświęcał na spacery, ranki i popołudniowe godziny pracował, resztę czasu spędzał na długich i ożywionych rozmowach z panią Adelą. Muzyka Zosi nie przyprawiała go już o apatyę. Poważny był i czasami zamyślony, ale wiało od niego wiosną i zadowoleniem, a ja patrząc nań, czułem się już zupełnie spokojnym i nie pytałem, jaki ogień wewnętrzny kładzie mu na twarz tyle światłości.

Zosia grywała teraz bardzo wiele i grywała po dawnemu. Biédne dziecko, w muzyce szukało widać ukojenia dla trosk, na które nie umiało znaléźć lekarstwa w sobie. Pod jéj wątłemi paluszkami fortepian skarżył się i płakał, a skarżył tak rozpacznie, płakał tak rzewnie, że mógł poruszyć kamień. Ja czasami téj muzyki poprostu nie mogłem słuchać i dziwiłem się, że Ruszczyc jéj słucha a ma twarz spokojną i suche oczy. Ale Ruszczyc należał do ludzi, u których usposobienie wewnętrzne, nigdy się nie przejawia na twarzy. Co się działo w téj zamkniętéj duszy, wiedział tylko on jeden.

Marynia była szczerze zmartwiona smutkiem Zosi, ale kładła go na karb „tego niegodziwego chłopaka—Julka.” Dolski porobił teraz nowe znajomości i poznał się z Jałbrzykiewiczem; ale że panie stanowczo nie chciały już rozszerzać kółka swoich znajomych, bawił się sam poza obrębem światka, w którym obracała się jego siostra. Marynia gdérała na niego, prawiła mu sążniste kazania, a on słuchał w skupieniu i w rezultacie rozbroił ją zawsze wesołym żartem, lub komiczném opowiadaniem szczegółów z zebrań, odbywających się w willi Iris. Śmiała się, on zaś zabierał kapelusz, wynosił się pośpiewując i wracał późno w noc, lub nad ranem.

Wogóle humory w Parvie czegoś się popsuły. Wspólne wycieczki w godzinach południowych odbywały się niezmiennie, wieczorami zbiérano się w saloniku Dolskich jak za dawnych czasów, ale smutek

Zosi, milczące usposobienie Ruszczyca i brak Dolskiego, oddziaływały na wszystkich. Nie zmieniła się może jedna tylko pani Adela, pomimo, że ona jedna przeczuwała dramat, który odgrywał się w duszach Ruszczyca i Zosi, a który ja, od tak dawna już śledziłem. Uważałem, że dla nikogo, prócz może dla Leona, nie miała tak serdecznego słowa i tak tkliwego, prawie macierzyńskiego wejrzenia, jak dla Zosi, a dziewczyna garnęła się do niéj z wdzięcznością i szukała jéj ciepłéj pieszczoty, jak biedne, zbłąkane dziecko. I widziałem, że Ruszczyc, nieraz niechętnie odzywający się o młodéj kobiecie, w takich razach wyglądał, jak gdyby miał ochotę klęknąć i całować skrawek jéj ciemnéj sukienki.

Od dnia jéj powrotu z Werony, raz jeden tylko poruszyliśmy kwestyę nieszczęśliwego uczucia tych dwojga, a poruszyła ją pani Adela.

— Nigdy nie przypuszczałam — rzekła — żeby oni tak bardzo się sobą zajęli. Zrobiłabym dla nich, co tylko byłoby w mojéj mocy, ale cóż tu można pomódz? Jak patrzę na Zosię, chce mi się płakać. Ona w oczach niknie, a poczęści jest to winą pana Ruszczyca. Powinien ją jakoś rozrywać, zajmować, jedném słowem korzystać z czasu. Na smutek i rozpacz jeszcze nie pora, jeszcze przecież są razem, jeszcze mają przed sobą kilka miesięcy, a wspólna rozmowa, sama możność widywania się, to przecież także szczęście, którego nie powinno się zatruwać, jeśli się wié, że i ono się skończy. Nie mogę zrozumiéć, dlaczego oni już teraz się martwią i gryzą i prawie stronią od siebie?

Ale ja, co do tego ostatniego punktu nie podzielałem zdania pani Adeli. Przypuszczałem, że zamiast źle „korzystać z czasu”, Ruszczyc odkrywszy przywiązanie Zosi, wyjedzie, ale zawiodłem się, nie tyle może co do jego uczciwości w którą jeszcze wierzyłem, ile co do siły tejże uczciwości wogóle, wystawionéj na ogniową próbę uczucia zwanego miłością. Wskutek tegoż zawodu, postanowiłem poruszyć z nim drażliwą kwestyę, ale to postanowienie okazało się w teoryi łatwiejszém aniżeli w praktyce. Dzień za dniem upływał, powinienem był już wyjechać z Meranu, a ja siedziałem wciąż i co wieczór kładąc się spać, powtarzałem:

— Pomówię z nim jutro.

Tych jutro upłynęło kilkanaście i w końcu byłoby się może przemieniło w nigdy, gdyby nie smutna koléj wypadków, która mię do téj rozmowy przymusiła.

Była godzina poobiednia. Jak zazwyczaj położyłem się na małą drzémkę, poprzedzającą wizytę do Parvy, ale zasnąć nie mogłem. Wogóle zauważyłem, że zaczynam się dostrajać do ogólnego tonu naszego

towarzystwa, staję się nerwowym, tracę sen a nawet zaczynam blednąć. Przyjrzałem się sobie w lusterku. Oczywiście zmizerniałem, co było tém dziwniejsze, że apetyt dopisywał mi stale. Ze złością rzuciłem szkło i udałem się do Ruszczyca. Siedział przed biurkiem z głową wspartą na obu rękach i wpatrywał się w coś, co ukrył gdy drzwiami skrzypnąłem.

— Jak student!—pomyślałem,—wpatruje się ukradkiem w fotografią, a ma lat czterdzieści!

Usiadłem i począłem się namyślać: pomówić z nim dziś, czy jutro? — i kiedy prawie już zdecydowałem się na dziś, drzwi się otworzyły i wpadł Dolski. Przywitał się, usiadł, potém wstał i znów usiadł. Patrzyliśmy na niego zdziwieni, bo nic nie mówił, co było u niego anormalném.

— Panu coś jest—zaczął Ruszczyc niespokojnie—czy może stało się co złego w Parvie?

— Nie, kiedyż by? o czwartéj przecież rozstaliśmy się z panami. Urwał i spojrzał na mnie.

— Nie będę panom przeszkadzał — odezwałem się wstając, lecz Dolski mię powstrzymał.

— Ależ nie, proszę, niechże pan zostanie, ot głupstwo, najlepiéj powiem odrazu, co ostatecznie sytuacyi nie zmieni. Zgrałem się wczoraj w karty, dziś przed wieczorem muszę zapłacić, a narazie nie mam. Strach co się z temi pieniędzmi robi, myślałem że mam jeszcze u bankiera Bóg wié co, a tymczasem... Jeżeli który z panów może pożyczyć mi na tydzień, dziewięć dni, nie wiem kiedy mi z domu przyślą...

Ruszczyc wstał, otworzył szufladę biurka i wyjął pugilares.

— Ależ naturalnie, ile panu potrzeba?

Dolski się zarumienił.

— Trzy tysiące guldenów.

Ruszczyc lekko brwi zmarszczył, odliczył żądaną sumę i podał:

— Proszę bardzo.

— Dziękuję, pan pozwoli kawałek papiéru, napiszę dowód...

— Ależ cóż znowu,—oddasz mi pan za parę dni, więc pocóż?

— Nic nie szkodzi, dla porządku, mógłbym jutro umrzéć naprzykład. — Siadł przy biurku i po chwili oddał Ruszczycowi kartkę. — Tak, Zosia napisała już do ojca, więc może za jakie siedm, ośm dni...

Ruszczyc pobladł.

— Czemu pan wtajemniczałeś w to pannę Zofię, ona jest jakaś zdenerwowana...

— Widzi bo pan—dla rodziców wiadomość ta nie będzie bardzo przyjemna, a że Zosia jest faworytką ojca, więc od niéj łatwiéj to przyjmą.

Ruszczyc przygryzł usta.

— To przynajmniéj nie mów jéj pan od kogo pożyczyłeś.

— O, naturalnie—ona nawet prosiła, by nie udawać się z tém do pana, ale ja wolałem...

— Dziękuję panu.

Uścisnęli się za ręce, Dolski wybiegł, a gdy przebiegał ogród usłyszeliśmy jego głos pełny i dźwięczny:

Pytam ja się rady czyjéj
Czy to kołnierz dla delijéj
Czy delija dla kołnierza...

Popatrzyliśmy na siebie, ja mimowoli uśmiechnąłem się a Ruszczyc rzekł:

— Skończony waryat!

W Parvie zastaliśmy humory powarzone, Marynia stała właśnie przed Leonem i opowiadała mu o wypadku Dolskiego.

— Wyobraź pan sobie, rano nic nie mówił, a jaki jeszcze miał humor! Po obiedzie zagrał sobie marsza Beethowena, ja słuchałam spokojnie, naraz zerwał się, padł przedemną na kolana i oświadczył mi się, mniéj więcéj w te słowa: panno Maryo, zgrałem się jak włoskie skrzypce, jestem goły jak turecki święty, jeżeli chcesz się okazać bezinteresowną, masz po temu sposobność kolosalną. U nóg twoich składam moje serce skrwawione; jeśli je podejmiesz, przysięgam nie tknąć już nigdy w życiu niewdzięcznéj damy pikowéj.

Mimowoli uśmiechnąłem się i uśmiechnęła się nawet Zosia, Marynia zaś ciągnęła:

— Myślałyśmy, że żartuje, a tymczasem on się zgrał na prawdę i Zosia już o tém wiedziała, tylko nie przyznała się nam. No, powiedzcież państwo czy to nie jest zwaryowany chłopak i czy jego nie powinni ubezwłasnowolnić? On nawet nie wié, że źle robi, chwali się z tém przed wszystkimi i twierdzi, że po takiéj spowiedzi ma lżejsze sumienie.

Wszedł Włastowicz, przywitał się ze wszystkimi potém skłonił się głęboko przed Marynią i rzekł z patosem:

Jakoby téż rok bez wiosny mieć chcieli
Którzy chcą by młodzi nie szaleli.

— I pan już wiész?—zdziwiła się Marynia.

— Czemuż ja mam nie wiedzieć, kiedy cały Meran już wié.

Zosia westchnęła. Ja usiadłem przy niéj, ale nie wiedziałem od czego zacząć rozmowę tak mi jéj było żal serdecznie.

Ona przerwała milczenie pierwsza.

— Czy synek pana Ruszczyca zdrowszy?

— Jurek? albo był chory?—spojrzałem na nią zdziwiony.

— Tak, to pan Ruszczyc nic nie wspominał o tém panu? Wczoraj miał list z domu, a dziś spodziewa się depeszy. Obawiają się tyfusu, bo we Lwowie panuje tyfus.

Tego mu jeszcze potrzeba, pomyślałem patrząc na zbliżającego się Ruszczyca.

— Czy Jurek zdrowszy? — ponowiła pytanie Zosia.

— Nie pani, nic jeszcze nie wiadomo, miałem już dziś depeszę, ale spodziewam się jeszcze jednéj.

Usiadł i tak siedzieliśmy wszyscy troje milcząc. Wieczór przeszedł smutno, Dolski się nie pokazał. O godzinie jedénastéj zaczęliśmy się żegnać, gdy naraz silnie zastukano do drzwi. Ruszczyc wstał.

— To pewno do mnie depesza. Przepraszam panie, że kazałem tu odnieść, jeśliby mnie nie zastano w domu...

Otworzył drzwi, odebrał depeszę, pokwitował i zbliżywszy się do świécy zapalonéj u pianina, począł wolno papiér rozwijać. Był blady ale spokojny, czytał długo, wreszcie depeszę systematycznie złożył i do kieszeni schował.

Nie zwracano nań uwagi, nikt nie wiedział o jego smutku, panie żegnały się z Leonem i Włastowiczem. Zosia zbliżyła się szybko.

— I cóż? — pytała z trwogą w oczach.

— Lepiéj, niech pani będzie spokojna, bo to mi droższe nad życie dziecka. — Wziął jéj ręce, silnie uścisnął i smutnie spojrzał jéj w oczy.

Odwróciłem się by nie dostrzegli mego niedyskretnego wzroku, a w chwilę potém dążyliśmy obydwaj samotną promenadą.

— Nie wspominałeś mi nic, że Jurek chory, — odezwałem się ze współczuciem.

Machnął ręką.

— At, zapomniałem—zdawało mi się, że ci mówiłem.

— Czy zdrowszy? — zapytałem znowu.

— Nie, tyfus zdeklarowany.

Urwał i szedł tak szybko, że ledwie mogłem za nim wydążyć. Przy drzwiach swego pokoju zatrzymał się.

— Dobranoc ci.

— Pozwól... — zacząłem z nagłem postanowieniem, — chciałem z tobą pomówić.

— A to proszę cię.

Weszliśmy, on zapalił lampę, poczém usiadł, utkwił wzrok w ziemię i czekał.

— Czy ty jedziesz jutro? — zapytałem nagle.

Drgnął, zmarszczył brwi, chwilę milczał, wreszcie podniósł głowę i spojrzał w okno.

— Nie, zostaję.

Popatrzyłem na niego z żalem.

— A jeżeli Jurek ci umrze?

— Wiem, że umrze.

— Wiész? i nie pojedziesz? — i nie będziesz się starał wydrzéć go śmierci? A cóż zrobisz gdy za parę miesięcy... ostatnie wyrazy powiedziałem z naciskiem, — pozostaniesz sam i nie będziesz miał na pociechę nawet syna?

Zerwał się i począł szerokiemi krokami mierzyć pokój, ale po chwili stanął przedemną i głowę dumnie odrzucił.

— A zkądżeż ty wiész, że ja będę za parę miesięcy sam? Kto ci powiedział, że pozwolę wam zniszczyć to, co we mnie najszlachetniejszego? czemu nie chcesz przypuścić, że to ja właśnie zdepczę wasze nędzne, głupie przesądy, że plunę na waszą moralność każącą wydzierać z duszy to, co tam włożyła siła większa od waszéj? Ja jestem wyższy nad całą waszą mądrość. Ja chcę być tylko szczęśliwym i to szczęście stworzę sobie, a stworzę tak wielkie, że przy niém wasze sztuczne rusztowanie, zbudowane z fałszu, obłudy i jarzma, które przygniata cały świat i przez tenże głupi świat jest podnoszone do apoteozy, wyda się prochem.

Odetchnął jak człowiek w którym zbierała się burza, aż wreszcie wybuchła z tém większą siłą, im dłużéj była tłumiona, mówił daléj gorąco i namiętnie:

— Czy ty wiész co to jest miłość taka, która zakrywa cały świat, która wchodzi w mózg, w krew, w żyły, w każdy atom twego ja, w każdą twoją myśl, która dla jednéj chwili spędzonéj przy ukochanéj istocie, poświęci wszystko, nawet własne dziecko! I czy ty wiész, że taka miłość nie może być bezwzajemna, że gdy z nią w duszy jedno powie pójdź, to drugie pójdzie, choćby miało iść po trupie i po świętościach i nie usłucha jednego tylko: — zapomnij!

Milczałem odurzony jego wybuchem, a on chodził teraz bez przerwy i mówił ciągle, spokojniéj już i jakby do własnych myśli:

— Moje niewinne maleństwo, moje kochanie, moje wszystko! A ja mam mu pozwolić uginać się pod ciężarem przechodzącym jego

siły, mam patrzéć jak ono zamiéra, bo wierzy że miłość, ta wielka, ta szlachetna, ta dana od Boga,—to grzech.

Upadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach, ja jeszcze milczałem, czekając aż uspokoi się więcéj. Znałem go, reakcya musiała przyjść prędzéj czy późniéj. Siedzieliśmy tak, jeden na przeciw drugiego, wreszcie wstałem, zbliżyłem się i dotknąłem ręką jego ramienia.

— Posłuchaj mię Januszu, ale posłuchaj z uwagą. Byliśmy przyjaciołmi i teraz nimi jesteśmy; dawniéj nie zgadzaliśmy się także w zdaniach, bo ja byłem marzyciel i poeta, jak mię nazywałeś, ty byłeś trzeźwy, a przynajmniéj trzeźwiejszy odemnie. Tak było dawniéj, a my jednak porozumiewaliśmy się zawsze. Dziś role się zmieniły, — ty marzysz na jawie, ja muszę cię trzeźwić i przywoływać do rzeczywistości, ale kto wié czy i dziś nie potrafimy się zrozumiéć.

Nie patrzył na mnie, ale widziałem, że słucha, więc mówiłem daléj, o ile możności siląc się na spokój.

— Z twoich bezładnych słów to tylko zrozumiałem, że wyrzekasz się dziecka które ubóstwiasz, zrywasz węzły które moralnie może zresztą nie istnieją już i chcesz zaproponować, lub może zaproponowałeś już pannie Dolskiéj związek nielegalny, który ma wam dać większe szczęście, niż wszystko coby wam dał świat i jego przesądy.

Widziałem że się wzdrygnął, ale ja mówiłem daléj:

— Umyślnie nazywam rzeczy po imieniu, bo zawsze jest lepiéj wiedziéć dokładnie co się robi i jak się robi. Otóż przypuśćmy, że panna Dolska zgodzi się na twój projekt, co zresztą jest jeszcze wątpliwe...

Podniósł głowę.

— Wątpliwe! — I ty chcesz sądzić o rzeczach, o których nie masz pojęcia? A ja ci przysięgam, że dziś powiem jéj: „pójdź na Küchelberg i skocz w przepaść razem ze mną”—i ona pójdzie i skoczy.

— Tak, być może, że skoczy, odda ci wszystko, życie nawet, ale nie poświęci ci dobrego imienia swego ojca,—tak mi się przynajmniéj zdaje.

Zerwał się i popatrzył na mnie z litością.

— I ty masz złudzenia, że znasz świat i ludzi!—ha, ha, ha!—to jest rzeczywiście kolosalnie zabawne... Ależ przyjrzyj się, popatrz jéj w oczy, zobacz czy tam jest jeszcze miejsce na coś innego oprócz miłości? — Wyprostował się dumnie. — Między nami jest nić, któréj nie zerwie nikt, żaden ojciec, żadna matka i żaden przesąd. Siła, któréj nic nie zwalczy, siła, która jest w nas, a która jest właśnie idealnym pierwiastkiem miłości, tém co mamy w sobie boskiego, pcha ją w moje objęcia, a z nich nie wyrwie mi jéj nikt, ani świat, ani nawet pie-

kło, gdyby się na nas sprzysięgło. I siła ta jest wieczna i niezniszczalna, nie zgładzi jéj nawet śmierć i dla tego my będziemy szczęśliwi. Porwę ją i wywiozę daleko, do Algieru, do Indyi, do Australii, gdzie zechce, wszystko jedno! Szczęście jest w nas samych, gdzie będziemy razem, tam będzie nasze niebo, nasz raj! I nie dosięgnie jéj nic, żadna zniewaga i żadna złość ludzka, — ja potrafię obronić ją przed złem i dać jéj szczęście całe i bezwzględne.

Znów upadł na krzesło, zarzucił ramiona nad głową i zapatrzył się w urojony obraz, a obraz ten musiał być piękny, bo na twarz pokładł mu światła i uśmiechy. Ja milczałem chwilę, poczem zacząłem spokojnie i z namysłem.

— Więc dobrze, zgadzam się, że dla miłości ona poświęci własną godność i dobre imię rodziny, rzuci wszystko, pójdzie za tobą na koniec świata i będziecie szczęśliwi... może rok, może zresztą dwa. A teraz ja przypomnę ci jéj słowa wyrzeczone przed kilku tygodniami i według nich wysnuję ci całą waszą przyszłość, począwszy od tegoż roku czy téż może dwóch lat. „Pogardy dla samego siebie nie wydrzesz z duszy, tak jak nie wskrzesisz zabitego". To powiedziała panna Dolska, która pod przemożnym wpływem miłości, zapomni o własnych słowach, będących streszczeniem jéj przekonań, poświęci dla ciebie swoich rodziców a dla siebie twoje dziecko, które umiéra i może napróżno wyciąga ręce do ojca, i będzie szczęśliwa może rok, może dwa.

— Będzie szczęśliwa całe życie! — wybuchnął.

— Pozwól. W waszém uczuciu jest pierwiastek boskości, powiedziałeś, uczucie na tym pierwiastku oparte, a zatém nie polegające tylko na zadowoleniu zmysłów, jest wieczne i niezniszczalne. Zgadzam się i wierzę, że wasza miłość jest taka i nie przeczę, że ona dałaby wam trwałe szczęście, gdybyście mogli przejść przez życie razem, ale normalnie. Bylibyście użyteczni krajowi, ona rozumiałaby pragnienia i ideały twoje, ty jéj i bylibyście szczęśliwi zawsze, do późnéj starości, bo oprócz miłości mężczyzny dla kobiéty i kobiéty dla mężczyzny, między wami istniałaby przyjaźń, szacunek, wspólność myśli, zbliżone szlachectwo dusz. W takich warunkach, na własnéj ziemi, wśród rodziny i przyjaciół, przy obszerném polu do działania i wspólnéj na témże polu pracy, można stworzyć sobie na ziemi i niebo i raj. Ale wy w warunkach rzeczonych żyć nie będziecie, was nie będzie łączyła wspólna praca i wspólny cel, wam pozostanie tylko obca ziemia, obcy ludzie i wasza miłość. Otóż słuchaj Januszu. Gdyby w waszém uczuciu nie było tego pierwiastku idealnego, gdybyście oboje byli mniéj szlachetni i poza sobą nie kochali nic i nikogo, może prędzéj osiągnę-

libyście szczęście, o którém marzysz. Ale ty wiész, że tak nie jest i zastanowiwszy się, musisz mi przyznać, że sama miłość nie wystarczy wam na długo, że refleksya przyjdzie, bo przyjść musi. Czas miłości nie jest eliksirem, który daje zapomnienie na całe życie, ale tylko na czas pewien, dłuższy lub krótszy, zawsze określony. Twoja ukochana w snach będzie widziała cichy dwór Białowolski i pochylone głowy dwojga opuszczonych starców, w snach będą jéj pachniały polskie lipy i śmiały się do niéj wiejskie, o płowych czuprynach polskie dzieciaki, w snach zaśpiéwa jéj skowronek, zaklekoce bocian, zaszumią sosnowe lasy, na fujarce wierzbowéj zagra jéj polski pastuszek. Tak Januszu, ona będzie twoja duszą i ciałem, ale jéj sny nie będą twojemi, a gdy zbudzi się w twoich ramionach, nie zcałujesz jéj z ust uśmiechów, ale z oczu łzy. Taka tęsknota nie da się także wydrzéć z duszy, z nią także należy się rachować, bo i ona jest dana od Boga.

Urwałem, by zaczerpnąć oddechu. Ruszczyc nie odzywał się, ukrył twarz w dłoniach i siedział bez ruchu, ja mówiłem znowu.

— Ale to jest dopiéro tęsknota. Po tęsknocie przyjdą wyrzuty, żal i pogarda dla siebie saméj. Twoja ukochana nie w snach już, ale na jawie widziéć będzie siwe głowy starców, których syn jest szulerem, a córka... i będzie słyszała szyderstwa gradem spadające na znękane głowy rodziców, których ona była źrenicą oka i dumą — i ujrzy twarzyczkę twego umiérającego dziecka, wyciągającego ręce do ojca i umarłego samotnie, bo tego ojca ona zatrzymała przy sobie. Twoja ukochana będzie to miała przed oczyma i w uszach, we śnie i na jawie, i będzie sobie powtarzała to, co wyrzekła niedawno na Winkelwegu: pogardy nie wydrzesz z serca... na taką ranę, nawet przebaczenie innych nie jest balsamem.

Zbliżyłem i znów położyłem rękę na ramieniu nieszczęśliwego.

— Januszu, uwierz mi, że mówię do ciebie sercem nie rozumem. Jedź do twego dziecka, ratuj go, a jeśli uratujesz, żyj dla niego i dla tego wszystkiego, co ci jest drogiem. Przecież tak żyłeś dotąd, teraz będzie to samo, tylko pozostanie ci prócz tego świadomość, że gdzieś na szerokim świecie masz serce bijące tylko dla ciebie.

Spojrzał na mnie bezmyślnym wzrokiem, zmrużył powieki, jak gdyby chciał zrozumiéć coś, co przechodziło jego pojęcie i szeptał:

— Więc pocóż w naszych duszach zapalił się taki wielki ogień, jeżeli na świecie nie ma dla niego racyi bytu? Kto wlał nam do serc to coś, co nam nie pozwala żyć jedno bez drugiego? kto, poco, dlaczego? Co zawiniło to dziecko? czy ono starało się o tę miłość? czy wyrobiło ją w sobie sztucznie? Nie, miłość przyszła sama, porwała ją i uniosła jak wezbrana rzeka, a teraz zmarnuje się, da jéj ból, tylko ból i to

na całe życie. Jak waryat począł przebiegać pokój, po chwili znów stanął i ręce zatopił we włosach.

O, jaki ja byłbym inny! co ja bym mógł zrobić z siebie! jaką miłością ogarnąłbym cały świat, gdyby mi ją dano, wobec Boga i ludzi, na własność, tylko ją jednę, taką maleńką, taką moją!...

Znowu upadł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach i—zapłakał.

Ze ściśniętém sercem siedziałem, milcząc i czekając na niepewny jeszcze koniec téj strasznéj walki dwóch najprzemożniejszych uczuć rządzących człowiekiem,—miłości i uczciwości. W głowie czułem zamęt, zatraciłem wątek własnych myśli, nie wiedziałem sam gdzie prawda i kto z nas ma racyą ja, czy on. Miałem słabe poczucie, że jeśli jeszcze przyjdzie mi go przekonywać, nie znajdę już argumentów, wyczerpałem wszystkie i czułem się bezsilnym. Przesądy, formy, głupota! — wszystko to prawda, ale czemu jest w nas coś, co nie pozwala gwałcić ich bezkarnie? — dlaczego taki gwałt mści się późniéj przez całe życie i to nie tylko na nas, ale i na naszych dzieciach?

Siedzieliśmy tak naprzeciw siebie pogrążeni w myślach, a otaczała nas noc głęboka. Była godzina piąta rano, gdy Ruszczyc podniósł się i spojrzał przed siebie zmęczonym wzrokiem. Był blady jak po ciężkiéj chorobie, w zapadłych oczach błyszczała gorączka. Zbliżył się i położył mi na ramionach obie ręce.

— Jadę,—zaczął tak zmienionym głosem, że spojrzałem na niego zdziwiony,—jadę, bo może masz racyą, nie dałbym jéj szczęścia, niechaj więc Bóg da jéj zapomnienie, jeśli to możliwe, — dla mnie już zapóźno... tylko, jedno musisz mi przyrzec i dotrzymać, czy słyszysz?

— Jeżeli tylko nie przejdzie to mojéj możności, daję ci na to słowo uczciwego człowieka—mów!

— Z nią już się nie zobaczę, bo czuję, że siłby mi zabrakło i pozostałbym.—Ty pójdziesz do niéj i powiész jéj, że wyjechałem na zawsze; ale pamiętaj mów do niéj także sercem, jakby była twoją siostrą lub córką, i wszystko co od niéj usłyszysz, wszystko, nawet jeśliby zażądała mego powrotu, powtórz mi w liście.

— Masz na to moje słowo,—pomówię z nią dziś jeszcze, napiszę do ciebie zaraz i powtórzę wszystko.

— Dziękuję ci.—A teraz pomóż mi się pakować. Rachunki załatwisz za mnie, gdy wrócisz z pociągu, bo—musisz mię odwieść i wsadzić do wagonu; inaczéj, kto wié, pijak nie może patrzéć na alkohol, a ja będę przejeżdżał koło Parvy... Tu masz piéniądze, a tu adres. Odeślesz mi resztę do Zbrucza; Dolski niech także tam odeśle swój dług, prawdopodobnie nie zabawię długo we Lwowie, czy się to skończy źle, czy dobrze. Spieszył się, zbierał rozrzucone drobiazgi, pako-

wał, ja mu pomagałem. W wazonie na stole stał pęk różnobarwnych ostów. Wyjął go, popatrzył, poczém zamknął w dużem pudełku i do kufra włożył, a mnie przyszło na myśl, że miłość ich, rzeczywiście zamiast kwiatów, dała im same osty.

O wpół do dziewiątéj siedzieliśmy już w powozie, a w chwilę potem minęliśmy Parvę. Nie patrzyłem na niego, ale czułem, że odwrócił głowę, by nie widzieć nawet jéj białych ścian i błyszczącego dachu. W pół godziny wracałem już sam. Wróciwszy do domu, zajrzałem jeszcze raz do pokoju, w którym tak ciężką noc przepędziliśmy obadwaj, zapłaciłem rachunki Ruszczyca i zmęczony położyłem się w ubraniu na łóżko. Nie miałem zamiaru spać, bo o dwunastéj czekała mię jeszcze ciężka chwila rozmowy z Zosią; ale zatonąwszy w myślach nad przypuszczalnemi szczegółami tejże rozmowy, sam nie wiedząc kiedy, zasnąłem twardo. Gdy zbudziłem się, była godzina pierwsza. O téj porze, zwykle wszyscy razem udawaliśmy się na spacer, więc należało przypuszczać, że w Parvie nie zastanę nikogo; ale ponieważ zdarzało się niekiedy, że spaceru nie było, zerwałem się, umyłem, przebrałem i w kwadrans potém wchodziłem na kamienny taras. Nie zastałem na nim nikogo, ale słońce świeciło i dogrzewało, drzwi saloniku były otwarte szeroko. W chwili gdy wstępowałem na ostatni stopień, we drzwiach ukazała się Zosia. Nie zdziwiła się, że zobaczyła mię samego, nie spytała o nic, tylko cofnęła się do saloniku, ruchem ręki zapraszając mię za sobą.

— Widzę, że pani zupełnie sama, — zacząłem, składając na małym stoliku kapelusz i rękawiczki i oddychając swobodniéj na myśl, że nikt nam w téj smutnéj rozmowie nie przeszkodzi.

— Tak, proszę niech pan siądzie; wszyscy poszli na Winkelweg, a ja zostałam, bo boli mię głowa, nie spałam w nocy i prócz tego spodziewałam się wizyty pana.—Popatrzyła mi w oczy.

— Pan Ruszczyc wyjechał, prawda?

Byłem zdumiony.

— Zkąd pani wiész o tém?

Zacisnęła dłonie i spojrzała na mnie smutnie.

— Zkąd? albo ja wiem? — Wczoraj gdy odchodził, powiedział mi coś takiego, co mię bardzo przeraziło, a potém nie mogłam spać i czułam, że z nim się dzieją niedobre rzeczy. Coś mi mówiło, że już go nie zobaczę i—nie zobaczyłam.

Zbliżyła się do mnie i blada jak opłatek poczęła mówić wolno, żałośnie.

— I czemu on nie pożegnał się ze mną, czemu? Czy przypuszczał, że ze mnie taki lichy żołnierz? — że zaraz w pierwszéj walce

zabraknie mi sił do spełnienia obowiązku?—że może będę go chciała zatrzymać?

Uśmiéchnęła się gorzko.

— O, jakżeż on mię jeszcze nie znał, — jak nie znał! Byłabym mu dodała odwagi—byłabym mu tyle powiedziała — byłby się dowiedział, że jestem warta jego miłości i odjechałby z lżejszém sercem...

Przytrzymałem jéj zimne dłonie i uścisnąłem gorąco.

— Mylisz się pani, — zacząłem głosem tak łagodnym, jak gdybym mówił do dziecka,—mylisz się pani bardzo i prócz tego łudzisz. Janusz wiedział, że z ciebie dobry żołnierz, ale wiedział także, że on sam jest żołnierzem słabym, że gdyby zobaczył cię znowu, zapomniałby nie tylko o obowiązku ale i o uczciwości, i zostałby tu, — do wyjazdu nie stałoby mu sił. My obadwaj mieliśmy dzisiaj ciężką noc, on walcząc z samym sobą, ja patrząc na tę walkę. Wierzaj mi pani, że tak jak się stało, stało się lepiéj. Odprowadziłem go na koléj, wsadziłem do wagonu i to na jego żądanie. On tak nie dowierzał własnym siłom, że poprostu bał się samego siebie.

Słuchała cała drżąca. Słońce wesołemi plamami ułożyło się u jéj stóp, lekki wiatr poruszał firanką i było tak cicho, że słyszałem prawie niespokojne bicie jéj serca. Milczeliśmy chwilę, wreszcie ja odezwałem się znowu.

— Panno Zofio, przyrzekłem Januszowi napisać do niego jeszcze dziś i powtórzyć mu dosłownie wszystko, co mi dla niego przekażesz? — co mam napisać?

Podniosła się i poczęła chodzić niespokojnie, powtarzając bezmyślnie:

— Napisać — napisać...

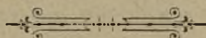
Nagle zatrzymała się, obu rękami przycisnęła skronie i szeptała.

— Powiédz mu pan, że dobrze zrobił—dobrze — oh, jak dobrze! — może i ja byłabym się okazała lichym żołnierzem.

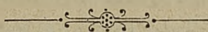
Stała tak przedemną, blada, bez łzy, aż wreszcie wyciągnęła przed siebie ręce i szepnęła cicho.

— I co ja zrobię z sobą teraz?...

(*Dok. n.*) *Exterus.*



Kwestya społeczno-państwowa
w Anglii.



I.

Fala polityczna powołała w ubiegłym roku do władzy stronnictwo zachowawcze. Dzięki olbrzymiéj większości, jaką posiada w parlamencie i dzięki silnym osobistościom, które składają rząd, utrzyma się ono prawdopodobnie u władzy przez sześć lat zwykłéj kadencyi prawodawczéj i nie trudno przewidziéć, że nie odrazu i nie tak prędko uda się liberalnéj opozycyi wysadzić go z siodła. Ma tedy Wielka Brytania z pewnością kilka a może i kilkanaście lat zapewnionych do systematycznego przeprowadzania zasad i idei kierowniczych stronnictwa zachowawczego. Jak zużytkuje to *magnum aevi spatium*, oto pytanie, jakie sobie stawiają miejscowi i postronni spostrzegacze i jakie rozwiązują z tém większą swobodą, że rząd obecny żadnemi nie jest skrępowany obietnicami i że program zależy całkowicie od jego własnego uznania.

Ale chociaż panuje niepewność co do tych lub owych kolei, jakiemi rozwijać się będzie w Anglii działalność publiczna, to co do jednego punktu najmniejszéj wątpliwości niema: socyalizm pań-

stwowy uczyni nowe, być może stanowcze kroki naprzód. W pierwszéj chwili, ale tylko w pierwszéj, horoskop taki wywołuje niedowierzanie, wynikające z rzekoméj niepogadzalności między interesami zachowawczych warstw społeczeństwa a rewolucyjnemi postulatami socyalizmu. Chwila bliższego zastanowienia przekonywa, że taki obrót rzeczy jest nietylko możliwy, ale po prostu konieczny.

Anglia, zapominać nie należy, otworzyła już na roścież podwoje demokracyi. Demokracya, *quaerens quem devoret*, pozbawiła już oligarchię wielu dawniejszych przywilejów i domaga się coraz nowych ustępstw. Ale zdobycze, o które idzie przedewszystkiém wielkiéj masie narodowéj, tyczą się materyalnéj strony życia, podniesienia skali dobrobytu. Udzielenie ich mniéj drażni miłość własną klas wyższych, aniżeli to nieustanne i natarczywe domaganie się równouprawnienia ze strony liberalizmu, uosabiającego średnie warstwy towarzyskie i łatwiejsze są do przebolenia straty materyalne dla hegemonów narodowych, aniżeli moralne, te, które stanowiły jądro ich bytu historycznego. Widzieliśmy arystokracyę angielską tak niedawno zgadzającą się na ustanowienie postępowego podatku od spadkobierstw, co oddźwięknie ujemnie na ich majątkowém położeniu, ale jednocześnie odrzucającą hardo propozycye reformy izby lordów. To samo powtórzy się w najbliższéj przyszłości. Stronnictwo zachowawcze, aby okupić sobie względny spokój i zachować choć szczątki poszczerbionéj korony, rzuci w paszczę ludowego smoka jedną po drugiéj reformy społeczne.

Ale i inne czynniki jeszcze w grę tu wchodzą.

Pierwszym jest zmiana zaszła w samém stronnictwie zachowawczém. Nie są to już dzisiaj czystéj krwi torysi, co walczyli o prerogatywy korony z whigami uosabiającymi pierwiastkowo interesa wielkich rodzin magnackich, a następnie całéj klasy średniéj, nie są to już dzisiaj fanatyczni, zacietrzewieni orędownicy średniowiecznych ideałów, ale ludzie całkiem odmiennego nastroju. A przekształcenie w ich organizmie dokonywa się z tą gorączkową szybkością, jaka na wszystkich posterunkach epokę naszą znamionuje. Kilkanaście lat ubiegło zaledwie od chwili, gdy niedawno zmarły lord Randolph Churchill zaimprowizował program neo-toryzmu, polegający na sojuszu pomiędzy tradycyonalnym patrycyatem a wyemancypowaną demagogią. Przyjęty z prawa i z lewa z sarkaniem i pośmiewiskiem, został program ten nietylko zalecony stronnictwu zachowawczemu przez awanturniczego jego przywódzcę lorda Beaconsfield'a, ale narzuciło go, że tak powiedzieć można, od-

szczepieństwo dokonane w łonie stronnictwa liberalnego, i przejście tych odszczepieńców, pod dowództwem p. Józefa Chamberlain'a do obozu zachowawczego. Ci *homines novi* właśnie dlatego, że zerwali własnowolnie wszystkie węzły łączące ich z whigami, położyli nacisk szczególny na demokratyczno-społeczną stronę jutrzejszego prawodawstwa. Jak wiadomo, udało się torysom, jedynie przy współdziałaniu tych energicznych sprzymierzeńców, odnieść wielkie zwycięstwo wyborcze, zwalić przeciwników i samym miejsce ich zająć. Ale nie jest to już teraz stronnictwo torysów o dobrze znanéj, zachowawczéj linii wytycznéj, lecz inne, nowe, urzędownie nazywające się unionistami, ale pretendujące do nazwy stronnictwa narodowego. Jeżeli, bądź co bądź, nazywane bywa zachowawczém, to dzieje się to przeważnie ze starego nawyku, bo w dawnych kadziach nowe już fermentuje wino. Prosta sprawiedliwość nie pozwala solidaryzować tradycyonalnego toryzmu z tym dzisiejszym, co do socyalizmu stroi umizgi.

Społeczeństwo angielskie, gdzie indywidualizm taką jest potęgą, gdzie swobodna jednostka przywykła do szerokiéj inicyatywy, gdzie przez ich dobrowolne stowarzyszenie tylu olbrzymich dokonano przewrotów, miało dużo drogi do przebycia, ażeby przeciwstawić działalności indywidualnéj — państwową, samorządowi — centralizacyę, samopomocy — obowiązkową opiekę i dyrekcyę organizmu państwowego. Trzeba było wykorzenić do szczętu teorye manchesterskiéj szkoły, zerwać stanowczo z tradycyami liberalizmu. Nie powiadamy, żeby tego rodzaju przewrót już dokonał się całkowicie i żeby całe społeczeństwo angielskie zaprzęgło się do rydwanu socyalizmu państwowego: nie jest to ani prawdopodobne, ani możliwe. Ale stopniowo i powoli oryentuje się ono w tym kierunku. Coraz więcéj jest ustaw organizujących pracę, interweniujących na korzyść robotników, ograniczających godziny roboty, ochraniających kobiety i dzieci, zalecających urządzenia hygieniczne i t. d. Władze publiczne, które w dawniejszych czasach stawały po stronie klas uprzywilejowanych i były nieubłagane dla masy ludowéj, całkiem inaczéj pojmują już obecnie swoje zadanie: pod wpływem rozbudzonego humanitaryzmu, przy szerszém i jaśniejszém pojęciu sprawiedliwości wzięły na siebie rolę opiekuna i orędownika proletaryatu. Jeden krok przygotowuje drugi. Parafia, gmina, okręg, prowincya i wreszcie państwo, biorą na siebie rozmaite atrybucye organizacyjne w interesie powszechnym. Ci nawet, którzy w teoryi zżymają się

jeszcze na zasady socyalizmu państwowego, w praktyce życiowéj hołdują mu i muszą przyznać, że zalewa on naród na wszystkich naraz punktach.

Skoro tedy cała społeczność angielska, mniéj lub więcéj świadomie, współdziała postępom i rozwojowi centralnéj organizacyi państwowéj w sferze ekonomicznéj, nie można się dziwić, że stronnictwo dzierżące obecnie władzę, pragnąc i swój własny byt zabezpieczyć i odpowiedziéć powszechnym żądaniom reformatorskim, pod tym właśnie staje sztandarem. Reformy konstytucyjne są w jego oczach chińszczyzną, mitręgą czasu i bez żadnego bezpośredniego następstwa dobroczynnego dla materyalnego bytu masy krajowéj: dać jéj natomiast *panem et circenses* w nowożytnéj ich formie, oto logiczny, oto nieunikniony program chwili obecnéj. Nikt, albo prawie nikt, nie protestuje już przeciwko saméj zasadzie, a opozycya schodzi po prostu do drugorzędnych względów zastosowania i praktyki. Samo się przez się rozumié, że wobec mnóstwa chwastów, których się jeszcze ze skiby publicznéj wyplenić nie dało, wobec mnóstwa niesprawiedliwości, nadużyć dotąd nie usuniętych, jest nie mało do zrobienia i jedynie wybór pod tym względem trudny. Nie będzie potrzebował rząd ani przedsiębrać upaństwowienia ziemi, ani zastępować własności prywatnéj przez zbiorową, ani przeprowadzać innych punktów programu kolektywistów, a pomimo tego, może energicznie przyłożyć rękę do podcięcia konarów indywidualnéj organizacyi. Są różne drogi do tego samego wiodące celu.

Rękojmią dobréj woli i gotowości przeprowadzenia programu socyalizmu państwowego przez ministeryum lorda Salisbury, jest obecność i udział w rządzie p. Chamberlain'a. Chociaż dzierży on tekę ministra kolonii, wydziału, który inne, specyalne pole jego działalności zakréśla, osobistość jego jest zbyt wydatna, wpływ zbyt ważny, cała przeszłość zbyt dobrze znana, aby się miało prawo do najmniejszéj wątpliwości co do przyszłych jego zamiarów. Ani będzie mógł, ani chciał zaprzéć się swych rdzennych przekonań. Utrzymywał on zawsze, że ideałem jego obywatelskiéj działalności było podniesienie skali dobrobytu klas upośledzonych materyalnie. Stojąc na czele municypalności Birminghamu, dokonał tam kapitalnych reform, które wszystkie zmierzały do rozszerzenia sfery władzy municypalnéj, i oddał w jéj ręce jedne po drugich wydziały służby publicznéj, które zastępowały rozmaite dawniejsze przedsięwzięcia prywatne. Obdłużył wprawdzie miasto, ale zrobił wiele dla zdrowotności, ulepszenia, upiększenia miasta i dla dobrobytu jego

mieszkańców. Utwierdziły go te próby socyalizacyi municypalnéj, w przekonaniu, że co każde pojedyńcze miasto może dokonać u siebie dla swych obywateli, to państwo o wiele snadniéj przeprowadzić może dla wszechspołeczności. Kredyt publiczny jest, jego zdaniem, z przeznaczenia swego najlepszém narzędziem do uskutecznienia planów reformatorskich i nie ma powodu wstrzymywać się przed zrzucaniem ciężarów na barki przyszłych pokoleń, gdyż one będą u żniwa. W epoce swego radykalnego liberalizmu zmiatał teoretycznie wszystkie instytucye i organizacye, które tamowały drogę urzeczywistnieniu jego dezyderatów socyalistyczno-państwowych. Ponieważ jednak nie jest abstrakcyjnym filozofem, ale działaczem *par excellence* praktycznym, zaniechał donkiszotowskiéj walki z wiatrakami i zawarłszy sojusz z przedstawicielami najbardziéj zachowawczych interesów, sprowadził ich obecnie na swoje własne podwórko.

Podczas ostatniéj kampanii wyborczéj w jednéj ze swych mów publicznych powiedział p. Chamberlain, „że kraj wymaga od prawodawców polepszenia handlu, ułatwienia znalezienia roboty, podwyższenia zarobku, rozszerzenia dobrobytu. Uczynić mieszkania robotniczéj klasy zdrowszemi, zrobić z lokatorów właścicieli domów, osłodzić starość wymazując z niéj zmorę nędzy, zabezpieczyć inwalidom pracy stałe utrzymanie: oto pierwsze zadanie przyszłych prawodawców.” W ostatniéj odezwie do swych wyborców sformułował swój program w ośmiu punktach, obejmujących prawne ograniczenie godzin pracy w kopalniach i innych mozolnych gałęziach wytwórczości, zmniejszenie godzin pracy po sklepach i pracowniach, zaprowadzenie trybunałów rozjemczych dla waśni ekonomicznych, wynagrodzenie dla robotników poszkodowanych lub zranionych podczas pracy zawodowéj, pensye emerytalne dla sędziwych biednych, ograniczenie imigracyi zagranicznéj, polepszenie miast i domów klasy robotniczéj przez rozszerzone atrybucye ciał municypalnych i nakoniec dostarczanie kapitałów władzom prowincyonalnym na budowę wzorowych domów i dla nabywania ich przez proletaryat.

Wyrażony w ogólnikowych aksyomatach program ten znalazł przychylne przyjęcie, a nietylko samemu p. Chamberlain'owi zapewnił tryumf w jego okręgu wyborczym, ale przyczynił się niezawodnie do wzmocnienia zwycięstwa całego stronnictwa, które domniemalnie z nim się solidaryzowało. Trzeba było bliżéj wejść w naturę każdéj z owych propozycyi, aby zdać sobie sprawę nietylko z ich praktycznych trudności i słabych stron, ale ze sprzeczności, w ja-

kiéj postawią interesa jednostek, grup i warstw pojedyńczych z interesem wszech-narodowym. Każdy z tych projektów najeżony jest kolcami. Kwestye najbardziéj ogadane, jak np. ustanowienia prawnéj normy dla godzin, przez jakie robotnicy pracować mają w kopalniach, nie są jeszcze rozwiązania blizkie, skoro znaczna część górników stanowczo sprzeciwia się interwencyi państwowéj pod tym względem. To samo da się powiedziéć o specyalnéj opiece nad pracą kobiet, przeciwko któréj one energicznie protestują. Nawet otwieranie sklepów przez mniejszą ilość godzin nie da się w czyn wprowadzić bez głębokiego zamętu w organizacyi handlowéj. Nie utrzymujemy, broń Boże, ażeby te kwestye były z natury swéj nierozwiązalne i niedopuszczające ulepszeń, ale są tak ściśle wplecione w organizm ekonomiczny, oparty na fundamencie indywidualizmu, że każde podważenie jego oddziaływa na całość społecznego ustroju. Praktycznym rezultatem tego stanu rzeczy będzie, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, że pomimo zapału p. Chamberlain'a i ochoty jego ministeryalnych kolegów, mniéj będzie rozwiązanych aniżeli podniesionych zagadnień.

Za obszerne jest to pole, ażebyśmy zamierzyli przebiegnąć je całe. Ograniczymy się do dwóch zagadnień, mianowicie do sposobu, w jaki państwo zajmie się dostarczeniem zarobku pozbawionym pracy robotnikom, a następnie do sposobu, w jaki zabezpieczyć chce byt starych, obarczonych latami i ubóstwem robotników. Powiedziano nieraz, że w Anglii, dzięki *Poor laws* państwo gwarantuje każdemu osobnikowi prawo życia i istnienia. Obecnie idzie o rozszerzenie tego pojęcia i o wyciągnięcie z niego jako logicznego następstwa, prawa do pracy—prawa do pracy dla tych, co pracować chcą a nie mogą, prawa do odpoczynku, gdy się siły żywotne zużyły i wyczerpały. Trudno o ciekawsze zagadnienie, które po upływie pół wieku od rewolucyi francuskiéj 1848 roku, spotykamy tu ponownie postawione na porządku dziennym, wśród innych wprawdzie okoliczności, wśród innego otoczenia, w całkiem odmiennéj formie zewnętrznéj, ale w gruncie rzeczy takie samo jak wówczas.

II.

Gdy jest mowa dzisiaj o dostarczaniu roboty robotnikom przez państwo, teorya ta nie budzi w Anglii takiego zdziwienia, jakieby wywołała w innych krajach, a to po prostu dla tego, że obowiązek taki zapisany jest już od kilkuset lat w ustawodawstwie angielskiém

i wprowadzony w życie funkcyonować nie przestał. Mówimy o słynnych *Poor laws*, prawie dla biednych. W XVI wieku Anglia chcąc wyswobodzić się od żebractwa, które się stało plagą publiczną, wydaje surowe rozporządzenia przeciwko żebrakom: ostatnim szczeblem ich była kara śmierci przez powieszenie. Reakcya przeciwko temu nadmiarowi surowości ujawnia się w 1601 roku za królowéj Elźbiety, gdy ustanowiona została dobroczynność urzędowa. Biednym, zdolnym do pracy dostarczano jéj; niezdolnym do pracy udzielano jałmużn a dziatwę umieszczano w zakładach czeladniczych. Dla opędzenia powstających stąd kosztów, nałożony został w każdéj parafii podatek na mieszkańców. Każda parafia zawiadywała zebranemi na ten cel funduszami i utrzymywać była obowiązana swych biednych. Gdy nie miała dla nich roboty, płacić była zmuszona pensyę na utrzymanie wystarczającą.

Następstwa organizacyi téj były do przewidzenia łatwe. Liczba próżniaków wzrastała i być utrzymywanym przez parafię z funduszów zebranych od mieszkańców mniéj lub więcéj zamożnych i pracujących, stało się powołaniem zawodowém. Pracujący utrzymywali próżniaków, trzeźwi—pijaków, uczciwi—nicponiów. Nadużycia i ruina wielu uboższych parafii przybrały takie rozmiary, że wprowadzono z konieczności zmiany te i owe do pierwotnego prawa dla biednych. Najważniejszemi był *Gilbert's act* z 1782 r. i *Poor law's amendment act* z 1834 r. Mocą tego ostatniego, stwierdzono wprawdzie prawo osobnika do utrzymywania go przez parafię, ale utrzymywanie to uczyniono nieodłączném od pracy. Przestano płacić pensye tym wszystkim, którzy pod rozmaitemi pozorami uchylali się od pracy a ustanowiono *workhouse*'y, t. j. domy pracy. Są one czémś pośredniém pomiędzy więzieniem a klasztorem; życie jest w murach tych zakładów dobroczynnych przykre i twarde; otrzymujący nocleg i wikt zmuszeni są pracować w nieprzyjemnych warunkach, noszą liberyę żebraków-galerników i tracą prawa obywatelskie przez dobrowolne wstąpienie do domu pracy. Wynikiem téj nowéj organizacyi było, że liczba uciekających się do tych zakładów zmniejszyła się: tylko istotni nędzarze, tylko zrozpaczeni walką bezskuteczną chronią się do téj instytucyi. Utrzymanie jéj kosztuje drogo i nie oddaje społeczeństwu usług odpowiednich kosztom. Jest zawsze po wsiach, a szczególniéj po miastach, znaczna liczba ludzi uskarżających się na brak pracy, cierpiących głód i nędzę, pomimo urzędowéj organizacyi, która temu stanowi rzeczy miała kres położyć.

Państwo tedy, zaprzeczyć nie można, nie podołało zadaniu jakiego się podjęło: nie utrzymuje jak należy swych biednych i nie dostarcza roboty tym, którzy na brak jéj się skarżą. Przeszłość i doświadczenie pozwalały by wnosić, że nie posiada warunków do spełnienia tego zadania i że lepiéj z niego wywiązać by się mogły instytucye specyalne, stojące niezależnie od organizmu państwowego. Ponieważ jednak masa społeczna, przerażona rozmiarami istniejącéj nędzy i opłakanym stanem proletaryatu, uznaje się niezdolną do zapobieżenia klęsce i woli zdać na państwo tę troskę, to oczywiście długi czas jeszcze skazani będziemy na kręcenie się w deptaku, nie czyniąc kroku naprzód. Socyalizm twierdzi, że państwo ma obowiązek i ma sposoby znalezienia pracy dla wszystkich rąk do pracy zdolnych. Doktryna ta, mniéj lub więcéj otwarcie, utorowała sobie drogę i każda perturbacya w dziedzinie ekonomicznéj, każde zawieszenie roboty w warsztatach i fabrykach, wznawia wśród masy robotniczéj, z coraz większą siłą, żądanie naprzód interwencyi państwa a następnie organizacyi pracy bezpośrednio z jego ręki.

Jest tedy na dobie pytanie, jak państwo poradzi sobie w téj trudności, jak znajdzie zatrudnienie i zapłatę dla robotników nie mogących sobie znaleść zarobku przy obecnym ustroju ekonomicznym. Ten ustrój, opiérający się na swobodzie, na indywidualizmie, na prywatnéj własności, na współzawodnictwie, jest właśnie, w oczach radykalnych reformatorów społecznych odpowiedzialny za ów brak pracy dla znacznéj części robotników i powstającéj stąd nędzy, i dla tego proponują go zastąpić przez inny, uosobiający się w kolektywizmie. Ponieważ jednak praktyczne umysły angielskie dobrze wiedzą, iż taka rewolucya nie może nastąpić jednorazowo i natychmiastowo, więc usiłują przygotować ową transformacyę, wkładając na organizm państwowy w jego całokształcie i na składowe jego reprezentacyjne czynniki: hrabstwa, okręgi, municypalności, parafie, obowiązki dostarczania pracy wszystkim osobnikom, które jéj od nich zapotrzebują. Sami socyaliści wiedzą, że tymczasowo jest to tylko *paliativum* nie będące w stanie odpowiedzieć zagadnieniu, którego zaspokojenie zostawiają przyszłości.

Jak łatwo zrozumiéć, rząd chcąc zaspokoić te żądania a czując wstręt do awanturniczego rzucenia się w zaimprowizowane innowacye, uważa za najwłaściwsze obrać istniejące p r a w o o b i e d n y c h za punkt wyjścia i poddać go zmianom wymaganym przez okoliczności obecne. Mowa, jaką niedawno wygłosił w tym sensie książe Devonshire, mąż stanu trzeźwy i praktyczny a przeciwnik wszelkich utopii, udowodniła, że takie są istotne zamiary rządu. Stron-

nictwo socyalistyczne przyjęło atoli takie ścieśnienie i obniżenie programu z szyderstwem i naigrawaniem. Żywi ono nietajony wstręt do domów pracy—*workhouse*'ów—które kładą znamię upokorzenia, nieledwie hańby na biedaków, żywiąc ich, dając im nocleg i skazując na mozolną, bezużyteczną pracę, ale które bynajmniéj nie są instytucyą harmonizującą z prawem do pracy. Żadna ich reforma nie potrafi zmienić charakteru wykoślawionego z samego początku.

Nie da się zaprzeczyć, że jest wiele słuszności w takiém zapatrywaniu na domy pracy. Nie tykając nawet ich wadliwego urządzenia, które stało się przedmiotem tylu melodramatycznych opisów i tak zasłużonéj satyry, wystarczy przypatrzéć się robocie jaką tam dają, ażeby porównać ją z tą jaką dawał filantrop słynny, ów co kazał biednemu robotnikowi jednego dnia kopać niepotrzebny dół w swym dziedzińcu a drugiego—zasypywać go. Kręcenie powrozów, tarcie konopi, plecenie słomianek, albo prace w ogrodzie i dziedzińcu zakładu, reparacye elementarne, do których żadnego fachowego uzdolnienia nie trzeba: oto wszystko na co się dotychczas państwowe domy przytułku i pracy zdobyły. Socyaliści i nie socyaliści mają prawo krytykować tę metodę. Lecz pierwsi zapominają o téj prawdzie, iż robotnicy, co się tam pod naciskiem nędzy chronią, należą po większéj części do téj warstwy ludności, która do żadnego rzemiosła, do żadnego zawodu nie została uzdolnioną. Bez najmniejszego wykształcenia fachowego stoją ci *unskilled workmen* na najniższym szczeblu drabiny robotniczéj i nie można im powierzyć żadnej wyższéj pracy, tylko po prostu tę, do któréj zdrowe ręce i zdrowy rozsądek wystarczają.

Jeżeli krytyka jest słuszna, to idzie ona o wiele daléj aniżeli socyaliści mniemają, gdyż dosięga ona całéj organizacyi pracy z ramienia państwa. Ponieważ nie posiada ono swoich własnych warsztatów, fabryk i zakładów rękodzielniczych, zatém nie będzie nigdy mogło dać roboty różnorodnéj, ustopniowanéj do zdolności i fachowéj biegłości robotników, lecz będzie tylko zatrudniało rozbitków życiowych, najniższe inteligencye, najniższą, najłatwiejszą do wykonania robotą. Możnaby wprawdzie odpowiedziéć na tę uwagę wskazaniem, że państwa nowoczesne. a mianowicie Anglia, posiadają już liczne zakłady i warsztaty własne, jak arsenały, prochownie, porty wojenne, warsztaty okrętowe, drukarnie i t. d., że zatrudniają tam krocie robotników dobrze płatnych, nie przeciążonych pracą i z bytu swego zadowolonych. Socyalistom idzie jedynie o rozszerzenie tych przedsiębiorstw. Ale, zostawiając na stronie kwestyę czy dal-

sze kroki w tym kierunku są lub nie są pożądane, trzeba odeprzéć teoryę, iż państwo może już obecnie znaleźć pracę dla robotników technicznie uzdolnionych. Może to uczynić tak samo jak prywatne zakłady, z któremi współzawodniczy w danéj gałęzi. I ono jednak, pod wpływem łatwych do przypuszczenia okoliczności, może zmniejszyć swą wytwórczość i wydalać ze swych pracowni robotników, których chwilowo nie potrzebuje. Przy szczupłéj liczbie zakładów rządowych, zdarzało się to dotąd wyjątkowo tylko. Choćby się jednak te warsztaty państwowe rozmnożyły nie posiadamy najmniejszéj pewności, żeby na rynku pracy podaż rąk nie była większa od ich żądania i ażeby kwestya robotników bez pracy nie usunięta miała zostać.

Domy pracy, jakiekolwiek reformy wprowadzone do nich być mogą, nie zaradzą tedy istniejącemu złu, którego rozmiary są większe. To prawie szukanie kamienia filozoficznego znalezienie środka, ażeby było tyle podaży pracy ile popytu na nią, ażeby każdy co pracować chce, mógł w swojéj specyalnéj gałęzi otrzymać zatrudnienie i potrzebny na swe utrzymanie zarobek. Można o tego rodzaju utopii, o takiém mechaniczném wśrubowaniu żywotnego społeczeństwa w ciasne kluby, marzyć, ale rzeczywistość wskazuje nam całkiem odmienne warunki bytu. W jednych gałęziach wyrobnictwa nie ma dostatecznéj liczby rąk, w innych panuje przeludnienie. Nie potrzeba przypominać exodu wiejskich robotników do miast: tam *anemia*, tu *pletora*. Powstawanie nowych działów wytwórczości, wynalazek nowéj machiny, silny prąd mody nawet wystarcza, ażeby całe masy ludności robotniczéj pozbawić możności zarobku. Przesilenia handlowe, zmiany komunikacyi, zmowy robotnicze mają nieraz takie same następstwa. Poprostu zmiana pory roku, nadejście zimy, pozbawia całe korporacye robotnicze zwykłéj pracy; więcéj nawet, gęsta mgła londyńska nagle spadająca na miasto, zmusza natychmiastowo zaprzestać wyładowywania okrętów i prac w dokach, a 7,000 robotników czeka bez pracy rozjaśnienia się atmosfery.

Gdy się te rozmaite czynniki sprowadzające zastój w pracy krótszy lub dłuższy i płynący stąd brak zarobku dla masy robotniczéj weźmie pod ściślejszą uwagę, gdy się rozważy ciągłą i nieustanną fluktuacyę panującą w téj dziedzinie, gdy się przypomni, że całe gałęzie pracy narodowéj jak np. warsztaty okrętowe przenoszą się z Londynu do Szkocyi i pozbawiają tu a udzielają tam pracy setkom tysięcy robotników, to się spostrzeże niepodobieństwo, niepodobieństwo materyalne dla państwa by normalnie i systematycznie

sprawę tę załatwić. W zwykłych latach jest w Anglii 10 proc. robotników bez pracy. Żaden sumienny mąż stanu nie zechce tego faktu lekceważyć. Przedsiębrać środki do zatrzymania robotników wiejskich na skibie, zapobiegać przeludnieniu przez ułatwienie emigracyi i osiedlania się w koloniach, podnosić poziom technicznego wykształcenia robotników, skoro doświadczenie pokazuje, że właśnie najniżéj uzdolnieni padają pierwszą ofiarą braku pracy: oto niektóre ze środków jakie przy systematyczném i szerokiém zastosowaniu do obniżenia, jeżeli nie do zniesienia tego stosunku niezawodnie się przyczynią. Wojujący socyalizm w swéj niecierpliwości pcha państwo do innych środków, których niepraktyczność jest rażąca. Nawet gdyby się im udawało w danéj chwili i danym kraju znaleźć pracę dla wszystkich robotników, to zapominają, iż dzięki solidarności współczesnego świata, perturbacya na dalekim jakim punkcie kuli ziemskiéj, zbieg okoliczności na pozór nie mających żadnego bezpośredniego związku z miejscowemi, zakłóci ten sztuczny organizm. Gdy w ostatnich latach wybuchło przesilenie bankowe w Australii, albo kryzys srebra w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, w Londynie, wielka ilość fabryk i warsztatów zmniejszyła swą wytwórczość, rozpuściła robotników, bez których obejść się mogła. Środki owe, które w mniemaniu socyalistów mają wystarczyć do zatrudnienia wszystkich robotników, dają się porównać do tych baszt i warowni lepionych z piasku przez dziatwę na morskiém wybrzeżu: jeden bałwan oceanu w pył je obraca.

Skoro radykalnego środka na całkowite usunięcie zła nie ma, skoro organiczna działalność państwa w tym kierunku musi z saméj natury rzeczy pozostać powolną i dobrych rezultatów od niéj nie można spodziewać się natychmiastowo, to pozostaje uciec się do rozmaitych drugorzędnych środków, lekceważonych a nie mniéj przeto użytecznych, a które państwo, dzięki swéj wszechwładzy, w czyn wprowadzić potrafi.

Na pierwszém miejscu, jako bardzo przydatną instytucyę, wymienić trzeba biura pracy. Jest ich dotąd w Anglii wszystkiego 10: sześć w stolicy, cztery na prowincyi. W urzędzie municypalnym jest otwarta księga, w któréj pracodawcy wpisują liczbę i rodzaj potrzebnych im robotników. Wystarczy szukającemu zarobku przejrzéć dzień po dniu tę księgę, dostępną dlań bez żadnéj opłaty i komisowego, ażeby otrzymać wskazówkę. Jest takie biuro dobrém zastępstwem owych biur stręczycieli, na które robotnicy, szczególniéj na stałym lądzie, uskarżać się nie przestają. Niewiadomo czy te biura pracy doprowadzą z czasem i w Anglii do utworzenia cen-

tralnéj giełdy pracy na wzór osławionéj paryzkiéj, ale widocznie daleko jeszcze do tego, skoro liczba ich nie tylko się nie powiększa ale się nawet zmniejszyła przez niedawne zamknięcie tego, które istniało przy municypalności w Chelsea. Nie podobna się jednak łudzić co do wielkich skutków, jakie te biura oddać mogą robotnikom bez zajęcia. I tak, sprawozdanie statystyczne siedmiu tych biur za trzymiesięczny okres czasu od grudnia 1893 do lutego 1894 pokazuje, że zameldowało się tam 4342 osoby poszukujące pracy a że znalazło ją 1261 czyli jeden na czterech. Jedną jeszcze uwagę uczynić należy co do tych biur pracy. Są one niechętnie widziane przez robotników posiadających normalne zatrudnienie. Utrzymując z wielkim wysiłkiem ratę pobieranego przez nich zarobku na pewnéj wysokości, z któréj pracodawcy zepchnąć go usiłują, nie mogą nie spostrzedz, że grozi im niebezpieczeństwo wskutek podaży pracy za jakąbądź cenę przez tych rozbitków życiowych.

Innym środkiem proponowanym państwu jest zakładanie kolonii rolniczych na wzór tych, jakie utworzone zostały w Niemczech, Holandyi i Francyi. Niepotrzeba się nad tą instytucyą rozszerzać, raz dla tego, że w krajach gdzie ona istnieje żadnych dodatnich rezultatów nie wydała i przez wszystkich kompetentych sędziów potępiona została, a potém dla tego że nie potrafiłaby ona nigdy całego zagadnienia — dostarczenia roboty ludności robotniczéj—rozwiązać. Jeżeli ma ona być zaprowadzona na wielką skalę, to byłaby po prostu pierwszym krokiem do owej reorganizacyi społecznéj,ześrodkowującéj całą wytwórczość narodu w ręku państwa, do któréj socyalizm zdąża ale którą obecnie społeczeństwo odsuwa w mglistą dal.

Nakoniec Karol Booth, autor pomnikowego dzieła *Life and Labour*, odezwał się w ostatnich czasach za rozpowszechnieniem tak zwanego *List system*, istniejącego w dokach londyńskich. Polega on na stałém zatrudnianiu pewnéj liczby niezbędnych robotników, a ugrupowaniu reszty w pewną ilość klas, które w miarę potrzeby jedne po drugich do dodatkowéj pracy powołanemi bywają. O każdéj, najmniejszéj propozycyi, formułowanéj przez człowieka który lepiéj niż ktokolwiek inny zna stosunki robotnicze angielskie, poddawszy je od tylu lat nieustającemu i wszechstronnemu badaniu, wyrażać się trzeba *a priori* z sympatyą. O owym systemacie list należy powiedzieć, że jest do polecenia każdéj organizacyi robotniczéj, saméj pragnącéj pomódz towarzyszom. Ale samo z siebie wynika, że z socyalizmem państwowym jako takim, nie stoi on w żadnym, nawet najoddaleńszym stosunku.

Kiedy państwo okazuje się machiną zbyt ciężką, nie dość giętką do wyszukiwania i dostarczania pracy robotnikom, mamy na każdym kroku pełno świadectw, że społeczność ekonomiczna dzięki swym rozmaitym organizacyom, stowarzyszeniom i filantropijnym instytucyom, jest daleko lepiéj od niego uzdolniona do przeprowadzenia tego samego zadania. Jest to punkt, na który nie można dość silnego położyć nacisku.

Nie potrzeba daleko szukać przyczyn wyższości, jaką pod tym względem posiadają same stowarzyszenia robotnicze a przedewszystkiém te, które są powszechnie znane pod nazwą *Trades-Unions*. Są naprzód obznajmione z rodzajem pracy, znają techniczne i specyalne uzdolnienie swych członków, posiadają następnie dokładniejsze aniżeli kto bądź inny informacye co do normalnego zapotrzebowania roboty, co do ilości przeciętnie zatrudnianych rąk w danéj gałęzi i nakoniec, leży w ich własnym interesie finansowym, ażeby każdy ich uczestnik miał zajęcie, w przeciwnym bowiem razie nie tylko nie opłaca swych wkładek, ale przeciwnie stowarzyszenie utrzymywać go musi. Łatwo więc zrozumiéć, że poszukują one energicznie i najlepszemi drogami zakładów i warsztatów, gdzie pracy dostać można. Nie wstrzymuje ich nawet potrzeba opłacania kosztów podróży członkom udającym się na stałą robotę do innego miasta lub hrabstwa. Jednym z głównych powodów usiłowań czynionych przez *Trades-Unions* celem skrócenia liczby godzin pracy, jest przeświadczenie, że przy krótkiéj pracy znajdzie się zatrudnienie i zarobek dla większej liczby robotników. Taka sama troskliwość o znalezienie roboty dla swych członków daje się spostrzedz u towarzystw wzajemnéj pomocy (*Friendly societies*) i dobrze pojęty interes osobisty leży na dnie téj pomocniczéj działalności. Utrzymują wprawdzie socyaliści, że robotnicy, należący do *Trades-Unions* i towarzystw wzajemnéj pomocy, mają widoki znaleźć robotę, ale że ci, co do takich związków nie należą, znajdują się bez podpory i że padają ofiarami bezrobocia, ale fałsz téj argumentacyi jest dotykalny. Robotnicy powinni tedy w dobrze zrozumianym interesie własnym zaciągnąć się do takiéj armii, a statystyczne wykazy pokazują téż, że tak się istotnie dzieje. Ci co się trzymają zdala od wszelkiéj organizacyi korporacyjnéj, należą w Anglii do wyjątków, do oryginałów. Nawet robotnicy najmniéj uzdolnieni, bez żadnéj specyalności zawodowéj, jak wyrobnicy w dokach londyńskich, zostali po słynném zawieszeniu robót w 1893 r., uorganizowani przez Johna Burns'a w Unię i położenie ich polepszyło się znacznie od téj pory.

To samo powiedziéć można o rozmaitych towarzystwach i instytucyach religijnych i filantropijnych. Oddają one robotnikom bez pracy nieocenione usługi. Dość będzie przypomniéć „Armię Zbawienia.” Generał Booth, niemający, mówiąc nawiasem nic innego, oprócz nazwiska wspólnego z wyżéj wymienionym Karolem Booth, zakréślił sobie plan, jak czytelnikom wiadomo [1]), zniweczenia proletaryatu w Anglii. W drabinie instytucyi pomocniczych, jakie „Armia Zbawienia“ ma dla masy podupadłéj, ważny szczebel zajmują zakłady, gdzie każdy robotnik może znaleźć taką lub ową robotę za żywność i drobną zapłatę. Na setki liczą się robotnicy, których te zakłady, przyjmują, czasowo utrzymują i dla których znajdują pracę.

Nie ulega tedy najmniejszéj wątpliwości, że społeczeństwo jest w stanie przez czujną a czynną działalność przyjść w pomoc robotnikom chwilowo pozbawionym pracy, szukając dla nich zatrudnienia, przerzucając ich na miejsca, gdzie jest ono do otrzymania, i przynosząc ulgę cierpieniom z bezrobocia płynącym. Rzecz oczywista, że w razie jakiéj wielkiéj a wyjątkowéj klęski narodowéj, gdy krocie robotników są rzucane na bruk, wyjątkowe środki zbawcze przedsięwzięte być mogą i muszą przez państwo. Jak skuteczną może być taka akcya centralna, pokazuje się z działalności komitetu municypalnego londyńskiego (*Mansion House Committee*) w październiku 1893 r. W zbyt świeżéj pamięci są wszystkie te wypadki i proste o nich wspomnienie wystarczy. Ale w zwykłym trybie życia, w normalnych stosunkach, państwo nie może rozwinąć pod tym względem takiéj akcyi, jak społeczeństwo samo.

Pomimo najlepszych chęci p. Chamberlain'a i tych jego ministeryalnych kolegów, którzy z socyalizmem państwowym kokietowali, można z góry przewidziéć i nieledwie zapewnić, że w kwestyi znajdowania pracy dla poszukujących jéj robotników, rząd angielski nie dokona żadnego radykalnego przewrotu i że wszystko pójdzie i za jego rządów, jak za dawniejszych, zwykłą koleją. Ustrój gospodarczy, oparty na indywidualizmie, własności prywatnéj, swobodzie stowarzyszeń i t. d., może miéć swoje ułomności i wielkie nawet, ale jest tak misternie wykończoną budową, iż nie ma sposobu wyciągnąć z niéj jednego głazu, jednéj cegiełki, ażeby nie runęła niebawem cała.

---

[1]) Patrz w „Czeluściach Anglii“. Ateneum za r. 1891, t. I, str. 353.

III.

Mniéj trudności zdaje się przedstawiać załatwienie drugiego zagadnienia — pensyi emerytalnéj dla weteranów kampanii ekonomicznych, dla starych robotników, ale trudność mimo tego jest istotna. Robotnicy pokrzywdzeni na zdrowiu i siłach, zranieni przy pracy, znajdują, dzięki wprowadzonym już w życie instytucyom, kompensatę za poniesioną szkodę od swych pracodawców. Ale inaczéj rzecz się ma z tymi, którzy po długiém a pracowitém życiu, dochodzą do jego schyłku, stają u progu starości, ze stéranemi siłami, bez możności zarobkowania i bez żadnego zaoszczędzonego kapitału. Jest to położenie straszne, i łatwo zrozumiéć, że pierwsza myśl, jaka wobec niego się rodzi, że społeczeństwo przez swój zbiorowy organ, państwo, ma moralny obowiązek przygarnąć i zaopatrzyć tych, co pracowali dla niego za lat młodych i dojrzałych. Ci, co na spełnienie tego obowiązku nalegają, czynią to tém raźniéj, że nie zdają sobie sprawy z przybliżalnéj liczby owych weteranów pracy i z wymagalnych z tego tytułu funduszów.

A liczba to jest pokaźna. Przyjmując 65 rok życia za kres do zarobkowania i za epokę odpoczynku, znaleziono, że w Anglii jest 245,000 osób klasy robotniczéj, którzy lat tych dochodzą. W r. 1890 na 1,322,000 osób pobierających wsparcie w téj lub owéj formie, było starców tyle właśnie, czyli że stosunek pełnoletnich do starych był 4% do 29%. Więcéj niż połowę tych starców stanowią kobiety. Jakiekolwiek mogą być przyczyny tego ubóstwa, czy brak energii i charakteru, czy szczupłość zarobku, czy pijaństwo, fakt niezbity jest, że chociaż całkowita ilość proletaryatu potrzebującego wsparcia zmniejszyła się w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu o jedną trzecią część, to liczba starców nie zmniejsza się i że można ją obecnie oznaczyć na 250,000 osób. Ponieważ lekko rachując, utrzymanie ich nie mogłoby kosztować mniéj jak 5 milionów funt. szt., pokazuje się, że nie można zwalić tego ciężaru na ramiona skarbu publicznego, który nie bez trudności ponosi już wydatki 90 milionów f. szt. Istnieją filantropi o gorącém sercu, jak wyżéj wzmiankowany Karol Booth, którzy nie lękają się iść daléj jeszcze i proponują płacić emeryturę ze skarbu wszystkim bez wyjątku osobom liczącym 65 lat życia, zamożnym tak samo jak ubogim. Ponieważ w saméj Anglii i Walii było ich podług wykazu statystycznego z 1891 roku 1,373,601, i ponieważ co rok 135,000 do tych lat dochodzi, to obliczając dawaną im emerytalną pensyę na 5 szyl. tygodniowo, czyli na 13 f. szt. rocznie, dałoby to sumę 18 milionów

f. szt. Jakiebykolwiek ciężary podatkowe nałożone zostały w tym celu, nie potrzeba wykazywać, że projekt to fantastyczny i można przejść nad nim do porządku dziennego.

Dobroczynność prywatna nie może wchodzić tutaj w rachunek. Chociaż jest ona chojna i niestrudzona, chociaż szafuje sumami, które już przed ćwiercią wieku obliczane były rocznie na t r z y m i l i o n y f. szt., nie jest ona w stanie utrzymać starców płci obojéj, nieposiadających utrzymania. Nie na podstawie jałmużny i prywatnéj dobroczynności stoi téż ta kwestya obecnie, ale na organizacyi publicznéj, państwowéj. Jak wiadomo już, ta ostatnia działa przez *Poor Laws*, w ich podwójnéj formie domów pracy i regularnie wypłacanego wsparcia.

Nie ma potrzeby powtarzać szczegółowo uwag uczynionych wyżéj o domach pracy. Gdy mowa o starcach, zamieniają się one w domy przytułku. Jest zasadniczą wadą *workhouse*'ów angielskich, iż mieszają ten charakter i że nie mają oddzielnych domów przytułku dla starców. Jedyne usprawiedliwienie, jakie dają urzędowi ich obrońcy, polega na tém, iż faktycznie w domach pracy jest 80% starców a tylko 20% zdolnych do pracy. Wobec kosztów, jakie utrzymanie tych domów za sobą pociąga i niezadawalniających rezultatów materyalnych i moralnych, jakie dają, nieraz spotykało się ze zdaniem, że byłoby lepiéj płacić stałą tygodniową pensyę podupadłym starcom, którzyby byli utrzymywani dzięki téj zapomodze przez swych krewnych i przyjaciół. Instytucya taka istnieje i kosztuje nie mało te przedewszystkiém okręgi miejskie, gdzie ludność uboga przemaga. I tak w dzielnicy londyńskiéj Whitechapel pobierało tę zapomogę w 1870 r. nie mniéj jak 5,339 osób tygodniowo. Jednozgodny sąd potępia jednak taki *out-door relief*. Nietylko, że istnieją parafie, które są aż do jądra zdemoralizowane przez to regularne rozdawanie zapomogi, do tego stopnia, że pobiera je 49% osób, ale stwierdzono po tysiąc razy, iż po zmniejszeniu i całkowitém zniesieniu tych regularnie rozdawanych wsparć, podnosi się poziom moralności publicznéj, zniża pijaństwo i ludzie, którzy od pracy wszelkiéj stronili, potrafili ją sobie znaléźć.

Taki wadliwy ustrój wspierania starców zwiększył nacisk ku zastąpieniu go pensyami emerytalnemi. Dać im nie jałmużnę w téj lub innéj upokarzającéj formie, ale przeciwnie, podnieść osobistą godność ich charakteru, uszlachetnić pracę i zachęcić do niéj, stawiając jako jéj uwieńczenie spokojną, zabezpieczoną starość, oto myśl, jaka w zasadzie jest nieposzlakowana. Różnica zdań rozpoczyna się, gdy się przechodzi do sposobów urzeczywistnienia projektu.

Na jednem krańcowem stanowisku stają kolektywiści. W ich przekonaniu państwo, które jedynym jest pracodawcą, ma obowiązek utrzymywać robotników, gdy są do czynnéj wytwórczości niezdolni. Ponieważ obecnie praca i zarobek znajdują się jeszcze w ręku osobników, zatem teorya ta praktycznego zastosowania miećby nie powinna. Nie powstrzymuje to jednak bynajmniéj kolektywistów. Ponieważ praca ręczna w ich oczach posiada wyjątkowe przywileje i jest jedyném źródłem zasobu społecznego, zatém robotnik po prostu dlatego, że pracował pewną ilość lat, zasługuje na utrzymanie ze strony społeczności, gdy pracować dla podeszłego wieku zaprzestaje. Ponieważ tego rodzaju żądania nie są poparte żadnym finansowym wykazem środków umożliwiających takowe, można je poprostu usunąć na stronę, jako lekceważące praktykę życiową.

Inne stanowisko jest tych, którzy widzą w pensyi emerytalnéj weteranów pracy owoc ubezpieczenia. Skoro warstwy zamożne społeczeństwa ubezpieczają swą starość w stowarzyszeniach pobierających od nich wkładki, odpowiednie pensyi, którą chcą pobierać, szło o rozciągnięcie tejże saméj organizacyi do warstw niezamożnych, a mianowicie do ludności robotniczéj. Jeżeli jednak robienie oszczędności i uiszczanie regularnych wkładek do towarzystwa ubezpieczeń przychodzi łatwo tym, co posiadają dochody znaczniejsze i są przez swe wykształcenie zdolni ocenić płynące dla nich korzyści, to ubodzy wyrobnicy znajdują się w położeniu wręcz odrębném. Budżet ich nie jest regularny, wystawieni są na bezrobocia, kiedy dochodów żadnych nie mają, a zarobek ich, nawet gdy go pobierają bez przerwy, jest zbyt szczupły, aby pozwalał na oszczędzanie i czynienie wkładek do towarzystwa emerytalnego. Oprócz tego poziom umysłowy tych warstw społecznych, ma być zbyt nizki, siły moralne zaparcia się drobnych wygód dzisiejszych dla zapobieżenia oddalonym przypadłościom zbyt mało rozwinięte, ażeby można było oczekiwać od ich osobistéj inicyatywy powszechnego ruchu w tym kierunku.

Jak za chwilę wskazaném będzie, sąd taki uwłacza klasie robotniczéj i zaprzecza faktom słonecznéj jasności. Ale celem jego było wykazanie, że ubezpieczenie musi być przymusowém, albo że go nie będzie nigdy. Teorya przymusowego ubezpieczenia znalazła swych rzeczników w innych krajach. W Anglii żaden poważniejszy umysł nie wystąpił z nią. Są tu natomiast orędownicy ubezpieczenia, które trafnie nazwano półobowiązkowém. Polega ono na téj zasadzie, że jeżeli osobnik zgodzi się ubezpieczyć na życie, to pań-

stwo bierze na siebie zobowiązanie dopełnienia niewystarczających jego wkładek ze skarbu publicznego. W ten sposób indywidualna zasługa i udział, poparcie społeczeństwa udzielone w formie premium, kojarzą się i rozwiązują jedno z najtrudniejszych zagadnień społecznych.

Pomiędzy rozmaitemi projektami, jakie sformułowane zostały co do tego ubezpieczenia klasy robotniczéj, największy rozgłos posiada ten, którego autorem jest p. Józef Chamberlain. Wojował on zań, gdy się znajdował w opozycyi, postawił go w swym programacie wyborczym i obecnie gdy jest osobistością dominującą w gabinecie, gdy przewidują w nim pierwszego ministra w niedalekiéj przyszłości, nie dziwota, że nabrał on w oczach społeczności angielskiéj doniosłego znaczenia. Plan ten polega na wniesieniu przez robotnika lub robotnicę w 20 roku życia sumy 2 funtów szt. i 10 szylingów do kasy emerytalnéj i corocznie przez 45 lat po 10 szylingów. Skarb publiczny wkłada na rachunek zabezpieczającego się jednocześnie z jego pierwszym udziałem sumę 10 funtów, a corocznie $2^1/_2{}^0/_0$ jako procent. Nawet gdyby robotnik płacił większą sumę, udział państwa nie miałby nigdy być znaczniejszym. Po dojściu do 65-go roku życia ubezpieczona osobistość otrzymywać będzie tygodniowo 5 szylingów. Do tego zasadniczego planu dodane są jeszcze dwa drugorzędne. Pierwszy pozwala na zwrot wniesionych sum spadkobiercom ubezpieczonego w razie jego wcześniejszéj śmierci: potrzeba jednak do tego dodatkowéj wkładki 5 funtów szt. i 15 funtów ze skarbu. Drugi ma na celu przez połączenie ubezpieczenia u państwa z tém, jakie robotnik może posiadać w towarzystwach prywatnych, a przedewszystkiém wzajemnéj pomocy, zabezpieczyć mu większą ratę pensyi emerytalnéj. Na uczyniony sobie zarzut co do ciężaru zwalonego w ten sposób na skarb publiczny, autor odpowiada, że będzie miał jako przeciwtamę, zmniejszenie wydatków wymaganych dzisiaj przez *Poor Laws*.

Nie ma potrzeby poddawać planu tego ścisłéj krytyce. Piszący uczynił to już na inném miejscu [1]. Zarzutów sformułowano przeciwko niemu mnóstwo i najróżnorodniejszych. Jedne dotyczą kar, jakiemi obciąża tych, co nie uiszczają regularnie wkładek, drugie wykazują trudność pierwiastkowéj wkładki, trzecie rozwodzą się nad praktycznemi trudnościami funkcyonowania téj instytucyi. Sam autor przyznaje, że praktyczne rezultaty tego ubezpieczenia na poły przez robotników a na poły przez państwo, stałyby się do

---

[1] Patrz „Anglia i Anglicy", str. 260.

piéro widocznemi po latach czterdziestu. Dla obecnie cierpiącego społeczeństwa, dla gorączkowo niecierpliwych agitatorów, już ta jedna okoliczność wystarcza, ażeby odjąć temu projektowi wszelką ponętę i pozbawić go popularności.

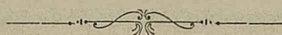
Chociaż tedy wydaje się więcéj niż prawdopodobném, iż rząd obecny z tym albo przybliżonym projektem ubezpieczenia robotników i udzielania im pensyi emerytalnéj wystąpi, i że socyalizm państwowy przedewszystkiém w taką oblecze się formę, to nie można powiedziéć, ażeby społeczeństwo nie miało na innéj drodze szukać sposobu załatwienia téj saméj kwestyi. Przez osobistą inicyatywę, przez stowarzyszenia swobodne, klasy zarobkujące angielskie dokonały już i codzień dokonywują cudów w dziedzinie samopomocy. Tak jak *Trades-Unions* zapobiegają bezrobociom, ułatwiają dostarczenie pracy, przyczyniają się do podniesienia raty zarobkowéj, tak jak towarzystwa budownicze załatwiają kwestyę mieszkań zdrowych, wygodnych i tanich, tak samo *Friendly Societies*, czyli towarzystwa wzajemnéj pomocy ochraniają ludność robotniczą przeciwko chorobie i przychodzą z ulgą w razie bezrobocia i śmierci. Towarzystwa te liczą obecnie blisko 8,000,000 uczestników, a kapitały przez nich zebrane przenoszą 50 milionów f. szt. Już obecnie wiele z tych towarzystw wzajemnéj pomocy otworzyło specyalne gałęzie dla ubezpieczenia swych uczestników i dla wypłacania im emerytalnéj pensyi. Rywalizują one zwycięsko z projektem p. Chamberlain'a, bo przy mniejszych wkładkach, bez żadnego udziału skarbu państwowego wypłacają znaczniejsze emerytury. Nie są to żadne utopie albo oddalone mary, ale fakta, które sprawdzić łatwo. Idzie zatém poprostu o rozszerzenie téj saméj działalności, o rozpowszechnienie jéj, o zaprowadzenie w każdém towarzystwie wzajemnéj pomocy działu ubezpieczenia na starość i na śmierć. Pod względem moralnym tak samo jak pod względem skarbowym istniejące mają wyższość nad projektowanemi instytucyami państwowemi. Nie wątpiąc, że państwo potrafiłoby na niejednym punkcie wesprzéć je i działalność ich ułatwić, dajemy im bez najmniejszego wahania pierwszeństwo nad kasami emerytalnemiześrodkowanemi w ręku państwa.

Dr. M. E. Trepka.



TRAGEDYE ESCHILOSA

w przekładzie K. Kaszewskiego.



I.

Eschilos nie tylko w literaturze greckiéj, ale i w powszechnéj bardzo ważne zajmuje stanowisko. Jest on w historyi Hellady przedstawicielem interesującéj w dziejach ludzkości epoki, kiedy jednostka wyłania się z tłumu, indywiduum praw swoich się domaga i ze światem zewnętrznym do walki staje.

Poezya dramatyczna, która jednocześnie z subiektywizmem Protagorasa w V-ym wieku w Atenach rozkwitła, jest najlepszą wyrazicielką rozwoju samowiedzy osobistéj, rozdźwięku pomiędzy jednostką a otaczającym ją światem, i walki, jaka pomiędzy niemi powstaje. Formę więc dramatyczną obrał sobie Eschilos dla wypowiedzenia filozoficznych, religijnych i moralnych na świat poglądów, a ponieważ formę tę w początku swéj działalności zastał dopiéro w zarodku, tak ważne wprowadził w niéj innowacye, że w historyi literatury nadano mu nazwę „ojca dramatu greckiego."

Na zasadzie jednak danych, przekazanych nam przez starożytność, nie podobna wytworzyć sobie dokładnego pojęcia, jakie mianowicie zasługi poprzednicy Eschilosa na polu rozwoju dramatu greckiego położyli. Wszystkie zasadnicze pierwiastki dramatu: żywioł naśladowniczy, dekoracye, taniec mimiczny, liryczne pieśni chóru, a nawet dyalog, znajdujemy już w wielu prastarych ludu greckiego obrzędach, które wszystkich rodzajów poezyi były kolebką. W Sykjonie, według słów Herodota (V, 67) „w chórach tragicznych" przedstawiano cierpienia króla Adrasta, na wyspie Samos zaślubiny Zeusa z Herą. W Delfach młodzian, za Apollina przebrany, przy dźwiękach lutni

opiewał zwycięstwo tego boga nad potworem Pitonem, wzbraniającym mu wejścia do świątyni Delfickiéj.

Podczas uroczystości Demetry i Persefony czyli tak zwanych „Misteryi Eleuzyńskich”, które tak wielki na rozwój Eschilosa wpływ wywarły, a zdaniem starożytnych już w czasach mitycznych powstały (patrz Hymn. in Cererem, Apollod. Bibl. III 14,7), żywioł dramatyczny bardzo ważną odgrywał rolę. Już poświęcenie do misteryi połączone było z wielu ceremoniami. W miejscu dokoła ogrodzonem poświęcani składali bogom ofiary, potém wprowadzano ich do świątyni. W tajemniczym mroku nocy przechodzili oni z jednéj części świątyni do drugiéj; od czasu do czasu olśniewał ich blask nadzwyczajny, który rzucał światło na straszne figury jakichś potworów; to znowu rozlegał się krzyk przeraźliwy, neofitów do głębi duszy wstrząsający. Po pewnym przeciągu czasu te krzyki i obrazy ponure, które były symbolem męczarni oczekujących grzesznika po śmierci, ustępowały miejsca scenom spokojnym, wzniosłym, ducha podnoszącym. W olśniewającym blasku pochodni przedstawiały się oczom widzów posągi bogów, w szaty wspaniałe odzianych, a cały ten blask i majestatyczność, oddziaływając silnie na wyobraźnię uczestników uroczystości, dawały im pojęcie o wieczném szczęściu i radości, oczekujących po śmierci ludzi cnotliwych i w misterye wtajemniczonych. W drugiéj połowie uroczystości Eleuzyńskich w ciągu kilku nocy z rzędu, odbywał się rodzaj przedstawień dramatycznych, na których jednak tylko osoby w misterye wtajemniczone obecnemi być mogły. Kapłan najwyższy, kapłanka i inni „mistowie”, w odpowiednie szaty przebrani, przedstawiali szereg scen z życia bogów, mających związek z ustanowieniem misteryj, a mianowicie zaślubienie Demetry przez Zeusa i urodziny Jakchosa; przytém składano bogom ofiary, a chór wykonywał tańce i za pomocą ruchów odpowiednich przedstawiał pielęgnowanie nowonarodzonego dziecięcia. Przedmiotem przedstawień nocy następnéj było porwanie Persefony przez Plutona i boleść nieszczęśliwéj matki. Mistowie nosili kosze kwiatów na pamiątkę, że Persefona podczas zbierania kwiatów na łące Nisejskiéj porwaną została. Następnie odbywała się procesya z pochodniami, jako wspomnienie poszukiwań Persefony przez Demetrę. Daléj przedstawiano powrót Persefony z podziemi, pogodzenie się uradowanéj Demetry z bogami, ustanowienie przez nią misteryi i wysłanie na ziemię Tryptolema w celu rozpowszechnienia wśród ludz rolnictwa; przytem kapłan najwyższy pokazywał mistom ścięty kłos, jako symbol śmierci i odrodzenia do nowego życia. Jakkolwiek z saméj natury rzeczy nie posiadamy dokładnych szczegółów o obrzędach „Tajemnic Eleuzyńskich”, jednak nie ulega najmniejszéj wątpliwości,

że pierwiastek dramatyczny odgrywał w nich bardzo ważną rolę i obejmował treść głęboką i poważną [1]).

Tragedya grecka jednak nie z tych powstała uroczystości. Według, słów Arystotelesa, — a jest to jedyna poważna, zasługująca na uwzględnienie wzmianka o pochodzeniu teatru, jaką w literaturze greckiéj napotykamy, — „tragedya powoli rozwijała się od (chórzystów) zaczynających dytyramb.” (Aryst. Poët 4). Dytyrambem nazywała się pieśń, w któréj podczas uroczystości Dyonizosa chór, za satyrów przebrany, przy dźwiękach fletu lub lutni z odpowiedniemi gestami opowiadał przygody Dyonizosa, jego cierpienia, śmierć i odrodzenie. To lakoniczne wyrażenie Arystotelesa prawdopodobnie tak należy rozumiéć, że z czasem z chóru oddzielił się jeden członek-przodownik, za Dyonizosa przebrany i, we wszystkiém go naśladując, opowiadał wypadki z jego życia, a chór w pieśni wyrażał swoje uczucia, jego opowiadaniem wywołane. W ten sposób pomiędzy chórem, a jego przodownikiem zawiązywał się dyalog, który stał się zarodkiem dramatu greckiego.

Za treść dytyrambu mogły służyć nie tylko przygody z życia Dyonizosa, lecz i innych bogów i bohaterów mitycznych; wobec tego i skład chóru się zmieniał: zamiast satyrów występowały osoby, w blizkim związku z głównym bohaterem pozostające, jego krewni i przyjaciele.

Do dalszego rozwoju tragedyi greckiéj, według tradycyi, dotąd w historyi literatury podtrzymywanéj, wiele przyczynił się Tespis, który żył około 536 r. przed Nar. Chr. i pochodził z wioski attyckiéj Ikaryi. Lecz wiadomości o tym pierwszym tragiku greckim są bardzo niepewne. Dzieła jego do naszych czasów nie doszły, a nawet autentyczność kilku drobnych fragmentów i tytułów jego tragedyi przytoczonych przez leksykografa Swidasa, który żył dopiéro zapewne w X w. po Nar. Chr., ulega wątpliwości. Wszystkie wzmianki o Tespisie, z wyjątkiem lekceważącéj uwagi u Arystofanesa (Vesp. 1478) pochodzą z czasów znacznie późniejszych. Dlatego trudno określić, co mianowicie Tespis dla rozwoju tragedyi greckiéj uczynił. Pieśni dytyrambicznéj już przed nim Archilochos u Jończyków i Aryon u Doryjczyków nadał formę estetyczną. Nie podobna również przypuszczać, aby dopiéro Tespis w VI w. przed Chr. wprowadził do uro-

---

1) *N. Nowosadskij.* „Misterye Eleuzyńskie“. Petersburg 1887 r. *B. Łatyszew.* „Zarys starożytności greckich“. Część 2-ga, starożytności religijne i sceniczne. Petersburg 1889. O misteryach Eleuzyńskich mówi autor na str. 208—221.

czystości Dyonizosa pierwiastek naśladowniczy i dyalog. Jeżeli w bardzo dawnych obrzędach religijnych Grecyi żywioł dramatyczny tak ważną odgrywał rolę, należy sądzić, że i podczas uroczystości Dyonizosa już przed Tespisem przodownik chóru brał na siebie rolę Dyonizosa lub innego bohatera i pomiędzy nim a chórem zawiązywał się dyalog. To uzasadnione przypuszczenie stwierdza Polideukes, leksykograf z II w. po Chr. [1]) Arystoteles nic nie wspomina, aby Tespis był téj innowacyi twórcą, a nawet w jedném miejscu (Poët. 3) twierdzi, że Doryjczycy zasługę stworzenia dramatu greckiego sobie przypisywali. Wprawdzie Dyogenes z Laerty powiada: „Pierwotnie całą akcyę dramatyczną wykonywał chór, a późniéj Tespis jednego aktora wprowadził" (III,56), lecz na tak późném świadectwie, bo dopiéro z III-go w. po Nar. Chr. pochodzącém, polegać nie można, a jeżeli je nawet za wiarogodne przyjmiemy, tak je pojmować należy, że Tespis, wprowadzając obok przodownika chóru jednego aktora, tylko ożywił dyalog i wzmocnił pierwiastek naśladowniczy. Według świadectwa Arystotelesa, które nam Temistius, mówca drugiéj połowy IV w. po Chr. zachował, Tespis wynalazł części składowe dramatu: prolog i resis (Themist. 26, p. 382 Dind.). Prologiem nazywała się część dramatu, poprzedzająca pierwszą pieśń chóru, przez słowo „resis" należy tu rozumiéć „angeliken resin" t. j. opowiadanie gońca. I w późniejszéj tragedyi greckiéj widzowie z opowiadania gońca dowiadywali się o wielu zdarzeniach, z biegiem akcyi w ścisłym pozostających związku, szczególniéj w tych razach, kiedy przedstawienie ich na scenie mogło zbyt silne wywrzéć wrażenie na widzach. Według podania Tespis wprowadził role kobiéce, urządził coś w rodzaju sceny, wynalazł maski, ale i te wiadomości z niepewnych źródeł są czerpane. O stronie wewnętrznéj tragedyi Tespisa nie możemy wytworzyć sobie najmniejszego pojęcia.

O działalności innych poprzedników Eschilosa, z których Cherilos i Frynich są najwięcéj znani, nie posiadamy również dokładnych wiadomości, chociaż już znacznie więcéj, niż o pierwszym tragiku greckim. O Frynichu np. wiemy napewno, że przynajmniéj w dwóch swoich tragedyach: „Fenicyanki" i „Zdobycie Miletu" przedstawił spółczesne mu wypadki historyczne, a ostatnia z wymienionych tragedyi wywarła bardzo silne na widzach wrażenie (Herod. VI, 21). Jednak utrata wszystkich utworów poprzedników Eschilosa nie pozwala nam wdawać się w ocenę ich znaczenia, a jednocześnie świadczy, że te

---

[1]) Pollux IV 125. „Eleos w czasach dawnych był to stół, na który przed Tespisem jakaś jedna osoba wchodziła i członkom chóru odpowiadała".

utwory nie posiadały wartości donioślejszéj, jeżeli swych twórców nie o wiele przeżyły.

Eschilos, pierwszy z tragików greckich, stworzył arcydzieła, które wieki przetrwały. Z bogatéj skarbnicy podań ludowych, z poezyi epickiéj i dziejów ojczystych czerpał on treść dla swoich utworów; w poezyi lirycznéj znalazł już gotową formę zewnętrzną, *trimeter iambicus*, *tetrameter trochaicus catalecticus* i najróżnorodniejsze wiersze, które w jego pieśniach chóralnych spotykamy, nie on pierwszy do literatury wprowadził. Uroczystości religijne, szczególniéj „Misterye Eleuzyńskie", do których należał, przykład jego poprzedników, wreszcie cały szereg nowych idei, których by nie mógł należycie wyrazić w spokojnéj pieśni epickiéj lub w formie jednostronnéj poezyi lirycznéj, sprawiły, że nadał swoim utworom formę dramatyczną.

Biograficznych danych o Eschilosie mamy niewiele. Urodził się, według Marmor Parius, 525 r. przed Chr. w attyckiéj wiosce Eleuzys, słynnéj z kultu Demetry, i pochodził z rodu arystokratycznego. Chłopięciem jeszcze będąc, często widywał, zapewne podczas świąt Demetry i Persefony, uroczyste processye pobożnego tłumu i słyszał tajemne opowiadania o „Misteryach Eleuzyńskich", które wyobraźnię jego nęciły; więc gdy dorósł, poddał się odpowiedniéj próbie i do „Tajemnic" został przyjętym. Głęboka nauka „wtajemniczonych" o życiu przyszłém, o nagrodzie za dobre i karze za złe czyny, pełne znaczenia obrzędy religijne wywarły na nim wpływ głęboki, widoczny w jego utworach. Tragedye jego również świadczą, że nauka ważniejszych filozofów, szczególniéj pitagorejczyków, i literatura ojczysta były mu dobrze znane. W 25 roku życia wystawił na scenie pierwszą swoją tragedyę, a około 485 r. zdobył pierwszą nagrodę na konkursie dramatycznym. Liczba napisanych przezeń tragedyi sięga 72, choć niektórzy pisarze większą ich liczbę podają. Wiadomo również, że kilka razy podróżował do Sycylii i umarł tam w mieście Geli około 456 r. przed Chr. Pozostało nam po nim 7 tragedyi, które w chronologicznym porządku tak mniéj więcéj dadzą się ułożyć. „Błagające opieki", „Persowie" w 472 r., „Siedmiu pod Tebami" w 467 r., „Prometeusz w okowach", „Agamemnon", „Ofiarnice", „Eumenidy". Ostatnie trzy tragedye stanowią całość „Oresteja" zwaną, a w 458 r. wystawione były na scenie. Niewiadomy jest dokładnie rok wystawienia na scenie tragedyi „Błagające opieki" i „Prometeusz w okowach." Nadzwyczaj prosta budowa pierwszéj z pomienionych tragedyi, gdzie tak wybitnie uwydatnia się pochodzenie dramatu z pieśni chóralnych, słaba charakterystyka działających osób, długość pieśni lirycznych nie pozwalają wątpić, że jest to pierwsza z tragedyi Eschilosa, jakie do nas doszły. Drugą tragedyę

„Prometeusz w okowach” na zasadzie alluzyi do wybuchu Etny, który miał miejsce w 2 r. 75 Olimpiady, i wewnętrznego układu tragedyi nowsi uczeni: Mahaffy „Historya klasycznego okresu literatury greckiéj”, Zieliński — profesor literatury greckiéj w Uniwers. Petersb. (wstęp do wydania „Edypa-króla” Sofoklesa str. 7—1892 r.) mieszczą pomiędzy „Siedmiu pod Tebami” i „Oresteją”.

Jakkolwiek tradycyą religijną na każdym kroku krępowany, dokonał jednak Eschilos w dramacie całego szeregu reform. Już co do niego nie błądzimy po omacku, nie gubimy się w domysłach, lecz mamy wiadomości pewne, bo samemi jego utworami poparte. Według jednozgodnego zdania starożytnych, Eschilos pierwszy wprowadził na scenę drugiego aktora, a tém dyalog i akcyę dramatyczną ożywił, nawet w pewném znaczeniu ją stworzył. Dopiéro po zjawieniu się dwóch aktorów jednocześnie na scenie można było obrazowo przedstawić w czynach dwa ścierające się z sobą żywioły, dwa wielkie prawa, o lepsze z sobą walczące. Ci dwaj aktorzy, przebierając się podczas pieśni chóralnych, w jednéj sztuce grywali role kilku osób, co przedstawienie znacznie ożywiło. Kolizya jednak tragiczna u Eschilosa jest czysto zewnętrzną, bo każda z osób działających jest przedstawicielką jednéj tylko idei lub prawa zasadniczego. Główny np. bohater tragedyi „Prometeusz w okowach” staje w obronie praw całéj ludzkości przez nowego władcę Olimpu zgwałconych, a w imieniu Zeusa jego służalcy, Hefestos, Przemoc, Siła i Hermes działają. Eteokles w tragedyi „Siedmiu pod Tebami” dla obrony ognisk rodzinnych występuje do bratobójczéj walki z Polinikiem i ginie z nim w krwawym pojedynku; jednak nie ma tam śladu kolizyi wewnętrznéj i walki w duszy Eteoklesa, ponieważ nie widzi on w Poliniku brata, lecz wroga potwornego, który prowadzi nieprzyjaciół przeciwko własnéj ojczyźnie, aby groby praojców podeptać. Erynye, ścigające Orestesa w tragedyi „Eumenidy”, tak samo należy rozumiéć; nie są one wewnętrznym głosem sumienia, które zabójcę matki dręczy, bo Orestes nie czuje się winnym, lecz istotami konkretnemi, które w obronie zgwałconych praw rodzinnych występują w postaciach, jakie im mitologia grecka nadała.

Jednak już w niektórych tragedyach Eschilosa widzimy walkę wewnętrzną, starcie się w tym samym osobniku dwóch idei, dwóch praw zasadniczych do pogodzenia niemożebnych. Żadna z tragedyi Eschilosa przedstawienia téj kolizyi wewnętrznéj nie ma głównie na celu,—ten kierunek nada tragedyi Sofokles, a głównie Eurypides, znacznie późniéj Szekspir w ich ślady pójdzie, — lecz geniusz Eschilosa i w tę sferę wkracza.

W pieśni chóralnéj tragedyi „Agamemnon" prześlicznie przedstawiona jest walka wewnętrzna, jaka wre w duszy naczelnego wodza Hellenów, kiedy Artemida żąda odeń ofiary z własnéj jego córki Ifigenii. Przedtem zabił on jelenia poświęconego téj bogini; rozgniewana Artemida zesłała taką ciszę na morzu, że niepodobna było myśléć o wyruszeniu z Aulidy pod Troję, a wróżbiarz Kalchas oświadczył, że tylko krwią Ifigenii można boginię przebłagać. Długo pasowała się w Agamemnonie miłość ojcowska z uczuciem obowiązku króla i wodza, wreszcie wezwał córkę swą do Aulidy pod pozorem, że chce ją z Achillesem zaręczyć, i... złożył ją bogini w ofierze.

W tragedyi „Prometeusz w okowach" w Hefestosie, gdy według rozkazu Zeusa ma swego zacnego krewniaka okuć w kajdany i do skały przybić, walczą dwa uczucia: współczucie dla tego dobroczyńcy ludzkości i strach przed despotyzmem potężnego boga, co zaraz w pierwszéj scenie tragedyi się ujawnia (Aesch. 1. Prom. —81 ed. Kirchhoff).

W tragedyi „Ofiarnice" (Choeforoj) w Orestesie ścierają się dwa wielkie prawa: obowiązki syna względem matki z jednéj strony, a konieczność pomszczenia za śmierć ojca z drugiéj. Jakkolwiek syn Agamemnona i przed spełnieniem matkobójstwa i po dokonaniu téj zbrodni uznaje czyn swój za zupełnie uprawniony, jakkolwiek sam Apollo rozkazał mu wyraźnie to uczynić, jednak w chwili krytycznéj, gdy już ma zatopić miecz swój w sercu matki, przez krótki czas przynajmniéj waha się, któremu z dwóch obowiązków równie świętych ma oddać pierwszeństwo, a straszna niepewność duszę jego targa (Choeph. 889—891 ed. Kirch.).

Następstwem rozszerzenia dyalogu było ograniczenie działalności chóru. Arystoteles (Poë. 4) tak się o tych reformach Eschilosa wyraża: „Eschilos zmniejszył znaczenie chóru i główne znaczenie w tragedyi dyalogowi nadał" (w dosłownym przekładzie: „i dyalog pierwszym aktorem uczynił"). Lecz u Eschilosa chór ma jeszcze bardzo ważne znaczenie, daleko ważniejsze, aniżeli u jego następców Sofoklesa i Eurypidesa, i jest to bardzo naturalne, bo nie mógł poeta wprowadzać zmian nagłych w instytucyi religijnéj, a więc z natury rzeczy konserwatywnéj, jaką był teatr grecki. Eschilosowi przypisują również wiele wynalazkow w technice teatralnéj, udoskonalenie dekoracyi, urządzenie różnych maszyn i t. d. Niewiadomo, w jakim stanie znalazł on technikę teatralną w początku swéj działalności, to tylko pewna, że wystawienie jego tragedyi wymagało już dosyć skomplikowanych urządzeń scenicznych; np. w „Prometeuszu" Okeanidy latają na skrzydłach

w powietrzu, na scenie rozlega się grzmot i uderzenie piorunu, a w końcu tragedyi Prometeusz spada w przepaść razem ze skałą, do któréj był przykuty.

II.

Nie na tych jednak reformach zewnętrznych i udoskonaleniu techniki teatralnéj polega głównie znaczenie Eschilosa w historyi dramatu, lecz na wewnętrznéj wartości jego utworów. Wprowadzenie drugiego aktora dało mu możność znacznego rozszerzenia ram tragedyi: pomieścił on w nich wiele idei wzniosłych, obrazowém ich przedstawieniem na tłumy działał i podniósł tém tragedyę do tego znaczenia, jakiém się dotąd cieszy.

Jako rycerz dzielny i wierny syn ojczyzny brał on udział w bitwach pod Maratonem, Salaminą i Plateą, był naocznym świadkiem porażki niezliczonéj armii perskiéj przez garstkę walecznych jego rodaków i upadku potężnéj dotąd Persyi. Zjawisko to niewątpliwie zastanowić musiało nie jeden z umysłów głębszych. Eschilos, uogólniając kwestyę, postawił pytanie: w czém tkwi przyczyna cierpień ludzkości? Odnalazł ją w występkach i przewrotności saméj natury ludzkiéj. W ten właśnie sposób rozstrzyga kwestyę większość tragedyi Eschilosa. Człowiek, według niego, ma zupełnie wolną wolę we wszystkich swoich czynach, a więc jest odpowiedzialnym za nie. Nie fatum jakieś nielitosne ściga człowieka bez żadnéj z jego strony winy, jak mniemano wówczas powszechnie, lecz własne jego występki są jego niedoli przyczyną. Sprawiedliwa Opatrzność karze Persów za wyuzdaną butę ich króla Kserksesa, który nawet święty Hellespont chciał okuć w kajdany i świątyń ludu zwyciężonego nie szczędził. Ginie Agamemnon za to, że piękną i kochaną swą córę Ifigenię w celach egoistycznych złożył na ofiarę Artemidzie, a późniéj wieszczą brankę Kassandrę wprowadził do domu swéj żony; wreszcie na całą wyprawę trojańską i na zdobycie Troi zapatruje się poeta jako na gwałt, dokonany nad ludem ucywilizowanym; za zbrodnię tę Grecy odpowiadają przed sądem wyższym w osobie głównego ich wodza Agamemnona. Ginie wraz ze swym gachem Egistem wyrodna Klitemnestra za to, że ręce swe krwią męża zbroczyła, a dom Atrydów splamiła związkiem występnym. Cierpi niewymownie ścigany przez Erynje Orestes, bo zapomniawszy o wrodzoném prawie natury, własną swą matkę życia pozbawił. W tragedyi „Prometeusz w okowach” znosi niewysłowione męczarnie ten dobroczyńca ludzkości za swą pychę niepomierną. Jak żywotnym jest temat téj tragedyi, najlepiéj świadczy

okoliczność, że do tegoż tematu powracało wielu poetów nowszych, a w ich liczbie Goethe i Shelley. Ten ostatni w osobie Prometeusza przedstawia ludzkość całą, która we wszystkich swoich dążeniach szlachetnych spotyka ciągle przeszkody ze strony siły wyższéj, jak tyran brutalnéj.

Występek, wykroczenie przeciwko jakimkolwiek prawom ogólnym, według Eschilosa, nie może znaleźć usprawiedliwienia w najszlachetniejszych nawet pobudkach; zbrodnia zawsze pozostaje zbrodnią i musi być ukarana.

Idea oczyszczenia winy za pomocą cierpienia nie jest Eschilosowi obcą. Cierpienia właśnie zmywają krew matczyną z rąk Orestesa w „Eumenidach”, a Prometeuszowi w niedoszłéj do nas tragedyi „Prometeusz rozpętany” wracają utraconą poprzednio łaskę Zeusa.

Wszystkie zdarzenia w życiu prywatném i społeczném, według Eschilosa, ulegają woli jednego najwyższego boga, Zeusa, który jest uosobieniem prawdy bezwzględnéj. Są to już idee monoteistyczne. Eschilos uznaje wprawdzie i innych bogów, ale ci obowiązani są do bezwarunkowéj uległości i posłuszeństwa względem władcy najwyższego, a biada temu, kto chce się z tych karbów wyłamać. Tak np. Prometeusz, sam będąc istotą boską, ściąga na siebie nieubłagany gniéw i surową karę Zeusa, ponieważ występując w obronie słabéj, ograniczonéj mądrości ludzkiéj i gwałcąc prawa najwyższe, wykrada z nieba ogień i w ten sposób postępuje wbrew woli Zeusa, który drogą cierpienia zamierzał ludzkość do rozumu doprowadzić. W innych tragedyach wzniosłe pojęcie Eschilosa o bóstwie jeszcze jaśniéj występuje. (Porównaj Supplies v. v. 71—96, 570 — 579; Septem adv. Theb. 208—211, Agamemnon 149—170 ed. Kirch. i t. d.).

Obok głębokości poglądów religijnych, filozoficznych i moralnych w tragedyach Eschilosa uwydatnia się bezgraniczny patryotyzm, który autor i czynem poprzéć umiał. Uczuciem tém tchną prawie wszystkie jego utwory, a szczególniéj „Persowie”. W téj tragedyi on, również jak Herodot w swojéj „historyi”, zaznacza różnicę pomiędzy kulturą despotycznéj Persyi i wolnéj Hellady, a w „Prometeuszu” jak by w jasnowidzącym śnie proroczym, przeczuwa rolę, jaka przypadnie w udziale jego ojczyźnie w dziejach wszechświata.

Sam będąc rycerzem, nasz tragik szczególną znajduje przyjemność w przedstawianiu scen z życia wojennego. Wiele obrazów tego rodzaju znajdujemy w „Siedmiu pod Tebami”, a opowiadanie gońca o bitwie pod Salaminą w tragedyi „Persowie” jest wspaniałe.

Ponieważ treść swoich tragedyi Eschilos czerpal przeważnie z podań mitycznych, jako osoby działające występują w nich bohate-

rowie i półbogowie; poeta nie wiele troszczy się o zbliżenie ich do świata rzeczywistego. Ogólna cecha ich charakteru—hart duszy nadzwyczajny, stanowczość, nieugiętość. Charaktery to nawskróś idealne. Bohaterowie jego nie pozostają w niepewności, nie znają wahania się, nie zatrzymują się na połowie drogi, choć by pewni byli, że droga ta do niechybnéj zguby ich prowadzi. Podniesienie ducha narodowego podczas wojen perskich przyczyniało się niezawodnie do wytworzenia podobnych charakterów i w życiu rzeczywistém.

Mając na celu przedewszystkiém przedstawienie pewnéj idei filozoficznéj lub rozstrzygnienie kwestyi moralnéj, Eschilos nie zagłębia się, jak Sofokles lub Szekspir, w drobiazgową analizę psychiczną pojedynczych osobników, nie przedstawia szczegółowego rozwoju charakterów, lecz je szkicuje tylko w ogólnych zarysach. I pod tym jednak względem talent poety stopniowo się rozwijał, o czém przekonać się łatwo, gdy rozpatrzemy pozostałe po nim utwory w ich chronologicznym porządku. W „Hiketides" charakterystyka pojedynczych osób (Danaosa, króla Pelasgosa i posła egipskiego) jest słaba: tylko ogólne cechy narodowe Danaid i Argiwów są lepiéj zaznaczone. To samo prawie da się powiedziéć o „Persach", choć już tutaj widocznym jest pewien postęp.

W 468 r. nasz tragik został zwyciężony na konkursie dramatycznym przez Sofoklesa, który ożywieniem akcyi dramatycznéj, a szczególniéj dzielną charakterystyką osób działających znacznie przewyższał przeciwnika. Idąc w jego ślady, Eschilos w tragedyach, wystawionych na scenie po tém przykrém dla niego zdarzeniu, wprowadza trzeciego aktora i stara się dorównać swemu współzawodnikowi pod wszystkiemi względami. W „Siedmiu pod Tebami" występuje jasno i udatnie nakréślony charakter Eteoklesa, a pieśni chóru nie są tak długie, jak w poprzednich tragedyach. Tragedya „Prometeusz w Okowach", po téj sztuce zapewne wystawiona, nie jest bogata w akcyę dramatyczną w naszém rozumieniu tego słowa, bo główny bohater, do skały przykuty, pozostaje bezczynnym, lecz za to charakterystyka Prometeusza jest świetna, działalność chóru ograniczona (nie większa nawet jak w tragedyach Sofoklesa), a dyalog bardzo zajmujący i ożywiony. W częściach składowych ostatniéj trylogii „Oresteja" charaktery Klitemnestry, Kassandry, Orestesa i Elektry są pięknie i dosyć wszechstronnie nakréślone, a co najważniejsza, są to postaci bardziéj realne niż Prometeusz; akcya dramatyczna, szczególniéj w ostatniéj części składowéj téj trylogii „Eumenidach" jest więcej ożywiona.

Charaktery u Eschilosa pomimo zwięzłości w ich szkicowaniu są wysoce tragiczne, a utwory jego pomimo nadzwyczajnéj prostoty

w przeprowadzeniu akcyi, sprawiają potężne wrażenie nawet na czytelniku dzisiejszym. Szczerze współczujemy niedoli wszechpotężnych przedtém Persów, boleści matki królewskiéj Atossy i hańbie króla Kserksesa, kiedy powraca z wyprawy „jako zbieg, tułacz, odarty, bezbronny, ze zgryzotami sumienia za zmarnowanie ludu, za stracenie najdzielniejszych wodzów i towarzyszy" (Kaszewski). Gotowi jesteśmy wybaczyć wszystkie poprzednie winy Eteoklesowi, gdy z zaparciem się siebie przygotowuje się do energicznéj obrony ognisk rodzinnych, a grozą przejmuje nas wiadomość o tém, że do śmiertelnego pojedynku z bratem wstąpić niezłomnie zamierza. Wzruszają czytelnika do głębi najpierw jakieś smutne przeczucia chóru, następnie przedśmiertne krzyki Agamemnona, kiedy wkrótce po modłach dziękczynnych bogom za szczęśliwy powrót do ziemi rodzinnéj z długiéj i trudnéj, jednak zwycięzkiéj wyprawy, witany radosnemi okrzykami ludu i obłudnéj żony, pada z rąk potwornéj, bez wahania do celu idącéj Klitemnestry, którą Opatrzność wybrała za narzędzie do wymierzenia dawno zasłużonéj kary. O wysoce tragiczném założeniu „Ofiarnic" (Choeforoj) i „Eumenid" z Orestesem na czele, oraz „Prometeusza w okowach" już poprzednio mówiłem.

Na długo również utrwalają się w pamięci czytelnika drugorzędne postaci tragedyi Eschilosa: typy dworskich służalców w tragedyi „Prometeusz", stanowiące znakomity kontrast z głównym bohaterem: Hefestos, który z bólem serca przykuwa Prometeusza do skały, a jednak niema odwagi oprzéć się rozkazowi Zeusa; Okeanos, gotowy niby to do poświęceń, lecz w istocie rzeczy zbyt łatwo wchodzący w konszachty z własném sumieniem i dbający tylko o własną skórę; Hermes i Kratos, patrzący na wszystko oczami swego władcy i brutalnie spełniający wszystkie jego, choćby najohydniejsze rozkazy, własne „ja" unicestwiając.

Niewymowną sympatyę w czytelniku wzbudzają: Antygona, która wbrew uchwale grodowéj w imię uczuć rodzinnych oświadcza, że zwłoki brata swego Polinika pogrzebie (pierwowzór „Antygony" Sofoklesa); goniec w tragedyi „Agamemnon" całą duszą przywiązany do ziemi rodzinnéj, w czasie długiéj wyprawy trojańskiéj i tułactwa jedynie o tém marzący, aby w ojczystém Argos kości jego legły, a teraz po powrocie do ojczyzny tak rzewnie ją witający; córka Pryama, wieszczka Kassandra, ukarana przez Apollina za złamanie wiary tém, że nikt nie wierzył jéj przepowiedniom, następnie wprowadzona do domu Agamemnona jako branka i jasnowidząca przyszłość swoją i swego pana; Elektra, niewinna ofiara prześladowań niegodziwéj matki, marząca tylko o powrocie Orestesa, aby krew ojca była pomszczoną, niańka Ore-

stesa Gilessa, typ staréj i wiernéj sługi kochającéj swego wychowańca nad życie i t. d.

Najśmielszym jednak pomysłem Eschilosa jest bezwątpienia „Prometeusz w okowach”, a w całéj literaturze nietylko greckiéj, ale nawet powszechnéj nie wiele znalazłoby się kreacyi, któreby mogły mu dorównać wspaniałością pomysłu i żywotnością tematu w nim poruszonego, ponieważ Prometeusz jako postać, walcząca w obronie pogwałconych praw ludzkości, nie jest bohaterem specyalnie greckim i przywiązanym do pewnéj tylko epoki, lecz ogólno-ludzkim i do wszystkich zarówno czasów należącym.

Hart ducha nadzwyczajny i nieugiętość, szlachetność serca i miłość bezgraniczna do ludzi, która pcha bohatera nieprzepartą siłą na drogę poświęceń,—oto są cechy charakterystyczne Prometeusza. Niesłychane udręczenia i groźby jeszcze większych męczarni w przyszłości nie są w stanie go złamać, a nawet pośród największych bólów umié on współczuć niedoli innych i znajduje słowa pociechy dla nieszczęsnéj kochanki Zeusa—Jony. Obok tak szlachetnego charakteru Prometeusza „ojciec bogów i ludzi”, jakkolwiek nie występuje on w téj tragedyi osobiście, lecz działa przez swych służalców Hermesa, Hefestosa, Przemoc i Siłę, w niezbyt korzystném przedstawiony jest świetle. Jest on wrogiem ludzkości i bezustannym jéj prześladowcą, a gdy w osobie Prometeusza znalazł się jéj obrońca, Zeus cały swój gniew i zapalczywość na nim wywiera.

Wobec takiéj charakterystyki osób działających nasuwa się poważne pytanie, dotąd przez krytykę należycie nie wyświetlone, w jaki sposób pogodzić tę tragedyę z głęboką religijnością Eschilosa i jaką właściwie ideę przedstawia autor w tym utworze? Trudność rozstrzygnięcia téj kwestyi wynika stąd, że nie doszły do nas dwie inne części składowe téj trylogii „Prometeusz Ognionośca” i „Prometeusz rozpętany.”

Łatwiéj nam jednak zrozumiéć tę tragedyę i choć w części sprzeczności pogodzić, gdy zapatrywać się na nią będziemy z punktu widzenia ówczesnych Ateńczyków. Niewątpliwie, despotyzm najwyższego boga, Zeusa, nie raził bynajmniéj ani Eschilosa, ani innych bogobojnych jego rodaków, a przedstawienie téj strony charakteru Zeusa zgodnie z podaniem jest dalekiem jeszcze od ateizmu. To, co Prometeusz i jego stronnicy uważają za niesprawiedliwość Zeusa względem ludzi i ich prześladowanie, w oczach Eschilosa było dążeniem powolnego prowadzenia ich do rozumu drogą pracy i doświadczeń. Myśl podobną Eschilos i w innych tragedyach wyraża, naprz.:

Agam. v. 237—238 ed. Kirchhoff:

Bóg przez cierpienie albowiem
Uczy przyszłości człowieka (przekł. Kasz., str. 232).

Agam. v. 163—165:

Zews wiedzie k' mądrości człowieka:
I jego to prawo orzeka,
Że mądrość z cierpienia się rodzi.
(Przekł. Kasz., str. 230).

Obok wielu dodatnich stron charakteru ma Prometeusz jedną wadę i to w oczach Eschilosa bardzo ważną, a jest nią duma i pycha, która go skłania do tak nieugiętego względem Zeusa oporu. Idea więc téj tragedyi, jak i wielu utworów Eschilosa, jest ta, że wykroczenie przeciwko prawom ogólnym, choćby było wywołane najszlachetniejszemi pobudkami, nie może ujść bezkarnie nawet istocie boskiéj, jaką był Prometeusz.

„Oresteja" jest jedyną doszłą do nas trylogią Eschilosa. Razem z utraconym dramatem satyrowym „Proteusz", stanowiła ona całość „tetralogią" zwaną. Dramatem satyrowym nazywał się utwór sceniczny wesołéj, zabawnéj treści, mający na celu uspokojenie widzów wzruszonych i znużonych zarazem widokiem trzech z kolei tragedyi. Połączenie trzech tragedyi w jedną nierozerwalną całość stanowi również jedną z cech charakterystycznych poezyi Eschilosa. Wprawdzie i następca jego, Sofokles, łączył swe utwory w trylogie i tetralogie, lecz u niego związek pomiędzy częściami składowemi był czysto zewnętrzny; każda tragedya oddzielnie sama przez się stanowi zamkniętą w sobie całość. Związek pomiędzy częściami składowemi trylogii Eschilosa jest tak ścisły, że pojedyńcza tragedya sama przez się nie może być należycie zrozumiana, czego najlepszym dowodem jest „Prometeusz." Ta forma tragedyi Eschilosa znajduje usprawiedliwienie w tém, że w czasach jego tragedya nie uwolniła się jeszcze zupełnie od wpływu poezyi epickiéj. Ta wszystkie wypadki jak wielkiéj, tak i małéj wagi opisywała zarówno skrupulatnie. Pierwsi tragicy również nie mogli jeszcze zatrzymać się na przedstawieniu wypadków najbardziéj efektownych lub charakterystycznych, lecz przedstawiali zdarzenia w ich chronologicznym porządku.

Tendencya tragedyi Eschilosa także wymagała formy trylogicznéj. Rozpatruje on zjawiska w ich związku wewnętrznym, interesując się przyczyną cierpień ludzkości, stara się obok winy rodowéj, za którą ponoszą odpowiedzialność członkowie rodu, wskazać jeszcze winę osobistą, która stała się bezpośrednią przyczyną cierpień danego osobni-

ka. W tym celu musiał on objąć historyę całego rodu w kilku pokoleniach, a ramy jednéj tragedyi były na to zbyt szczupłe.

Uroczystość nastroju utworów Eschilosa odbiła się i na formie. Uderza w nim dążność do niezwykłych wyrażeń i do słów złożonych, z których wiele on sam utworzył. Częstemi podróżami poety do Sycylii usprawiedliwia się dość znaczna ilość prowincyonalizmów w jego tragedyach. W częstém użyciu epitetów, wyrażeń plastycznych i t. d. ujawnia się wpływ poezyi epickiéj. Wogóle język Eschilosa jest zwięzły, silny, jędrny i nadzwyczaj obrazowy. Pomiędzy treścią a formą zewnętrzną znajdujemy u niego ścisłą łączność i piękną harmonię. Szczególniéj w odtwarzaniu obrazów strasznych i scen poetycznych umié Eschilos dobrać odpowiednich wyrażeń i form wiersza, przedstawiających w całéj grozie ogrom fizycznego i moralnego bólu, jaki jego bohaterów targa. W wielu opowiadaniach gońca i w pieśniach lirycznych stoi on na wyżynach prawdziwéj poezyi.

III.

Dlaczegóż dla nas dzieła Eschilosa wielką przedstawiają wartość, choć kości jego przeszło 2,300 lat temu w grobie legły? Dlatego, że w każdym jego utworze, w każdym obrazie, w każdém słowie niemal, odbija się wielkość téj świetnéj w historyi całéj ludzkości epoki, kiedy śmiały, potężny, nieśmiertelny duch ludzki na wszystkich polach działalności z demoniczną jakąś siłą o niepodległość swą walczy. Jakkolwiek siłą zbrojną stokrotnie od wroga słabszy, jednak wyższego swego posłannictwa pewny, śmiało występuje Hellen w zapasy z potężnym despotą wschodnim, wrogiem światła i ducha ludzkiego wolności, i świetne nad nim odnosi zwycięstwo. Burzy on przesądy religijne i moralne i wznioślejsze pojęcie o bóstwie sobie wytwarza. Urządzeniom państwowym i społecznym takie nadaje formy, które, w niczém wolności osobistéj nie krępując, wkładają na wszystkich obywateli obowiązek pracowania nad dobrem ogólném. W religii, filozofii, etyce, sztuce nieprzeparte dążenie do prawdy i piękna boskiego jest dla Hellena gwiazdą przewodnią. Wśród takiéj atmosfery dzieła wieszcza naszego powstały, takiemi dążeniami są owiane, a myśli te wyrażone są w formie pięknéj, helleńskiéj, klassycznéj, bo piątemu wiekowi właściwéj. Czyż i my po 2,300 latach nie do tych samych celów dążymy? Twierdząca odpowiedź na to pytanie jest zarazem oceną wartości dzieł Eschilosa dla nas.

Wobec tak ważnego stanowiska, jakie zajmuje Eschilos w literaturze wszechświata, przyswojenie dzieł jego naszéj literaturze ma doniosłe znaczenie i tłómaczowi wszystkich dzieł tego wieszcza greckiego należy się słuszne naszego społeczeństwa uznanie. Tłómaczem tym jest chlubnie znany z licznych prac swoich Kazimierz Kaszewski, który przed kilku laty pięknym przekładem dzieł Sofoklesa literaturę naszą wzbogacił.

Skromność tłómacza, który, wbrew przyjętemu zwyczajowi, na wstępie słówka nawet nie powiedział o olbrzymich trudnościach, jakie na każdym kroku w mozolnéj pracy swéj napotykał, zmusza mnie, abym go w tym względzie wyręczył, a to dla należytéj oceny dokonanego przezeń dzieła.

Rękopisy, zawierające w sobie utwory Eschilosa, doszły do nas w bardzo smutnym stanie. Główną podstawą tekstu Eschilosa jest tak zwany *Codex Mediceus vel Laurentianus* 32.9, pochodzący z X lub XI wieku naszéj ery. Zawiera on 7 tragedyi Eschilosa, nadto spis 65 innych niedoszłych do nas tegoż autora utworów. (Według *Codex Laurentianus* ogólna liczba tragedyi Eschilosa 72). W tym jednak manuskrypcie z powodu wyrwania wielu kart brak więcéj jak 3/4 tragedyi „Agamemnon" i początku „Ofiarnic" (Choeferoj). Na tym samym rękopisie znajdujemy poprawy drugiéj ręki, uczynione prawdopodobnie na zasadzie tego samego oryginału, z którego całość została przepisana. Wszystkie inne rękopisy (Marcianus, Guelfebrytanus, Parisinus, Monacensis, Escorialensis, Laurentianus 31.8) nie mają prawie żadnéj wartości, ponieważ zdaniem większości nowszych uczonych, wszystkie one pochodzą od *Codex Laurentianus* 32.9 [1]). Wielka ilość prowincyonalizmów, archaizmów i słów przez Eschilosa stworzonych, a także niezwykła wzniosłość jego utworów sprawiły, że treść ich już dla starożytnych, zwykle mało wykształconych, przepisywaczy w wielu miejscach nie była zrozumiałą, a to było źródłem mnóstwa błędów i skażeń tekstu. W epoce aleksandryjskiéj i bizantyjskiéj zepsucie tekstu poszło znacznie daléj, bo wtedy tekst był jeszcze mniéj rozumiany.

Wobec takiego stanu rękopisów, tekst Eschilosa w wielu miejscach przedstawia zgrupowanie słów, które treścią swą ani z poprzedniemi, ani z następnemi nie dają się powiązać, i nader trudne ma

---

1) Patrz *Kirchhoff.* Aeschyli tragoediae 1880. praef. p. I: „Codicis antiquissimi, e quo exempla recentiora ad unum omnia derivata esse, quamquam sunt, qui negent, mihi tamen extra omnem dubitationis aleam positum esse videtur, codicis igitur Laurentiani scripturas in adnotatione memoravi omnes..." To samo twierdzi *Dindorf* (Aesch. trag. editio quinta 1880 praef. p. VI et sequ.).

zadanie krytyka nowoczesna, aby za pomocą mniéj lub więcéj pewnych przypuszczeń i zmian tekst Eschilosa do pierwotnego stanu przywrócić. Ma więc zupełną słuszność E. A. J. Ahrens, uczony tłómacz Eschilosa na język łaciński, twierdząc, że przekład tego poety jest rzeczą znacznie trudniejszą, niż nowe dzieł jego wydanie, komentowanie lub poprawa tekstu na podstawie manuskryptów. „Gdy starożytnego pisarza wydajemy”, mówi Ahrens we wstępie do swego przekładu, „w tych miejscach, gdzie nie możemy nic nowego powiedziéć lub twierdzić, co mianowicie jest prawdą, milczeniem to pokryć można, inne znowu miejsca zepsutemi nazwać, wiele miejsc—ciemnemi, a inne znowu takiemi, które bez nowych danych wyjaśnionemi być nie mogą. Tak nie może postępować tłómacz, na którym bezustannie ciąży obowiązek nadania oryginałowi jakiego takiego przynajmniéj znaczenia, któreby się zgadzało z tém, co poprzedza, i z tém co następuje, i nie przeczyło intencyom autora.”

Jeżeli rozumienie tekstu Eschilosa jest nader trudne i tylko dla znających gruntownie język grecki dostępne, jeżeli niemiecki uczony zupełnie słusznie nazywa rzeczą arcytrudną przekład tego tragika prozą i to na język łaciński, więcéj duchem do greckiego zbliżony, o ile trudniejsze miał przed sobą zadanie Kaszewski, przekładając Eschilosa wierszem rymowym na język polski!

Zanim dam odpowiedź, jak się nasz tłómacz ze swego zadania wywiązał, uważam za konieczne wyjaśnić zasady, na których sąd swój o przekładzie Kaszewskiego opieram.

Idealném dążeniem tłómacza winno być zastąpienie oryginału dla tych osób, dla których ten nie jest dostępnym. Tém zasadniczém dążeniem usprawiedliwiają się wszystkie strony dobrego przekładu. Winien on przedewszystkiém wiernie oddawać ducha oryginału i myśli autora we wszystkich najsubtelniejszych odcieniach i to w formie jak najwięcéj do oryginału zbliżonéj. Całą piękność, powagę, miękkość, grozę, czułość, ironię, ogólny koloryt oryginału stara się dobry tłómacz za pomocą odpowiednich środków wyrazić. Strona estetyczna, szczególniéj przy przekładzie poetów, odgrywa niemniéj ważną rolę, jak myśli w oryginale wyrażone, i nie ma wielkiéj wartości przekład, który oddając wiernie myśli poety, nie uwzględnia w należytym stopniu formy. Nie wydaje mi się dosyć uzasadnionym podział przekładów na filologiczne (naukowe) i estetyczne, bo każdy przekład, szczególniéj naukowy lub filologiczny winien ściśle oryginał odtwarzać i wiernie dać o nim pojęcie; nie można więc nazywać dobrym przekładem naukowym lub filologicznym przekładu, który nie odźwierciedla strony estetycznéj oryginału, a więc mylne daje o nim wyobraże-

nie; jest to przekład zły, jednostronny, albo raczéj dopiéro materyał do przekładu. Odrębne, indywidualne właściwości stylu każdego autora, nawet ujemne jego strony, powinny być z całą ścisłością oddane, zgodnie z duchem języka, na który się przekład dokonywa; poprawa oryginału pod jakimkolwiek względem nie jest zadaniem wiernego przekładu, a nawet jest mu wprost przeciwną.

Jakkolwiek to wymaganie jest tak słuszne i logicznie usprawiedliwione, jednak i tłómacze i krytycy często o niém zapominają, żądając od przekładu tych zalet, których oryginał nie posiada, lub usunięcia stron ujemnych, przekładany utwór cechujących. Nie można wymagać, aby ciężki, poważny i ciemny styl jakiegoś autora, np. Tucydydesa, był oddany językiem lekkim, płynnym i przezroczystym, a swobodna gwara Herodota, zwięzłemi zwrotami wymuszonéj mowy. Indywidualne właściwości poezyi i stylu pisarza tak odrębnego, jakim był Eschilos, tém bardziéj w przekładzie nie mogą być pominięte, jeżeli przekład ma na celu oryginał zastąpić i to samo, co on, wrażenie wywołać.

Kaszewski, zdaniem mojem, wszystkim wymaganiom idealnego przekładu prawie w zupełności zadosyć uczynił. Przedewszystkiém przejął się on wzniosłym duchem i szlachetną tendencyą wielkiego poety; wszystkie obrazy i sytuacye przez niego przedstawione, w wyobraźni swojéj odtworzył, a taką nadał przekładowi formę, która, odpowiadając wymaganiom czystości języka polskiego, oryginałowi jaknajściśléj odpowiada. Zdołał więc tłómacz pogodzić tak trudne do pogodzenia rzeczy, jak piękne, estetyczne oddanie myśli oryginału i wierność przekładu. Kiedy ten przekład czytamy, wydaje się nam, że to sam wieszcz helleński, niby duch wielkiego Daryusza w tragedyi „Persowie” z grobu swego powstał i w mowie dla nas zrozumiałéj do nas się zwraca, aby obudzić, ożywić lub wskrzesić w nas te uczucia szlachetne, które pierś jego kiedyś ogrzewały. Nic, albo prawie nic nam nie przypomina, że przekład czytamy, wydaje się nam utworem oryginalnym.

Jak to już wyżéj zaznaczyliśmy, tłómacz uchwycił ducha utworów Eschilosa i myśli jego najsubtelniéj zrozumiał. Pomagały mu w tém wprawdzie liczne wydania krytyczne i komentowane, przekłady na języki obce, ale to bynajmniéj zasług jego nie zmniejsza, przeciwnie słuszny mu zarzut uczynić możnaby było wtedy, gdyby z prac swoich poprzedników nie korzystał; zatrudne to było zadanie, aby mógł tylko na swojéj pracy poprzestać. Główną podstawą jego prze-

kładu był tekst grecki w opracowaniu E. A. J. Ahrensa [1]), nie trzymał się go jednak ściśle, lecz porównywał z innemi wydaniami i konjektury (t. j. oparte na przypuszczeniu, domyśle, poprawy) nowszych uczonych uwzględniał. Prace Weila, Weckleina i innych krytyków i komentatorów tekstu Eschilosa, jak widać z jego pracy, były mu dobrze znane. Tłómaczenie więc Kaszewskiego jest w całém tego słowa znaczeniu krytycznném, i jakkolwiek nie można twierdzić, że objaśnienie tekstu Eschilosa w porównaniu z pracami poprzednich uczonych o wiele naprzód posunął, przyznać jednak należy, że wybór interpretacyi tych miejsc, co do których nie zgadzają się krytycy i tłómacze Eschilosa, jest gruntownie obmyślony i w większości wypadków bardzo trafny. Najzawilsze i najtrudniejsze nawet do zrozumienia miejsca tłómacz wiernie, ściśle i z oryginałem zgodnie oddaje.

Poczucie piękna, które Kaszewski zdobył, studyując dzieła sztuki helleńskiéj, znakomita znajomość języka polskiego odpowiednią jego przekładowi nadały formę. Wierszem Kaszewski włada tak wybornie, że w najtrudniejszych miejscach dać sobie z nim radę potrafi, nawet gdy w formę wiersza rymowego wcisnąć mu wypada dziesiątki nazw greckich i perskich, jak to ma miejsce np. w tragedyi „Persowie." W wyborze tego lub innego wiersza tłómacz ściśle stosuje się do oryginału, aby koloryt jego jaknajwierniéj oddać, takie zaś samo wrażenie, jakie sprawia miara wiersza oryginału, w czytelniku wywołać. *Trimeter iambicus* przekłada zwykle wierszem jedenasto- lub trzynasto-zgłoskowym, w jedném tylko, o ile dostrzegłem miejscu (Persae 249—255 ed. Kirch.: Kasz. str. 184 słowa gońca) dziesięcio i dziewięciozgłoskowym. *Tetrameter trochaicus catalecticus*, także w dyalogach Eschilosa napotykany, tłómacz oddaje przeważnie 13-to zgłoskowym wierszem, a w jedném miejscu (Persae v. 155—158 ed. Kirchhoff) piętnastozgłoskowym:

Perskich głęboko-spiętych niewiast, dostojna królowo,
Stara matko Kserksesa, żono Daryusza, bądź zdrową!
Małżonką-ś boga Persów, matkąś na wieki ich boga,
Gdy dawna, szczęsna dola wojsk nam dziś nie będzie sroga.

Wiersz ten, dość rzadko w naszéj poezyi używany, uwydatnia wprawdzie powagę oryginału, lecz niemiłe sprawia na czytelniku wra-

---

1) Ahrens znowu, jak sam o tém mówi w przedmowie, opierał tekst swój głównie na edycyi Dindorfa (pierwszéj), jednak bardzo często to, co mu się mylném wydawało, poprawiał „vel codicum subsidio vel ex coniectura" (Praefatio p. II).

żenie. Czuł to widocznie sam tłómacz, ponieważ téj formy wiersza w całym przekładzie już potém nie użył.

Dla różnorodnéj budowy wierszy i strof pieśni chóralnych dobiera Kaszewski odpowiednich form estetycznych i tutaj także wywołanie wrażenia oryginału ma bezustannie na względzie. Rymu męskiego dosyć często używa, już to aby wierszowi większą siłę nadać, już aby lepiéj odmalować grozę położenia, ożywienie i trwogę. Treść i forma, jak i w oryginale, w piękną zlewają się całość.

Dążąc do ścisłego i wiernego oddania myśli poety w formie jak najwięcéj do oryginału zbliżonéj, Kaszewski jest jednak dalekim od dosłownego przekładania tekstu Eschilosa, bo taki przekład nie może dać dokładnego pojęcia o żadnym pisarzu obcym, a szczególniéj o Eschilosie. Tłómacz zna gruntownie stylistykę obu języków, greckiego i polskiego, i różnicę, jaka pomiędzy nimi zachodzi, a ta właśnie znajomość chroni go od zbytecznego uganiania się za ścisłością w oddawaniu słów pojedyńczych ku szkodzie wierności i strony estetycznéj przekładu.

Tłómacz misternie rozporządza środkami dla oddania wszystkich stron charakterystycznych poezyi Eschilosa. Dla oddania słów pojedyńczych dobiera on wyrażeń jędrnych, ścisłych, jak oryginał obrazowych. Charakteryzując styl, zaznaczyliśmy, że Eschilos używa wielu słów i wyrażeń niezwykłych, prowincyonalizmów, archaizmów i wyrazów złożonych. Archaizmy u Eschilosa polegają na użyciu nietylko starych słów, lecz i form gramatycznych dawnéj poezyi właściwych. To samo znajdujemy i w przekładzie, napotykamy tam takie np. wyrazy: zawała, kusza, krewieństwo, kaźń, bez ochyby (= niechybnie), obiata, dzierżawa, narów, zakon, schrona, obierz, władyka, dzierżyciel, żuławianin, wojowie (porówn. wojewoda), potrzeba (w znaczeniu: potyczka, bitwa, str. 53), siła w znaczeniu wiele, str. 48 i in.), rok (w znaczeniu wyrok: rok boży, str. 202) zbożny, żgać, zczeznąć, płużyć, dzierżeć, pogrześć (= pogrzebać, pochować), ninie, kędy, zali, przecz i t. d. Koloryt archaiczny nadają stylowi takie formy, jak „w pełnéj zbroice", „w dawnych leciech", „w uściech", „cześci" str. 37 (zamiast „czci") „zdobywce" i t. d.

Słowa złożone napotykamy w przekładzie nie tak często, jak w oryginale, bo to nie byłoby zgodném z duchem języka polskiego, lecz posiłkuje się niemi Kaszewski dosyć często; w większości wypadków użyte są one bardzo trafnie i wiele przyczyniają się do nadania przekładowi kolorytu, jaki oryginał posiada. Oto są przykłady: „wszechtrud" (str. 35), „wszechwiedza" (str. 100), „wszechstrojność" (str. 102), wszystkowidz (str. 138) i t. d. Obcojęzyczny lud (str. 39),

„tarczonośni męże”, „sfinks człekożerczy” (str. 51), „szaty grubofałdziste (str. 61), „żelazodajna ziemia” (str. 95), „wszechpamiętne Jędze” (str. 101), „Argos mnogooki” (str. 106), „dalekonośne strzały” (str. 107), „wężowłose złowieszcze Gorgony” (str. 110), „ognionośne strzały” (str. 114), „białoskrzydły śnieg” (str. 117), „pięknoroga jałówka” (str. 138), „grodoburcza drużyna” (str. 178), „wieloludna Azya” (str. 178), „mróz ptakobójczy” (str. 242) i t. d.

Wyrażenia przenośne, gdy ich w blizkim przekładzie oddać nie pozwalają warunki języka polskiego, tłómacz tak udatnie odtwarza, że tu najlepiéj jego talent poetycki się uwydatnia.

Staranne opracowanie szczegółów składa się na całość wyborną. Tłómacz zawsze stoi na wysokości oryginału; stąd te miejsca, w których poezya Eschilosa jaśnieje w całym blasku, oddane są świetnie i z taką starannością, z jaką je autor opracował. Jeżeli zaś czytamy w przekładzie miejsca blade i głębszéj poezyi pozbawione, nie jest to winą tłómacza, bo z jednakową sumiennością całéj pracy dokonał. Tłómacz umié oddać najrozmaitsze uczucia, obrazy i sytuacye, poczynając od rzewnego obrazu poświęcenia na ofiarę Ifigenii w tragedyi „Agamemnon”, kończąc pełną grozy i siły sceną zabicia matki przez Orestesa w tragedyi „Krwawy odwet.” Równie pięknie oddanych miejsc w przekładzie znajdzie się tyleż, co w oryginale. Do takich miejsc należą: pieśni chóralne tragedyi „Siedmiu pod Tebami”, szczególniéj to miejsce, w którém dziewice tebańskie przedstawiają okropności wojny (str. 45 i nast.), monolog Prometeusza po odejściu jego katów (str. 88—89), wspaniały dyalog pomiędzy głównym bohaterem a Hermesem i ostatni obraz (str. 126) tragedyi „Prometeusz w okowach” (str. 115—120), pieśni chóralne tragedyi „Ucieczka”, w których tak obrazowo maluje się to niepokój i przestrach, to nadzieja i radość cór Danaosa, opowiadanie gońca o bitwie pod Salaminą (str. 187 i nast.), nawoływanie ducha Daryusza i pojawienie się jego, wreszcie wszystkie pieśni chóralne, wyrażające nieskończoną boleść ludu perskiego z powodu klęski pod Salaminą w tragedyi „Persowie”, porównanie Heleny do obłaskawionego lwiątka, które z początku z dziećmi się bawi i do wszystkich się przymila, a późniéj, kiedy wyrośnie, wrodzona krwiożerczość w niém się budzi (str. 247 i nast.), scena z Kassandrą (str. 256—268) w tragedyi „Agamemnon” i wiele innych.

Dla poparcia sądu mego o pracy Kaszewskiego, przytaczam tutaj kilka przykładów.

1. Ustęp z opowiadania gońca o bitwie pod Salaminą:

Noc schodzi; a tu na całéj przestrzeni
Ani się myślą przemykać Helleni.

Ranek nareszcie w swéj uprzęży białéj
Wzniósł się i blaski rozlał na świat cały.
Dopieroż zagrzmiał hymn głośny, szeroki,
Pośród Hellenów, nadmorskie opoki
Echem radosném odbiły. Persowie
Poznali podstęp, i przeszło ich mrowie: —
Nie do ucieczki taka pieśń przypada!
Ej! to do szturmu zrywa się Hellada.
Huknęły trąby... zawrzało jak w szale:
Do wioseł wnet się rzuca zastęp cały,
Miarowym ruchem prują drżące fale,
Wkrótce ich statki w oczy nam zajrzały.
W wybornym szyku płynęło na czele
Prawe ich skrzydło; za niém równo, śmiele,
Reszta okrętów. Zewsząd krzyk, aż grzmiało;
— „Naprzód, helleńskie syny! naprzód!... śmiało!...
Za wolność ziemi rodzinnéj, żon, dzieci!...
Siedlisko bogów naszych od stuleci!...
Za groby przodków!... Bić i ginąć z chwałą!"
  I z naszéj strony huknął krzyk głęboki
W języku perskim... lecz nie czas do zwłoki.
  Okręt z okrętem miedzianemi dzioby
Wpadają na się: helleński poczyna
I fenickiemu zrywa wsze ozdoby
Z przodu; na całéj linii mieszanina.
Dobrze się zrazu siła perska niosła,
Lecz gdy nas wparli w ciasnotę zatoki,
Statki się tłoczą, przebijają boki
Jeden drugiemu, druzgoczą się wiosła.

Dosłowny przekład tego miejsca tak się przedstawia:

„Noc schodziła, a wojsko Hellenów w żadném miejscu nie starało się odpłynąć pokryjomu. Gdy jednak pięknie jaśniejący dzień na białych koniach jadący oświecił całą ziemię, najpierw od strony Hellenów dała się słyszéć głośna pieśń pobożna i skały wyspy (Salaminy) odpowiedziały jéj echem rozległém. Wszystkich Persów strach ogarnął, ponieważ zawiedli się w swoich oczekiwaniach. Ten pean wzniosły nie do ucieczki śpiewali wtedy Hellenowie, lecz aby pod jego dźwięki śmiało do walki wystąpić. Odgłos trąby wojennéj męstwem ich wszystkich zapalał; natychmiast miarowym ruchem szumiących wioseł powierzchnię morza pruć zaczęli i wkrótce wszyscy stanęli przed nami. Najpierw prawe ich skrzydło w porządku płynęło, a za niém postępowała cała flota, i już można było słyszéć krzyk głośny: „Naprzód (dosłownie: idźcie) helleńskie syny, naprzód! Brońcie (dosłownie uwolnijcie) ojczyzny, brońcie dzieci, świątyń, bogów ojczystych i grobów przodków. Teraz o (to) wszystko walczymy." I z naszéj

strony rozległ się również krzyk w języku perskim, i nie można już było zwlekać. Natychmiast jeden okręt miedzianym dziobem uderzył o drugi. Walkę zaczął okręt helleński, zgruchotał ozdoby przedniéj części fenickiego okrętu, a następnie i inne wszczęły walkę (jeden okręt skierował się na drugi). Z początku tłum wojska perskiego opór stawił; kiedy zaś mnóstwo okrętów zebrało się w wązkiéj cieśninie, kiedy jeden nie mógł pomagać drugiemu i kiedy sami Persowie uderzali się śpiżowemi dziobami okrętów, łamały się wiosła i t. d."

Kiedy teraz porównamy przekład Kaszewskiego z dosłownem tłómaczeniem, uderzy nas w nim przedewszystkiém ścisłe i wierne oddanie myśli poety. Naturalnie, nie wszędzie jest tu przekład Kaszewskiego literalnie ścisłym. Niezupełnie dokładnie oddane są wyrażenia: strach „ogarnął wszystkich Persów, ponieważ zawiedli się w swych oczekiwaniach", które on tak tłómaczy: „Persowie poznali podstęp i przeszło ich mrowie." Cokolwiek niżéj przy przekładzie słowa ὑπεκχωρεῖν (v. 399), jeżeli nawet wyraz „równo" można jako tako usprawiedliwić, „śmiele" jest tu potrzebne tylko dla rymu i dla silniejszego oddania myśli, jednak w greckim tekście nie ma nic sobie odpowiadającego. Nie literalne jednak tłómaczenie słów pojedyńczych, lecz wierne oddanie poezyi Eschilosa ma Kaszewski głównie na celu, a to mu się zupełnie udało, jak nas o tém przekonywa każdy wiersz przytoczonego ustępu. Zaraz w początku bardzo udatnie użyty jest czasownik „przemykać się", pięknem jest wyrażenie metaforyczne „Ranek nareszcie w swéj uprzęży białéj wzniósł się i blaski rozlał na świat cały." Silnie i z oryginałem zgodnie wyrażona myśl następna: „Dopieroż zagrzmiał hymn głośny, szeroki pośród Hellenów, nadmorskie opoki echem radosném odbiły i t. d." Cudnie, choć nie literalnie ściśle oddane są greckie wyrazy σάλπιγξ δ' ἀυτῇ πάντ' ἐκεῖν' ἐπέφλεγεν. „Huknęły trąby... zawrzało jak w szale." Nieporównanym jest przekład wierszy 400—403, bo jest bardzo blizkim tekstu greckiego, a tak pięknie i silnie myśl jego wyraża. Nawet ostatnie słowa: „Bić i ginąć z chwałą", jeśli się głębiéj zastanowimy, bardzo dobrze oddaje znaczenie słów: teraz o wszystko walczymy.

2. *Supplices* („Błagające opieki") v. v. 20—40 Ahr., 19—39 Kirch.

Ustęp z pieśni chóralnéj cór Danaosa, które zbiegły do Argos, chroniąc się od swych braci stryjecznych, synów Egiptosa, gdy ci ostatni je za żony porwać chcieli.

Przekład dosłowny:

„Do jakiegoż więc kraju bardziéj (dla nas) życzliwszego niż ten, moglibyśmy przybyć z temi oto owiniętemi wełną gałęźmi błagalnic

w rękach. O bogowie, pod których opieką jest ten gród i ziemia i srebrzysta woda, bogowie najwyżsi i surowo karzący (przestępców), bogowie podziemni, mogił strzegący i Ty trzeci zbawco Zeusie, obrońco domostw ludzi cnotliwych! przyjmijcie przy życzliwém dla nas usposobieniu téj ziemi grono niewiast, błagających opieki, a zuchwałą rzeszę synów Egiptosa, zanim stąpią na tę ziemię piaszczystą, na prędko poruszanym wiosłami okręcie odpędźcie w pełne morze; tam zaś niech zginą wśród burzliwego uraganu, wśród grzmotów, błyskawic i deszczonośnych wiatrów rozszalałego morza, zanim kiedyś, przyswoiwszy sobie łoże sióstr swoich stryjecznych, do którego prawo boskie ich nie dopuszcza, wejdą na nie wbrew ich woli."

Przekład Kaszewskiego (str. 130).

W jakiejby też ziemi
Nas, wkraczające, przyjęto goręcéj
Niż tu, gdy idziem z błagalnemi wieńcy,
Z gałęźmi oliw wełną okrytemi?
O! grodzie, kraju, o! srebrzyste morze,
Bogowie wyżyn i bogowie nocy,
Mściciele z piekieł, i ty władco, boże
Zewsie, co prawym udzielasz pomocy,
Przyjmijcie dziewic wyrzucone grono
Świętym tchem kraju, bądźcie nam ochroną!
A gdyby ludzie z Egiptosa rodu
Śmieli przybliżać się do tego grodu,
Nim stąpią na grunt piaszczysty téj ziemi,
Odpędźcie w morze nawy skrzydlatemi.
Niech na nich wszystkie zerwą się orkany,
Błyski i gromy; wicher rozhukany
Wywróci wzdęte deszczem morskie tonie,
I niech ich otchłań zniszczywszy, pochłonie,
Nim się poważą dłońmi zuchwałemi
Rzucić na stryjowskie córy
Aby zawrzéć związek, który
Temis potępia na ziemi.

Przy przekładzie 23-go (24) wiersza tego ustępu:

ὧν πόλις, ὧν γῆ καί λευκὸν ὕδωρ

Kaszewski odstępuje od rękopisów i tekstu powszechnie przyjętego i robi, widocznie, taką konjekturę:

ὦ πόλι, ὦ γῆ καὶ λευκὸν ὕδωρ

i według niéj tłómaczy:

„O! grodzie, kraju, o! srebrzyste morze..."

Poprawa ta, jakkolwiek bardzo prawdopodobna, jest tutaj, zdaniem mojém, zupełnie zbyteczna, bo od tradycyi rękopisów tylko wtedy odstępować należy, gdy one nie dają należytego sensu; w danym zaś wypadku tekst w rękopisach przechowany daje myśl zupełnie zadawalniającą.

Pięknym jest przekład słów „bogowie wyżyn i bogowie nocy, mściciele piekieł", „świętym tchem ziemi", „nawy skrzydlatemi."

Myśl zawarta w wierszach (33—36 Kirch.), zaczynających się od ἔνθα δὲ λαίλαπι, wskutek nadzwyczajnéj siły wyrażenia bardzo trudno poddających się ścisłemu przekładowi, oddana jest wiernie i to w formie pod względem estetycznym w niczém oryginałowi nie ustępującéj.

3. Tekst grecki czterech następnych wierszy 71—74 Ahr.:

γοεδνὰ δ'ἀνθεμίζομαι
δειμαίνουσα φίλους τᾶσδε φυγᾶς (Ahr. δεῖμα μένουσα φίλους, τᾶσδε φυγᾶς
'Αερίας ἀπὸ γᾶς [Dindorf, editio quinta)
εἴ τις ἐστί κηδεμών

jest do tego stopnia zepsuty, że dosłowny ich przekład nie daje zadawalniającego sensu. W podobnych wypadkach Kaszewski sam, stosując się o ile można do tekstu, myśl w duchu poezyi Eschilosa bardzo pięknie odtwarza, jak o tém świadczą wiersze następujące:

I zrywam kwiaty żałoby,
Ucieczki lękam się mojéj,
Kraj mgławo w oczach mi stoi
O drogich myślę, — jeżeli
Ci jeszcze nie zapomnieli. (str. 131)

Obok wysokich zalet estetycznych odzwierciedla się również w przekładzie pewna szorstkość, właściwa poezyi bohatera z pod Salaminy, i jeżeli czytelnika razi w przekładzie porównanie Kasandry do „myśliwskiéj suki" (str. 259) lub epitet „złodziéj" nadany Apollinowi (str. 344), niech za to nie tłómacza, lecz samego autora wini.

W pięknym ustępie mowy Klitemnestry, w któréj wyrodna żona w przesadnych wyrażeniach mówi o swéj (naturalnie, udanéj) miłości do męża i wysławia jego zalety (str. 252):

oto pies obory
Filar wielkiego gmachu, to kotwica
Zbawcza okrętu, jedynak rodzica;
Ląd, co żeglarzom zrozpaczonym wróży
Ratunek, piękna pogoda po burzy,
Świeża spragnionym wędrowcom krynica

czytelnikowi może niepodobać się pod względem estetycznym porównanie męża do „psa obory", lecz niepodobałoby mu się to miejsce

i w oryginale (σταθμῶν κύων), bo tłómacz jest mu w tym razie literalnie wiernym.

W tych miejscach, które mogłyby być niezrozumiane przez czytelnika, nieobznajmionego dokładnie ze światem helleńskim, tłómacz zaraz na dole stronicy daje odpowiednie objaśnienia z geografii, mitologii, historyi i t. d., czyli t. zw. komentarz realny. Ze względu na to, aby objętości książki zbytnio nie powiększać, Kaszewski w objaśnieniach tych jest umiarkowany, znajdzie tam jednak czytelnik wszystko, co do zrozumienia tekstu jest niezbędne. Możnaby tylko dodać objaśnienia do wyrazów: „tymele" (str. 129), „Pan" (bożek pasterzy i trzód leśnych, str. 190), „Pean" (zbawca, tu mowa o Apollinie, str. 229), „Perseusz" (str. 314).

Obok wysokich zalet przekładu praca Kaszewskiego, jak każde dzieło ludzkie, nie wolna jest od pewnych stron ujemnych i usterek, na które zamierzam uwagę czytelnika zwrócić.

Przedewszystkiém zaznaczyć muszę brak wskazówek, na podstawie jakiego wydania przekład został dokonany, i brak objaśnień krytycznych, szczególniéj w tych razach, kiedy tłómacz od tekstu powszechnie przyjętego odstępuje. Nie jest to wprawdzie wadą przekładu, jednak brak tego rodzaju wskazówek uderza w pracy tak sumiennéj i w gruncie rzeczy krytycznéj. Ponieważ K. tyle trudu i mozołu poświęcił na porównanie ważniejszych wydań, mógł choć w krótkich słowach dać czytelnikowi odpowiednie objaśnienia i motywa, a praca jego wieleby na ścisłości naukowéj zyskała. W niewielu wypadkach wprawdzie tłómacz motywuje, dlaczego nie trzyma się ściśle tekstu ogólnie przyjętego (str. 311, 313, 320), choć i tu pożądana byłaby większa ścisłość. Tak na str. 320 Kaszewski mówi: „Niektóre wydania mają wyraz *nekros* zamiast *nebros;* pierwszy wydaje się mylnym, bo nie daje dobrego wyjaśnienia", a należałoby wskazać choć jedno wydanie, które daje wyraz *nebros*, przez tłómacza przyjęty. W tragedyi „Hiketides" („Błagające opieki"), pomiędzy wierszami 302 i 303, należącemi do chóru, w rękopisach brak jednego wiersza (patrz objaśnienia krytyczne Kirchhoffa do w. 297 str. 297). P. Kasz. dopełnia go (król: Czyim on się rodzicem stał, powiedz? Przod. chóru: królowéj—str. 139), nie objaśniając, na jakiéj podstawie: własnego przypuszczenia, czy téż jakiéj edycyi i jakiéj mianowicie?

Co się tyczy samego przekładu, w niektórych miejscach Kaszewski, formą wiersza rymowego skrępowany, myśl poety niezupełnie dokładnie wyraża i takich synonimów i wyrażeń dobiera, które z daną sytuacyą lub charakterem niezupełnie się zgadzają; niektóre wyrazy tłómacz zupełnie bez przekładu pozostawia, co zdarza się przeważnie

przy przekładzie długich wierszy greckich na krótsze; w innych znowu miejscach, ze względów czysto formalnych, dodaje wyrazy, których oryginał nie posiada. Niektóre tego rodzaju drobne usterki czytelnik mógł już dostrzedz w ustępach, które wyżéj przytoczyłem; tutaj dodam jeszcze po kilka przykładów.

Niedokładności w przekładzie:

1. Prometeusz w okowach v. 26—27 [1]. Hefestos mówi do Prometeusza: „ciężar obecnego cierpienia będzie cię zawsze (bezustannie) uciskał, bo nie urodził się jeszcze ten, co ma ci ciężaru ulżyć.” Kaszewski te dwa wiersze tak tłómaczy:

„Ciężar zła będziesz odczuwał boleśnie
Bez końca (?!), póki na świat nie powstanie
Ten, co ci przynieść ma uratowanie.”

2. Ibid. v. 179—180 Ahr., 181—183 Kirch.

Chór w tych słowach odzywa się do Prometeusza: „Jesteś zuchwałym i nawet w ciężkich nieszczęściach nic nie ustępujesz, a w słowach zbyt jesteś szczerym.”

Ustęp ten Kaszewski tak przekłada:

„Zawsześ dumny i zuchwały,
Mimo że ból ci doskwiera;
I twa mowa nie zbyt szczera.”

Błąd w ostatnim wierszu, jest prawdopodobnie pomyłką drukarską, zamiast „jest zbyt szczera” lub „nazbyt szczera.”

3. Ibid. v. 309—310 A. (313—314 K.)

W słowach Okeanosa: „zastosuj się do nowych obyczajów, bo i władca wśród bogów jest nowy” w przekładzie Kasz. nie zachowana jest gra słów: „Ty zmień obyczaje, skoro wzniósł się władca nowy.” (str. 95).

4. W tragedyi „Hiketides”, modlitwie do Zeusa zwróconéj, która zaczyna się słowami:

„Królu nad królmi, wiecznie szczęśliwy,
Siło nad siły, Zeusie, wszech panie!
Usłysz mą prośbę...”

Danaidy cokolwiek niżéj (str. 147, wiersz pierwszy od góry) nazywają Zeusa „gachem Ijony.” W oryginale greckim (Supplices v. 518)

---

[1]) Odpowiednie wiersze zwykle cytuję według edycyi Ahrensa (A) i Kirchhoffa (K), nie oznaczam wydania tylko w tych razach, kiedy numeracya wierszy w obu edycyach jest zgodną.

znajdujemy wyraz „*efaptor*", co w dosłownym przekładzie znaczy „dotykający." Ta ostatnia nazwa znajduje usprawiedliwienie w następnych słowach Prometeusza, zwróconych do Ijony:

„Syna wyda twoje łono,
Będzie to czarny Epafos, nazwanie
To z Zewsowego dotknięcia powstanie"

i w objaśnieniu Kaszewskiego, do tych wierszy dołączonych (Prometeusz w okowach, str. 112). Nie podejmuję się odnaléźć wyrazu, któryby tu grecki wyraz *efaptor* mógł zastąpić, nie podlega jednak najmniejszéj wątpliwości, że wyraz „gach", użyty przez tłómacza, jest tu zupełnie nie na miejscu.

5. Agamemnon, ustęp z mowy Klitemnestry, str. 243:

„Och, nie dopiéro, ale nocą jeszcze,
Gdy tu zabłysły pierwsze ognie wieszcze
O tym wypadku i zdobyciu Troi,
Radosny okrzyk wybuchł z piersi mojéj.
Szydzono ze mnie: „Lekkaż głowa twoja.
Po ogniu sądzić, że w popiele Troja!
Tak tylko łudzić może się niewiasta."

Trzem ostatnim wierszom przekładu odpowiadają następujące słowa oryginału (v. 568—571 K., v. 590—593 A.): i niejeden, gromiąc mnie, mówił: „uwierzywszy hasłom ogniowym, sądzisz, że Troja jest już teraz zburzona? Zaprawdę, tak się łudzić nadzieją jest właściwém kobiecie." Po takich słowach wydawałam się obłąkaną...

6. Choeforoj v. 102 A. (95 K.):

Dosłowny przekład: „Nic nie ukrywajcie w sercu wskutek jakiejkolwiek obawy."

Przekład p. K.: „Usuńcie z myśli uboczne powody."

7. Ibid. v. 170 A. (162 K.).

W oryginale: „Tego każdy łatwo może się domyśléć"; w przekładzie: „Dobry klucz wszystkie otwiera zakręty" (str. 292).

8. Ibid. v. 224 A. (216 K.) — słowa Elektry: „Ja mówię te słowa do Orestesa?"

Przekład: „Gdyś jest Orestem, mówże do mnie szczerze" (str. 294).

9. Ibid. v. 904—907 A. (897—900 K.) w słowach Orestesa:

„Pójdź! ja zabiję ciebie przy Egiście.
Żyw, był ci milszym od ojca; więc w grobie
Legniesz z nim razem. Ty kochasz zbrodniarza,
A kogo kochać winnaś, ten cię zraża" (str. 317).

czasownik „zraża" zbyt słabo myśl oryginału wyraża; czytamy tam: „a nienawidzisz tego, kogo kochać winnaś."

10. Eumenides v. 153: „Ty wydarłeś nam podstępnie matkobójcę, choć bogiem jesteś", p. K. tłómaczy: „Ty matkobójcę ratujesz, boże!"

Oto jeszcze kilka przykładów z tragedyi „Persowie":

11. Słowa przodownika chóru (v. 215—219):

„My nie chcemy, Matko, naszą mową ani cię zbytecznie przestraszać, ani uspakajać. Zwróć się z modlitwą do bogów i jeśli co niedobrego widziałaś we śnie, proś bogów, aby to odwrócili i aby szczęście spotkało ciebie i twoje dzieci, kraj i wszystkich przyjaciół."

Kaszewski tak przekłada:

Ni jednêm słowem, matko! mybyśmy nie chcieli
Straszyć cię lub zbytecznie upewniać. Jeżeli
Ponuro patrzysz, zwróć się do bogów, by w chwili
Ciężkiéj, ciebie i syna pobłogosławili,
I kraj i wiernych. (str. 182).

12. W słowach gońca (str. 184):

„Słuchajcie twierdze po Azyi całéj!
Słuchaj ty, ziemio perska, wspaniały
Porcie wszech bogactw, jak jeden cios
Druzgocze szczęścia wielkiego stos,
Jak Persyi cudny niszczeje kwiat!
Goniec przekleństwa, przeklęty sam,
Muszę ból wszystkich odsłonić wam:
Persowie cały wasz zastęp padł.

wiersze 3 i 2 od końca są niedokładnym przekładem następnych słów oryginału (v. 253—254): „Jakkolwiek przykro być pierwszym zwiastunem nieszczęścia, jednak zmuszony jestem odkryć przed wami, Persowie, całą niedolę..."

13. Na str. 185 w zdaniu: „Lecz człowiek musi znieść co przemocą narzucą bogi", wyrażenie „przemocą narzucą" niedokładnie myśl oryginału oddaje i têm bardziéj jest tu nie na miejscu, że słowa te pochodzą z ust bogobojnéj Atossy. Oryginał (Persae 293—294 A., 291—292 K.) natomiast daje: „Lecz muszą śmiertelnicy znosić to, co im bogowie przeznaczą."

14. Wiersz 373 A. (371 K.): „On (Kserkses) nie wiedział, co bogowie uczynić zamierzają." K. tak przekłada:

„A w myśli nie miał on boskich forteli" (str. 188).

Wyraz „forteli" niedokładnie myśl oryginału oddaje, a nawet, zdaniem mojém, nie odpowiada charakterowi, jaki Eschilos osobie gońca nadał, potrzebnym on był tu tłómaczowi jedynie do rymu (niżéj—rozumieli).

15. W ustępie (str. 197—198):

„Ty, niegdyś najszczęśliwszy z ziemskich synów, panie!
Do zazdrości twa dola w świetle była błoga:
Szczęsny, dla dobra ludu, żyłeś nakształt boga.
Błoga śmierć nim upadku grzmot doszedł twych uszu."

ostatni wiersz w dosłownym przekładzie tak się przedstawia: „I teraz ja zazdroszczę ci, bo umarłeś, zanim ujrzałeś otchłań nieszczęść."

16. W wierszu 719 A. (710 K.) wyraz grecki *talas* (= nieszczęśliwy) i cokolwiek niżéj 733 A. (w. 724 K.) wyraz *meleos* (= nieszczęśliwy, politowania godny) — oba te przymiotniki stosują się do króla Kserksesa, — Kaszewski tłómaczy „głupiec" (str. 198).

17. Wiersze 849—850 A. (841—842 K.), słowa Atossy:

„I pójdę z niemi (z nowemi szatami) spotkać dziecko moje,
By być miłemu w nędzy ku pociesze."

Ostatniemu wierszowi w oryginale odpowiada zdanie: „Nie opuszczę w nieszczęściu istoty dla mnie najdroższéj."

Opuszczenia.

Większych opuszczeń w przekładzie dostrzegłem dwa: w tragedyi „Persowie" opuszczone dwa wiersze: 260 i 261 według edycyi Ahrensa (259 i 260 według Kirchhoffa) pomiędzy strofą i antystrofą chóru na str. 184 i w tragedyi „Jędze" na str. 366 w mowie Orestesa pomiędzy wyrazami „ku szkodzie" i „Żegnaj"— 8 wierszy (757—764).

Częściéj napotykamy w przekładzie drobne opuszczenia słów pojedyńczych [1]).

[1]) Oto są przykłady:

Siedmiu pod Tebami:

v. 39 φέριστε „najlepszy" — przymiotnik, odnoszący się do Eteoklesa (str. 36 w. 18 od dołu).

v. 70 ἐρινύς „Erynja" (str. 37 w. 16 od góry).

v. 185 A. (168 K.) str. 40 w. 12 od góry pomiędzy wyrazami „posągami" i „padać" — πολισσούχων θεῶν, „bogów opiekunów miasta."

v. 261 A. (243 K.) — str. 43 po słowie „Powiédz" (wiersz 5-ty od góry) opuszczone wyrazy: „jaknajprędzéj, a wkrótce się dowiem" (ὡς τάχιστα καὶ τάχ' ἴσομαι

Dowolne dodatki w przekładzie.

Na str. 206 p Kaszewski mówi: „Znowu tu i daléj następuje wymienienie imion, zrozumiałe w swoim czasie; nomenklatura ta jednak tu mianowicie przeszkadza do utrzymania wiersza przekładu w formie rymowéj, bez jakichś omówień oryginałowi obcych. Stąd woleliśmy kilka wierszy puścić z obrażeniem formy rymowéj, niż zanieczyszczać tekst dowolnemi dodatkami." Téj zasady tłómacz, w całym przekładzie ściśle przestrzega; niekiedy jednak od niéj odstępuje. Tak zaraz na str. następnéj (207, drugi wiersz od góry) do imienia własnego Tarybis, dodaje dla rymu przymiotnik „sprawny", którego tekst grecki nie posiada. Nie mało dodatków oryginałowi obcych zawierają słowa Kserksesa na str. 207:

---

v. 384 A. (367 K.) — str. 46 w. 7 od dołu — przymiotnik κατάσκιος „rzucający cień", odnoszący się do rzeczownika λόφος (kita).

Prometeusz w okowach.

v. 23 str. 86 w. 15 od góry — ἀσμένῳ δέ σοι — „ku twemu zadowoleniu."

v. 66 (str. 87 wiersz ostatni) — πόνων — „O! Prometeju, boleję nad tobą zamiast „nad twemi cierpieniami."

v. 273 A., 276 K. — ὡς μάθητε διὰ τέλους τὸ πᾶν — „aby dowiedzieć się wszystkiego do końca", zdanie to opuszczone winno być pomieszczone po wierszu 14 od góry: „I posłuchajcie przyszłéj doli mojéj" (str. 94).

v. 795 A.—793 K. (str. 110 w. 6 od dołu) — κυκνόμορφοι „mające postać łabędzi" epitet Forkid.

v. 969 A., 968 K. (str. 116 w. 9 od dołu) przymiotnik πιστός — „wierny", odnoszący się do rzeczownika „posłem."

„Hiketides" (Błagające opieki).

v. 7815 A., 779 K.—str. 155 w. 18 od góry— γαιαοχε „dzierżący ziemię", epitet, nadany tutaj Zeusowi.

v. 941 A., 908 K.— str. 160 w. 6 od góry — przymiotnik εὐσεβής „bogobojny", stosujący się do rzecz. „słowy."

v. 955 A., 922 K. — str. 160 w. 15 od dołu — θράσος λαβοῦσαι „śmiało."

Persowie.

v. 941 A., 920 K. — str. 206 w. pierwszy od góry — δύσθροος „niestrojny" przymiotnik, stosujący się do rzecz. „śpiew."

v. 951 A., 928 K. — str. 206 w. 7 od góry — ἑτεραλκής „przechylający zwycięztwo na jedną z dwóch stron" (epitet Azesa).

v. 986 A., 963 K. — str. 207 w. 18 od dołu — ἀγαυός „sławny" przymiotnik odnoszący się do Persów).

v. 993 A., 968 K. — str. 207, przed słowami „Ksantys, który z Mardów ziemi..." καὶ μὴν ἄλλους γε ποθοῦμεν — „i innych również żałujemy."

Eumenidy.

v. 4 (str. 339 w. 3) ὡς λόγος τις — wedłng podania.

v. 396, 393 K.—str. 353 w. 7 od góry po słowie „usłyszałam"—πρόσωθεν „zdaleka."

Och, biada! biada mi, bogi!
Gród Aten s z a r y (?) [1]) złowrogi,
Och, nienawistny!... Tam oni
Po morskiéj sunąc się toni.
Och! na plusk wiosła, wpół chwili
U brzega się potopili.

W oryginale (973—976 A., 952—955 K.) natomiast znajdujemy: „O biada mi, biada! Ujrzawszy starodawne, nienawistne Ateny, ach wszyscy oni nieszczęśni od jednego uderzenia wioseł leżą na ziemi w drganiach przedśmiertnych."

Na str. 177 w. 21 od góry („Biegli wioślarze a dzicy") p. Kaszewski wyraz „*dejnos*" tłómaczy dwoma przymiotnikami: „dzielny" i „dziki." „Dejnos" rzeczywiście obadwa te znaczenia posiada, lecz w daném miejscu oznacza tylko jedno pojęcie, jeżeli więc tłómacz zrozumiał go w znaczeniu „biegli", drugi przymiotnik „dzicy" jest tu zbytecznym i chyba tylko do rymu potrzebnym (patrz wyżéj „stolicy").

Na str. 205 w. 6 od dołu, dowolnym dodatkiem są wyrazy: „Cóż wam rzeknę mężowie? (Porównaj grecki tekst Persae 912—914 K., 931—933 A.).

Tego rodzaju dodatków, choć wprawdzie niewiele moglibyśmy przytoczyć ze wszystkich tragedyi „Z pomroką" („Siedmiu pod Tebami" str. 46 w. 9 od góry) „niespokojnie" (ibid. str. 46 w. 8 od dołu), „téj ziemi" (ibid. str. 43 w. 7 od góry), „w czynie" (ibid. str. 57 w. 2 od góry), „według woli" („Prometeusz w okowach" str. 88 w. 12 od dołu), „podły" (ibid. str. 117 w. 10 od góry), „Gdy go zdjęła chęć mściwa" (Agamemnon str. 226 w. 4 od dołu); „zgoła" (ibid. str. 253 w. 5 od dołu), „młodéj" („Krwawy odwet" str. 289 w. 3 od dołu), „zdrowy" (str. 291 w. 7 od góry), „tajemniczy" (Eumenidy" str. 353 w. 9 od góry) i t. d.

Wyżéj przytoczone usterki, tyczące się dokładności i strony wewnętrznéj przekładu, są w większości wypadków tak drobne, że je tylko dla ścisłości sprawozdawczéj wykazałem, a w tak wielkiém

---

[1]) Jest to zapewne znowu pomyłka drukarska (zamiast „stary"), których w całéj pracy dostrzegłem około 30. Prostuję tu te pomyłki, które nadają przekładowi myśl niezgodną z oryginałem lub pod innemi względami w błąd wprowadzają czytelnika:

Str. 89 w. 7 od góry	czytamy:	przeszłość;	powinno być:	„przyszłość."
„ 131 w. 3 od dołu	„	I*ch*tysa;	„	Itysa.
„ 179 w. 15 od dołu	„	rzad,	„	rad.
„ 312 w. 12 od góry	„	*za* zwierzątko	„	„jak zwierzątko."
„ 347 w. 8 od dołu	„	„się"	„	„cię."

O pomyłce „materyalny" str. 33 będę mówił niżéj.

dziele prawie nieuniknione. Gdy porównamy cały przekład z oryginałem, zadziwi nas raczéj niewielka stosunkowo ich ilość wobec olbrzymich trudności, jakie tłómacz zwalczyć musiał, dążąc do ścisłego oddania myśli tak trudnego do zrozumienia autora w formie wiersza rymowego z zachowaniem wszystkich cech jego poezyi właściwych.

Forma przekładu nie jest również bez zarzutu. Dążność do ścisłości w oddaniu myśli odbija się ujemnie na budowie niektórych wierszy, sformowanych nieprawidłowo i nie harmonijnie. Niemiłe sprawiają wrażenie takie np. wiersze:

Jeśli w têm wszystkiém *coś ci się*, Ijono (str. 111 w. 9 od góry)
Dziś *wszy*stko w krótkiém *sło*wie usły*szysz*, Daryu*szu* (str. 198 w. 2 od góry).
Czemuż ci, Zew*sie*, *się* nie podobało (str. 205 w. 7 od góry).
Bo*leści*, co dusza pom*ieści* (str. 209 w. 5 od dołu).

Zdarzają się niekiedy wiersze, w których średniówka jest nie we właściwem miejscu, nap.:

Cały gród nasz ze szczętem. Choćby brzemię (str. 48 w. 12 od góry);
Rzeka buchła gwałtownie. Przybyć trzeba (str. 107 w. 2 od dołu);
Może ty mnie nie wierzysz?... bądź spokojny (str. 264 w. 10 od dołu);
Siwe, stare dziewice, bo się na nie (str. 341 w. 4 od dołu);
Loksjasza; bądź przeklętemu łaskawą (str. 348 w. 2 od góry).

Niektóre rymy zbyt często się powtarzają, np. rymy: który, mury, góry, chóry, tury—powtarzają się około 30 razy; również często rymuje tłómacz wyraz „ziemi” z 6 przyp. liczby mnogiéj zaimków i przymiotników (jakiemi str. 90, umarłemi str. 90, przezornemi str. 92, potężniejszemi str. 92 i t. d.)

Wadliwym jest sposób rymowania, jaki znajdujemy w następujących wierszach:

Mądrą myśl powziął pierwszy*ów*
I mądrych dla niéj dobrał słów (str. 113).

Dla rymu tłómacz poświęca niekiedy i zasady gramatyki i czystość języka i jasność myśli, nadając wyrazom taką formę, w któréj myśl trudno zrozumiéć.

Dla rymu posiłkuje się tłómacz takiemi formami gramatycznemi: Helleni (téj formy używa tłómacz nie tylko w przekładzie „Persów”, lecz nawet w studyum o Eschilosie, str. 22 w. 16 od dołu), żywie (str. 253 w. 12 od góry), nie żywie (str. 254 w. 9 od góry), na nię (= na nią t. j. śmierć str. 264 w. ostatni), u Iliona (= u Ilionu, str. 271 w. 3 od dołu), niebios*y* (1 przyp. liczby mnogiéj, zamiast niebiosa, str. 269 w. ostatni), do szczęt*a* (zamiast do szczętu, str. 349 w. 13 od dołu, str. 358 w. 16 od góry), zadźwięcz*y*ły (zamiast zadźwięcz*a*ły, str. 315 w. 10 od dołu).

W środku wiersza także niekiedy napotykamy formy nieprawidłowe i wyrazy użyte nieodpowiednio „kolc*yma*” (zamiast „kolcami” str. 99 w. 6 od góry), Tebów zamiast Teb lub tebańczyków (str. 177 w. 20 od góry), d y c h a j ą męstwem krwawem (str. 36 w. 5 od dołu), trwożnie wieść o nim s ł a n i a s i ę po świecie (str. 251 w. 13 od góry).

Oddając imiona własne greckie na język polski Kaszewski kieruje się często nie jakąś stałą zasadą, lecz warunkami wiersza polskiego lub nawet własném „widzi mi się”, a jedno i to samo imię często nawet na téj samej stronicy przyjmuje formy odmienne, np. Eteokles-Eteokl (str. 35) Eteoklesie (str. 36); Zeus—Zews (str. 101, 227), Argus-Argos (str. 103 i 106—mowa tu nie o krainie Argos, lecz o postaci mitycznéj), Atreusz i Atrej str. (276), Orestes i Orest (str. 291), wyrocznia Apol*a* (str. 106 w. 20 od góry) moc Apo*llona* (str. 350 w. 7 od góry), wyroczni Apo*lla* (str. 305 w. 16 od góry) do świątyni Apollina (str. 328 w. 8 od góry), Prometeusz i Prometej i t. d. Nie stosownemi również wydają się nam nazwy wysp „Andra”, „Mikona”, „Ikaryna” zamiast „Andros”, „Mikonos”, „Ikaros”, według analogii z Lesbos, Chios, Samos” (str. 204). Bożek wina zjawia się niekiedy w postaci „Bacha” (str. 340), a towarzyszące mu nimfy pod nazwą „Bachijek” (str. 340).

Rozumiemy naturalnie, że czasami bywa bardzo trudno pomieścić w ramy wiersza takie formy imion własnych, jak np. Prometeuszowi, Prometeuszu i t. d. i to właśnie zmusza tłómacza do posiłkowania się formami krótszemi; lecz taką niestałość w oddawaniu imion własnych napotykamy nawet i w studyach Kaszewskiego pisanych prozą, gdzie nie był skrępowanym wymaganiami rymu i rytmu; np.: Ijo (str. 80, 124, 125) „Ijona (str. 81) — O*ce*anidy (str. 79 w. 10 od góry), O*ke*anidy (str. 8 w. 10 od góry).

Niektóre wyrazy, szczególniéj złożone, Kaszewski tak na język polski tłómaczy, że jakkolwiek są dosłownym słów greckich przekładem, jednak nie jasno myśl oryginału oddają lub nieestetyczne sprawiają wrażenie; np. „habrodiajtoj”—m i ę k k o żyjący, (str. 177, w. 20 od dołu) „polyanor” (tym przymiotnikiem poeta nazywa Helenę) „wielomęska” (str. 277 w. 21 od góry).

W ustępie:

> Weszła w kraj Azyi, więc na dziedziny
> Frygijskie, p e ł n e b y d l ę c y c h trzód (str. 147).

przymiotnik „bydlęcy” sprawia nieestetyczne wrażenie, a użyty tu zupełnie bez potrzeby, bo tekst grecki posiada „melobotu Frygias”, co znaczy Frygji, karmiącéj stada owiec”.

Nieudatnym pod względem estetycznym jest przekład v. v. 1048—1049 Ahr. (1019—1020 K.) tragedyi „Persowie”:

Kserkses.—Odbrzmiewaj na moje wciąż łkanie.
Chór. — Jam gotów; odbrzmiewam ci panie! (str. 210).

Wiersze te, trudno poddające się ścisłemu przekładowi, w oryginale taką myśl wyrażają: Kserkses.—„Krzycz więc, odpowiadając na moje łkanie". Chór.—„Ja czynię to władco".

Niekiedy p. Kaszewski buduje zdania, nieprawidłowe pod względem składni, co rozumienie przekładu utrudnia, np.:

Prosto i stanowczo pada
Wyrok Zewsa, gdy doń rada
W głowie jego w czyn dojrzeje.

„Doń" należy tu rozumieć w znaczeniu „do wyroku", lecz wyrażenie „rada do wyroku", nie jest prawidłowem; zamiast „gdy doń rada" mógł tłomacz powiedzieć „kiedy rada...", a myśl była by zrozumiałą.

Budowa niektórych pieśni chóralnych w przekładzie Kaszewskiego nie zupełnie odpowiada oryginałowi. W tragedyi greckiéj pieśni te dzielą się na strofy i antystrofy, których w jednéj pieśni może być cały szereg; za szeregiem strof i antystrof często następuje całość rytmiczna, „epodos" zwana. Każda strofa pod względem ilości wierszy i ich budowy odpowiada następującej po niéj antystrofie. Wiersze pojedyncze każdéj strofy zwykle różnią się budową jeden od drugiego, choć może być kilka wierszy jednakich, lecz każdy wiersz antystrofy musi mieć zupełnie taką samą budowę, jak odpowiedni wiersz strofy. Każde następne połączenie strofy i antystrofy ma budowę odmienną od pierwszéj pary.

Moglibyśmy przytoczyć nie mało ustępów, w których Kaszewski oddaje bardzo wiernie misterną budowę chórów Eschilosa, o ile na to pozwalają warunki wiersza polskiego, i buduje je według wskazanéj wyżéj zasady. Nie ma tam wprawdzie téj rozmaitości w budowie poszczególnych wierszy, właściwéj oryginałowi, bo wiersz nasz nie posiada téj rozmaitości rytmu, jaka charakteryzuje metrykę grecką; lecz i za pomocą tych środków, jakiemi tłómacz rozporządzał, wywołuje w czytelniku to samo wrażenie, jakie oryginał sprawia. Dla przykładu przytaczam ten wyjątek z chóru tragedyi „Persowie", w którym starcy wywołują z grobu cień Daryusza.

Strofa 1.

Duchu szczęśliwy! duchu przeczysty!
Podobny bogom królu, mój panie.
Słyszysz li moje głośne wołanie
W mowie ojczystéj?
Wzywam cię jęki nieskończonemi,
Okrzykiem bólu,

Wzywam cię królu!
Czy ty mnie słyszysz, duchu z pod ziemi.

Antystrofa 1.

Słuchaj mnie, Ziemio! słuchajcie pieśni
Mojéj, książęta podziemnéj nocy!
Wypuśćcie ducha z grobowéj cieśni!
On pełen mocy.
Bóg Persów, niech się zjawi na świecie
Suzyany dziecię!
Nigdy mogiła
Perska równego jemu nie kryła.

W przytoczonym ustępie strofa nie tylko ilością wierszy (8) antystrofie odpowiada, lecz każdy wiersz strofy ma tę samą ilość sylab, ten sam rytm, tę samą średniówkę i tego samego rodzaju rym (męzki), co odpowiadający mu wiersz antystrofy.

Nie wszędzie jednak w przekładzie budowa pieśni chóralnych jest tak misterną. Często antystrofa nie odpowiada strofie pod względem ilości zgłosek wierszy odpowiednich, ich rytmu, rymu (męzkiego lub żeńskiego) i średniówki, czasami pod względem ilości wierszy, niekiedy—pod wszystkiemi temi względami. Tak np. na str. 45 strofa trzecia ma 17 wierszy, a odpowiadająca jéj antystrofa—12; wszystkie wiersze strofy mają po 8 zgłosek i rytm trocheiczny, a wiersze antystrofy po 8 zgłosek i rytm amfibrachiczny.

Oto jest spis miejsc, w których odpowiedniość chórów greckich w przekładzie jest nie zupełnie zachowaną:

Siedmiu pod Tebami: str. 45—46 strofa i antystrofa 3;

str. 47—48, strof. i antystr. 1; str. 49—51 strofa i antystr. 2;

str. 52 — 54 strofa i antystr. 3; str. 57—59 strofa i antystr. 1, 2, 3, 4, 5.

Prometeusz w okowach: str. 89—90, strofa i antystr. 1; str. 90—91 strofa i antystr. 2; str. 102, strofa i antystr. 1.

Ucieczka: str. 140—141; strofa i antystr. 1; str. 141 — 142 strofa i antystr. 2.

Persowie: str. 204, strofa i antystr. 2 i 3.

Agamemnon: str. 238, strofa i antystr. 3; str. 246 strofa i antystr. 1 i t. d.

Dość często napotykamy w przekładzie taką budowę pieśni chóralnych, jaką wskazuje następujący przykład:

Strofa 2.

Jak dyszący śmiercią smok
Swój błękitno lśniący wzrok,

Płomienisty, rzuca wkrąg,
Tak on wielkiem mnóstwem rąk
Mnóstwem statków, w strasznéj grozie
Na syryjskim stojąc wozie,
Na ludności w dzidy zbrojne
Z łuków straszną rzuca wojnę.

Antystrofa 2.

Gdy ten wir zaszumi srodze,
Nie ustoi mu na drodze
Żaden zastęp; kiedy w szale
Puszczą się te morskie fale,
Żadna ich nie ujmie tama:
Wojsko perskie to moc sama.
Niedostępna ta drużyna
Nigdy w boju się nie zgina. (str. 178—179).

Tutaj strofa odpowiada antystrofie pod wszystkiemi względami z wyjątkiem rymu i ilości zgłosek wierszy odpowiednich: pierwsze cztery wiersze strofy mają rym męzki i po 7 sylab, a odpowiadające im wiersze antystrofy—rym żeński i po 8 sylab. W tym i podobnych mu wypadkach tłómacz kieruje się zasadą, że pauza, jaka po rymie męzkim następuje, wynagradza brak jednéj sylaby w porównaniu z odpowiednim wierszem antystrofy. Jest to zupełnie słuszne, miara tego rodzaju wierszy (siedmiozgłoskowego z rymem męskim i ośmiozgłoskowego z rymem żeńskim) będzie jednaką, lecz końcówka męzka nadaje wierszowi i całéj strofie charakter zupełnie odmienny, zatraca się więc tu harmonia i jedność, któremi strofa z antystrofą są w oryginale połączone.

Znaczna ilość wypadków niezachowania w przekładzie drobnych szczegółów, jakiemi odznacza się budowa pieśni chóralnych w oryginale, bynajmniéj nas nie dziwi, bo chóry wobec zawiłości języka i myśli w nich zawartych, a ze względu na zły stan rękopisów, które w tych właśnie miejscach bywają najwięcéj skażone, i zawikłaną budowę metryczną, należą do najtrudniejszych części dramatu greckiego. Tłómacz zrobił to, co w tych warunkach zrobić było można.

Jeszcze dwa drobne szczegóły, zewnętrzną stronę poezyi Eschilosa charakteryzujące, niekiedy w przekładzie nie bywają dostatecznie uwzględnione.

Eschilos nie zna podziału jednego wiersza pomiędzy dwie osoby, biorące udział w dyalogu. We wszystkich jego tragedyach znajdujemy tylko jeden tego rodzaju wypadek (Prometheus v. 979 ed. Kirchhoff), choć i ten wątpliwości podlega, ponieważ nie jest poparty powagą najwiarogodniejszego rękopisu (c. Mediceus).

W przekładzie p. Kaszewskiego zdarza się to kilkanaście razy (str. 40, 42, 43, 59, 88, 98, 101, 108, 117, 139, 290, 292, 316, 360).

U Eschilosa, również jak u wszystkich tragików greckich, dążność do harmonii i symetryi ujawnia się nie tylko w misternéj bodowie pieśni chóralnych, ale i w dyalogu: bardzo często pomiędzy osobami, udział w nim biorącemi, wiersze tak są podzielone, że na każdą osobę wypada stale jednakowa ich ilość, najczęściéj po jednemu; nazywa się to „stichomytia."

Tłomacz w większości wypadków uwydatnia ten szczegół w budowie dyalogu, choć nie zawsze. Nie zachowaną jest „stichomytia" w miejscach następujących: str. 42 ostatnie 3 wiersze (Septem adv. Thebas v. 257 A. 239 K.), str. 57 wiersze 2 i 3 od góry (Septem adv. Thebas v. 713 A. 720 K.), str. 59 w. 8 i 6 od dołu (ibid. v. 806 A, 788 k.), str. 93 w. 16 i 17 od góry (Prometheus v. 247 A., 251 K.), str. 117 (ibid. v. 978 A., 977 K.; 983 A., 982 K.), str. 253 w. 6 i 5 od dołu (Agamemnon v. 939 A., 903 K.), str. 318 w. 7 i 8 od góry (Chöeph. v. 925 A., 918 K.).

W miejscach wyżéj przytoczonych tłómacz jeden wiersz oryginału przekłada za pomocą dwóch, a nawet w jedném miejscu (str. 42) za pomocą 2½ wierszy, wskutek czego zatraconą została tutaj nie tylko „stichomytia", ale i zwięzłość, oryginałowi właściwa.

Bezstronność jednak nakazuje mi przyznać, że we wszystkich prawie tych miejscach nie udało mi się oddać nawet prozą w formie jasnéj i zrozumiałéj jednego wiersza oryginału jednym wierszem przekładu. Czy to jest nie możebnem wogóle, czy tylko dla mnie? na to pytanie nie decyduję się dać kategorycznéj odpowiedzi.

Kaszewski, wogóle mówiąc, stara się o to, aby każdy wiersz oryginału tłómaczyć również jednym wierszem i choć to mu się nie zawsze udaje, szczególniéj w pieśniach chóralnych, jednak ogólna suma wierszy oryginału i przekładu nie o wiele się różni. W oryginale waha się ona w różnych wydaniach pomiędzy 7984 i 8117, w przekładzie jest około 8500 wierszy. Różnica pomiędzy wydaniem Ahrensa, z którego głównie tłómacz korzystał, a przekładem Kaszewskiego, około 400 wierszy, w przekładzie dodanych, czyli około 4 wiersze dodane na każdą setkę.

Brak numeracyi wierszy w przekładzie Kaszewskiego bardzo dotkliwie odczuwać się daje.

IV.

Książka Kaszewskiego daje nie tylko komentowany przekład tragedyi Eschilosa. Poprzedza go cenny i wielce zajmujący wstęp p. Chmie-

lowskiego, zawierający trafną ocenę prac poprzedników Kaszewskiego w zakresie zaznajomienia publiczności naszéj z dziełami tragika greckiego, którym bardzo niewiele zajmowano się u nas w wiekach ubiegłych. Dowiaduje się ztąd czytelnik, że najpierwszém, w druku ujawnionéın zdaniem o wartości jego utworów było to, jakie się pojawiło r. 1766 w przekładzie książki „Juvenel de Carlancas", dokonaném przez ks. Adama Czartoryskiego p. n. „Historya nauk wyzwolonych". Pierwszą próbę tłómaczenia dał dopiéro w r. 1851 Lucyan Siemieński, zamieszczając w „Bibliotece Warszawskiéj" przekład prozaiczny znacznego ustępu z „Agamemnona". Krytyk słusznie zarzuca mu, że dążąc do pięknego frazesu, nieraz zbyt daleko od tekstu odstępował. Największe zasługi względem Eschilosa położył u nas Zygmunt Węclewski, nauczyciel gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu, a następnie profesor filologii klasycznéj w szkole Głównéj warszawskiéj. Oprócz wielu artykułów o studyach nad greczczyzną w Polsce i o teatrze greckim, oprócz „Historyi literatury greckiéj" i odczytów o tragedyi greckiéj dał on w r. 1873 przekład wszystkich tragedyi Eschilosa. Przyznając sumiennemu i zamiłowanemu w swoim przedmiocie filologowi „ścisłe zrozumienie tekstu i wierne jego odtworzenie", p. Chmielowski wykazuje w tym przekładzie „brak swobody w układzie zdań, brak polotu poetyckiego w wyrażeniach, użycie słów ukutych przez siebie dość nieszczęśliwie, albo téż nie w téj formie, w jakiéj one się znajdują w mowie powszechnéj literackiéj, szyk wyrazów wymuszony, dla zachowania rytmu". Przekład ten dokonany był wierszem miarowym, w pieśniach chóru rymowanym.

Zapatrywanie się krytyka na wartość przekładu Węclewskiego w zasadzie podzielam, wydaje mi się jednak, że p. Chmielowski jest zbyt pobłażliwym, gdy twierdzi: „kto nie może czytać oryginału greckiego, ten z tych tłómaczeń poweźmie bardzo dokładne pojęcie nie tylko o ogóle utworu danego, ale o wszystkich znamiennych jego szczegółach, zawiłości nawet nie wykluczając." Przekład ten, zdaniem mojem, nie może dać „bardzo dokładnego pojęcia" o oryginale wobec tego, że strona estetyczna oryginału jest w nim prawie zupełnie pominięta. Wszak forma zewnętrzna, oraz harmonia pomiędzy nią a stroną wewnętrzną utworu stanowi jedną z najbardziéj znamiennych cech dzieł sztuki starożytnéj wogóle, a Eschilosa w szczególności.

Przekład 5 tragedyi Eschilosa („Agamemnon", „Prometeusz", „Persowie", „Ofiarnice", „Eumenidy"), dokonany w różnych latach przez sławnego historyka i poetę, Józefa Szujskiego, a ostatecznie razem w r. 1887 w Krakowie po śmierci tłómacza wydany, odznacza się wielu zaletami pod względem estetycznym, jednak nie jest zupełnie

zadawalniającym, bo „Szujski trochę zanadto swobodnie z tekstem postępował i zamiast odtworzenia oryginału dawał jeno analogie; wiersz miarowy w dyalogach budował nieprawidłowo, a prócz tego mało szanował język polski i posługiwał się formami i zwrotami, którym zalety poprawności odmówić nieraz wypada; czasem znów używał wyrazów gwarowych, niezrozumiałych dla większości czytelników, a te wyrazy gwarowe nie zawsze we właściwéj brał postaci".

Przechodząc następnie do przekładu Kaszewskiego, p. Chmielowski poświęca mu kilkanaście wierszy i oceniając wartość téj pracy, nazywa ja „trwałym pomnikiem w dziejach piśmiennictwa naszego."

Po słowie wstępném p. Chmielowskiego idzie obszerne studyum tłómacza o Eschilosie. Znajdujemy tu najpierw biografię tego poety; następnie, aby usprawiedliwić nazwę „ojca dramatu greckiego", jaką Eschilosowi w historyi literatury nadano, Kaszewski kréśli treściwą historyę powstania teatru greckiego, charakteryzuje działalność poprzedników jego Tespisa i Frynicha; daléj mówi o reformach, jakie Eschilos zaprowadził w teatrze greckim i podaje charakterystykę działalności jego twórczéj. Tę część pracy zamyka krótka historya poglądów na Eschilosa, poczynając od lekceważącego i zimnego zachowania się względem naszego poety Arystotelesa, kończąc pełnym głębokiego uznania sądem Hip. Taine'a. Każdą tragedyę poprzedzają obszerne objaśnienia co do jéj układu i myśli przewodniéj.

W téj części pracy Kaszewski okazuje gruntowną znajomość przedmiotu i najcelniejszych badań uczonych, na które się niejednokrotnie powołuje, co mu bynajmniéj nie przeszkadza do samodzielności w sądach własnych.

Wykład jego wogóle jest treściwy, zajmujący i dostępny, niektóre jednak miejsca rażą czytelnika pewną niejasnością. Mówiąc o początkach dramatu greckiego (str. 4), taki okres zamieszcza:

„Jeżeli za zasadę przyjmiemy, że sztuka, wogóle, dzięki wrodzonemu człowiekowi usposobieniu do naśladowania natury (Arystoteles, Poetica 4) poczyna się tam, gdzie on usposobienie to objawia w czynie, wywołując razem radość w sobie z kształtów przez się stworzonych, a w drugich zadowolenie z widoku tych kształtów, to oczywiście za poczęcie dramatu w poezyi uznać musimy chwilę, w któréj człowiek, folgując téj skłonności naśladowniczéj, mówił o innym człowieku nie tak jak o osobie drugiéj, ale go żywcem wcielał i przedstawiał, siebie niejako zamazując, unicestwiając, a natomiast stawiając tę osobę drugą w pewnéj sytuacyi wrażeniowéj i indywidualnéj".

Myśl tu wyrażona dopiéro po kilkakrotném przeczytaniu staje się zrozumiałą.

Niekiedy łatwemu rozumieniu wykładu Kaszewskiego przeszkadza użycie wielu wyrazów obcych, co nie powinno mieć miejsca w dzie-

le, dla szerokiego ogółu czytelników przeznaczoném. Tak np. na str. 2 używa on wyrazu „dydaskalia”, nie objaśniając jego znaczenia. Wyraz ten używa się zwykle dla oznaczenia spisu poetów, którzy stawali do konkursu dramatycznego, oraz utworów na konkurs przedstawionych i „protagonistów” t. j. pierwszych aktorów; tu jednak ma znaczenie tetralogii t. j. połączenia trzech tragedyi i jednego dramatu satyrowego. Na str. 5 napotykamy około 30 wyrazów pochodzenia obcego. Naturalnie nic nie można mieć przeciwko użyciu takich słów obcych, które w naszym języku prawo obywatelstwa zyskały i dla wszystkich są zrozumiałe; i tu jednak uczony lingwista téj miary, co Kaszewski, mógł by się przyczynić do zastąpienia tych wyrazów swojskiemi, a znajomość języka polskiego i właściwe mu poczucie piękna i w tém by go z pewnością nie zawiodły. Ale na str. 5 napotykamy takie wyrazy, jak suggestya, agonista, rudymentarny, efemeryczny, intuicya inicyatora, teorya (w znaczeniu „uroczyste widowisko”) teoryjny, z których jedne mają w naszym języku słowa odpowiednie, drugie przyczyniają się do niejasności wykładu.

Na szczęście w innych miejscach dzieła nie napotykamy tak wielkiéj ilości wyrazów pochodzenia obcego i tylko na str. 5 nagromadziło się ich tak wiele.

Na téj saméj (5) str. Kaszewski w historyi rozwoju dramatu greckiego przypisuje zbyt wielkie, zdaniem mojem, znaczenie Tespisowi, uważając za rzecz pewną, że on właśnie wprowadził do przedstawień chóralnych żywioł naśladowniczy. W rozprawie ocenę przekładu poprzedzającéj starałem się udowodnić, że już przed Tespisem żywioł naśladowniczy bardzo ważną odgrywał rolę we wszystkich ludu greckiego obrzędach, nie podobna więc przypuszczać, aby go dopiéro Tespis w VI w. do uroczystości Dyonizosa wprowadził; daleko więcéj uzasadnioném jest przypuszczenie, że Tespis dyalog ożywił i wzmocnił żywioł naśladowniczy tém, że obok przodownika chóru wprowadził aktora.

Ocena działalności dramatycznéj Eschilosa jest bardzo trafna i wierna. Świetnie wyjaśnia tu Kaszewski znaczenie wprowadzenia przez Eschilosa drugiego aktora i usprawiedliwia brak akcyi dramatycznéj, szczególniéj w pierwszych jego utworach, zaznaczając stopniowy jéj rozwój w utworach następnych. Charakterystyka wewnętrznéj strony poezyi Eschilosa jest głęboka, bo opiéra się na gruntownéj znajomości jego utworów.

Wobec téj właśnie znajomości utworów tragika greckiego, jaką Kaszewski objawia na każdym kroku, tém więcéj nas dziwi następująca okoliczność. Zapomina on zupełnie, że już Eschilos, idąc za

przykładem swego młodszego współzawodnika Sofoklesa, w drugiéj połowie swéj działalności posiłkował się trzema aktorami. Jeżeli Kaszewskiego nie dość o tém przekonywa ta scena z Prometeusza, w któréj Hefestos, Kratos i Bia przykuwają Prometeusza do skały (Bia również, jak i Prometeusz podczas téj sceny nic nie mówią), to już chyba wątpić o tém nie pozwala budowa tragedyi „Choeforoj", która przez dwóch aktorów w żaden sposób wykonaną być nie mogła, bo w obrazie poprzedzającym zabójstwo Klitemnestry na scenie jednocześnie pozostają trzy osoby (Orestes, Pilades i Klitemnestra) i, co najważniejsza, wszystkie one biorą udział w dyalogu, jak o tém Kaszewski dowodnie się przekonał podczas przekładu (str. 317). Na str. 8 tłómacz mówi wprawdzie: „Jest wszelako jedna wskazówka oczywista, że mając już do walczenia z Sofoklesem, który go jeśli nie w pomysłach, to w technice i budowie dramatycznéj prześcigał, Eschilos korzystał z jego znowu wzorów", lecz w dalszym ciągu rozprawy o tém do pewnego stopnia zapomina, twierdząc (na str. 12 i następnych), że brak trzeciego aktora paraliżował poetę w rozwoju akcyi i w wywoływaniu pewnych efektów. Nie dla braku trzeciego aktora „Agamemnon uchodzi ze sceny wcześnie i nawet ginie za sceną, wbrew efektowi, jaki by mogła unaoczniona śmierć jego sprawić" (str. 13), ale właśnie dla uniknienia tego „efektu", ponieważ publiczność ateńska była zbyt wrażliwa na takie sceny krwawe, a przedstawienie na scenie zabójstwa lub śmierci, jak to ma miejsce w „Ajasie" Sofoklesa, należy do rzadkich wyjątków. Nie ukradkiem więc tylko w postaci chóru i jéj przodownicy w „Eumenidach", jak to twierdzi p. K. (str. 13, 14), lecz jawnie wprowadził Eschilos, za przykładem Sofoklesa, trzeciego aktora, aby z większém powodzeniem z nim spółzawodniczyć.

Studya, poprzedzające każdą tragedyę, są również cenne, zajmujące i wiele przyczyniają się do dokładnego ich rozumienia. Bardzo obszerne są objaśnienia do „Prometeusza", „Agamemnona" i „Eumenid". Wyjaśnieniu idei pierwszéj z wymienionych tragedyi już w studyum o Eschilosie autor wiele poświęcił miejsca. Tutaj daje objaśnienia mitologiczne, a następnie, określając w należytém oświetleniu treść tego utworu i fizyognomię moralną głównego bohatera, bardzo pięknie charakteryzuje ustęp, w którym Prometeusz mówi o dobrodziejstwach cywilizacyjnych, jakie zawdzięczając jemu, dostały się ludziom w udziale: „Tu poeta zbił stu Prometeuszów w jeden symbol nieśmiertelny, sto wieków w jeden wiek, ale niemniéj część tego, co opisał, było dziełem jednego narodu, jedną myślą grecką, która działając i krzątając się od maczugi Heraklesa, przeszła przez wąwóz termopilski i spoczęła na kopule Partenonu".

W pierwszych wierszach rozprawy, poświęconéj „Ucieczce", nadanie téj tragedyi tytułu, nieodpowiadającego greckiemu wyrazowi „Hiketides" tłómacz tém usprawiedliwia, że język nasz odpowiedniego wyrazu nie posiada. Już pomijając to, że tytuł nadany téj tragedyi przez tłómacza nie zupełnie odpowiada jéj treści, trudno się zgodzić na taką zmianę tytułów utworów starożytnych, bo przez to wprowadza się niepotrzebne zamieszanie. Przeczytawszy tytuł „Ucieczka", czytelnik nie łatwo się domyśli, że mowa tu o greckiéj tragedyi „Hiketides". Już lepiéj było by, zdaniem naszem, nadać jéj tytuł „Błagające opieki", „Błagalnice", lub nawet tytuł grecki pozostawić. Bez potrzeby również Kaszewski zmienia tytuł tragedyi „Choëforoj" na „krwawy Odwet", gdyż wyraz „Ofiarnice" dokładnie znaczenie greckiego tytułu odtwarza. Tytuł „Eumenidy", jako imię własne, także należało pozostawić bez zmiany, a nie tłómaczyć wyrazem „Jędze".

Ostatnie dzieło Eschilosa trylogia „Oresteja" objaśniona jest wszechstronnie. W studyum o Eumenidach zestawienie Orestesa z Wilhelmem Tellem Schillera z jednéj strony, a Judytą Hebbla z drugiéj— jest bardzo piękne i myśl Kaszewskiego wybornie ilustruje. Zastanawiając się nad ideą téj tragedyi, Kaszewski pomieszcza następujące słowa, pełne głębokiego znaczenia i charakteryzujące zadanie teatru w starożytności: „Rzadko która z tragedyi Sofoklesa i Eschilosa nie opiéra się o jakieś prawo moralne, nie interpretuje go, nie popada, po dzisiejszemu mówiąc, w tendencyjność. „Jędze" odznaczają się tém w najwyższym stopniu. Cóż począć, kiedy powszechność grecka lubiła miéć taki teatr, któryby jéj tłómaczył myśli boże, obowiązki ludzkie, stosunki moralne i wiązał je z tradycyami narodowemi. Może to zły gust, znak niedojrzałości, że ogół mniéj dbał o intrygę i sceniczność, dwa filary teatrów dzisiejszych, niż o treść moralnie i historycznie porywającą; może to było źle, ale tak było, i poeci, dzieci wieku, szli za tém usposobieniem, co im nie przeszkadzało kształcić sceny w jéj warunkach specyalnych" (str. 327).

Na str. 331 wkradła się pomyłka drukarska, która koniecznie wymaga sprostowania. Mówi tu K. o sporze, w którym Apollo zarzuca Jędzom, dla czego one, tak zawzięte przeciwko matkobójcy, płazem puściły mężobójstwo Klitemnestry? Te zaś odpowiadają tylko, że zbrodniarka nie była z zamordowanym połączona węzłem krwi. W dalszym ciągu K. powiada: „Interpelowane dają odpowiedź wymijającą i która do pewnego stopnia dla dzisiejszych czytelników była by gorszącą, gdyby nie to, że Eumenidy, które zrodziły się bez ojca, jako boginie starego okresu, utrzymującego w rodzinie porządek materyalny, głównie mszczą się za matkę, jako za prawowitą podstawę rodu, a to

wbrew Apollinowi, który, odwrotnie, wyobraża porządek patryarchalny, zaprowadzony od czasów Zeusa, ojca nowych bogów, i dla tego sam powołuje syna do pomsty za śmierć ojca; a stąd z obu stron zachodzi pewna obojętność, tam dla płci męskiéj tu dla kobiecéj, co się dopiéro wyjaśnia w kontrowersyi czwartego Epejsodyonu, między Jędzami, Apollinem i Ateną, która powstała bez matki".

Gdy usuniemy pomyłkę drukarską i zamiast „materyalny" pomieścimy „matryarchalny" (jest to, o ile mi się zdaje neologizm, który K. stworzył według analogii z „patryarchalny") ustęp ten stanie się dla nas zrozumiałym, a objaśnienie zadawalniającém.

Wszystkie te studya, poprzedzające przekład każdéj tragedyi, mają wielkie znaczenie ze względu na wierną ocenę, jaką tłómacz o każdym utworze ustanawia, zaczynając od „Ucieczki", w któréj widoczne są ślady pochodzenia dramatu z pieśni chóralnych, kończąc arcydziełem Eschilosa „Oresteją." Wskazując we wszystkich tych utworach to, „co wyobraża trwałe i powszechne ducha ludzkiego pierwiastki", i wszędzie jak w „Persach" zadając sobie pytanie, czy autor spełnił to, co mógł spełnić w warunkach swego czasu i umysłu, Kaszewski słusznie powstaje przeciw krytyce, oceniającéj dzieła wieków ubiegłych według własnego gustu i wymagań spółczesnych.

Dzięki tym studyom i komentarzowi, który tłómacz daje u spodu w miarę potrzeby, przekład ten mogą czytać z korzyścią nawet osoby, ze światem starożytnym mało obeznane. Nie tylko ci jednak, dla których Eschilos nie jest dostępnym w oryginale, książkę Kaszewskiego chętnie przeczytają, lecz wszyscy, dla których losy naszego piśmiennictwa nie są obojętne. Może ona oddać ważne usługi filologom, dopiéro zaczynającym czytać Eschilosa w oryginale, gdy z zawiłościami greckiego tekstu rady sobie nie dadzą. Książka ta może zastąpić wiele dzieł pomocniczych obcych.

Niniejsza praca Kaszewskiego, pomimo drobnych usterek, w niéj napotykanych, stanowi ważną epokę w dziejach zaznajomienia publiczności naszéj z utworami wieszczów greckich. Mieliśmy wprawdzie przekłady nawet sumiennych badaczy i znawców fachowych, lecz ci, oddając ściśle myśli danego utworu, jego stronę estetyczną pomijali. Podejmowali się niekiedy tłómaczeń autorów greckich i poeci; ci znowu, mało hamując w sobie popędy twórczości własnéj lub zgłębianie drobnych zawiłości tekstu uważając za rzecz niegodną poety, zbyt dowolnie sobie z oryginałem postępowali. Mieliśmy nawet takie przekłady, którym i pod względem treści i formy nic zarzucić nie można, lecz to były zbyt małe cegiełki, aby po nich o całokształcie budowy sądzić było można. Kaszewski pierwszy daje nam, obok poprzednio

dokonanego tłómaczenia Sofoklesa, całkowity estetyczny przekład jednego z najtrudniejszych poetów greckich, a łącząc w sobie erudycyę uczonego badacza z wybitnemi zdolnościami poety, i myśli wieszcza greckiego i formę jego utworów tak wiernie oddaje, jak tylko to w przekładzie uczynić można. Długi szereg lat pracuje nad tém sumiennie i wytrwale nie dla zysków materyalnych, lecz jedynie dla tego, aby zaznajomić swych ziomków z utworami jednego z największych mocarzy myśli greckiéj, i w epoce bohaterów z pod Maratonu i Salaminy szuka on pierwowzorów siły fizycznéj i moralnéj, aby w trudnéj walce życiowéj rodaków swych wesprzéć. Cześć mu za to i chwała!

Józef Uzdowski.



Stryj Jmci Pana Paska.

(Przyczynek do rodowodu Pasków).

W niezrównanych pamiętnikach częstokroć wspomina nasz Jan Chryzostom z Gosławic krewniaków swoich, którzy, tak jak on, odznaczali się niepomierną krewkością i animuszem.

Wzmiankuje, między innymi o stryju, sędzi smoleńskim, który był „przystawem" posłów dworu Carskiego, t. j. pełnił służbę komisarza z ramienia władz Rzplitéj, czuwając nad bezpieczeństwem i zaopatrywaniem posłów we wszelkie, podczas ich podróży, potrzeby.

Takim „przystawem" z ramienia wojewody ruskiego Stefana Czarnieckiego, był w roku 1662 i nasz pamiętnikarz jmci pan Jan Chryzostom, kiedy celem zawiązania rokowań o rozejm przybyli do hetmana posłowie: Ofanasy Iwanowicz Nestorów, wielki stolnik Carski, Iwan Polikarpowicz Diak, młody Michajło i kilkunastu bojarów, z licznym pocztem służby poselskiéj.

Cieszyli się tém bardzo—pisze nasz Pasek (wyd. Lachowicza, str. 176) — że ino to mnie za przystawa przydano, mówiąc: bo ich to stryj mój, sędzia smoleński, zawsze wodził i komisarzem do nich bywał; już go tam w stolicy i dzieci prawie znały; mają tam wszyscy jego słodką pamięć"...

Czy w rzeczy saméj, słodką była owa pamięć, jaką po sobie w Moskwie pozostawił stary Pasek? i czyli w owéj wzmiance naszego

pamiętnikarza nie kryła się ironia, tak właściwa wynurzeniom jmci pana Jana z Gosławic? sądzić o tém można dopiéro z wydanego przed paroma laty, arcy ciekawego źródła historycznego, mianowicie, z przekładu Opisu poselstwa polskiego do Moskwy w roku 1678, pozostawionego przez Bernarda Tannera, a zamieszczonego w czasopiśmie zbiorowém pod tyt. *Cztienia w Imperatorskom Obszcz. istorii i drew.* z r. 1891.

Relacya Tannera znana jest w literaturze polskiéj, z wyjątków, drukowanych w tomie V „Zbioru pamiętn. o daw. Polszcze" J. U. Niemcewicza, lecz przekładu zupełnego tego sprawozdania dokonał dopiéro ostatniemi czasy p. Iwakin, włączywszy do swéj pracy i źródłowe objaśnienia, zaczerpnięte z głów. archiwum w Moskwie.

W owém to wydawnictwie, pod rubryką *Varia*, mieści się charakterystyczny szczegół o wzmiankowanym stryju naszego pamiętnikarza, również Janie Pasku, który, w roku 1678 należał był do poselstwa polskiego, wysłanego przez Jana III na dwór Wielkiego Cara, Teodora Aleksejewicza, celem zawiązania z tymże dworem rokowań pokojowych, uchwalonych przez sejm z r. 1677.

Okazuje się z wyjątków wydrukowanych przez p. Iwakina, że i stary Jan Pasek, sędzia smoleński, był takim, jak i nasz Jan Chryzostom paliwodą i rębaczem i że charakterystyczne cechy rodowe, ujawniające się w czynach naszego pamiętnikarza, stanowiły właściwość usposobienia i pana sędziego smoleńskiego.

W okolicach Moskwy, w Ogorodnikach, istniał w drugiéj połowie XVII wieku dwór należący do bogatego księcia Szajsupowa, żonatego ze szlachcianką Sokolińską, któréj siostra była żoną Daniela Paska, szlachcica smoleńskiego, rodzonego brata sędziego Jana Paska.

Był zatém nasz Jan z Gosławic powinowatym księcia Szajsupowa, jakkolwiek osobiście go nie znał. Książe Szajsupow oddał dwór swój, za Miasnicką bramą, w Ogorodnéj gminie, za Moskwą istniejący, w dzierżawę niejakiemu Gawryle Nefediewowi, pod warunkiem by w owym dworze, ani winem, ani tytoniem nie handlował, karczmy nie utrzymywał i łotrowstwem się nie trudnił.

Zdarzyło się, że letnią porą, 1678 r. gdy poselstwo polskie przybyło do Moskwy, stróże nocni zdybali sędziego Paska w wesołém gronie mężczyzn i pięknych *quidem* niewiast, zabawiającego się przy kieliszku we dworze Nefediewa.

Pilnując rozkazu księcia, dziesiętnik Iwan Bereznikow, wpadł do dworu i przyaresztował winowajców i przyczém, naturalnie nie

obyło się bez szturchańców i bardziéj nawet dotkliwych razów, których ofiarą stał się między innymi i pan Pasek.

Związanego postronkami przetrzymano do rana w areszcie, lecz następnie, jako należącego do poselstwa polskiego, puszczono na wolność.

Rozżalony gwałtownością Bereznikowa, podał Jan Pasek skargę do „poselskiego prikazu", z żądaniem zadośćuczynienia, i w trakcie rozwiniętego śledztwa wyjaśnil, że brat jego, Daniel, wyjeżdżając ze Smoleńska do Czehryna, pisał mu, by zajechał na dwór księcia Szajsupowa, jako powinowatego, gdyż będzie mu tam i wygodniéj i przestronniéj. Stosując się do tego upoważnienia, zajechał do Nefediewa, dla użycia łaźni, lecz gdy mu powiedziano, że nocą trudno będzie łaźnię zagrzać, zeszedł do dolnéj izby, dla pogawędki z rodziną Nefediewa i tam właśnie spotkała go awantura ze strony stróża Bereznikowa.

„Nie tak mi dolega—pisał w skardze swéj Pasek — pobicie dębczakami i obuchami, ile obelgi chłopskiemi przyczynione. Jeślim winien, niech mnie sądzą; lecz jeśli nie — proszę o ukaranie napastników."

Do skargi dołączył Pasek wykaz rzeczy podczas bójki mu zabranych.

Wyliczył tam: obuszek polski, wartości rubli 2, jedwabny pas, z łyżką srebrną i nożykiem w srebrnéj oprawie, wartości rubli 5, kieszeń wyrwaną z kaftana wraz z 20 dukatami w złocie i dwoma rublami w monecie drobnéj, okulary kryształowe i t. p.

Zapytywany książe Szajsupow o stosunki z Paskiem, odpowiedział, że polskiego szlachcica, Jana Paska nie zna i nie upoważniał go do zajęcia gospody w Ogorodnikach. Czy jest bratem Daniela Paska? tego nie wié.

Zeznania Bereznikowa nie ze wszystkiém zgadzały się z faktami przytoczonemi przez Paska. Nie zaprzeczył, iż go aresztował, lecz zapewnił, że przy tém żadnéj bójki i grabieży nie było.

Z przeprowadzonego wszakże śledztwa okazało się, że głównym winowajcą był—Berezników...

Jakoż w obecności dumnego diaka Iwanowa, przy diakach: Bobyninie i Ukraincowie i w przytomności (amatora łaźni) Paska, dziesiętnik Bereznikow za winę spełnioną....

Aleksander Kraushar.



Nowe książki na gwiazdkę.



Plon tegoroczny książek, przeznaczonych dla dzieci i młodzieży, jest niezmiernie obfity. Ubytek sił dawniejszych wynagradza pojawienie się nowych, pomiędzy któremi znajdują się i prawdziwe talenta, przemawiające do umysłów młodych w sposób znacznie różny od praktykowanego niegdyś, gdyż dotyka on nietylko ogólnych i powszechnych zagadnień moralności, ale uwzględnia także położenie specyalne, w jakiém pod względem materyalnym i duchowym znajduje się pokolenie dorastające. Może te nowe zapędy idą nieco zadaleko w sprawie reformy literatury dla młodzieży, lecz niepodobna im nie przyznać słuszności co do myśli zasadniczéj i niepodobna nie uznać, że posługują się środkami świeżemi i pomysłami oryginalnemi.

Sprawozdanie obecne nie obejmie wszystkich wydawnictw, jakie z końcem r. 1895 w handlu księgarskim się pojawiły, ale uwzględni główniejsze przynajmniéj działy i zaznaczy najważniejsze utwory, o ile te znalazły się pod ręką.

1. Książki dla małych dzieci.

Do tego działu odnosi się bardzo wielka ilość wydawnictw obrazkowych, w których rysunek stanowi rzecz główną, a tekst—dodatkową. Wydawnictwa takie są dotychczas wprost brane z zagranicy. Księgarze-wydawcy wybierają niemieckie, czasami angielskie ryciny,

dają je poetom lub wierszorobom, ażeby je objaśniali. Poeta częstokroć jest w kłopocie, bo przedmiotów (zwierząt, roślin) na obrazku przedstawionych sam nie zna, więc też nic o nich dzieciom powiedzićć nie umié; zbywa więc zadanie swoje ogólnikami; utalentowany daje przynajmniéj ładne wiersze, mniéj uzdolniony częstuje dziatwę kulawemi rymami. Za przykład mogą posłużyć „Śliczne ptaszęta" — zeszycik z kilku kartek się składający. Są w nim ładne, o jaskrawych kolorach lub też czarno odbite ryciny; ale tekst wierszowany w drobnéj jeno cząstce mieści jakieś do nich napomknienia; o znacznéj liczbie owych ptasząt czytelnik od swego objaśniacza nic się nie dowié; a wiersze tu i owdzie tylko są udatne.

Pomijając tę kategoryę czysto obrazkową, przechodzimy do książek prawdziwych.

— *Marya Weryho. „W lecie." Książka dla małych dzieci z rycinami Emila Lindemana.* Warszawa. Gebethner i Wolff, 1896, str. 144.

P. Weryho umié przemawiać do dzieci, a zwłaszcza udostępniać nawet dla najmniéj rozwiniętego umysłu wiadomości z dziedziny nauk przyrodniczych. To też najlepiéj wykonanemi w książce niniejszéj obrazkami są te, które przedstawiają jakiś szczegół z życia zwierzęcego, czy to w formie bajki („Nieszczęście muchy", „Niedoświadczona myszka", „Dwie myszki", „Zmartwienie pszczółek"), czy też w formie opowiadania o zwyczajach ptaków i przemianach owadów („Skowronek", „Chrabąszcze", „Bociany", „Przy gniazdku", „Makolągwa"). Możnaby tylko tę zrobić uwagę, że za często i w sposób jednostajny opisuje autorka siedzenie na jajach i wylęganie się młodych („Skowronek", „Bociany", „Przy gniazdku"). Zdawałoby się, że dla zaznajomienia młodych czytelników z przychodzeniem piskląt na świat dość byłoby jednego obrazka. Niezupełnie udatnym pod względem myśli, jaką wyciągnąć można z odczytania, jest opowiadanie o „Kanarku." Po zwierzętach najlepiéj i najżywiéj maluje p. Weryho zabawy dzieci („U Kazia na wizycie", „Imieniny Marci", „Na letniém mieszkaniu"). Komiczne sceny nie udają się autorce; gdy np. „Tomka myśliwego" przedstawia, to czytelnik musi chyba sobie powiedzićć, że ów Tomek był wielkim krótkowidzem, jeżeli wziął biały kamień za zająca, a suchą gałąź podnoszoną przez wiatr, za inną jakąś zwierzynę, bo że cielę poczytał za wilka, tłómaczyć to można przysłowiem: strach ma wielkie oczy. Podobnież przygoda Antolka, który chcąc latać jak ptak, zrobił sobie skrzydła z papieru i spadł z szafy, niewielkie budzi w nas przekonanie o swém prawdopodobieństwie. Inne powiastki-anegdoty: „Młody rybak", „O małym Polusiu", „Jazda na osiełku", „Anusia",

z których ta i owa jest tylko przeróbką znanych skąd inąd opowiadań niezbyt wielkie zainteresowanie wywołać mogą. Język powiastek jest wogóle poprawny; jeden tylko grubszy błąd, naleciałość obcą, wytknąć należy, z życzeniem, ażeby w drugiém wydaniu został poprawiony, t. j. wyrażenie na str. 94 mieszczące się: „*na* samego kreta się *natykam!*“ Niezbyt szczęśliwie dobraną, a zbyt często w jednéj powiastce powtarzaną formą jest zdrobniała: *nórka* (nora mysia). *P. R.*

— *Jadwiga Chrząszczewska.* „*Czary i nie czary.*“ *Fantastyczne opowiadania dla młodzieży z 6-ciu rycinami T. Jaroszyńskiego.* Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 195.

Książka składa się z 12 powiastek alegorycznych ze świata przyrody i fantazyi, z których każda zawiera myśl piękną i szlachetną. Jedne malują nam swawolę dzieci, które bez zastanowienia niszczą i zadają śmierć tworom natury („Tocia“ i „W królestwie grzybów“). Inne opiewają potęgę miłości i dobroci („Noc majowa“). Do najpiękniejszych zaliczyć należy: „Szare kaczątka“, w któréj autorka daje obraz umysłu, nie cofającego się przed żadną przeszkodą, aby zbadać nieznane sobie światy i „Pierwszą choinkę“, gdzie widzimy litość drzew, przygotowujących dla sierot wigilijną choinkę, oraz „Duże i małe.“ W téj powiastce mamy przeprowadzoną myśl, że nie należy pogardzać małém, a gonić za wielkością. Styl tych opowiadań jest żywy, niejednokrotnie dowcipu pełen, lub téż wogóle zwrotów niespodziewanych. *J. A.*

— *Z. Morawska.* „*Wielkie zdolności.*“ „*Przygody Zygmusia.*“ *Dwie powiastki dla dzieci z 6-ciu rycinami Henryka Piątkowskiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1896, str. 221.

Druga z zawartych w téj książce powiastek młodszemu niż pierwsza odpowiada wiekowi; przedstawia bowiem szczegółowe dzieje wakacyi, przepędzonych przez sześcioletniego Zygmusia na wsi. Chłopiec był dobry i ciekawy, ale niezmiernie roztargniony i wścibski, narażał więc mamę i wszystkich, co go otaczali, na rozmaitego rodzaju przykrości, sam teraz nieraz cierpiąc z powodu wad swoich. Każdy z rozdziałów téj powiastki, a jest ich 26, zawiera co najmniéj jedną przygodę zabawną lub smutną; jest więc dużo urozmaicenia w opowieści, która młodziutkich czytelników zająć może. Przygody te nie są bynajmniéj jakiemiś nadzwyczajnemi, lecz wynikają z najprostszych stosunków życia wiejskiego. Niektóre wskazują, że matka Zygmusia, przedstawiona zresztą jak bardzo rozsądna kobiéta, lubiąca i umiejąca dawać objaśnienia dziecku, musiała bardzo niedbale prowadzić naukę o rzeczach, jeśli Zygmuś mógł wziąć kota za tygrysa

i przeląc go się okropnie, lub jeśli nie wiedział, co drobiem nazywamy i t. p. Chyba, że autorka użyła téj nieświadomości Zygmusia, dla rozweselenia tylko czytelników... szkoda, że kosztem nietylko jego, ale i jego mamy. — „Wielkie zdolności“ miał sobie ogólnie przyznawane dziewięcioletni Stasio, wielki zarozumialec i samochwał, któremu się zdawało, że wszystko zrobić potrafi, jak tylko zobaczy, że to ktoś inny robi. Zapewniał ojca, że zda do klasy drugiéj, chociaż ojciec bynajmniéj tego nie żądał. Zamiast się uczyć, pisywał powiastki, przesyłając je do redakcyi pism dla dzieci, w przekonaniu, że jego prace są daleko lepsze od wszystkich drukowanych; gdy raz i drugi dostał zamiast zachęty do pisania, nauczkę, żeby się do lekcyi przykładał, pogniewał się na pisma dziecinne i zaczął czytywać wydawnictwa dla starszych, a nawet chciał rywalizować z Sienkiewiczem. Podczas wakacyi, przepędzonych na wsi, do książki zaglądał rzadko, a natomiast próbował imponować kuzynowi swemu, Józiowi, mniéj zdolnemu, ale pracowitemu, popisując się przed nim rozmaitemi uzdolnieniami, których nie posiadał (jazda konna, strzelanie, znajomość poezyi i t. p.), ale doznawał najczęściéj upokorzeń i wystawiał się na śmieszność. Józio zdał dobrze, Stasio musiał jeszcze raz stawać do poprawki, a po roku dostał wprawdzie promocyę, ale z niemiłym warunkiem, który zmusił go do przebycia wakacyi w Warszawie.

— *„Spacery z panem Karolem.“ Opowiadania dla dzieci od lat 9 do 12, przez Konrada Drzewieckiego. Książka z obrazkami.* Warszawa. Leppert i Sp. 1895, str. 94.

Książka ta jest jakby dopełnieniem nauki o rzeczach. O zajmujący wątek, ani téż o barwny styl zgoła autorowi nie chodziło, lecz tylko o jasność i przystępność wykładu, zaznajamiającego przeważnie z rozmaitemi formami pracy ludzkiéj, a dla porównania—i zwierzęcéj. Opisy podaje niby uczeń, jako sprawozdanie z przechadzek odbywanych ze światłym przewodnikiem, i rozmów z nim prowadzonych. Punktem wyjścia jest opis Warszawy, poczém następuje pierwsze opowiadanie pana Karola o różnicy, zachodzącéj pomiędzy trybem życia ludzi obecnie żyjących a dawniejszych. Idą potém opisy: sklepu, kopalni, targu, teatru, rękodzielni, zakładu opieki nad dziećmi, osady fabrycznéj, zakładu dla głuchoniemych. Przeplatane są one opowiadaniem o Australczykach, o małym Murzynie w Warszawie, o katastrofie w kopalni srebra w Czechach, o pracy robotników w kopalniach siarki w Sycylii, o wędrownym grajku. Przy końcu mieszczą się wiadomości o zwierzętach, o ich budownictwie, o ich zwyczajach. Dążność tych opisów i opowiadań streszcza p. Karol w domówieniu,

wykazując potrzebę ścisłéj łączności między ludźmi, którzy wzajemnemi usługami sobie dopomagają, przejęci dla siebie „niezgłębioną tkliwością i miłością.” Przyznając chętnie, że młody czytelnik wiele może skorzystać z téj książki, musimy jéj zrobić dwa zarzuty. Najprzód nie ma w niéj dostatecznego rozgraniczenia tego, co dziecko choćby 9-letnie wiedzieć już może i powinno, od tego, co mu się jako nowość ma przedstawiać. Prawda, że rozgraniczenie takie jest trudne, gdyż indywidualność wychowańca rozstrzygać tu może dopiéro stanowczo; ale bądź co bądź zdaje nam się, za dużo jest w książce wiadomości zbyt elementarnych. Powtóre, styl jest zaniedbany, przestankowanie bardzo nieregularne lub niewłaściwe, wreszcie i język przedstawia sporo ujemności; nie powinno się drukować: „*czém* daléj od środka”, tylko „*im* daléj...”; owoce nie są „łakome” (str. 14), tylko mogą pobudzać do łakomstwa; wyrażenie: „nic-by nie zrozumieli *o* sposobie” (str. 33) należało zamienić na: „nie pojęliby wcale sposobu” i t. d.

P. R.

2. Książki dla młodzieży oryginalne.

Zaczniemy przegląd od osób znanych już w literaturze, a potém przejdziemy do debiutantów — głównie debiutantek.

— *Adolf Dygasiński. „Cudowne bajki.“ Z 21 ilustracyami J. Pankiewicza.* Warszawa. T. Paprocki, 1896, str. 152.

Był czas, kiedy pedagogowie powstawali przeciwko baśniom czarodziejskim i wszelkiéj fantastyczności w książkach dla dzieci i młodzieży, a to z powodu, że temata tego rodzaju mogą zamącić wyobrażenia wychowańca i utrudnić należyte oryentowanie się w kwestyach prawdy i rzeczywistości. Istotnie nadmierne rozbudzenie fantazyi w dziecku nie może być uważane za dobre, ale suche, czysto racyonalistyczne kształcenie rozsądku, wywiera wpływ także niekorzystny na umysłowość młodocianą, czyniąc ją niewrażliwą na bardzo wiele istotnych objawów piękna i przytępiające uczuciowość. Utrafienie miary jest tu naturalnie rzeczą niezbędną. Czy tę miarę wszędzie potrafił zachować p. Dygasiński, utalentowany powieściopisarz a równocześnie zawodowy pedagog? Z 9 powiastek zawartych w jego najnowszéj książce, dwie tylko nie mają nic wspólnego z „cudownością”, mianowicie „Pan z dużą głową”, gdzie jest mowa o walce Arabów z potężnym niszczycielem stad i pożercą ludzi, lwem ogromnym, oraz „Dzieci, Zuchelek i Wilczysko”, gdzie wierność psa jest głównym motywem; wszystkie inne opowiadają o potęgach nadzwyczajnych, nadludzkich, działających w świecie zupełnie urojonym. Są wśród potęg

tych pierwiastki dobre i złe, zwycięstwo zawsze otrzymują przedstawiciele dobrego; o wypaczenie więc pojęć moralnych nie ma tu obawy, a fantazya może istotnie bujać swobodnie i marzyć o dokonaniu takich czynów, o jakich w świecie rzeczywistym zupełnie głucho. Czytelnik młody chyba nie będzie miał wątpliwości żadnéj, iż w życiu powszedniém żadna Świecionka, ani żaden inny duch tajemniczy nie dopomoże mu do przezwyciężenia niesłychanych trudności i przeszkód, i nie wyciągnie maksymy, iż należy się spuszczać na to, co los przyniesie; a naukę o potrzebie dobroci i uczciwości przyswoić sobie mogą. Najmniéj może pedagogiczną jest baśń o „Łabędziach", ładna jako zmyślenie, ale popierająca bezczynne marzycielstwo; niewyraźną pod względem sensu moralnego jest baśń p. t. „Stuk-puk"; trochę zanadto trywialna w niektórych szczegółach: „Byś i Dyś"; zawiele przelanéj krwi i wstrętnych obrazów zawierają baśnie: „Syn boginki", „Jaskier, Kos, Cierniak i Tęcza", „Jasiek Ćwieczek"; najpiękniejszą zaś i pod względem obrazowania i pod względem treści jest „Królewna Zorzyczka." Wszystkie zaś pisane są językiem czystym, jędrnym i zająć mogą nietylko młodociane, ale i starsze umysły. Obrazki są dosyć starannie zrobione i odbite. *P. R.*

— *Teresa Jadwiga. „Z obcych dziejów"; dwie powieści historyczne dla starszych dzieci z 6 rysunkami L. Szpądrowskiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff, 1896, str. 248.

Z dwu opowiadań tu zawartych, pierwsze p. t. „U szczytu i nad przepaścią" przenosi nas w epokę panowania Arabów w Hiszpanii. Bohaterami jest tu dwoje dzieci słowiańskich, wziętych do niewoli. Chłopiec zostaje towarzyszem młodego kalifa Korduby i licznemi zasługami zdobywa sobie wysokie stanowisko i majątek. Dziewczynka wśród zbytków i roskoszy, któremi jest otoczona, tęskni do swoich i do kraju. Lecz brat, dumny ze swego powodzenia, zapomniał przeszłości, pragnie ciągle nowych dostojeństw, nie zważając na zazdrość i zawiść, którą budzi wokoło. U szczytu swych marzeń wszakże zostaje oskarżony o zdradę i skazany na śmierć; z nim razem ginie ukochana siostra. — Druga powieść p. t. „Ocaliła" jest osnuta na tle wypadków rewolucyi francuskiéj. Rodzinę Delaroche ocala od zguby najmłodsza z rodzeństwa, Elżbieta. Miłosierdziem i dobremi uczynkami zdobyła ona sobie oddawna wielu przyjaciół wśród robotników, którzy przez wdzięczność ułatwiają ucieczkę z więzienia siostrze jéj i bratu. W opowiadaniu tém są najlepiéj rozwinięte charaktery dwóch sióstr: Elżbiety, litościwéj i dobréj, oraz Antoniny, próżnéj i lekkomyślnéj.

— *Teresa Jadwiga. „Złe i dobre duchy", powieść dla młodzieży, zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci", z ilustracyami.* Warszawa. G. Sennewald. 1896, str. 253.

Bohaterem powieści jest Staś Skalski, chłopiec dobry, lecz słaby, mający zamiłowanie do zbytku i używania. Ubóstwo mu ciąży, poczytuje sobie zatém za największe szczęście, gdy może się dostać do domu bogatego kolegi i bez żalu opuszcza matkę i siostrę, które są jego dobremi duchami. W nowém otoczeniu potrzeby i wymagania chłopca, dotychczas żyjącego wśród skromnych warunków mierności, stopniowo się zwiększają, tak, że w końcu dla zadosyćuczynienia im, zaciąga długi. Pod wpływem zepsutego młodzieńca, Zenona, Staś przestaje się uczyć, marnując czas i zdrowie na hulankach. Zenon fałszuje weksel w imieniu Stasia, który odtrącony przez wszystkich, kryje się nawet przed matką, chcąc pracą zasłużyć kiedyś na jéj szacunek. Intryga Zenona wszakże zostaje wykrytą, Staś odzyskuje dobre imię, lecz zapada w ciężką chorobę. Nieszczęście to wszakże korzystnie wpływa na charakter młodzieńca, który poznaje, że wartość człowieka nie polega na majątku; odtąd przewodnikami jego życia będą miłość rodzinna i spełnienie obowiązku. Właściwości stylu Teresy Jadwigi są dostatecznie znane, ażeby o nich tu jeszcze szczegółowo wspominać wypadało. *J. A.*

— *Bronisława Porawska. „Polne różyczki." Powieść dla dorastających panienek. Z ryciną.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1896, str. 280.

Nie chodziło autorce, jak sama powiada, o roztoczenie zawiłych intryg, ani przejść denerwujących, lecz o przedstawienie życia „ludzi pracy, dążących do urzeczywistnienia myśli, przejętych miłością bratnią, która pobudza do działalności, dającéj dobrobyt ogólny." Są tu trzy takie rodziny. Jedna z nich należy do liczby średniozamożnych właścicieli ziemskich; Irenka, urocza polna różyczka, uczy się w domu pod kierunkiem rodziców i Angielki; gdy ma lat trzynaście, widzimy ją zajętą polewaniem kwiatów o rannéj porze; następnie, zachęcona przez Basię, córkę zubożałych rodziców, oddaje się z zapałem hodowli jedwabników. Basia uczy się ogrodnictwa i pszczelnictwa, odznacza się wielką bystrością umysłu i rozwagą, wzbudza miłość w bogatym młodzieńcu, Ryszardzie Rodeczu, ale go lat kilka poddaje próbie, by się przekonać, że przyzwyczajenia i stosunki arystokratyczne nie pozostawiły w duszy jego śladów, któreby pożycie ich uczyniło przykrém. W trzeciéj rodzinie są aż trzy panienki, ale autorka jedną głównie się zajmuje, Czesławą, nie piękną, ale pracowitą i ambitną; pragnie ona

z początku ukończyć kurs medycyny, by następnie wiedzę swą i sztukę stosować na wsi, lecz w Zurychu przekonywa się, że nigdy nie przezwycięży wstrętu do krajania trupów, porzuca więc medycynę, a uczy się jedwabnictwa i w połączeniu z Irenką pięknie hodowlę na wsi prowadzi. Obok tych trzech panien pracujących, jest w powieści i panna znudzona, bogata, utytułowana, lecz nie doznająca szczęścia, Nina; wychowana w duchu kosmopolitycznym, żyjąc przeważnie zagranicą, niczém zainteresować się nie umié, wychodzi za mąż za schorzałego hrabiego, który po trzech latach umiera zrujnowany; wówczas Nina z matką przybywają na wieś do brata Ryszarda, a pod wpływem jego serdecznych perswazyi, pod wpływem przykładów dawanych przez Basię, Irenkę i Czesławę, ożywia się i do jedwabnictwa się zwraca. Dążność do przedstawienia ważności zajęć praktycznych dla kobiet, w przeciwstawieniu do zawodu naukowego, odznacza, jak widzimy, tę powieść; dodać wszelako potrzeba, że nie o zarobek, nie o zyskiwanie bogactw tu chodzi, lecz o podniesienie dobrobytu ogólnego i oświaty, przez zwrócenie dorastających panien do zajęć pożytecznych, zamiast bezczynnego oczekiwania na męża. Wadą powieści jest pewna oschłość tonu, najbardziéj rażąca w oświadczynach Ryszarda, oraz brak cieniowania w rozwoju charakterów, którym się przypatrujemy w przeciągu lat blizko dziesięciu. Stylowi zarzucić trzeba niestaranność w unikaniu powtarzań tych samych wyrazów lub brzmień tuż obok siebie.

— *Zuzanna Morawska. „Wyspa wróżki Marty.“ Opowiadania i obrazki dla młodzieży, z 6-ma rysunkami Juliana Maszyńskiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1896, str. 293.

Książka ta stosowna jest dla 12-letniéj mniéj więcéj młodzieży; nie mieści w sobie zbyt widocznych morałów, które zazwyczaj w tym wieku mało się podobają, treścią zaś swoją odnosi się do wspomnień z przeszłości, z wyjątkiem tylko ostatniego opowiadania p. t. „Przewoźnik.“ Walka z przeszkodami, jakie na drodze swego rozwoju spotyka umysł samodzielny, opuszczający ścieżki utorowane, ażeby odnaléźć nowe, wypełnia dwie powiastki, odnoszące się do wieku XV. Są to: „Czarownik“ i „Złota kula na śniegu.“ Z powodu epoki, z któréj są wzięte, posądzenia i prześladowania o czarownictwo, o spółkę z szatanem odgrywają tu największą rolę. W pierwszéj powiastce są wystawione dzieje Gutenberga, w drugiéj — Marcina Behaima, twórcy wielkiego globusu przechowywanego w Norymberdze. Szkoda, że autorka pozostawiła w téj drugiéj powiastce przez nieuwagę nazwisko Regiomonte, nauczyciela Behaima, mogące nasuwać młodemu czytelnikowi myśl, że był to Włoch, a w rzeczywistości był to Niemiec, Müller, od miejsca

urodzenia przełożonego na łacinę Regiomontanus zwany. Z nauką a przynajmniéj ze szkołą ma związek anegdota historyczna o Karolu W., zachęcającym młodzież do uczenia się, opowiedziana p. t. „Gość niespodziewany.“ W „Złotniku królewskim“ na tle stosunków węgierskich w. XIV, za Karola Roberta, przedstawiona została historya pastuszka Erösa, który wykształciwszy się w zawodzie złotniczym we Włoszech, zrobił świetną koronę dla narzeczonéj króla węgierskiego, Elżbiety. „Wyspa wróżki Marty“ — to siedziba potężnego rozbójnika morskiego, Zygfryda Witaliena, upadającego pod przewagą Hanzy. Z dziejami jego złączone są losy Marty i Dymitra, porwanych niegdyś z Nowogrodu dzieci bogatego bojara. Odzyskanie tych dzieci, z których Marta została żoną Zygfryda i łagodnością swoją pozyskała sobie miłość wśród rozbójników i nazwę dobréj wróżki, a Dymitr poczytywany był za ich syna wskutek podstawienia, stanowi wątek zasadniczy opowiadania, rozpoczętego na większą skalę, nierozwiniętego jednak należycie. Pewne podobieństwo z dziejami Marty i Dymitra ma i „Przewoźnik“, gdzie także siostra Polka, przybywszy na Rugię, poznaje w przewoźniku brata, który przed laty zniknął był tajemniczo. Powiastka ta ma najwięcéj charakteru moralizującego: idzie o oduczenie Irenki kaprysów; tajemniczy jakiś pociąg do przewoźnika i odnalezienie w nim brata, wraz z wpływem świeżego morskiego powietrza, oddziaływa na panienkę dodatnio. Żywości opowiadania i ładnych zwrotów jest sporo w książce; nie zaszkodziłaby jednak większa o styl staranność.

— *Jadwiga Chrząszczewska. „Walek”, opowiadanie fantastyczne dla młodzieży z rysunkami K. Alchimowicza.* Warsz. G. Sennewald, 1896. — „*Słoneczko*” *powieść dla młodzieży, z rysunkami T. Jaroszyńskiego.* Warsz. M. Orgelbranda, 1896.

Oba wymienione tu utwory stwierdzają wymownie wielostronny i niepospolity w swoim zakresie talent autorki, która, jakkolwiek niedawno rozpoczęła swój zawód, już w poprzednich latach wzbogaciła literaturę dla młodzieży kilku bardzo pięknemi rzeczami. P. Chrząszczewska posiada jednę nieocenioną zaletę dla młodocianych czytelników, mianowicie ogromnie bogatą i pomysłową fantazyą, pozwalającą jéj przyodziewać doniosłe prawdy moralne w formę niezmiernie zajmujących i urozmaiconych opowieści. — Jedną z takich jest prześliczna baśń fantastyczna p. t. „Walek, w któréj długi szereg żywo i barwnie nakreślonych obrazów, wypełnionych mnóstwem dziwów i cudów, służy do uzmysłowienia podniosłéj dążności moralnéj. Bohater powieści, młode słabowite chłopię, udaje się na poszukiwanie ukochanéj matki,

porwanéj przez potężnego władcę mrozu. — Wspierany radą i pomocą dobroczynnéj wróżki, zwalcza potwory zagradzające mu drogę, przezwycięża tysiączne przeszkody i silny miłością, poświęceniem i trudem bezgranicznym, osiąga w końcu cel upragniony. Osnowa powieści dostarczająca wielu żywych i podniosłych wrażeń, uplastyczniona jeszcze została przez piękne, prawdziwie artystyczne rysunki, które, wraz z ozdobną ornamentacyą, składają się na niezwykle świetną całość wydawniczą.

Drugi utwór p. Chrząszczewskiéj, powieść p. t. „Słoneczko" bardzo odmienny od poprzedniego ma charakter. — Jest to realistycznie, choć z wielką poezyą, nakréślone opowiadanie z życia. Rzecz dzieje się na wsi w zamożnym lecz upadającym materyalnie dworze pańskim i w skromnéj, pracowitéj zagrodzie szlacheckiéj, w któréj króluje młoda dziewczyna, niby „słoneczko", roztaczająca dokoła promienie szczeréj dobroci, gotowéj zawsze do niesienia pomocy i pociechy wszystkim cierpiącym i nieszczęśliwym. — Te czyste promienie rozgrzewają w końcu zacne ale zastygłe nieco serduszko znudzonéj bezcelową egzystencyą panny dworskiéj i skłaniają ją do szukania celu na drodze pracy, ku pożytkowi bliźnich zwróconéj. Serdeczne ciepło przenikające całą osnowę, doskonała niekiedy charakterystyka, (szczególnie dzieci i młodych dziewcząt) wiele trafnie pochwyconych rysów obyczajowych, wreszcie piękne i poetyczne obrazy natury—oto główne zalety téj ujmującéj powiastki, która świadczy, iż pełna fantazyi autorka „Walka" umié też obserwować życie i zajmująco kreślić charakterystyczne jego obrazki, uzmysławiając w nich zawsze zacne i szlachetne dążności. *W. G.*

— *„Zaginiony w grotach Ojcowa", napisał Stefan Gębarski, z 15 rysunkami S. Ilinicza.* Warszawa, T. Paprocki, 1896, str. 250.

P. Gębarski umié opowiadać żywo i zajmująco, a pragnąc zastąpić obrazami swojskiemi utwory obce, rozwijające wątek dziwnych przygód, obmyślił treść, która z pozoru wydaje się tajemniczo-fantastyczną, ale w gruncie rzeczy daje się tłomaczyć w sposób naturalny. Dwaj młodzieńcy pod przewodnictwem starego przyjaciela, Kalasantego, jadą do Ojcowa na letnie mieszkanie. Synek gospodarza, pastuszek, nie wraca pewnego wieczoru do domu. Zaniepokojenie zmusza do poszukiwań zrazu nadaremnych. Do gromadki poszukujących przyłącza się zapalony przyrodnik, p. Bonifacy. Prowadzeni przez psa Kruczka przybywają do stóp skały, gdzie spostrzegają ślady stopy chłopięcej. Młody Janek zachęcony przez brata puszcza się w górę, gdzie widać kapelusz zaginionego Grzesia, i wraz z Kruczkiem znika bez wieści. Potłukłszy się, błądzi po grocie i dostaje się wreszcie do

miejsca, gdzie płonie ognisko a przy nim jakiś starzec olbrzymi uderza w skały kilofem. Starzec ten to tajemniczy, za czarownika poczytywany, Roch Ostatni. Wynosi on Janka na szczyt najwyższéj skały i tam go pozostawia. Sprowadzony na dół, opowiadaniem swojem zachęca szukających Grzesia do zapuszczenia się w grotę, czego téż dokonywają po przezwyciężeniu różnych przeszkód i niebezpieczeństw. I oni docierają do miejsca pracy Rocha Ostatniego, przyczém poznają dziewczynkę uroczą, Halkę, która, jak się okazuje, wnuczką jest tajemniczego górnika. Dziadek Grzesia poznaje w Rochu Ostatnim swego brata, którego przed laty ukrzywdził, zabrawszy mu ojcowiznę. Roch utracił syna i synową wskutek zalania szybu przez wodę. Od tego czasu rozum mu się obłąkał, zamieszkał w grocie z wnuczką, urządził tu sobie mieszkanko i pracował nad znalezieniem skarbów w skałach. Gdy ujrzał, że jego kryjówka odkrytą została, gdy z bratem rozmówił się i przebaczył mu swą krzywdę, gdy zrozumiał, że wnuczka znajdzie wśród rodziny opiekę, postanowił umrzéć; jakoż w grocie rozległ się huk straszny — i odtąd już o Rochu nic słychać nie było. Główny nacisk w téj opowieści położony został na zainteresowanie czytelnika zajmującemi i wzruszającemi przygodami, ale przy sposobności dowiedziéć się on może trochę szczegółów z zakresu flory i entomologii Ojcowa, pozna piękne krajobrazy górskie i zaznajomi się z naturą grot wapiennych. Język opowiadania jest wogóle poprawny, styl trochę może zanadto w opisach i przemówieniach Rocha uroczysty i patetyczny, przytém trochę zaniedbany zwłaszcza w budowie zdań mających złożone określenia przymiotnikowe.

— *Zofia Bukowiecka. „Rok życia." Dziennik Wandzi i Józi z prawdziwych notatek przepisany. Z rycinami.* Warsz. Gebethner i Wolff, 1896, str. 228.

Zamożny obywatel ziemski dał córkom swoim na kolendę duży oprawny zeszyt poliniowany, by w nim co tydzień po kolei zapisywały wszystkie zdarzenia życia potocznego oraz myśli, jakie im przyjdą do głowy; sądził bowiem, że zastanawianie się nad sobą, robienie rachunku sumienia może dodatnio wpłynąć na umysły i serca. Wandzia 16-letnia była niezmiernie żywa, roztrzepana, zajęta sobą, pomimo najlepszego serca; Józia, lubo o rok młodsza, była systematyczną, rozważną, nieśmiałą, więcéj myślała o innych niż o sobie. To usposobienie panienek doskonale umiała autorka uwydatnić w stylu, jakim pisane są dzienniki. Wandzia obdarzona talentem literackim pisze żywo, ma pomysły świeże, oryginalne, ale pisze bez wielkiéj dbałości o ład i porządek; Józia ma sposób pisania spokojny i pełen zastanowienia, trochę

może suchy pod względem kwiecistości, ale świadczący zawsze o złotém serduszku. Obie dziewczynki kochają się wzajem i kochają swoje rodzeństwo: prędkiego i gwałtownego Karola, dobrego małego Kazika, jak nie mniéj starszą, zamężną już a rozumną siostrę Maryę. Wandzia ma niejednokrotnie sposobność strofowania siebie saméj za nieroztropność, za figle sprowadzające niemiłe następstwa, ale ponieważ ma serce dobre i zarozumiałą nie jest, ulega powolnemu przeobrażeniu pod wpływem różnorodnych czynników, jak: śmierć Zosi, choroba własna i Józi, serdeczny list Maryi, potrzeba zajęcia się nauką Kazia, spełnianie dobrych uczynków wśród ludności wiejskiéj, Józia natomiast nabrała trochę śmiałości i „rozruszała się", a wreszcie miłość — napomknięta tu tylko. Wszystkie te szczegóły przedstawione zostały nie w sposób moralizatorski, lecz przeciwnie tak wprost wynikają ze stosunków i usposobień, jakie autorka odmalować zamierzyła, tak są urozmaicone opisami zabaw mniéj lub więcéj pomysłowych, że żadnego nie znać tu naciągania. W szczegółach możnaby wytknąć pewne niewłaściwości; razi mianowicie na pierwszych stronicach dziennika taki gruby błąd Wandzi zamiłowanéj w historyi, że sobie przypomina „Koryolana rzucającego miecz na szalę Gallów"—(str. 8) wynik to roztargnienia, który należało sprostować. Pod względem języka należy przyznać zaletę czystości i poprawności, wolałoby się jednak nie czytać germanizmu: „cieszyć się *na* bal", który niestety coraz częściéj napotykać się zdarza. *P. R.*

— *Zofia Bukowiecka. Historya o Janku górniku. Opowiadanie dla młodzieży. Z 10 rysunkami. Wład. Jasieńskiego.* Warsz. Gebethner i Wolff, 1890, str. 297.

Na tle życia górników autorka rozwija historyę Janka Poleskiego, który po śmierci ojca przybywa do Dąbrowy, gdzie miała mieszkać jego ciotka. Ciotki wszakże nie znajduje; zostaje zatém sam jeden na świecie, wystawiony na niebezpieczeństwa i pokusy życia. Prawość charakteru broni Janka od złego; w walce o byt wielką pomocą jest mu życzliwość pani Wolskiéj, którą poznał w drodze do Dąbrowy, oraz jéj dzieci Wandy i Franciszka. Po kilku latach pracy Janek zdobywa sobie byt niezależny. Wypadek pozwala mu odwdzięczyć się przyjaciołom za otrzymane dobrodziejstwa. Przy testamencie ojca bowiem znajduje dowód niewinności zmarłego pana Wolskiego, który był posądzony o kradzież. Powieść kończy się ślubem Janka z Wandzią. Oprócz interesującego wątku czytelnik znajdzie w téj książce, pisanéj stylem żywym i obrazowym, mnóstwo szczegółów odnoszących do górnictwa i hutnictwa, zaznajomi się z właściwą tym przemysłom ter-

minologią, ze zwyczajami i obrzędami, jakie znamionują życie robotników, odczyta podania z miejscowością złączone. Wiele, bardzo wiele można się z „Historyi o Janku górniku" nauczyć. *J. A.*

— *Promyki. Biblioteczka dla młodzieży. III. Jadwiga Warnka. Mały grajek, powieść dla młodzieży. Ozdobiona obrazkami.* Warszawa. M. Orgelbrand, 1896, str. 136.

Losy artystów bywały zazwyczaj przedstawiane ze strony smutnéj i odstręczającéj od puszczania się ciernistą drogą walk uporczywych i zawodów bolesnych. P. Jadwiga Warnka przeciwnie namalowała obrazek jasny i pogodny, w którym przykrości, smutki i cierpienia drobną tylko cząstkę zajmują. Jej Wojtuś, pastuszek, sierota, doznawał surowego obchodzenia się ze strony opiekuna i raz bojąc się kary za niedopilnowanie owiec, uciekł z wioski. Po drodze spotkał go średnio zamożny właściciel ziemski, wziął z sobą a ponieważ sam był muzykalny, zaopiekował się chłopcem po ojcowsku i wraz z dziećmi własnemi wychowywał, potém posłał go do konserwatoryum w Warszawie. Zdolności niepospolite zwróciły odrazu uwagę profesorów na młodego skrzypka. Dopiéro po śmierci nagłéj owego właściciela, który poręczywszy za lekkomyślnego sąsiada, widział się zagrożonym utratą Różanki, zaczęły się troski Wojtusia, musiał myśléć o własném utrzymaniu. Lekcyi muzyki nie dostał, trzeba było przepisywać papiéry, nie dojeść, nie dospać, a w dodatku nie módz się wprawiać w granie. Zachorował na tyfus, ale i wtedy znalazł serdecznego opiekuna w swoim koledze Karolu, który porzuciwszy konserwatoryum wziął się do handlu. Odtąd już ani na chwilę nie zachmurzył się widnokrąg życia Wojtusia, wszystko szło mu po myśli. Po skończeniu konserwatoryum, koncert przezeń urządzony, przyniósł mu tysiąc rubli, które pozwoliły pojechać za granicę i w krótkim przeciągu czasu stać się sławnym i poszukiwanym. W kilka lat odbywszy podróż artystyczną po Ameryce, zyskał bogactwa, których użył na odkupienie Różanki i ofiarowanie jéj owéj rodzinie zubożałéj, od któréj tyle dobrego w dzieciństwie otrzymał. Jak widzimy nie jest to wcale „Historya kołka w płocie", którą niegdyś Kraszewski opowiadał, ani dzieje „Janka muzykanta" rzewnie przez Sienkiewicza skreślone. Zapewne bywa i tak, jak opowiada p. Warnka—tylko bardzo rzadko. Szkoda, że autorka nie zrobiła tego zastrzeżenia, bo niejeden z młodych zarozumiałych rzępołów gotów zachęcić się świetnemi losami Wojtusia i zmarnować życie. Pod względem językowym, jeden głównie błąd, często powtarzany, wytknąć trzeba, mianowicie: *cieszyć się na* Warszawę, *na* podróż i t. p.—jestto germanizm nieprzyjemny.

— *Cecylia Niewiadomska. „Odrodzona." Powieść dla młodzieży. Z rysunkami E. Niewiadomskiego.* Warsz. Gebethner i Wolff, 1896, str. 293.

Książka ta wyróżnia się wielce z pośród ogółu powieści dla młodzieży. Przedewszystkiém styl jéj, wzorowany, jak się zdaje, na pismach Rodziewiczówny, odskakuje od zwykłego, poważnego i powolnego tonu, w jakim dzieła takie bywają trzymane: jest on urywany, nerwowy, niemal gorączkowy. Niemniéj i treść, a raczéj sposób jéj rozwinięcia ma barwę sobie właściwą. Że garbata panna może znaleźć zadowolenie i szczęście w życiu poświęconém dla dobra innych, o tém pouczała niejedna powiastka; lecz autorki lub autorowie, co taki temat obierali, nie mieli zazwyczaj ochoty zaglądać głębiéj w dusze bohaterek swoich i nie kreślili przejść bolesnych, na jakie kalectwo naraża; walk wewnętrznych, których ono bywa powodem. P. Niewiadomska tę właśnie stronę najszerzéj w swéj powieści roztoczyła. Julcia Snarska, najmłodsza córka zamożnych rodziców, piękna, inteligentna, nadzwyczaj wraźliwa i już w dzieciństwie wiele samodzielności okazująca, zostawszy kaleką, wpada w okropne rozdraźnienie, które z latami potężnieje i w myśl o samobójstwie się zamienia. Rozmowy z panną Janiną, kobiétą zacną, wyrozumiałą i umiejącą poruszyć dźwięczne struny w sercu dziewczynki, wléwają pewną otuchę w serce zbolałe i zwracają Julcię do wewnętrznéj nad sobą pracy, do studyów naukowych, do tworzenia sobie wreszcie świata idealnego. Oczywiście odrodzenie dokonać się nie mogło natychmiastowo. Rozdraźnienie pojawia się jeszcze niejednokrotnie, widok młodzieży bawiącéj, widok szczęścia siostry wychodzącéj za mąż, zawód w miłości, w mniejszym lub większym stopniu zachwiewa równowagę duszy jeszcze bardzo chwiejną, tak że po ostatnim najdotkliwszym ciosie, ponownie o samobójstwie rozmyśla, zwłaszcza że się nieszczęścia na dom rodzicielski zwaliły. Dopiéro choroba szwagra, ukochanego Adama budzi w niéj energię; potrzeba wystarania o piéniądze na jego kuracyę, przypomina jéj, że ma nowele w biurku. Uznano w Julci talent; pisma jéj zaczęto nabywać; doznała nieopisanéj radości, że mogła pracą swoją przyjść z skuteczną pomocą drogim sobie istotom. Odtąd cel miała już wytknięty; osobiste uczucia usunęła na bok; wziąwszy sobie za dewizę: kochać innych więcéj niż siebie. Za dużo tu jest zapewne, jak na książkę pedagogiczną, mocno wstrząsających wyobraźnię i serce sytuacyi, ale przyznać wypada, że skréslone są z talentem i dużo mieszczą w sobie prawdy. Wiele jest ruchu i rozmaitości w opowiadaniu, gdyż obok dziejów duszy Julci, mamy tu krócéj przedstawioną historyę kilku panien i kilku mężczyzn. Różne kwestye bieżące np. medyumizm, sta-

nowisko kobiét w społeczeństwie, wyjazdy na Wschód po chléb i t. p. wplecione są zręcznie do wątku; szkoda tylko że autorka nie obliczywszy się z chronologią, dodała epilog „po dwudziestu latach”, kiedy one jeszcze od stosunków w książce odmalowanych wcale upłynąć nie mogły.

— *„Przędziwo.” Książka dla młodzieży. Wydawnictwo imienia Pauliny Krakowowéj. Z 9 rysunkami w tekście i 1 tablicą litograf.* Warszawa 1896, str. 264.

Jestto książka opracowana siłami zbiorowemi; zgromadzono w niéj artykuły 18 autorów i autorek przeplatając poezye powiastkami, rozprawkami treści literackiéj, geograficznéj, fizycznéj zoologicznéj, botanicznéj i t. p. Najwięcéj jest oczywiście powiastek, z których najlepszą jest „Zapóźno”, napisana przez p. Cecylię Niewiadomską stylem urywanym, nerwowym, różniącym się znacznie świeżością swoją od stylu innych opowiadań, pod względem treści przedstawiającą umiejętnie ten częsty fakt, że ludzie rzeczywistego poświęcenia nie umieją ocenić za życia i dopiéro po śmierci takich osób uczuwają głęboki żal, że inaczéj z niemi nie postępowali. Jordan dał zabawną anegdotę o „Ostatnim strzale” starego kredencerza (uparcie w książce kredencarzem nazywanego) i dwu dobrych ale swawolnych chłopcach. V. Cairo opowiedziała w „Bzie” dzieje tkliwego przywiązania brata do choréj siostry, głodzącego się dla zadowolnienia jéj zachcianki. Teresa Jadwiga w „Śnie rzeźbiarza” trochę zanadto uroczystym tonem dała naukę, że nie gonienie za sławą wśród obcych, ale owocna praca na własnéj ziemi zapewnia szczęście. P. Jadwiga Chrząszczewska w niezbyt umiejętnie dobranéj alegoryi: „Taka sobie bajka” zachęca do wytrwania, do nie opuszczania rąk bezczynnie. Tomasz A. w pretensyonalnie nakreśloném: „Salve!” starał się odtworzyć zły humor cesarza Adryana i dobroczynny nań wpływ maksym chrześciańskich. Z powiastkami można połączyć żywo, jak zazwyczaj, napisaną przez p. Wł. Umińskiego fantazyą z przyszłości o aeroplanach i samolotach w XX wieku p. t. „Z Warszawy do Konstantynopola.” Ładne poezye p. Glińskiego („Stary rybak”), p. Maryi Konopnickiéj („Co ja kocham?” — w stylu Lenartowicza), oraz słaba, na nieprawdopodobieństwie oparta komedyjka „Na wakacyach” p. E. Bobowskiéj — dopełniają działu beletrystyki. Z dziejami literatury zapoznają: „Skarby pani skarbnikowéj” p. Zuz. Morawskiéj, opowiadającéj o Drużbackiéj, i rzecz „O Trenach Jana Kochanowskiego” przez Walerego Gostomskiego. Zarys podróżniczy p. Jadwigi Warnki p. t. „Wycieczka na Zelandyę, dosyć suchy, może stanowić przejście do prac z dziedziny przyrody,

których dostarczyli pp. Stanisław Kramsztyk („Zagadka o cieple i pracy istot żyjących"), Wacław Nałkowski („Dziedzina wiecznych śniegów i lodów"), Mieczysław Brzeziński („Owady i człowiek"), M. Heilpern („Z dziejów mniemanych cudów i czarów"). „Podanie o królewiczu indyjskim", opowiedziane przez p. Jana Karłowicza, byłoby może stosowném w téj książce dla młodzieży, gdyby autor był nadmienił, że nie tylko rezygnacya i stłumianie w sobie złych namiętności jest rzeczą dobrą, ale także zapał do wszystkiego co szlachetne i energia w działaniu.—Wydanie książki wogóle jest dobre, a obrazki starannie wykonane, zwłaszcza tablica litograficzna; tylko korekta, niestety, bardzo wiele pozostawia do życzenia; a zdarzają się dość często i przykre błędy językowe. *P. R.*

3) książki dla młodzieży tłomaczone.

— *Promyki. Biblioteczka dla młodzieży. II. W kraju i w Japonii, podróż dwóch przyjaciół. Opowiadanie dla młodzieży przyswoiła Karolina L. Ozdobione obrazkami.* Warsz. M. Orgelbrand, 1896, str. 197.

Jak w literaturze ogólnéj, tak i w specyalnéj przeznaczonéj dla młodzieży ważnym czynnikiem jest tak zwana „aktualność" t. j. nawiązywanie opowiadania do rzeczy i ludzi, które w danéj chwili żywo zajmują publiczność. Ponieważ dzisiaj tyle się mówi i pisze o Japonii, więc i młodzież czegoś o niéj więcéj dowiedziéć się powinna, aniżeli wyczytuje w podręcznikach geografii. Takie właśnie ma zadanie książka, któréj tytuł wypisano powyżéj. Nieznany mi z nazwiska autor niemiecki obmyślił i opracował dosyć zajmujący wątek o młodzieńcu, kształcącym się w Niemczech, który na wiadomość o bankructwie ojca zamieszkałego w Jokohamie, opuszczony przez swych towarzyszów szkolnych, spotyka na statku młodego parobczaka, jadącego do Ameryki i namawia go, by z nim razem udał się do Japonii. Przygody na morzu dają autorowi sposobność zaznajomienia czytelników z mieszkańcami oceanu i ze zjawiskami jemu właściwemi, jak nie mniéj pozwalają wykazać przywiązanie i dzielność dwu młodych podróżników przy i po rozbiciu się okrętu. Następnie podróż po Japonii zapoznaje nas ze sposobem życia oryginalnego ludu, z jego obyczajami, z wymiarem sprawiedliwości i t. p. Przybycie do Jokohamy i pobyt młodzieńców w domu zrozpaczonego bankructwem kupca staje się powodem scen wzruszających, w których zarówno Henryk jak i Piotr okazują się szlachetnymi i pełnymi poświęcenia przyjaciołmi. Odszukanie zbiegłego kasyera, odebranie mu zrabowanych pieniędzy, dokonane głównie przy pomocy tychże młodzieńców, rozjaśnia widnokręgi życia całéj rodziny, do któréj, jak się okazało, i Piotruś parobczak należy.

Powrót do kraju, założenie instytucyi, mającéj przychodzić z pomocą nieszczęśliwym wdowom i sierotom, dbałość o rozszerzenie oświaty i dobrobytu w wiosce rodzinnéj kończy to opowiadanie, które z pożytkiem i zajęciem czytane być może przez 12 — 14-letnią młodzież. Przyswojenie językowi naszemu téj książki uważamy za potrzebne, bo rozszerza ramy tych tematów, jakie u nas zazwyczaj bywają obrabiane. Tłomaczka dokonała swéj pracy językiem dosyć poprawnym. *P. R.*

— *„Przygody i opowiadania misyonarza w Sudanie Egipskim" — podług I. Ohrwaldera, opracował Kazimierz Król. Z 10 rycinami i mapką Egiptu.* Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 202.

Książka ta zawiéra opowiadanie księdza Ohrwaldera, który udawszy się w charakterze misyonarza do Sudanu Egipskiego, został wzięty do niewoli przez tak zwanych mahdystów, t. j. stronników i wyznawców derwisza Mohameda Ahmeg, który w 1882 r. nazwał się nowym Mahometem, zesłanym na ziemię, aby oczyścić wiarę muzułmańską z obcych naleciałości. Mahomed, albo Mahdi, pozyskawszy sobie silne stronnictwo, zdobywał kolejno główne miasta w Sudanie, jak: Chartum, Obeid, Delen i utworzył nowe państwo barbarzyńskie. Ks. Ohrwalder był świadkiem dziesięcioletniéj walki mahtystów z Turkami egipskimi, szczegóły jéj stanowią treść jego pamiętników. Dopiéro po śmierci Mahdiego, gdy nowo założone państwo znacznie osłabło, ksiądz Ohrwalder mógł pomyśléć o wydobyciu się z niewoli barbarzyńców i rzeczywiście został oswobodzony przy pomocy biskupa z Kairu. Obok wiadomości geo- i etno-graficznych ma tu czytelnik obraz poświęcenia skromnego i cichego misyonarza, który z prawdziwém bohaterstwem ducha stara się wśród dzikich krzewić wiarę Chrystusową, głosić słowa miłości i występować przeciwko niewolnictwu. Opracowanie p. Króla jest pod każdym względem wzorowe.

— *A. Laurie. „Spadkobierca Robinsona", przekład z francuskiego, z 7 rycinami.* Warsz. Gebethner i Wolff, 1896, str. 324.

W Indyach umiéra bogaty oficer angielski, zostawiając dzieci i majątek pod opieką swego krewnego Francuza. Nieboszczyk nosił nazwisko Robinsona Kruzoe; syn jego Chandos przypuszcza, że rodzina ich pochodzi od bohatera powieści Defoego. W zbiorach, jakie zostawił Robinson, znaleziono blaszkę złotą, która, jak się późniéj okazuje, posiadaczowi jéj zapewniała panowanie nad Afganistanem. Blaszka sprowadziła na Robinsona prześladowanie ze strony fanatycznego stowarzyszenia Braci Nieba i Ziemi, a w końcu i śmierć. Dzieci Robinsona uciekają przed takiém prześladowaniem do Europy. Lecz statek,

uszkodzony ręką prześladowcy, tonie, a rozbitki dostają się na nieznaną wyspę oceanu Spokojnego, która niegdyś była siedzibą Robinsona Kruzoe. Chandos i siostra jego Florencya znajdują nawet mumię swego pra-pra-dziada w grocie kamiennéj. Lecz tu padają oni ofiarami zemsty tajemniczego wroga. Otwór w grocie zostaje zatarasowany; z zasadzki téż téj wszakże wyswabadzają ich wkrótce ich towarzysze. Opowiadanie jest żywe; tłomaczenie—dość doprawne.

— *C. Colomb. „Dla szczęścia rodziny.“ Powieść dla młodzieży. Przełożyła z francuskiego Marya B.* Warszawa. Księgarnia T. Paprockiego. 1896, str. 252.

Dziesięcioletnia Helenka Corianis udaje się z angielską rodziną Grauby do Londynu, w charakterze towarzyszki małéj Jani, sądząc, że tym sposobem ulży swéj matce w jéj trudném położeniu po śmierci męża. Państwo Grauby uważają dziewczynkę za własną córkę, dają jéj staranne wychowanie i zaspakajają wszystkie jéj potrzeby, tak, że Helenka całą pensyę, jaką od nich otrzymuje, może posyłać matce. W ten sposób upływa lat parę. Helenka widząc się już niepotrzebną państwu Grauby, ma zamiar wrócić do matki i do kraju. Niespodziewana ruina jéj opiekunów niweczy ten zamiar. Helenka ma teraz pole do wywdzięczenia się swym przyjaciołom za okazane sobie dobrodziejstwa. Dawniéj już nauczyła się lepić figury z gliny. Teraz talent ten stanowi jedyny środek utrzymania dla rodziny Grauby. To smutne położenie wszakże trwa niedługo; p. Grauby szczęśliwemi obrotami handlowemi odzyskuje majątek. Wówczas Helenka śpieszy do kraju, aby spełnić obietnicę, daną niegdyś umierającemu ojcu. Pracą własną odkupują dawne posiadłości rodzinne, gdzie zamieszkuje wkrótce wraz z matką i mężem. W tłómaczeniu można wytknąć tak często obecnie pojawiające się wyrażenie: „podczas gdy” zamiast prostego „kiedy” lub: „gdy tymczasem.” Niepoprawne wyrażenia w rodzaju takich np. „zapewne ta pani chciala j é j z a p ł a c i ć u p r z e j m o ś ć, a może téż i wodę” (str. 31), zdarzają się tu również. *J. A.*

* *
*

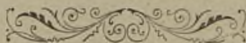
Na zakończenie wspomniéć potrzeba o kilku przedrukach. Podawać ich treści nie ma oczywiście potrzeby; znajduje się ich ocena już w „Katalogu książek dla dzieci i młodzieży”, albo też w dawniejszych rocznikach „Ateneum.” Poczytność ich zaświadczona jest ponownem wydaniem. Co najwyżéj zatém można zrobić uwagi dotyczące strony formalnéj. Ponowne edycye powinny się odznaczać większą starannością; należy z nich usuwać błędy, wytknięte przez krytykę; wypada

dbać o lepszą korektę, bo powodzenie zobowiązuje. Czy wymaganiom tym czynią zadość wydawcy? Podobno nie zawsze. Oto przykład. W trzeciém wydaniu ukazały się obecnie „Perły, zbiór celniejszych powieści z literatury angielskiéj dla młodocianego wieku.” (Warszawa. Gebethner i Wolff, str. 275). Tłómaczem, a raczéj przerabiaczem tych 16 powiastek, z których najdłuższą jest ostatnia: „Dukat Stasi”, był Wł. L. Anczyc, pisarz niewątpliwie dobrze władający językiem ojczystym, ale w pośpiechu popełniający nieraz błędy składniowe i stylistyczne. Błędy te wytykała krytyka; pozostały one jednak i w tém 3-ém wydaniu; gdyż na str. 264 czytamy: „zaczęli *od* nich unikać”, na str. 273: „gdzie *jéj* mąż ofiaruje *jéj* utrzymanie” i t. p.

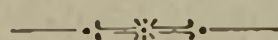
Do przedruków należy jeszcze „Druga książeczka Helenki, powieści dla dzieci zaczynających już czytać gładko, przez autorkę „Pamiątki po dobréj matce.” Wydanie siódme z 8-ma rycinami.” Warsz. Gebethner i Wolff, str. 142). Dziełko Klementyny z Tańskich Hoffmanowéj, wydane po raz pierwszy w r. 1825, ma swoje zalety, ale pod względem stylowym wymagałoby również poprawek; książki pedagogiczne, nie są przecież dziełami sztuki, któreby niezmiennie przedrukowywać należało.

Dla dojrzalszego wieku wielce ponętném będzie drugie wydanie książki tłómaczonéj z niemieckiego przez zmarłą już obecnie a tak zasłużoną w dziedzinie literatury pedagogicznéj M. J. Zaleską, p. t. „Młody wygnaniec, przygody wśród puszcz i stepów amerykańskich.” Warsz. Gebethner i Wolff. 1895, str. 493.

Co do rycin, mających przyozdabiać wydawnictwa gwiazdkowe, rzadko kiedy są one zadawalniające; albo rysunek jest lichy, albo odbicie niewyraźne, zamazane; albo téż słabe jedno i drugie. Trzebaby przecież pamiętać o kształceniu smaku estetycznego młodych czytelników; bez tego, ryciny chybiają właściwego celu. *P. R.*



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



Dr. Ryszard Falckenberg, „Historya filozofii nowożytnéj", tłumaczył W. M. Kozłowski. Warszawa, 1895, str. 667.

Wartość tego dzieła, wybranego dla przekładu na język polski i wydanego nakładem redakcyi „Prawdy" polega najpierw na stanowisku jego autora, należącego do najwybitniejszych przedstawicieli umiarkowanego idealizmu w Niemczech; powtóre na tém, że dokładniéj rozwinięty w niém dział historyi filozofii Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, pozwala studyującym ten przedmiot u nas zestawić i porównać dawniejsze usiłowania myślicieli polskich, Gołuchowskiego, Libelta, Kremera, Trentowskiego, w części Cieszkowskiego, z jednorodnemi poglądami uczonych niemieckich najświeższéj doby; po trzécie, starannie, lubo nieco pobieżniéj przedstawiony obraz filozofii angielskiéj i francuzkiéj, od Locka i Hume'a do Millów i Spencera z jednéj strony, od Condillaca do Comte'a ze strony drugiéj, nastręcza sposobność głębszego rozejrzenia się w źródłach pozytywizmu na naszym widnokręgu umysłowym, od okresu Sniadeckiego do chwili obecnéj. Najcenniejsza zaś zaleta—już nie oryginału lecz przekładu, tkwi w jego przypiskach i odsyłaczach. Tłumacz, p. W. M. Kozłowski, skrzętnie i z niemałym zasobem erudycyi zgromadził tu niemal wszystko, co w ciągu ostatnich lat kilkunastu ukazało się w poważniejszych czasopismach polskich z zakresu wiedzy filozoficznéj. Zaznaczymy niektóre z tych wskazówek. O filozofii Bruna pisał Pawlicki w „Ateneum" 1888; o Machiawelu Żychliński w broszurze, Poznań 1861;

o Grocyuszu Lipnicki „w Bibl. Warsz." 1888; o Bakonie Kaszewski w „Bibl. Wars." 1876; Kartezyusza „Metodę" tłomaczył Dobrzycki 1878, „Rozmyślania" Dworzaczek w „Bibliotece filozof." Struwego 1885; Spinozy „Etykę" tłumaczył Paskal w „Bibl." Struwego 1888, pisał o nim, między innymi Krzemiński w „Zarysach literackich" 1895 i Szczerbowicz-Wieczor w „Ateneum" 1877; osobny rozbiór filozofii Locke'a po polsku znajduje się tylko w tłumaczoném przez Gliszczyńskiego dziele Cousina „Filozofia XVIII-go wieku", 1886; Berkeleya „Rzecz o zasadach poznania" tłumaczył Feliks Jezierski w „Bibliot." Struwego 1890; o Wolterze pisali Świętochowski 1878, Kaszewski 1878; Condillaca „Traktat o wrażeniach zmysłowych" tłumaczył A. Lange w „Bibl." Struwego 1887; o Holbachu znajduje się obszerniejsza wiadomość w tłumaczonéj „Historyi filoz. materyal." Langego; sprawozdanie z filozofii za dni wielkiéj rewolucyi znajduje się w „Ateneum" 1891; o Rousseau posiadamy większe rozprawy: Chmielowskiego z r. 1878 i Spasowicza, w jego „Pismach", t. II, 1892; „Umowę towarzyską" Rousseau'a tlumaczył Józef Wien 1860; niektóre dzieła Kanta tłumaczyli: I. Wł. Bychowiec, następnie Bobrowski „O pedagogice" i Mrongowius „O religii i moralności", Gdańsk 1854; o Schopenhauerze pisali: Lipnicki 1888, Smolikowski 1881, oprócz tego posiadamy przekład pracy Ribota o głośnym pessymiście niemieckim; o Nitsche'u osobne rozprawy wyszły: Wł. M. Kozłowskiego 1893, Przewóskiéj 1894 i Garfeina w „Ateneum" 1893; August Comte najbogaciéj reprezentowany jest w piśmiennictwie naszém, obrabiali go bowiem: Krupiński 1868, Kaszewski 1869, Ziemba 1872, Tyszyński 1873, Struwe 1874, Smolikowski 1875, Limanowski 1881, Hodi 1883, Pawlicki 1884 — 85 (wszyscy przeważnie w „Bibl. warsz."), tudzież Wł. M. Kozłowski i Korzon (w „Ecykl. ilustr."); o Henryku St.-Simonie pisał Limanowski w „Ateneum" 1886; kilka dzieł lub wyjątków z Hip. Taine'a tłumaczyli: Tomaszewski 1873, Sygietyński 1895; o Renanie pisali: Radliński w „Ateneum" 1882—84 i Hodi w „Ateneum" 1894; o najważniejszém z dzieł I. S. Milla „Trzy rozprawy o religii" mówił w Akad. krak. Straszewski 1877 i Raciborski w „Ateneum" 1885, mamy nadto kilka przekładów, „Ekonomii polit." 1859, O „wolności" 1864 (Juliusza Starkla), „Poddaństwo kobiet" 1870; Herberta Spencera „Zasady pierwsze" tłumaczył I. K. Potocki 1886, „Etykę" Karłowicz i t. d., pisali o nim: Krupiński w „Ateneum" 1886, Wł. Kozłowski (ze Lwowa) w „Ateneum" 1878, 1882, 1883, 1838, Kaszewski w „Bibl. Warsz." 1875, Ludwik Krzywicki w „Prawdzie" 1889; Whewella „Zagadnienia życia i ducha" tłumaczył I. K. Potocki 1892; o Carlylu pisali Okolski 1894, Krzemiński w „Zarysach" 1895, „Sartora Resartusa" tłumaczył S. Wiśniowski

1882; M. Carriere'a „Literaturę i sztukę w XVIII i XIX stul.” przełożył St. Krzemiński; Wundta „Teoryę poznania” tłumaczył Heryng 1889, o jego „Etyce” pisał Jellenta w „Ateneum” 1890; Verona „Estetykę” przełożył A. Lange 1892.

Stanisław Bełza. „W kraju tysiąca jezior.“ (Z podróży i przechadzek po Finlandyi.). Warszawa, Gebethner i Wolff, Petersburg K. Grendyszyński, 1896, str. 233 (oprócz licznych rycin).

„Zaledwie przyjezdny po uciążliwéj nocnéj podróży opuści dworzec kolejowy i znajdzie się na wielkim placu przytykającym do niego, uderzony zostaje widokiem wspaniałego gmachu, o liniach szlachetnych i kunsztownych, o łagodnych kolorach, na którego froncie, ozdobionym popiersiami wielkich ludzi starożytności, widnieją pouczające każdego słowa: „Zgodą drobne rzeczy wzrastają... To Ateneum.” Ale niech się czytelnik nie myli: nie jesteśmy w Warszawie. Daleko ją zostawiliśmy za sobą. Znajdujemy się w Finlandyi, w głównem jéj mieście, Helsingforsie, dokąd nas zawiózł p. Stanisław Bełza, po swoim powrocie z Wenecyi (zob. tegoroczny majowy zeszyt „Ateneum”). Po cudach przyrody południowéj, cuda nieba północnego, po cichych kryształach Adryatyku, szumne wodospady Imatry i Walinkoski, po wspaniałych pustkach pałacu dożów, tryskające młodém życiem dzieje sztuki narodowéj, o któréj lat temu kilkanaście nie słyszano wcale! Owo „Ateneum” helsingforskie, to przybytek nowonarodzonego malarstwa i rzeźbiarstwa fińskiego, — gmach rozległy i wytworny, ozdoba stolicy—dźwignięty groszową ofiarnością ubogiego ludu. Jasno, miło i swobodnie czujemy się w tych „salach wysokich i widnych, oświetlonych przeważnie z góry, skomunikowanych z sobą przedziwnie, urządzonych wygodnie i gustownie”, z rozwieszonemi po ścianach krajobrazami i scenami z domowego życia finlandczyków, skromnego, pobożnego, skupionego przy pracy, rozmyślaniu i gawędce u kominka w długie jesienne i zimowe wieczory. Tu rybak naprawiający sieć przed połowem, tam chrzest niemowlęcia w wiejskiéj chacie pastora, nieco opodal wnętrze małomiejskiego kramiku, do którego wbiega dziewczynka z koszykiem pod ręką i trzygroszniakiem na dłoni, wołając: „dla kotka!”... Munsterhielm, Lindholm, Holmberg—tak brzmią imiona mistrzów tegoczesnego malarstwa fińskiego. Stanisław Bełza zapewnia, że sława ich dzieł „wybiegła po za granicę Europy” (str. 134); u nas niejeden estetyk i krytyk sztuki bez rumieńca zapewne po raz pierwszy posłyszy o nich obecnie. Ale bo téż, rzeczywiście, gdyby nie jeden z ostatnich zeszytów „Wielkiéj Encyklopedyi ilustrowanéj”,

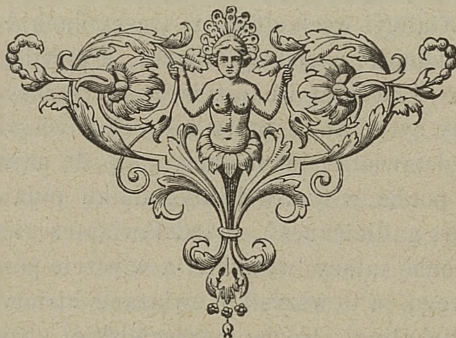
łobyśmy może nie zbyt więcéj wiedzieli i o starszéj „siostrze plastyki fińskiéj”, — o poezyi, literaturze, publicystyce „tysiąca jezior”, o Wojcickich téj ziemi Palmenie i Portkanie, o jéj Jakóbie Wuyku—Agricoli, o jej Kochanowskim—Suomalajnenie o jéj Czackim—Liungim,—o jéj Lindem—Jusleniusu, wreszcie o jéj z nikim już nieporównanych twórcach Macierzy fińskiéj, Snellmannie, Lönrocie i Runebergu. Jeżeli dziś—powiada podróżopisarz—na téj odległéj, śniegami zasypanéj północy młoda literatura fińska bynajmniéj nie ustępuje szwedzkiéj, jeżeli Finlandya wkrótce znać już nie będzie u siebie co to jest analfebetyzm, jeżeli oświata jéj gminna współzawodniczyć zaczyna o palmę pierwszeństwa z podążającą w tych wyścigach na czele Danią, — bez przesady powiedziéć można, że cud ten zawdzięcza swemu Towarzystwu Przyjaciół nauk założonemu w r. 1831 w widokach—jak głosi na pierwszém miejscu jego ustawa—zbiérania i rozpowszechniania starych pieśni i podań, tudzież wydawania książek mających na celu oświatę ludu, (114—118) ...Wielkich uroszczeń do świata i do przyszłości Finlandczycy nie mają, a jednak o ileby do pretensyi tego rodzaju upoważniała przeszłość, znalazłyby się tytuły całkiem autentyczne do posiadania nawet dobréj połowy Europy środkowéj. Dzisiejsza Finlandya jest skupioną resztką plemienia, rozpostartego niegdyś równie szeroko jak i owa Słowiańszczyzna zachodnia, co do któréj Wilhelm Bogusławski dowodzi obecnie, że sięgała pierwotnie po za Ren,—ona, co dziś zaledwie ma czém dyszéć u wierzchowin Odry i Łaby, oraz nad dolną Wisłą. O Finnach za ryzykownie byłoby twierdzić, że w ich Kalewali, zbiorze tradycyi i baśni przechowanych wśród lasów korelskich, kryje się niejedna zagadka obiegających do niedawna w żywém słowie opowieści naszych gminnych, łotewskich, litewskich, mazowieckich i nawet kaszubsko-pomorskich, w części zaś, być może, to i pojadzwingsko-podlaskich, jeżeli przyjmiemy na wiarę hypotezę kilku badaczy, utrzymujących, jakoby Jadźwingi byli zlewkiem Finnów i Gotów (z III wieku po Chrystusie), tak samo jak Mazowszanie byliby takąż gocką mieszaniną Lechitów i Jaćwieży (D. Szulc). Ale—bez żadnéj przenośni—nie brak w kraju naszym bardzo wyraźnych śladów fińszczyzny. Wszakże niedawno jeszcze jeden z młodych etnografów we Francyi, p. Feliks Michałowski, w „Essais d'Ethnologie préhistorique” (Paryż, 1893) usiłował okazać, że nazwy rzek naszych: San, Sanna, Sonna, Sienna, pochodzą od wyrazu fińskiego *soan* nieczystość mącąca wodę; miasto Wizna, oraz rzeki Wisła, Wisłoka, od *viz*, *vez* woda; Odra, Drawa i Drwęca, od *ar*, *er* potok; sejm, od *esi-isö* praojciec; Kujawy od *Kö-yövö* kamień wędrowny; miecz od *mösz* miedź, etc. (str. 5, 7, 11)... Ale nie trzeba sięgać aż tak daleko, tak głęboko do

wnętrza pokrewieństwa przedhistorycznego, aby módz z wielką przyjemnością, z rzetelném zaciekawieniem przebiedz podróż Stanisława Bełzy po Finlandyi. Jednego się tylko żałuje, gdy się książkę kończy w ciągu kilku godzin wywczasu wiejskiego, a mianowicie, że nie jest ona w trójnasób większa.

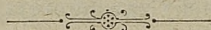
Dr. Seweryn Sterling. „Warunki pracy zawodowéj robotników fabryk sukna w Tomaszowie Rawskim.“ Odbitka z „Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego.“ Warszawa, 1894, str. 48.

Jest to ścisłe i o ile osobiste poszukiwania autora na to pozwoliły, nader dokładne zobrazowanie statystyczne obecnego stanu warunków sanitarnych, w jakich robotnik tomaszowski (a przypuszczalnie to i ogólno-krajowy), spędza wśród zajęć ciężkich, męczących, sporą część swojego żywota. Czém wśród grubych i przepełnionych murów fabrycznych oddychają podrostki, kobiety, często starcy, ile chwil wolnych mają w ciągu dnia roboczego na spożycie niezbędnego pokarmu, skąd czerpią wodę do picia i opłókania rąk przed jedzeniem, do jakiéj wysokości dochodzi w ich pracowniach termometr podczas lata i na jakim poziomie zatrzymuje w czasie chłodów, — czyta się o tém w broszurce dra Sterlinga wnioski lub tylko napomknienia wcale niewesołe. Szereg życzeń, czyli, jak się autor wyraża, postulatów do osiągnięcia, wypisanych na zamknięcie dochodzenia, dowodzi, że nie ma też rzeczywiście powodu do wesołości. Oto są owe postulaty nieodbite: 1) zaprowadzenie sztucznéj wentylacyi, prawie nieistniejącéj dotąd, aspirującéj czyste, z wiadomego źródła powietrze; 2) lepsze oświetlenie farbiarni, suszarni etc.; 3) częstsze mycie podłóg, ścian, prawie niepraktykowane dotąd; 4) rozpowszechnienie masek zabezpieczających od kurzu; 5) mocniejsze podłogi po warsztatach tkackich dla zmniejszenia drżenia izb; 6) urządzenie ścieków i spadków w farbiarniach, pralniach; 7) używanie nosz do sukna wilgotnego, pranego i czerpaków przy wyjmowaniu wełny po farbiarniach; 8) pokrycia nieprzemakalne dla pracujących w powietrzu parą przesyconém; 9) umywalnie po salach i kominki do ogrzewania jadła; 10) regulowanie zegarów podług jednego wzoru, gdyż dziś różnią się one nieraz o półgodziny; 11) zadrzewienie podwórzy fabrycznych; 12) popularyzowanie wiadomości hygienicznych, dotyczących: znaczenia ochędóstwa, zafałszowania pokarmów, konieczności światła dla zdrowia, niezasłaniania okien w pokoju chorego, używania obciślejszéj odzieży przy pracy, pielęgnowania niemowląt, pożyteczności szpitali i t. d., i t. d. Każdy wyraz, każdą niemal literę téj suplikacyi robotniczéj pochłaniamy z ja-

kiémś ździwieniem nieznośném, upokarzającém... — że się téż o tém wszystkiém nie miało najmniejszego wyobrażenia i że o tych sprawach tak się mało u nas pisze i czyta. Teatr, nowiniarstwo, czy coś gorszego jeszcze, zabiéra nam po dziennikach miejsce przeznaczone na rzeczy pilne, najbardziéj piekące. Na domiar wszystkiego, autor uskarża się na początku swéj pracy, do któréj zbieranie materyałów i danych zabrało mu bagatelne trzy lata czasu, narażonego następnie na przerwę ankiety, — że u nas nie sposób jest zdobyć się na opracowanie nieco więcéj zaokrąglone i uogólnione w podjętym przezeń kierunku. W środkowych guberniach Rosyi, od czasu utworzenia posad lekarzy fabrycznych, ruch badawczy rozwinął się do pewnego stopnia natężenia, pomimo, że przemysł późniéj tam niż u nas, nabrał sił i znaczenia; na kresach zaś zachodnich—brak prawie zupełny oryginalnych monografii z dziedziny hygieny zawodowéj...



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.



= *Marguerite Poradowska*. **Marylka**. Paryż, Hachette, 1896 str. 251. — Zapewne p. Poradowska od dłuższego już czasu próbowała sił swego talentu, zanim w r. 1887 pomieściła w *Revue des deux Mondes* swój obrazek p. t. „Yaga, esquisse de moeurs ruthènes." Okazała tu dobrą znajomość Galicyi wschodniéj w szczegółach dotyczących życia duchowieństwa, ludności wiejskiéj i dworu, a przedstawione przez nią kolizye miały dużo świeżości i napięcia dramatycznego, malowały bowiem takie strony bytu, które przez naszych powieściopisarzy bardzo rzadko były przedstawiane, lubo odnoszą się do najważniejszych stosunków. W rok potém w tymże dwutygodniku pojawiła się „Demoiselle Micia, moeurs galliciennes", przedstawiająca głównie życie szlachty wiejskiéj, trochę salony lwowskie, a wreszcie parę scen z dziejów przemysłu naftowego, a to wszystko związane historyą rozwoju uczuć w sercu Misi (Michaliny), trochę marzycielskiéj, trochę samowolnéj, z duszą kryształowo czystą i w wysokim stopniu prawą. Przejścia, na jakie narażone jest jéj serduszko, najprzód wskutek powtórnego ożenienia się ojca, który wybrał sobie zubożałą pannę z domu arystokratycznego, wychodzącą zań jedynie dla zrobienia losu, a potém wskutek odkrycia brutalnie uczynionego jéj przez macochę, że ten, którego pokochała i za którego szła za mąż, *ją* przedtém kochał, stanowią więź artystyczną, utrzymującą wszystkie szczegóły opowiadania w jedności artystycznéj, miłéj i zajmującéj. Jest jeszcze kilka innych powieści i powiastek p. Poradowskiéj, nieznanych mi z treści („Tournesol", „Le mariage du fils Grandsire" i t. d.), po których nastąpiła najnowsza p. t.

„Marylka.” Tutaj opuszcza autorka Galicyę, a przenosi się częścią na Ukrainę, częścią do Lublina i Nałęczowa. Zdaje mi się, że na tém terytoryum czuje się p. Poradowska mniéj pewną siebie i swobodną, że stosunki, jakie kréśli, są jéj mniéj dobrze znane, może widziane tylko przelotnie. To téż i szczegóły etnograficzne, które w „Jadze” i „Misi” zajmowały miejsce bardzo wydatne, schodzą w „Marylce” na plan dalszy, ustępując pierwszeństwa psychologii i zarysom życia towarzyskiego wogóle, z lekką, ale ważną w rozwoju wypadków przymieszką stosunków żydowskich. Podobnie jak w „Misi” przypatrujemy się i tutaj rozwojowi życia bohaterki od bardzo wczesnéj młodości. Ojciec Marylki to zbiédzony i schorzały marzyciel, idealista, który nie żałował majątku ni życia, celem urzeczywistnienia szlachetnych aspiracyi. Ludem zajmuje się gorliwie, stara mu się czynnie dopomódz, dbając o jego zdrowie fizyczne i o rozwój jego oświaty. Nie doznaje poparcia ze strony małżonki, kobiety spragnionéj zabaw i hołdów, znużonéj długotrwałą chorobą męża, zdenerwowanéj. Nie mogąc sam zajmować się gospodarstwem, musiał je powierzyć rządcy Ormianinowi, człowiekowi chytremu i ambitnemu, który korzystając z położenia, robi naprzekór filantropijnym zamiarom dziedzica i zmierza do owładnięcia całym domem, projektując sobie małżeństwo z Marylką. Ta uczuwa wstręt do niego mimowolny. Jest to dziewczynka zamknięta w sobie, dumna, samowolna, energiczna. Nie doznając oznak miłości ze strony rodziców, sama okazuje się względem nich tém chłodniejszą, wyzywając niejednokrotnie gniew schorzałego ojca. Przy jedném z takich uniesień dojrzała Marylka cierpienie straszne i opuszczenie tego, którego poczytywała dotychczas tylko za tyrana. Serce się jéj otworzyło; zbliżyła się do ojca, a w uścisku serdecznym zrozumiała jego wielką, ale rozgoryczoną duszę. Odtąd tych dwoje rozumiało się jedynie w całym domu; wspólnie przepędzali wieczory, czytając, rozmawiając, układając plan pamiętników, które zresztą nigdy nie miały być spisane. Do grona tego przyłączył się także Wojtek, syn zubożałéj rodziny, praktykant agronomiczny, uczuwający czar, jaki bił od młodéj dziewczyny, ale nie śmiejący z powodu ubóstwa wyjawić stanu serca swego. Komplikuje sytuacyę przybycie dalekiego kuzyna, hulaszczego eleganta oficera, który pośpieszył z pomocą pieniężną ojcu Marylki. Zakochał się on w niéj odrazu i starał się ją olśnić świetnością manier swoich i wesołością. Zbolały marzyciel umiéra; wdowa wychodzi za rządcę, Marylka, nie mogąc się zżyć z myślą o ojczymie, opuszcza dom rodzinny i przenosi się do Lublina do ciotek, starych panien, prowadzących salon wielce uczęszczany. Marylka chce pracować na utrzymanie, ale wszyscy ją wyśmiewają-

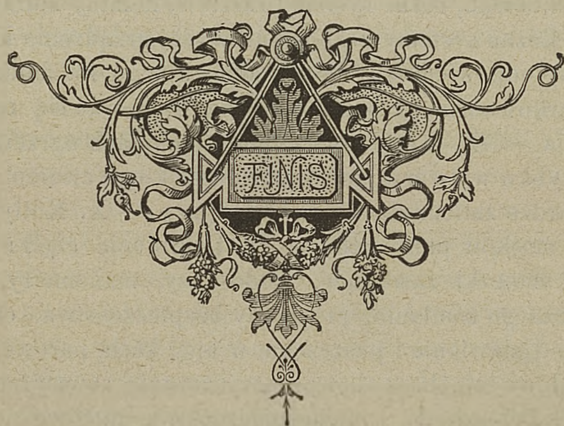
tak, że i ona o zamiarze swoim niebawem zapomina, powierzając się losowi. Przybywa Tadeusz, ów świetny oficer, i robi wielkie starania, by pozyskać rękę Marylki. Wszyscy są za tém małżeństwem, a że Wojtek, powziąwszy nieuzasadnione podejrzenie, ochłódł i oddalił się, Marylka daje swe zezwolenie. I związek przyszedłby był do skutku, gdyby nie skandal. W tym domu, w którym mieszkały ciotki Marylki, odprawiało się wesele córki bogatego kupca Lii. Towarzystwo zeszło na dół, by się przyjrzéć obrzędom. W liczbie obecnych znajdował się i Tadeusz. Lia, którą był uwiódł, w przystępie rozpaczy, wyznała wszystko wśród przekleństw na przeniewiercę miotanych. Tadeusz ucieka; z Wojtkiem następuje porozumienie i szczęśliwe małżeństwo. Marylka jako młodziutka dziewczyna lepiéj została przedstawiona niż jako panna dorosła; a ojciec jéj, w pomyśle samym doskonały, blado wyszedł w wykonaniu; salon ciotek w Lublinie na samym wstępie razi cokolwiek jaskrawością; opis wesela żydowskiego może nie jest dokładném odbiciem rzeczywistości, gdy się zważy, że jest tam mowa o sferze bogatéj; Wojtek bardzo sylwetkowo został odtworzony. Kompozycya wogóle jest luźna, lecz całość opowiadania zajmuje, tak, że „Marylka" stanąć może jako powieść obok „Misi."

— **Przewodnik dla maszynistów E. F. Scholla.** Tłómaczył *Aleksander Podworski*, inżynier-mechanik. Druk Jana Cotty. Warszawa, 1895. Nakładem H. Wawelberga. — Pod powyższym tytułem w szeregu książek biblioteki przemysłowéj ukazała się część pierwsza tłómaczenia z 11-go wydania bardzo cenionego w Niemczech podręcznika dla praktycznych mechaników, dozorców kotłów i maszyn parowych i wogóle dla wszystkich, co mając do czynienia z motorami parowemi, pragną w sposób łatwy obznajmić się z ich urządzeniem. Autor zamierzył udzielić praktycznych wskazówek i rad młodym technikom, bądź to samoukom, bądź wychowańcom niższych lub średnich szkół technicznych, przy wstępie do zawodu przemysłowego; ułatwić im obeznanie się z urządzeniem i działaniem maszyn parowych, wskazać sposób obchodzenia się z niemi, zapobiegając łatwym bardzo w początkach zawodu omyłkom, zdarzającym się téż technikom z wyższém wykształceniem teoretycznem. Nawet właściciel fabryki lub jéj kierownik w dziełku Scholla znajdzie cenne wskazówki co do zakresu działalności, jaki bezpośrednim dozorcom maszyn i kotłów parowych wyznaczyć należy, i obowiązków, które na nich ciążyć winny. Stosownie do takiego zadania znajdujemy tu w pierwszéj części następujące rozdziały: Wstęp, obejmujący krótki wykład obowiązków maszynisty fabrycznego, pod dozorem którego znajduje się motor czyli silnica

parowa wraz z kotłem, z praktycznemi wzorami kontroli nad biegiem silnicy i ilością używanych materyałów. Na końcu wstępu autor zastanawia się nad określeniem stosunku maszynisty do współpracowników i podwładnych. Daléj znajdujemy następujące rozdziały: I, II, III — oznaczenie wielkości kotła parowego, odpowiednio do przeznaczenia, ze wskazaniem, jak się oblicza odparowalność i wielkość powierzchni ogrzewalnéj. Własności wody i pary, temperatura, termometr, cieplik parowania (utajony), para przegrzana, burzenie się wody w kotle, kamień kotłowy i t. d. Różne rodzaje paliwa: drzewo, węgiel kamienny, brunatny, torf i t. p. Spalanie zupełne i niezupełne, straty od nadmiaru powietrza, wyparowalność różnych rodzajów paliwa, koszt jednego kilograma pary. — IV. Zużytkowanie ciepła rozbudzonego przez palenie na wytwarzanie pary, kanały ogniowe i powierzchnia ogrzewalna, związek między wydajnością powierzchni ogrzewalnéj i odparowalnością opału. — V, VI. Materyały używane na wyrób kotłów parowych, postać kotła parowego i jéj pochodzenie. — VII. Obmurowanie kotłów, urządzanie paleniska, różne systemy rusztów, kominy murowane i żelazne. — VIII. Różne systemy kotłów parowych, urządzenia kotłów parowych stałych, odpowiednich do niejednostajnego rozchodu pary o ciśnieniu umiarkowaném, gdy nie potrzeba krępować się miejscem do ich ustawiania. — IX. Kotły stałe o powierzchniach ogrzewalnych małych, lecz szybko wytwarzających parę wysokiego ciśnienia, odpowiednie przy bardzo zmiennym rozchodzie pary. — X. Kotły lokomobil, parowozów i statków parowych. — XI. Uzbrojenie czyli armatura kotła, pompy i smoczki zasilające, wodoskazy, manometry, przyrządy do automatycznego zasilania, przyrządy bezpieczeństwa, ostrzegawcze i t. p. — XII. Ustawienie i puszczenie w bieg kotła parowego. — XIII, XIV. Prawidłowa służba palacza, oczyszczanie zewnętrzne i wewnętrzne. — XV. Przeszkody i niebezpieczeństwa mogące się przytrafić podczas służby kotła parowego, oraz środki zaradcze. — XVI. Przepisy o budowie, ustawianiu i utrzymaniu kotłów parowych, oraz o sposobie ich rewizyi, zatwierdzone przez p. ministra skarbu z r. 1890. — Bogata ta treść wyłożona została w części pierwszéj w sposób prosty, ogólnie zrozumiały, bez rozwinięcia aparatu naukowego, aby uczynić dziełko to przystępném nawet dla bardzo mało przygotowanych czytelników, których nie zrażają tu żadne formuły ani wywody teoretyczne. Pomimo tego książka posiada prawdziwą wartość naukową, dla początkujących techników, tém cenniejszą, że odrazu wprowadza ich w świat praktyki przemysłowéj. — Język tłómaczenia, jakkolwiek miejscami szorstki i niezupełnie wyrobiony — wogóle poprawny, znać przytém staranność tłómacza w dokładném oddaniu myśli autora. —

Strona wydawnicza przedstawia się bardzo pięknie, papiér biały, druk czysty i wyraźny, rysunki wzorowe, nieustępujące swém wykonaniem niemieckiemu oryginałowi, od którego polskie tłómaczenie jest tańszém. Cena części pierwszéj 380 str. druku z 235 drzeworytami w tekście, kartonowanéj, wynosząca zaledwie rs. 1 kop. 50, czyni popularne to dziełko przystępném nawet dla mniéj zamożnych. — Część druga obejmie wykład o urządzeniu i działaniu maszyn parowych.

L. W.



POLEMIKA.

Otrzymaliśmy od profesora Głąbińskiego pismo następujące:

W otatnim (listopadowym) zeszycie „Ateneum“ pojawiło się pod napisem „Z dziedziny skarbowości“ obszerniejsze sprawozdanie p. Witolda Załęskiego z mojéj książki „Wykład nauki skarbowéj“. Za umieszczenie téj recenzyi jestem szanownéj redakcyi tém bardziéj wdzięcznym, że o ile mi wiadomo, jest to pierwsza recenzya w pismach naukowych polskich z dzieła, wydanego jeszcze w lipcu zeszłego roku. W sprawozdaniu p. Załęskiego zauważyłem niestety wiele błędów faktycznych, pochodzących częścią z nazbyt pobieżnego czytania méj książki, częścią z niedostatecznego obeznania się szan. recenzenta z literaturą skarbowości. Ze względu na to, że skutkiem błędnege sprawozdania moje stanowisko naukowe i zapatrywania w sprawach skarbowych całkiem mylnie zostały przedstawione, sądzę, że odpowiem intencyom redakcyi „Ateneum“, jeżeli w uzupełnieniu owéj recenzyi sprostuję omyłki faktyczne p. recenzenta, nie wdając się zresztą w ocenę jego własnych zapatrywań i wywodów.

Owoż przedewszystkiém zdziwiło mię twierdzenie recenzenta (str. 356), jakobym w méj książce wyraźnie „oświadczył, iż jestem zwolennikiem szkoły liberalnéj w ekonomice“. Ktokolwiek zna choćby tylko niektóre moje publikacye ekonomiczne i moją działalność na katedrze uniwersyteckiéj we Lwowie, ten wié o tém dobrze, że podobne twierdzenie wręcz mija się z prawdą i że czegoś takiego nigdzie oświadczyć nie mogłem. Tém mniéj uzasadnioném jest podsuwanie mi podobnego oświadczenia przez recenzenta mojego wykładu nauki skarbowéj, w którym przecież jasno i kilkakrotnie moje stanowisko społeczne zaznaczyłem już w określeniu pojęcia gospodarstwa skarbowego i nauki skarbowéj, daléj w ustępie (str. 65) „nauka skarbowa a kwestya społeczna“, następnie w historyi nauki skarbowéj (str. 113 — 24), w rozdziale o etyczno-prawnych zasadach opodatkowania (str. 307 sq.) i t. d. Okoliczność, że do zasad skarbowych zaliczam także zasadę „szanowania wolności osobistéj i własności“, jednakowoż z możnością „ograniczania, a nawet ścieśnienia tych praw w interesie dobra ogólnego“ (str. 62), nie dowodzi chyba, iżbym się przyznawał do szkoły liberalnéj.

Nie mogę również pojąć, jak autor „Zasad ekonomiki“ może w recenzyi utrzymywać, że banki emisyjne są identyczne z bankami biletowemi, zaś pieniądze papiérowe z banknotami, zarzuca mi bowiem (str. 358), jakobym „przemianował banki emisyjne na banki biletowe i pieniądze papiérowe na banknoty“. Przecież szan. recenzentowi powinno być dobrze wiadomém, że banki emisyjne zajmują się spekulacyą emisyjną, głównie finansowaniem przedsiębiorstw, zaś banki biletowe mają prawo wydawać banknoty, ale nie zajmują się wcale spekulacyą emisyjną, a nawet nie wolno im spekulacyi téj się oddawać. Są to zupełnie odrębne rodzaje banków

a w skarbowości nie ma wcale mowy o bankach emisyjnych, jeno tylko o bankach biletowych. Także pojęcie banknotów i różnica ich od pieniędzy papierowych są w dzisiejszéj literaturze ekonomicznéj ustalone i należą do elementarnych wiadomości ekonomicznych. Banknot jest przekazem banku biletowego na jego własną kasę, płatnym każdéj chwili okazicielowi w gotówce,—pieniądzem papierowym zaś stają się banknoty i noty rządowe wówczas, gdy na mocy ustawy państwowéj, nadającéj im walutę przymusową (nie tylko kurs czyli obieg przymusowy) zostanie uchylonym obowiązek banku czy rządu natychmiastowego wymieniania owych not na gotówkę. Z tego też powodu odróżniam (za Bilińskim) pojęcie „waluty przymusowéj“ od „kursu przymusowego“, który sam przez się wcale nie uchyla natychmiastowéj płatności banknotów w gotówce w kasach bankowych. W Rosyi i Austryi są w obiegu pieniądze papierowe aż do czasu uchylenia waluty przymusowéj banknotów, w krajach europejskich zachodnich zaś krążą banknoty i noty rządowe bez owéj waluty.

P. Załęski wytyka mi (str. 355), że poświęciłem cały wstęp historyi nauki skarbowéj wbrew mojemu własnemu zapatrywaniu, że nauka ta jest nową, niewykończoną,, nie ma więc jeszcze „historyi“. Ależ przytaczając to moje zdanie, należało przecież dodać także moje równoczesne wyjaśnienie, że „mówiąc o historyi nauki skarbowéj mamy na myśli raczéj historyę dawnych poglądów w sprawach skarbowych, tudzież naukowe źródła, początki naszéj nauki“ (str. 69).

Szan. recenzent jest niezadowolony z tego, że w literaturze skarbowéj wymieniłem także b. ministra Dunajewskiego, który zdaniem recenzenta prócz nieskończonéj rozprawki o kredycie nic nie pisał. Na to odpowiem, że Dunajewski pisał więcéj, niż szan. recenzent sądzi, wykładał nadto długo na uniwersytecie Jagielońskim, nadewszystko zaś opracował wiele referatów jako poseł i miał wiele znakomitych mów w sprawach skarbowych jako minister, zasłużył więc bodaj na wzmiankę w historyi literatury skarbowéj.

Szan. recenzent wytyka mi kilkakrotnie rzekome sprzeczności w moich poglądach naukowych. Najpierw twierdzi (str. 356), że „zdaję się walczyć przeciwko zasadzie, że gospodarstwo skarbowe różni się od prywatnego tém, iż w niém panuje zasada stosowania dochodów do wydatków“, a mimo to późniéj przytaczam tę zasadę jako zasadę skarbową. Otóż szan. recenzent wie o tém, że nietylko późniéj, ale równocześnie, zaraz na str. 15, uznałem tę zasadę, ale wykazałem, że różnica ta nie jest istotną, lecz jest „prostą konsekwencyą natury państwa jako podmiotu gospodarstwa skarbowego, jak w ogólności wszelkie charakterystyczne cechy tego gospodarstwa są wypływem odrębnych właściwości jego podmiotu.“ Powtóre dopatrzył się recenzent sprzeczności w tém, iż zyski z mennicy zaliczam raz do przywilejów skarbowych, drugi raz zaś do opłat. Wytyka mi to recenzent kilkakrotnie na str. 359 i 360. Gdyby szan. recenzent uważniéj czytał moją książkę, byłby się łatwo przekonał, że zarzut ten nie ma żadnéj podstawy. Mennica bowiem jest źródłem dwojakich i całkiem odrębnych dochodów skarbowych: mianowicie zysku z wybijania lichych monet zdawkowych na własny rachunek rządu, i opłat menniczych za wybijanie monet obiegowych na rachunek prywatnych posiadaczów sztab kruszcu. Pierwsze dochody są zyskiem z przywileju bicia monet zdawkowych, drugie są opłatami, pokrywającemi zaledwie część własnych kosztów wybijania pieniędzy obiegowych. Daléj zarzuca mi szan. recenzent (str. 362), że podatki dzielę na osobiste i rzeczowe, „pomimo, że utrzymywałem wyżéj, że właściwie wszystkie podatki są osobiste.“ W rzeczywistości zaś ja nietylko „utrzymywałem wyżéj“, ale zaraz i równocześnie na str. 299 uzasadniłem

ów podział têm, że „wprawdzie takie podatki rzeczowe płacą osoby podatników, ale **podstawą** podatku nie są tu osoby, lecz wyłącznie rzeczy, kapitały i intraty.“ Niesłusznym więc jest zarzut sprzeczności czy niekonsekwencyi, mający sprowadzić moje poglądy „ad absurdum.“ Tak samo wytyka mi p. Załęski, że podatki od pracy i renty zaliczam raz do podatków osobistych, drugi raz do rzeczowych (str. 364), chociaż powinien był z obowiązku sprawozdawcy wyjaśnić, co z naciskiem i kilkakrotnie podniosłem (str. 351 i nast.), iż podatki te z natury osobiste mają w praktyce skarbowéj charakter bądź podatków osobistych, bądź rzeczowych, stosownie do ich rozmaitéj organizacyi i z tego powodu winny być także w wykładzie podatków od intrat uwzględnione. Nie dopuściłem się więc żadnéj sprzeczności, lecz byłem konsekwentnym w przeprowadzeniu mojego podziału, argumenta zaś recenzenta, tudzież powoływanie się na podziały innych autorów nie stanowią żadnego dowodu.

Szan. recenzent wręcz się myli, gdy mi kilkakrotnie zarzuca, jakobym nie uwzględnił w wydatkach Galicyi dat odnoszących się „do finansów Lwowa i Krakowa i wogóle do miast galicyjskich“, albowiem wszystkie te daty, o ile są znane, uwzględniłem na str. 142, i mieszczą się one w sumach, przez recenzenta na str. 357 powtórzonych.

Zdanie recenzenta, że dochód z loteryi należy do podatków, sprzeciwia się istocie podatku, jako daniny **przymusowéj**.

Wielce niefortunném jest usiłowanie recenzenta pouczenia mnie, że nauka o przerzuceniu podatków, jest podług Wagnera (*sic!*) bardzo trudną“ i że „niedokładnie podałem nazwę francuską przerzucenia podatków“, którą jest rzekomo „*incidence de l'impôt*“ Otóż, czy nauka o przerzuceniu podatków jest trudną lub nie, o tém ja sam wiem, i powinien o tém wiedzieć recenzent, nie radząc się Wagnera; że jednak przerzucanie podatków **nie** nazywa się po francusku „*incidence de l'impôt*“, o tém byłby się recenzent przekonał, gdyby był zadał sobie trudu i odczytał przytoczony w recenzyi artykuł Fournier'a de Flaix w „*Dict. d'écon. polit.*“ t. II, str. 49–64, zamiast się nań przeciwko mnie powoływać. Przez „*incidence de l'impôt*“ nie rozumieją Francuzi przerzucania podatku, lecz fakt opodatkowania i dotknięcia, dosięgnięcia podatkiem pewnéj osoby, bez różnicy, czy osobą tą jest podatnik właściwy, czy inny. Tak téż pojmuje ten wyraz Fournier de Flaix w powołanym przez recenzenta artykule, zaś Albert Delatour w „*Dict. des finances*“ II, 1894, str. 368, podaje trafną definicyę tego wyrazu w przeciwieństwie do przerzucenia (*translation*, *repercussion*): „il y a *incidence*, lorsque le contribuable est *impuissant* a rejeter sur des autres la charge de l'impôt, qu'il a payé lui-même au fisc, ou qui lui a été transféré.“

Nie chcę dłużéj trudzić czytelników „Ateneum“ wykazywaniem dalszych niedokładności recenzyi p. Załęskiego, muszę jednak zaprzeczyć, jakobym używał „wielkiéj liczby nowych terminów naukowych, wziętych z praktyki skarbowéj w Galicyi“, a przeczę tém śmieléj, że żadnego takiego „terminu“ sam recenzent mi nie nie wytknął.

Tyle w obronie mojéj własnéj i w imieniu prawdy.

Przyjm Szanowny Panie Redaktorze wyrazy prawdziwego poważania

We Lwowie d. 15 grudnia 1895. *Prof. Dr. Stanisław Głąbiński.*



Odpowiedzi Redakcyi.

St. w Bukareszcie: Prenumerata „Przyjaciela Dzieci“ wynosi rocznie rs. 5, kwartalnie rs. 1 k. 25. Adres Redakcyi: Warszawa, ulica Chmielna, N. 26.

L. K. Odczyt p. Weryho „O początkowém wychowaniu dzieci“, w żadném czasopiśmie, o ile wiemy, nie był drukowany.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Января, 1896 г. — Druk Jana Cotty.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Maryan Gawalewicz.* **Bluszcz.** Historya małżeńska. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 258.
2. *Henryk Rodakowski.* **Kilka słów o malarstwie.** Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa 1895, 8-vo, str. 35.
3. **Nauka o pogodzie** (Meteorologia) napisał *Feliks Piotrowski.* Z 52 rysunkami w tekście („Wydawnictwo popularne“). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, str. 146.
4. *Kazimierz Gliński.* **Tarantula.** Powieść prawdziwa. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 285.
5. *Balfour Stewart.* **Fizyka.** Przełożył *Wiktor Biernacki.* Z 46 rycinami w tekście („Wydawnictwo popularne“). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 235.
6. *Homer.* **Odysseja,** przekład *Lucyana Siemieńskiego.* Wydanie nowe. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1895, str. 524.
7. Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa dla teatrów amatorskich: Nr 33. **Fotografia Jędrusia,** obrazek w 1 akcie, przez *Zygm. Przybylskiego* (str. 20); Nr 34. **Bzy kwitną.** Komedya w 1 akcie, przez *Z. Przybylskiego* (str. 26); Nr 36. **Przyjaciel męża,** obrazek w 1 akcie, przez *Z. Przybylskiego* (str. 39); Nr 37. **Dzień w redakcyi,** obrazek w 1 akcie przez *tegoż* (str. 36); Nr 39. **Zjazd koleżeński,** komedya w 1 akcie, przez *tegoż* (str. 36); Warsz. 8-vo. Cena każdego tomu kop 30.
8. **Arcydzieła Szekspira** w przekładach. Skład. gł. w księg. G. Centnerszwera w Warsz. 1895, 8-vo, tom V (str. 274), tom VI (str. 96).
9. Biblioteka Powszechna, nakł. W. Zukerkandla w Złoczowie; Nr 133 — 134: *Józef Korzeniowski.* **Żydzi.** Komedya w 4 aktach (str. 104); Nr 137—138: *Cycero.* **Mowa ze Sextem** Roscyuszem z Ameryi. Przekład *E. Rykaczewskiego* (str. 93); Nr 139—140; *Aleksander hr. Fredro.* **Pan Jowialski.** Komedya w 4-ch aktach (str. 135); Nr 141: *Aureli Urbański.* **Z za kulis** i **ze świata.** Szkice, obrazki, humoreski. Tomik III (str. 73); Nr 143 — 145: *Zygmunt Sarnecki.* **Nowelle** (str. 186); Nr 148: *Ignacy Krasicki.* **Bajki i przypowieści** (str. 87); Nr 151: *Maurycy Jokai,* **Dziwne historye.** Tłomaczył *S. D.* (str. 95); Nr 154—155: *Ignacy Hołowiński.* **Legendy** (str. 134). Warsz. w księg. T. Paprockiego i Sp. (cena zeszytu kop. 10).
10. (*Proverbia Salomonis*). **Przysłowia Salomona.** Wyjątek z Pisma Świętego. z hebrajskiego tekstu spolszczył wierszem *Numa v. Joachim Nirnstein.* Warsz. 1895, nakład tłumacza, 8-vo, str. 78.

11. *Cezary Jellenta.* **Spowiedź zbira.** Lwów. nakł. autora. 1895, 8-vo str. 66.

12. *Jan Bochenek.* **Normalna postać mężczyzny** i kobiety, wykreślona nowym sposobem. Przetłómaczył *Wojciech Gerson.* Warsz. skład głów. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 51, z dwoma tabl. rysunków.

13. **Znawstwo prawdziwe** i rzekome w malarstwie. Napisał *Wojciech Gerson.* Warsz. skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolfa. 1895, str. 30.

14. **Kleine Beiträge** zur slavischen Lautlehre von dr. *G. Blatt,* Brody, 1895, 8-vo str. 29.

15. **Słownik apologetyczny** wiary katolickiéj, podług d-ra Jana Jaugey'a, wydany staraniem *X. Wł. Szcześniaka* i grona współpracowników. Warsz. 1895, zesz. 8-my, str. 577—798.

16. *William Szekspir.* **Hamlet**, królewicz duński. Wydał, przełożył, wstępem, wyjaśnieniami i przypisami opatrzył *Władysław Matlakowski.* Krak. 1894, 8-vo, str. CDXX + III + 346.

17. **Zasób umysłowy dziecka.** Przyczynek do psychologii doświadczalnéj *J. Wł. Dawida.* Warsz. 1896, 8-vo, str. 96.

18. *Teodor Jeske-Choiński.* **Gasnące słońce.** Powieść z czasów Marka Aureliusza. Dwa tomy. Warsz. S. Lewental, (1895), 8-vo, str. 366 i 349.

19. **Podręcznik mechaniki** dla średnich szkół technicznych i samouków przez *M. Lauensteina* przełożył *Józef Hofman* inż. („Biblioteka Przemysłowa"). Warsz. 1896, 8-vo, str. VIII i 265 z 140 rysunk. (cena rs. 1 k. 10).

20. **Produkcya rolna i taryfy kolejowe** napisał *Adolf Suligowski.* Warsz. skład gł. u Gebethnera i Wolffa, 1895, 8-vo, str. 130.

21. *Wiktor Gomulicki.* **Do Niéj i do Niego.** Pogadanki na temat małżeństwa. Warsz. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, str. 80.

22. *Bolesław Prus.* (*Aleksander Głowacki*). **Pierwsze opowiadania**, wyd 2-gie. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo, str. 407.

23. **O wódce, piwie i winie.** Odczyt d-ra *M. Flauma.* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, str. 19.

24. *Kazimierz Witte.* **Po grudzie.** Powieść współczesna. Warsz. (1895) 8-vo, str. 292.

25. *Sewer.* **Zyzma.** Powieść współczesna. Petersb. nakł. K. Grendyszyńskiego, 1896, 8-vo, str. 460.

26. *Wł. M. Kozłowski.* **Klasyfikacya umiejętności** ze stanowiska potrzeb wykształcenia ogólnego. Warsz. skład w księg. G. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 23.

27. *Dr. Wiktor Hahn.* **Pentesilea**, dramat Szymona Szymonowicza. Lwów, 1895, 8-vo, str. 17.

28. **Historya jazdy polskiéj** przez *Konstantego Górskiego.* Krak. nakł, księg. Spółki wydawniczéj, 1895, 8-vo, str. 363 z 3-ma tabl. litograf.

29. *T. T. Jeż.* **Sama.** Powieść. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 367.

30. **Nauka mularstwa.** Opracował *Jakób Heilpern* inżynier. Tom I, część druga. Materyały mularskie. Warsz. wydawnictwo Zgromadzenia Mularzy w Warsz., skład gł. w księg. Gebethnera i Wolfa, 1896, str. XXII i 586, z 148 rysunkami w tekście.

31. *Marcina Króla z Przemyśla* **Geometrya praktyczna.** Wydał *L. Birkenmajer.* Warsz. wyd. Redakcyi prac matematyczno-fizycz. 1895, 8-vo, str. IX i 82.

32. *Ignacy Matuszewski.* **Czarnoksięstwo** i medyumizm. Studyum historyczno-porównawcze. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1896, 8-vo str. 274 z 21 ilustracyami.

33. **Zmarnowane życie.** Dramat w 5-ciu aktach przez *Stefanię Laudynową.* Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1895, 8-vo, str. 100.

34. *Mieczysław Baranowski.* **Dydaktyka** do użytku seminaryów nauczycielskich i nauczycieli szkół ludowych. Wyd. 3-e, uzupełniono „Zasadami logiki". Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 1895, 8-vo, str. 127 i VII.

35. *Dr. Wojciech Dzieduszycki.* **O wiedzy ludzkiéj.** Lwów, nakł. Gubrynowicza i Schmidta, 1895, 8-vo str. 213.

36. **Śliczne ptaszęta.** Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 8 kart kolorowanych.

37. **Ciało człowieka.** Wykład poglądowy anatomii człowieka. Z tekstem objaśniającym d-ra *M. Flauma* i 10 drzeworytami. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki 1896.

38. *Adolf Dygasiński.* **Cudowne Bajki.** Z 21 ilustracyami J. Pankiewicza. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, str. 152.

39. **Zaginiony w grotach Ojcowa.** Napisał *Stefan Gębarski,* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 250 z 15-ma rysunkami.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.